

J. KALLENBACH
ZYGMUNT
KRASIŃSKI



ZYGMUNT KRASIŃSKI

(1812—1838).

SYMONT KRZYSKI

(1812-1838)



JÓZEF KALLENBACH



ZYGMUNT KRASIŃSKI

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ LAT MŁODYCH

(1812—1838)

TOM DRUGI

1842

LWÓW 1904

Sp. S.
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
WARSZAWA — E. WENDE I SP.

k. 2, s. 447, Wł. 5.



ZYGMUNT KRASIŃSKI
(1834).



cyf. 884(091) Romantyzm

43487
884(091): 929 „Kronika”



6590

884(09)
Hall
249

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 43487



BGZs 43487

TREŚĆ TOMU DRUGIEGO.

	Str.
Księga Czwarta.	
I. Z Genewy do Opinogóry	3
II. W Petersburgu	19
III. »Agay-Han«	40
IV. »Nie-Boska Komedya«	51
Księga Piąta.	
I. Na rozstajnych drogach	149
II. Raj i Piekło (1835 r.)	184
III. Irydion	214
Księga Szósta.	
I. W Rozstroju	287
II. W Wiedniu zimą 1836/7 r.	327
III. Przesilenie	336
IV. Ostatnie Spotkanie	361
V. Twórczość	371
Objaśnienia i uzupełnienia	411
Nieznane Fragmenty i Listy Z. Krasińskiego	429
Wykaz Nazwisk	441—447
Wizerunki: a) Pani A. Załuskiej.	
b) Trzy portrety Pani Bobrowej.	
c) Portret Z. Krasińskiego z r. 1833/4.	

I.

Z Genewy do Opinogóry.

Życzeniem było generała W. Krasińskiego, aby syn jego przedstawił się w Turynie na dworze królewskim, jako daleki kuzyn. Krasińscy byli spokrewnieni z domem Sabaudzkim przez Franciszkę Krasińską, żonę Karola, księcia kurlandzkiego, a matkę jedynej córki, księżniczki Maryi, która wyszedłszy za mąż za księcia Karola de Carignan, stała się matką rodu, panującego dziś we Włoszech.

Ale nie nadeszły w porę listy rekomendacyjne i ku wielkiej swej radości Zygmunt Krasiński nie potrzebował odbywać etykietalnej wizyty.

Z Turynu na Medyolan, Weronę, Vicenzę i Padwę przybyli do Wenecyi około 20 maja. Krasiński zaczął tu brać kąpiele z wody słonej morskiej spodziewając się, że to mu pomoże na oczy, których stan się nie poprawiał.

Nie mógł ten stan zdrowia wpłynąć korzystnie na humor jego; to też kilka listów, pisanych wówczas z Włoch do ojca, odznacza się niezwykłą zwięzłością i smutkiem. Po 10-dniowym pobycie w Wenecyi, o którym

zaledwie kilka słów w liście swym zanotował, a gdzie skreślił po francusku krótki rzut oka historyczno-filozoficzny na upadek świetnej niegdyś stolicy dożów (*Correspondance*, II, 295—305) — udał się w dalszą podróż na Innsbruck ku Wiedniowi. Coś go ciągnęło do Polski, a równocześnie choroba oczu nie pozwalała nasycać się pięknosciami zwiedzanych krajów:

»Chciałbym być już w Opinogórze; choć piękne zwiedzam krainy, coś mnie popycha naprzód ku Polsce, ku Ojcu — i nie wiele też mam pociechy z tego wszystkiego, bo mnie oczy nie pozwalają się nacieszać i niebem i morzem«. (22 maja, Wenecja).

Gaszyńskiemu zaś żalił się (26 maja 1832 z Wenecji): »Wciąż jestem słaby, z oczyma coraz kiepskiej, wczoraj krew w wieczór puszczałem, bo mi tak biła do mózgu, że kazała lękać się apopleksyi. Cierpienia moralne zupełnie ciało moje rozstroiły. Gdybym z Wami był kampanię odbył, byłbym zdrów jak ryba...«

W Innsbrucku rozstali się przyjaciele: Reeve udał się do Monachium, Kasiński do Wiednia. Przyjaźń ich dosięgła wówczas szczytu i odtąd powoli, niezauważalnie zrazu, zmniejszała się i słabła. Różne okoliczności wpłynęły na to, a głównie odmienne drogi życia: Anglik mógł zająć w kraju rodzinnym stanowisko, odpowiednie swym zdolnościom; Polak, pod strasznym uciskiem Mikołajowskim, tać się musiał z każdą myślą śmielszą, z każdym gorętszym uczuciem. — Nie było to ostatnie ich widzenie się; przecież nigdy już dawniejszego stopnia zażyłości nie będzie. Reeve zanotował w pamiętniku: »chociaż

dalej korespondowaliśmy, nie wróciła już nigdy dawna poufałość«. (I never lived in his intimacy again). W jesieni tegoż roku już był Reeve pod urokiem i wpływem nowego przyjaciela, Handley'a, i pisał do matki: »Jeżeli Zygmunt jest typem mej przeszłości, to czuję głęboko, że, co do zasad, jeśli nie co do osoby, osoba ta (Handley) jest wyobrazicielem mej przyszłości«. Objaśnia zaraz, że Handley jest republikaninem i *un homme de mouvement*.

W połowie czerwca 1832 r. stanął Kasiński we Wiedniu. Choroba oczu pogarszała się. Leczył go sławny okulista Jaeger, a kuracya była przykrą:

»Cały dzień siedzę w pokoju na pół ciemnym, jeno wieczorem w karecie wyjeżdżam na przechadzkę; nie mogę ani czytać, ani pisać. Zgoła muszę siedzieć z założonemi rękoma i próżnować. Ta choroba nauczy mnie myśleć, dawniej tylko marzyć umiałem«. Zresztą uspokajał ojca: »nuda i cierpienie jest, ale niebezpieczeństwa nie masz«. Tegoż dnia (16 czerwca 1832, Wiedeń) pisał do Gaszyńskiego:

»W ciemnym pokoju, sam jeden, otoczony lekami mam czas rozmyślać nad przeszłością i przyszłością, mam czas rozpamiętywać, żem za Polskę się nie bił. Nie wiem, co ze mną będzie: oczy zagrożone ślepotą, całe ciało rozstrojone; może niedługo pójdę tam, gdzie tyłu poszło bez sławy, bez miłości i żalu ludzi... Nikt o mnie wiedzieć nie będzie; moje prace zaginą ze mną razem, moje natchnienia do trumny pójdą«.

Tygodnie w ten sposób schodziły biednemu Kasińskiemu, który niecierpliwił się i rwał do umysłowego zajęcia.

»Przez całe dni myślę, a czasem myśleć jest cierpką rzeczą, bo wszystko, co zbudowało marzenie, to myśl rozwala i burzy, aż wreszcie nic nie zostanie, oprócz żalu, że się czas strawiło na próżnych snach«.
(8 lipca 1832, Wiedeń).

Pełne życia listy Reeva z Monachium mogły chorego tylko drażnić. Zdawało mu się czasami, że oślepnie; to znowu określał istotę swą jako »głupca z wyobraźnią« i uważał to za najlepszą definicję, na jaką się kiedykolwiek zdobył.

Spotkanie z bratem Augusta Zamojskiego w Wiedniu, rozmowy z nim zwróciły znowu myśl Krasińskiego w stronę Polski i jej ostatnich nieszczęść:

»Klubowcy nas zgubili. Nie masz żadnego pojęcia o ich szale i wściekłości. Te nędzne szewcy, żydy ochrzczone i krawcy, chciwi na grosz, nie wiedzący nic o Polsce i o jej przeszłości, chcieli zarobić, zyskać, spekulować, wieszając, rzucając kalumnie, podburzając — a teraz rozrzucają broszury przeciw wszystkiemu, co jest prawdziwie szlachetnem i wielkiem u nas. Oni to nazywają Arystokracją. Ale jeśli mnie kochasz, wierzaj mi i wiedz, że poza Arystokracją nie ma nic w Polsce, ani talentów, ani oświaty, ani poświęcenia. Nasz stan trzeci, to błazeństwo (fadaise), nasi chłopci, to maszyny. Tylko my jesteśmy Polską. A pewnego poranku, po wielu poświęceniach, powieszą nas naprzeciw ołtarza Ojczyzny. Taki jest bieg spraw i to nieubłagany. Potrzeba, aby czasy się wypełniły, gdy nadejdą. Radykalizm podniesie nas, aby nas obalić i zetrzeć z ziemi. Oby przynajmniej po nas przyszło co szczęśliwego dla tego bie-

dnego kraju — oby ci *novi homines* byli szczęśliwi i stali się kiedyś wielkim narodem. Ale my, my pracujemy na naszą zgubę — mimo to pracujemy; to nasz obowiązek i Bóg na nas patrzy. A potem przyjdzie szubienica i wieczność. Rozważ dobrze te słowa, myśl nad nimi raz i drugi. Nie są one nagłym wybuchem. Są owocem długich rozmyślań«.

Tegoż dnia (14 lipca 1832 r.) pisze do Gaszyńskiego, streszczając niejako obawy swe, szerzej rozwinięte w liście do Reeva: »Wiesz! kiedy zarzucam wzrok na przyszłość, widzę jedno śmierć dla nas, to jest dla tych, którzy są mojego i twojego zdania. Czy z góry, czy z dołu przyjdzie na nas wyrok. Rozważ dobrze, co chcę zawrzeć w tych krótkich słowach. Ale przeto nie powinniśmy się strachać i giąć, byleby była Ta, dla której zginie my; a o rodzaj śmierci się nie pytać. Ale ten rodzaj z Francji przybędzie«.

Do d. 6 sierpnia zostawał Krasiński w kuracji we Wiedniu. 3-go sierpnia wyprawił list pożegnalny do Gaszyńskiego »z rozstajnych dróg, z których jedna do Europy prowadzi, druga do Polski i dalej...« W liście tym posyłał Gaszyńskiemu »na pamiątkę« ułamek p. t. *Wygnaniec*. 15 sierpnia stanął w Warszawie, zupełnie chory, z oczami czerwonymi, których ból starano się pijawkami złagodzić. Tegoż dnia wyjechał dalej do Opinogóry, a w trzy dni potem pisał już do Reeva list pełen zadowolenia z przepychu, jakim go ojciec otoczył; na chwilę zapomniał o wszystkim: strzelał bekasy, słuchał śpiewu i gry pani Załuskiej, a w kasetce, gdzie znalazł suty dar

ojcowski (4000 złp.), umieścił relikwie swej miłości genewskiej: listy Henryki Willan. Relikwie, mówimy, bo już serce jego rozgorzało na nowo miłością do pani Załuskiej.

Studencka, warszawska dla niej miłość, zmieniła się była w r. 1829, przed wyjazdem do Genewy, w niechęć prawie, zaznaczoną nieraz potem w listach do ojca; nie wierzył zapewnieniom przyjaźni szczerzej. W głębi duszy tkwił żal pacholęcy, że wzgardzono jego miłością. W Genewie rozmarzył się uroczą postacią Henryki Willan, nie myślał o pani Amelii. Przeboleł potem rozstanie z Angielką, a pod ciosami r. 1831-go sercem i duszą był w Polsce i dla Polski tylko.

Gdy wrócił do kraju lat dziecinnych, gdy w Opinogórze, przy ojcu i pani Załuskiej, odżyły naraz wszystkie wspomnienia z przed lat czterech, ocknęła się nagle dziecinna miłość, ale już w młodości dwudziestoletnim. Pomyślmy, że dwoje ich tylko młodych było w głuszy wiejskiej, że pani Załuska jaśniała całym blaskiem młodocianym niepospolitej bystrości, żywości i wdzięku umysłu, a czarem swej muzyki i śpiewu łagodziła ból wielki, moralny, i cierpienia wzroku schorowanego Zygmunta Krasieńskiego — a pojmiemy łatwo, co się działo w sercu wrażliwym poety.

»Nienawiść zmieniła się w miłość« — napisze z Opinogóry do Reeva: »Tę kobietę, o której tyle mówiłem, znowu ujrzałem i — pokochałem. Przyszła ku mnie z przebaczeniem na ustach; opowiedziałem jej miłość swą dziecinną, udręczenia me, zazdrości, nie-



AMELIA Z BRONIKOWSKICH ZAŁUSKA.

nawiść czteroletnią, wreszcie mą miłość — bo takie już moje przeznaczenie, że ilekroć ujrzę tę kobietę — kochać ją muszę».

Z. Krasiński rozumiał doskonale, że Reeve, który zaledwie przed sześciu miesiącami przywiózł mu był list od Henryety Willan do Genewy, nie będzie zachwycony tem nowem, albo raczej wznowionem uczuciem swego przyjaciela. To też stara mu się, jak może, uzasadnić stan swego serca: „*Les passions sont les bouffons qui se raillent de moi*“ — a dalej: „*Satan me couve sous ses ailes*“ — wreszcie, po prostu, a z głębi skruszonego serca: »Bóg nie pobłogosławi takiemu jak ja człowiekowi«.

Tych kilka tygodni opinogórskiej ciszy nie ukoili młodzieńczych, cierpieniem oczu znękanych nerwów. Wywoływał Manfredowych duchów: »Astarte, przemów do mnie!« — ale zamiast Astarty odzywał się zacny, rozumny, siostrzany głos pani Amelii. Była to osoba przedewszystkiem bardzo rozumna i trzeźwa: starsza od poety o lat ośm, bardzo długo traktowała go jako dziecko, zwłaszcza przed jego wyjazdem do Szwajcaryi — a imponowała mu przez resztę życia.

Rozstali się w końcu, on z rozpaczą, że tam, gdzie spodziewał się miłości namiętnej, znalazł uczucie siostrzane; ona ze smutkiem w duszy z takiego obrotu niepożądanego uczuć Zygmunta. »Odjechała, zwąc mnie zawsze bratem, ja z ustawicznymi słowami: »Kocham Cię«. Nie mogła niczego uzyskać odemnie, ani ja od niej. Pozostaliśmy na miejscach, które nam los wyznaczył«. (Do Reeve, II, 11).

Ale Krasiński nie byłby sobą, gdyby ten krótki

a namiętny epizod opinogórski nie pozostawił literackich skutków. Jakoż z albumu pani Załuskiej dochowała się dni owych pamiątka. Trzy drobne utwory świadczyć będą o uczuciach, które przepełniały wtedy piers Krasieńskiego. Podajemy je tu w całości, nie tylko dlatego, że nigdzie dotychczas nie były drukowane, ale także i głównie z tego względu, iż zawierają pierwsze błyski Irydionowych postaci. Gdy w pierwszej fantazyi tło całe krajobrazu raczej Henryety się domaga i genewskim hołduje wspomnieniom, drugi *nokturn*, »na pamiątkę« pisany, już jest zapowiedzią Irydionowej u Masynissy służby, jest rozprowadzeniem tych lakonicznych słów do Reeva: »*Satan me couve sous ses ailes*«; trzecie wynurzenie, pożegnanie, ma w sobie już lęk przed sybirskiem zesłaniem, zgrozę instynktową wobec podróży do Petersburga, narzuconej z góry, nieuniknionej.

(Podkreślamy ważniejsze ustępy. Nie zmieniamy oczywiście pomyłek w tekstach Byrona, cytowanych z pamięci).

I. „*The life is twofold*“ —

A Dream —

Byron —

*

[a] Śniło mi się, że płynął z tobą po moim jeziorze — i długo się cieszyłem — iako we śnie bywa — by potem zapłakać obudziwszy się — iako bywa na jawie — Ale nim się rozdzielim, nim przyjdzie powtórzyć płacze w chwili rozstania, opowiem sen mój, a ty posłuchaj, proszę.

*

Na barce mojej stałem przed tobą i wiązałem sznury od żagliw — a wiatr z po nad lura przelatywał i po-

pychał nas ku nadbrzeżom Szyllonu — Dzień mi się wydawał jasny i świeży — fale były błękitne a góry w oddali bieleły się od śniegu — chmur kilka ponad głową się przesuwalo — ale żadna z nich burzy nie przepowiada — owszem zdają się wróżyć pogodę srebrnemi fałdami i lekkim (*sie*) pochodem —

*

A Ty stałaś u wód gdyby pani całej okolicy — nie żeby дума miała ściągać twe czoło w tej chwili, ale żeś głowę trzymała niewzruszoną w powadze, i wzrok wlepiła w niebo, rzadko skręcając go ku mnie lub ku ziemi — [b] niepamiętam już barwy twej szaty, bo złudzenia snów takie znikome iak szczęście — niepamiętam już rąbek iaki osłaniał twe piersi, chustka iaka z ramion ci spadała — ale twarz pamiętam oświeconą promieniami — wznoszącą się wśród żagli igrających wokoło — nieco wybladłą — z oczyma przeczystego blasku — z pierścieniami ciemnych włosów, które ją obwodziły gdyby ramy czarne, naokoło obrazu pełnego życia i urody —

Ale zarazem do twoich rysów mieszało się coś niepojętego, nieopisanego — był to niby żal iakowyś, uspio-ny, nie ledwo że zapomniany a jednak czytelny — była to niby nadzieja iakowaś niepewna, ledwo że znana tobie samej, a jednak oczewista — Zdawało się że marzysz o goryczach ziemi i o nieba radościach —

Płynęliśmy długo, a wiatr się wzmaczał, ieśli dobrze przypominam sobie — Ia wiosła rzucałem i brałem, żagle odwiał i ściągał co chwila — Szumiały fale, wicher im odpowiadał i wołał na nie:

»prędzey, prędzey pływicie dzieci moje« —

Aleś ty ciągle nie wzruszoną była — choć maszt o którym się opierałaś, drżał cały, choć żagiel co nad twoim czołem się kołysał, nadymał się iak chmura podczas zawiei — choć belki czołna skrzypiały i samo czołno skakało po falach iak wieloryb raniony —

[c] I pięknie mi było patrzeć na twoją odwagę — na twarz twoją góruiącą nademną schylonym, gdyby twarz Tey, którą wzywaia żeglarze wśród burzy — a choć prosiłem, choć zaklinałem, nie mówiłaś i słowa — Tak dopłynęliśmy do murów Chillonu — Widzę cię wśród arkad gotyckich — tam za filarem dostrzegam cię jeszcze — u tych schodów zatrzymałaś się chwilę — gdzież iesteś teraz — gdzie? Stoię na mieyscu, a nikogo niema przy mnie — Gdzież iesteś — gdzież iesteś, o pani czółna moiego? Ono czółno stoi u brzegu samo — puste — z obwiesłami żaglami. Ia na tym moście, który prowadzi do lochów i więzień Chillonu — O gdzieżeś mnie odbiegła? Łatwiej mi duchy umarłych wywoływać niż ciebie.

„Sen to iest marny, nic nie znaczyący” — powiesz i zamiesiesz się z cicha — ale mnie lży staną w oczach i westchnę — Iako na tey barce moiey przez chwilę, takōż w życiu moiem, iesteś ziawiskiem — cudem — a cud się ukaże i zniknie — on iest tem w życiu człowieka, czem meteor w nocy letniej —

O nocy moia letnio (*sic*) bądźże mi zdrowa na zawsze —

II.

[a] Na pamiątkę — *There is many a pang to pursue me
They may crush — but they shall not contemn —
They may torture, but shall not subdue me
Tis of Thee that I think — not of them —*
Stanzas to Lady Augusta Byron —
Lord Byron —

A onego dnia Szatan wybrał się do lotu i obleciał gwiazd kilka, nim dostał się do ziemi — swoiey kochanki — nad którą panuie od wieków, którą kocha swoią nienawiścią, iak ią Bóg swoią miłością —

A noc była ciemna, bez księżycy, obwieszona chmurami — Skrzydła rozpostarł i leci, a więc ieszcze ciemniej się stało, to po nad górami, to po nad płaszczyzną — a kiedy raz się iey dorwał, trzymał się iey wciąż, nie wiem dlaczego —

Dawniej o kwiatach nócilem i o wieńcach nad skroniami piękności — O, moie kwiatki, powiedłyście wszystkim — a więc nótę odmieliem i zaspiewam o starym wrogu ludzi —

Bez huku, bez szumu sunął po obszarach, płynął po powietrzu, gdyby czarny okręt po morzu z dwoma [b] czarnymi flagami — aż wreście doleciał wzgórze, wśród łąków, na którym bieleie kaplica, a obok stoia mogiły, obwiedzione kratą, osypane rzadkim drzewem, z krzyżem pośrodku —

On się rozsmiał serdecznie na widok krzyża — potem chmurę zawołał do siebie, rozciągnął się na niey i miętko leży — Tu znać pocznie się iego wola obiawiać —

Wiatr się zerwał i gwizdże pomiędzy chmurami, które biegną po niebie całem, iedne za drugimi, a gwiazdy ledwo że się ukażą, iuż skonaia — ale to niedługo trwało — wicher opadł i znów spokojnie —

Tymczasem pan moiey pieśni się cieszy, bo dwie postacie zbliżaią się do krat cmentarza, a tam gdzie dwóch iest na ziemi, to niechybnie iedna dla niego ofiara —

„Z dwóch tych przeznaczeń podobnych do siebie iedno mnie się należy” pomyślał, a od tey myśli potężney Archaniola zadrzała chmura i ięk rozległ się po nad mogiłami —

Teraz grzmoty słyhać w oddali — u samych krańców widnokregu [c] błyskawice zrywaią się i opadaia,

jak fale wśród burzy — i na chwilę jedną w ich świetle zmartwychwstaie okolica, potem znów ginie w ciemności — A niewiasta i mąż z pochylonemi głowy opierają się na bramie cmentarza. Zapewnie tam ich przyjaciół dawnych pogrzebione zwłoki.

Iaką była modlitwa niewiasty, tego nikt nie zgadnie, bo serce kobiety jest przepaścią, w której tysiąc róż i tysiąc cierni, ale modlitwa tego, który stał przy niej takową była:

»O! ty, który rozpostarłeś swoją opiekę, czy przekleństwo nad moim zawodem, aniele, zły duchu, czy gwiazdo, wysłuchaj prośby moiej, ostatniey, iedyney, po której już żadney drugiey nie będzie — bo myśli schną w moim mózgu i słowa na ustach.

»Każdy z synów Adama błąka się w rozpacz na tej ziemi, puścizną po grzechach pierwszego rodzica, ale czasem wspomnienie, czy nadzieia, uniesienie czy spokój, obudzą w nim szczęście, małeńkie, znikome, które się zowie spadającą gwiazdą —

»Z owych chwil wszystkich splata się wieniec o kilku kwiatach, który wędnieie wczesniey czy późniey, iednym już u kolebki, drugim dopiero [d] u łoża śmierci — ale każdy z nas, o panie, i ia wraz z innemi, mam prawo do niego, choć wiem i czuię, że on nigdy spiekłego czoła nie odświeży mnie —

»Proszę moją wysłuchaycie duchy — Ten wieniec mój nadaię Tey, co przy mnie teraz milczy i wzdycha ku tym mogiłom — niechaj pasuje do iey skroni, niech rośnię piękności sączy na iey lica. —

Szatan przysłuchiwał się rozkosznie i przystał — przecież Iemu wszystko iedno, czy on, czy ona, byleby była ofiara, męki iakoweś, a potem śmierć i zaguba — bo to są pieśni iego poematu wiecznego —

Podniósł się z swojego obłoku i wyciągnął ramiona w przestwór:

»Synu mój — synu mój, witam ciebie. —

Tu grzmoty się podwoiły ale już żadney błyskawicy nie było. —

Bąć więc szczęśliwą iako na cię przystało — bąć mi Panią wiecznych uśmiechów i wesela — a kiedy twe serce nabrzmieie, niechay twoie łzy płyną — a nie będzie tak, iak u innych, ktorzy płakać zapomnieli —

Tam gdzie zmierzam, czarne nieba i słońca niemasz — iedno Lampy, kagańce i smutne ognie, które tę noc oświecaia, by ludzie nie oślepli w cieniu — Tobie błękity życia niech pozostaną po mnie — buiai i ulatuy pomiędzy niemi — a to słowo ostatnie, które gorączką pali mi usta, to słowo ostatnie:

»Żegnam cię i ziemię moją« niechay razem znaczy »kocham cię — i nigdy nie przestanę« —

III.

*Farewell — Farewell and if for ever
Yet for ever Farewell to Thee —*

Lord Byron

[a] »Żegnam« jest zawsze pewnością — ale słowo »powitam« iest marą — a więc pierwszym odzywam się do Ciebie, słabo, po cichu, drżąc z rozpaczey —

»Żegnam Cię«. Żegnam Cię na dzień — na dwa dni — może na rok — może na zawsze.

Teraz ieszcze twa muzyka obwiewa mnie do koła. Teraz ieszcze siedzisz przedemną, gdyby duch, co odlecieć ma i nie wrócić więcej — ale iutro o tej samey godzinie gdzieś będzie twoja twarz, twój głos, twoja szata czarna — Dla mnie już nie będziesz na tej ziemi — oto iest łoże śmierci teraz, na którym konam a Ty przyspiwuiiesz mojemu zgonowi —

- [b] Śmierci się nie boię — niechay kula piersi przeszyie —
niechay gorączka przepali ciało — ale tak umierać iak
w tey chwili — ale konać bez nadziei — wśród ludzi
którzy mnie nie rozumieią — wśród czterech ścian bia-
łych — i nie ięknąć — i nie westchnąć — tylko milczeć
i patrzeć na ciebie i wiedzieć, że cię nie uyrzę już wię-
cey, iest losem, którym Bóg karze potępieńców piekła —

A Twój głos tymczasem się rozlega — wznosi — za-
pełnia komnatę — płynie w dźwięcznych falach — oni
cię słuchają i myślą — »ona pięknie śpiewa« — a ja
słucham i myślę: »To dzwony moiego pogrzebu«.

Ale nie chcę narzekać — trza być podłym, by się
żalić, że czekaia męczarnie, kiedy minęło szczęście —

- [c] O, gwiazdo Tey, którą kocham, przyswiecaj lubo iey
drodze —

O, aniele stróżu Tey, którą kocham roztocz skrzydła
i zley na nią oasis cieniu wśród tey pustyni świata —

O, ciernie, które kaleczycie mi stopy, nie zarastaycie
nigdy iey ścieżki —

O, róże, które nigdy nie kwitniecie na moich szlakach,
otoczcie Ią waszym rumieńcem i wonią —

Skończyła się modlitwa — czegoż czekać dłużej? wy-
ręczmy ostatnie słowo — słowo, które iest całą duszą
moją — Żegnam Ciebie — Bądź zdrowa.

Mój głos już nie wydał moim uczuciom — słabieję,
rozprzegam się, krew mi od serca odbiega, a serce
gdzieś się podziało — serce gdzie? Ieszcze raz powiem:
Żegnam ciebie.

- [d] Iakieś marzenie nadeszło —

Ot — tam widzisz są lody i wyspy z lodu
i lądy ze śniegu i trochę mchu na nich — i dali
mi Lampę do ręki i rzekli: »oto słońce twoie«.

Ia błądzę —

Cóż to się znaczy? jeszcze trwają dźwięki — z iakoweyś

opery piosnki słyszę — Ty ieszcze stoisz przedemną —
śmiesz się i radujesz — Bądź błogosławiona i za twoie
lzy i za twoie uśmiechy —

Szaleństwo przymila się do mnie — ono ciągnie mnie
do siebie, tuli, ściska, aż mi się mózg zawraca — Ta
swieca, która się pali przedemną dłuższe ma życie ode-
mnie — bo już zagasłem od chwili, kiedy rzekłem »Że-
gnam ciebie« —

Zasnijmy snem którym zasypiali męczennicy
w więzieniach starego Rzymu —

W zamian za te drobne utwory otrzymał Zygmunt
na pożegnanie od pani Amelii pierścioneczek i pu-
kiel włosów. Może nie miała sił odmawiać mu tych
pamiątek w przededniu jego długiej i wstrętnej mu
podróży na daleką północ. Powody tej podróży tak
określa Stanisław Małachowski: »Ojciec jego zamie-
rzył przedstawić go monarsze w myśli usadowienia
go w kraju własnym i umieścić w urzędzie, w słu-
żbie publicznej. W tym celu przedsięwziął z nim
podróż do Petersburga«. — Trudno jednak przypuścić,
aby generał zdenerwowanego, chorego na oczy je-
dynaka, wioził dobrowolnie tak daleko i to pod
jesień, w najgorszej porze roku. Zdaje nam się, że
bliższym prawdy jest tu prof. St. Tarnowski, który
domyśla się, że generał musiał zapewne w Peters-
burgu usłyszeć »jedno z tych uprzejmych życzeń,
które są rozkazem i groźbą: które trzeba wykonać,
bo inaczej zabór majątku, albo Sybir, albo jedno

i drugie. Inaczej byłoby to okrucieństwo bez celu i powodu. Jakie musiały być przejścia bolesne między ojcem a synem, prośby, błagania, zaklęcia, obustronne odmowy? ale tego nikt nie słyszał i nie wie. Dość, że Zygmunt pojechał.

II.

W Petersburgu.

10-go września ruszył z ojcem swym w długą i bardzo wówczas męczącą podróż. Zatrzymali się na tydzień po drodze w Knyszynie, skąd Zygmunt do pani Załuskiej i do Reeva listy wysłał. Przed Reevem wyrzekał na nową swą miłość beznadziejną i przyznawał, że Reeve jest moralnie doskonalszym od niego. Do pani Załuskiej zaś wyprawił olbrzymi list na dziewięciu stronach dużego formatu (25·4×20·4 cm.) wypełnionych drobnem, szczelnem pismem, rodzaj dziennika, od 18 września do 25-go t. m. Stan zdrowia był widocznie lepszym, skoro mógł nie tylko tak dużo pisać, ale wziąć nawet udział w nocnem polowaniu na kaczki w łódce na Narwi i w jej błotach. Napróżno ojciec starał się go rozerwać, napróżno sam zmuszał się do czytania: ciągle miał przed oczyma piękną panią Amelię. Oto urywek tego dzienniczka z d. 23 września, ważny, bo dowodzący, czem się wtedy umysł jego zaprzątał:

»Chciałem się przymusić do myślenia o czemś innym, o historyi, o filozofii, o polityce. Ale stary

Rzym i nowa Francya, Platon i Cousin, Don Pedro i bill reformy były tylko drogami, które w najdziwniejszych zakrętach wiodły mnie zawsze ku Pani...

Ah! gdybym miał opium!« (z *francuskiego*).

6-go października wyprawił jeszcze list do niej z drogi, zatrzymawszy się na krótko u pp. Kossakowskich. Potem już przez kilka tygodni pióra się tknąć nie mógł z powodu wzrastającego bólu oczów. Po dziesięciu dniach i dziesięciu nocach nieprzerwanej podróży stanęli wreszcie w Petersburgu, skąd bardzo smutny list wyprawił Z. Krasiński do pani Załuskiej:

»Czy wiesz Pani, co mówią tutejsi lekarze? Oto mówią, że oślepnę — ja, tak młody, mogący zdziałać coś jeszcze na tym świecie... Kocham jak siostrę, jedyną na świecie kobietę, która mi powiedziała: »Kocham Cię« [*H. Willan*]; a ubóstwiam całą miłością kobietę, która mi rzekła: »będę Twą siostrą«. Żadne z mych pragnień nigdy się nie spełniło. Mam coś w głębi mej duszy, a skazany jestem na to, że-bym był niczem«.

Gdy to pisał, nie mógł się przecie ludzi co do uczuć pani Załuskiej. Miał już od niej w Petersburgu list z zapewnieniami uczuć siostrzanych, a w nim taki piękny ustęp, którym dzielił się z Reevem: »Mam dla Ciebie uczucie czystsze, lotniejsze nad miłość — niema nic osobistego w mem przywiązaniu. Będę błogosławić tych, którzy Cię uszczęśliwią, będę kochać tych, których pokochasz, a kiedy świat cały Cię opuści, znajdziesz mnie taką, jaką dziś je-

stem. Przywiązanie moje do Ciebie jest tak czyste, że Aniołowie mogliby je przyjąć«.

Jakże wymowne i piękne słowa!

Jak dobrze charakteryzują one stosunek »cioci« do siostrzeńca, wyższość kobiety starszej, rozumnej i bystro przenikającej gorączkowej, chorobliwy stan Zygmunta Krasińskiego, dla którego miała anielską wyrozumiałość i teraz i zawsze potem.

Pobyt w Petersburgu, od połowy października 1832 r. do początku marca 1833 r., wpłynął szkodliwie na stan moralny i fizyczny Z. Krasińskiego. Na domiar złego był on zupełnie samotny. Dni całe sam na sam przepędzał w pokoju, jakby w więzieniu, co prawda zbyt kownem i bardzo estetycznie urządzone. Pokój miał z obiciem zielonem i srebrnem, z czterema kolumnami greckimi po środku; łóżko kryło się za niemi. Fortepian — kanapa — kominek — dwa okna wychodzące na podwórze, za cały widok niebo zasute chmurami śnieżnymi. »Wstaję — chodzę — piszę trochę — kładę się — znowu chodzę — to samo zawsze i ciągle. Nauczyłem się myśleć. Zdziczeję, lecz stanę się wielkim myślicielem...« (*Do Reeva*).

A równocześnie pani Załuskiej żalił się także na samotność i zapewniał, że tylko myśl o niej i miłość dla niej ratuje go od tego, »by się nie stał krety-nem«. To, co go z zewnątrz dochodziło, nie mogło przecie krzepić duchowo: »Oczy coraz gorzej — już życie takie samo w sobie jest trucizną — dodaj Pani do tego kilka innych rodzajów trucizn — a mógłbym zacytować wiersze Byrona:

*Like to the Pontic monarch of old days
He fed on poisons —*

(Podobien monarsze Pontyjskiemu z dawnych dni, żywił się truciznami —)

Miłość dla pani Załuskiej była mu, jak sam pisze, »aniołem stróżem« w tych ciężkich pierwszych tygodniach petersburskich. Ale już się tej miłości miało pod koniec. Złowróżbny sen z nocy 12-go listopada opowiedział Zygmunt w osobnym liście do Pani Załuskiej. Sen-to charakterystyczny, bo tło jego odnajdujemy w późniejszych fantastycznych utworach. Wogóle sny odgrywają pewną znamionną rolę w życiu Krasińskiego, podobnie jak u Mickiewicza. Niejeden sen uważał Krasiński za przestrożę, lub zapowiedź niedalekich zdarzeń. Takim miał się okazać sen z 12-go listopada. Śniło mu się, że był w jakimś ogromnym kościele, podobnym, częścią do kościoła św. Krzyża w Warszawie, częścią do kościoła Kartuzów pod Pawią. Przechodzi kobieta z czarnym woalem, ubrana czarno, oczywiście pani Załuska, i mówi mu, że go czeka w sali zmarłych. On chce iść za nią, ale w tejże chwili wychodzi ksiądz ze mszą. Przyzwoitość każe poczekać trochę i wysłuchać choć części mszy. W chwili, gdy ma zamiar odejść od ołtarza i szukać owej sali zmarłych, wychodzi drugi ksiądz ze mszą — i tak powtarza się to 40 razy, bo tyle jest ołtarzy w kościele owym. W końcu udaje mu się wyjść; rozpoczyna się męczące, jak zmora senna i mozolne poszukiwanie owej sali zmarłych przy pomocy jakiegoś dziwnego dziada kościelnego (*il sort d'une guerite... visage buffo italien*).

Znajduje wreszcie panią Załuską, klęczącą za grobowcem, a w chwili, kiedy ma się schylić nad jej głową, otwierają się drzwi z trzaskiem, generał wchodzi, ubrany czarno, z czołem bladym i surowym, zdąża ku synowi z gniewem na licach. »Wtedy się obudził«.

Podobnie, jak we śnie, odbyło się zapewne w krótko i na jawie. Generał przekonał syna o niemożliwości innych uczuć, niż braterskie, dla pani Załuskiej — a syn poddał się w pokorze woli ojcowskiej. Dnia 1 grudnia 1832 r. napisał uroczysty pożegnalny list do pani Załuskiej, w którym odwoływał się do świata za grobem i spodziewał się, że tam znikną przeszkody, tu ich dzielące. A teraz »zrzekał się tego, co pragnął najgoręcej (*le plus phrénétiquement dans ce monde*). Tak skończył się rychło epizod opinogórski, powrotna, ostatnia fala studenckiej miłości.

A tymczasem dni szare, ołowiane, zimowe, petersburskie wlokły się zwolna biednemu samotnikowi. »Daj mi nicość — wołał do Reeva — a złożę na niej znużoną głowę — ale nicość jest ułudą. Kilka dni temu w nocy przyszedł mi pomysł poematu — idea wielka — wyskoczyłem z łóżka i zawołałem: *Anch'io sono pittore...* Tak! poczyja jest żywiołem moim. Oczy mnie pieką. Czaszka pęka, cierpię!« Rosła w nim obawa oślepienia. »Wątpię, abym miał siłę żyć ślepym. Boże! oddał ten kielich odemnie! Ale czy mam prawo modlić się do Boga?«

Reeve, który był wówczas pod pierwszym urokiem nowego przyjaciela, Handleya, donosił o zapatrywaniach jego i zasadach. Były one wcale różne od

przekonań społecznych Krasińskiego. Listy Reeva z tych czasów nie dochowały się. Ale z odpowiedzi Krasińskiego widać, że nie był on zadowolony z wpływu Handleya i starał mu się przeciwdziałać: »Powiedz odemnie temu nadzwyczajnemu człowiekowi, co następuje: »Urodziliśmy się i żyjemy w nocy, po zachodzie słońca, a przed jutrenką. Być może, że noc będzie oświetloną kilku meteorami krwawymi i przelotnymi — ale na długo przed wschodem nowego słońca, wszyscy ustąpimy ze sceny. Otóż, wywołaj cień Huna Atylli, który niewątpliwie był człowiekiem ruchu i przygotował cywilizację europejską — i spytaj się go, czy przewidywał przyjście generała Waszyngtona. Weź dwóch ludzi związanych z sobą ściślej niż Hun i generał, weź Lutra i Dantona: pierwszy nigdy nie domyślał się drugiego.

»Bóg tylko jeden może żyć we wszystkich wiekach; człowiek może żyć tylko w jednym. Myślę przeto, że ci, co chcą się wznieść ponad nieokreślony instynkt jakiejś przyszłości, wszystkim nam wspólny, i mają pretensję wytłómaczyć, opisać, urządzić (*coordonner*) tę przyszłość, są tylko szalbierzami lub głupcami; *risum non teneatis amici* — bo, powtarzam, urodziliśmy się w zmierzchu wieczoru, teraz ciemności nocy gęstnieją w okół nas — a kiedy kości nasze spróchnieją, wtedy nadejdzie jutrenka«.

Jest w tym ustępie wyborna próbka nastroju myśli Krasińskiego w Petersburgu; odbywały się w nim wtedy jakby ciągłe, nieustanne ćwiczenia władz ducha, wielkie manewry przed stanowczą bitwą, którą niebawem stoczy. Na pozór ustęp powyższy tylko

do *Nieboskiej* odnieśćby należało, ale to, co zaraz po nim następuje, dowodzi, że i *Irydion* korzysta z dokonywającej się ewolucyi ducha: »Henryku! Każdy człowiek w chwili słabości znajdzie swego Mefistofelesa, jak Faust; zaczyna się to entuzjazmem, a kończy obrzydzeniem i rozpaczą. Niema się czego obawiać ze strony serca, które kochamy. Ale przewaga głowy silnej — to inna rzecz. Jakiś czas walczy się, potem staje się niewolnikiem. Nie wiem, jaka myśl tajemna objawiła mi, że ten człowiek (Handley) jest niebezpiecznym dla ciebie. Nie daj się podbić! Lepiej być mgławicą, niż ogonem komety...

»Zaklinam Cię, nie daj się pociągnąć człowiekowi, którego nazywasz Przyszłością...

»Pojmuję na wpół tylko twój cel. Chcesz być wielkim przez przeszłość, jak on jest nim przez przyszłość, a potem mu powiesz, jemu, który przedstawia coś innego, niż siebie tylko: »Zejdź na arenę«. Jest to szlachetne i piękne. Kiedy myślę o arystokracjach dni naszych, przypominają mi się zawsze bohatyrowie Homera lub Niebelungów, którzy są przeznaczeni na śmierć, a mimo to walczą. Patrz, poetyzuję sprawę; widzę, jaką-by być powinna, nie jaką jest«.

Istotnie tak było. Ale, co jest najważniejsza, to, że z odległości i na niewidziane, Handley, człowiek »ruchu« i przyszłości rósł na Pankracego, a Henryk Reeve na Hrabiego Henryka.

Czasem wracał jeszcze dawniejszy genewski nastrój i Krasiński posyłał (27 listopada 1832) przyja-

cielowi ustępy elegijne prozą francuską na podobny niż dawniej temat osobistych smutków i zgrzyzot.

Zapewne pod wpływem listów Reeva z Niemiec bierze się Krasinski do studyowania niemieckiej filozofii; wynikiem tego jest przekonanie się, że filozofia francuska nie jest oryginalną: »Cousin, par Francyi, i Ballanche, są to dwaj złodzieje; okradają Schellinga i innych Germanów« (30 listop. 1832). Na Boże Narodzenie 1832 r. pisze Krasinski list do przyjaciela, w którym rozwija mu niejako program działania politycznego. Jest to jakby pierwszy profil hr. Henryka z *Nieboskiej*: »Jeżeli chcesz zaatakować lud, to musisz rozwinąć energię bez granic, a szczególnie energię formy, musisz wznieść głos przeciwko nieubłaganemu rykowi, nieharmonijnemu, lecz toczącemu się z łoskotem grzmotu. Jako przedstawiciel przeszłości, jako poematu skończonego, masz być harmonijnym, ale harmonia twoja będzie musiała być także grzmotem. Czy sądzisz, że dźwięki liry Orfeowej byłyby dokonały czegokolwiek, gdyby się nie były wzniosły w doskonałej melodyi, o ton jeden wyżej, niż ryki dzikich stworzeń i lwów. Bądź zatem silny, wzywaj Boga, by Cię obłogostawił energią, bo dziś jest chwila po temu, albo nigdy. Smutny i zbłąkany pielgrzym, zawiedziony w swych uczuciach miłości, mógł nie mieć energii i z melancholijnym uśmiechem otrząsać zwiędłe kwiaty, które opadały z wiosennej girlandy; ale człowiek, który zwraca się do swego wieku, który wyciąga ramiona, by go odepchnąć, musi się stać olbrzymem jeżeli walka ma być

nierówna, olbrzymem, aby wiek znalazł w nim naukę, a on sam chwałę«.

List po liście stara się lepiej wyjaśnić i uzasadnić stanowisko swoje Krasinski jako człowiek przeszłości wobec przyszłości. On tę przyszłość doskonale rozumie; jej tryumfalny pochód w rozmyślaniach swych nieraz widział. »Wiem, że my wszyscy jak kurz przejdziemy, nic nie uwielbiwszy, nic prawdziwego nie pokochawszy, a znieprawdziwszy wiele. A jeśli kochamy cokolwiek, to istotnie świat snów i nicości: przeszłość. Kiedy rozważam rzecz jako filozof, widzę w tem tylko porządek cudowny i wieczny — ale kiedy rozważam rzecz jako człowiek, mający serce ludzkie i uczucia ludzkie, związki na tej ziemi, długi szereg przodków w hełmach i pancerzach, śpiących w trumnach, przeszłość wielką i pełną czynów, nazwiska braci mych — to widzę w tem wszystkim jeno nieład i wówczas mówię sobie: w imię Jezusa będziemy cierpieć, a kiedy nas do walki zmuszą, będziemy walczyć. W chwili walki przyjdzie nam na pomoc siła tego barbarzyńcy, czy rycerza, co był naszym pierwszym ojcem. A kiedy wyginiemy, niech urządzią ziemię, jak im się podoba; wolna wola! — a tu myślę, że nadejdzie dzień, kiedy miłość znowu weźmie górę. Bóg bowiem jest sprawiedliwością i pięknnością — wszechświat jest harmonijny, a ja jestem nieśmiertelny. Kiedy mi mówisz o wieków wiekach upadam na kolana, uwielbiam, podziwiam, kocham. Kiedy mówisz mi o teraźniejszości, wstaję i patrz! na wargach mych uśmiech sceptycyzmu!«

Gorycz głęboka zalewała mu wtedy serce. Uczucia

w Petersburgu były inne, niż w Genewie w r. 1831. »Już to nie są owe zakłęcia i odruchy wściekłości, które przetrwały me zdrowie i wydały jako nierozumną poezją: „*Adama*“; jest to raczej męski smutek, bez uroku, bez szału, dosyć spokojny, a silniejszy, trwalszy, niż wszystkie radości, jakie pomnę. Czytałem tej zimy Ballanche'a, Damirona, Quineta, a potem Biblią i pomyślałem, że filozofia warta tyle, co miłość; można być Werterem w obu rodzajach. Potem napisałem coś, co podobne do czegoś, co tkwi we mnie. t. j. do rozkładu i do kilku myśli dość głębokich. Tytuł jest dosyć dziwny: *Irydion Amfilochides*; jest to Grek w Rzymie — *et dulces moriens reminiscitur Argos*... To moja pierwsza próba dramatyczna; całość jest na pół dramatem, a na pół opisaniem i opowiadaniem«.

Wiadomość ta znajduje się w liście z Petersburga z dnia 20 stycznia 1833 r. Jest ona niezbitym dowodem, że *Irydion* doczekał się rychlej od *Nieboskiej* ujęcia w kształty widome, skoro sam Krasiński pisze: »to moja pierwsza próba dramatyczna«. Ale poród był poniekąd przedwczesnym; płód zdolny był do życia, wymagał jednak mnóstwa starań i ochrony przed ostrym klimatem północy. Trzy lata upłynęły, zanim *Irydion* ukaże się w druku.

Reeve po pierwszych zachwytach dla Niemiec rozczarował się rychło do ludzi, dla których »piwo jest najsilniejszym węzłem społecznym« i już w styczniu 1833 r. przemyślał o powrocie do Anglii. Jakaś apatya i niechęć nim owładnęła. Krasiński starał mu się dodać ducha:

»Trzeba być zrezygnowanym na życie i cierpienie, nawet bez balsamu illuzyj na rany nasze. Niegdyś pragnęliśmy stać się istotami poetycznymi — dziś trzeba nam być istotami moralnymi, żyć na łonie rzeczywistości, t. j. być każdej chwili gotowym do walki, która przypieka nas na wolnym ogniu, walki między myślami naszymi a czynami... Jest i w tem ogromna poezya...« W tej abnegacyi, w tej dumie, pełnej miłości, która niema nic w sobie gorzkiej pogardy, okazywanej ludzkości przez niektórych geniuszów, widzę ogrom poezyi i ku niej wyciągnę moje ramiona, bo co do mnie, będę poetą przez całe życie: czy jako rolnik, czy mnich, żołnierz, bogaty czy ubogi, czy jako rzemieślnik, będę zawsze poetą, nie dbam o to, czy mnie będą podziwiał lub rozumieć... W tych kilku słowach zamknąłem obszerną teorię, rozmyślaj nad nią chwil kilka, Henryku«.

Dowiadujemy się dalej, że utwór p. t. *Widzenie* (*Vision*) rozpoczęty w Genewie, a znany nam z fragmentu wywoływania duchów, doczekał się w Petersburgu wykończenia.

Poświęcał *Wizyę*, która pełna była wspomnień genewskiej miłości, Henryecie Willan, a dedykacya łacińska, niezwykle poetyczna, brzmiała:

DILECTAE DICATUM
ET NUNC ET SEMPER

Praca wewnętrzna ducha trwała tymczasem bez przerwy. Jest jej dowodem choćby tylko owo silne poczucie i świadomość, że jest i będzie poetą, na przekór wszelkim biedom życia. Pół roku zaledwie

upłynęło od rozstania się z Reevem, a Krasińskiemu się zdaje, że to już sporo lat minęło (*bien des années*), bo od tego czasu »praca lat kilku dokonała się« w nim. Marzenia miłosne, zgryzoty, rozmyślania filozoficzne pod wpływem cierpień fizycznych, wszystko to kolejno stłoczyło się w nim, fermentowało i zapowiadało nowy pogląd na świat i ludzi.

Wyrazem tego poglądu, surowego dla siebie i drugich, będzie między innymi także długi i ciekawy list, pisany 30 stycznia 1833 r. z Petersburga do generała Franciszka Morawskiego, uczestnika literackich czwartkowych obiadów w pałacu jego ojca. List to ważny, bo zawiera jakby esencję poglądów literackich Zygmunta Krasińskiego na ówczesne francuskie piśmiennictwo. Podając na końcu tomu całkowity tekst tego listu, tutaj przytoczę tylko kilka ważniejszych ustępów. Obok karykaturalnych nieco sylwetek ludzi tej miary, co Chateaubriand, V. Hugo lub Balzac, mamy takie bystre określenie przyczyn rzekomego upadku literatury francuskiej i niespodziewany zwrot ku »końcowi cywilizacji starożytnej«, dowodzący, że *Irydion* już w wyobraźni jego żyje:

»Od kiedy średni stan wziął przewagę i nazwał się XIX-tym wiekiem, można było przewidywać, że literatura stanie się spekulacją, że tomy na funt sprzedawać się będą. Trzeba poecie, by wierzył w siebie i w poezję jako w cel, nie jako w środek; inaczej stanie się bankierem i kupcem, kupcowi zaś wszystko jedno, czy bohatera posłać na skałę, by tam umarł wśród mąk, czy napisać i rozsiewać fał-

szywe zasady. Upatruję wielkie podobieństwo między polityką angielską a dzisiejszą literaturą francuską. Do tego jeszcze dodać można różne insze wpływy. Publiczność łaknie takowych obrazów, bo jej ojcowie i ona sama już objadła się i opila wszystkimi trunkami, mianowicie krwią. Takowi ludzie nie mogą czytać *Idyll Gesnera*; nerwy ich rozdrażnione do najwyższego stopnia; trza wraz nowszych poruszeń. Rzymianom pod koniec cywilizacji starożytnej trzeba było igrzysk i biesiad, to był ich szal zmysłowy, ostatnia konwulsja zmysłowego świata. Teraz to jest nasz szal moralny, może ostatnia konwulsja naszego świata«.

A więc znowu, jak w *Adamie Szaleńcu*, równoczesne zgłębianie dwu epok analogicznych, »końca cywilizacji starożytnej« (*Irydion*) i »ostatniej konwulsji naszego świata« (*Nieboska*).

Ważnem nadto i pięknem jest w tymże liście do »klasyka«, generała Morawskiego, określenie charakteru i znaczenia Mickiewicza: »Poznałem także za granicą Mickiewicza. W nim jest prawdziwa poezya, bo szuka prawdy i jedynie prawdy, umrze z głodu, a nie będzie zmyślał fałszywych uczuć; od niej dostało mu się natchnienie, jakie znamionuje wieszczą, połączone z wielką potęgą myślenia i rozumowania. Do tego jest wielka harmonia między jego wyobraźnią a jego sercem; tamci wszyscy francuscy mają wyobraźnię, ale serca nie mają, wyobraźnia zaś bez serca prowadzi nieraz kobiety do zbrodni, a mężczyzn zawsze do głupstwa.

Byłem z Mickiewiczem w Rzymie; tam trza żyć w przeszłości, i owóz żyliśmy w niej. Nie przeto jednak rozumiem, iżby Mickiewicz nie znał swojego wieku i nie pojmował go. Ostatnich jego poematów jeszcze tu niema; jeśli nadejdą przed moim odjazdem, niezawodnie je prześlę Panu Jenerałowi».

Jak tu Mickiewicza przeciwstawiał tłumowi pisarzy »bez serca«, tak wogóle »człowieka« stawiał wówczas wyżej nad »ludzkość«, nad »tłum«, który, zdaniem jego, ma tylko pożądanja, ale rozumu prawie że nigdy nie używa«. Pogląd ten pesymistyczny, zupełnie zgodny z przekonaniem hr. Henryka z Nieboskiej, starał się Krasiński rozwinąć i uzasadnić w liście do Reeva:

»Człowiek jest wszystkim, przezeń wszystko dziać się, ludzie są niczem. Ale człowiek obowiązany jest poświęcić się dla ludzi, a nigdy ich nie poświęcać dla siebie. [*W tych słowach mamy już pojęcie egoizmu hr. Henryka*]. Choć sam wie, że szczęście jest niemożliwe na tej ziemi, powinien w to wierzyć dla dobra drugich i kroczyć ze wszystkich sił swych ku temu złudnemu celowi (*vers ce but chimérique*). Jest to wielka i święta mistyfikacja; źródłem jej nasz stan (niepełny) ułomkowy. Przekonany jestem, że wszyscy jesteśmy istotami ułomkowymi (*incomplets*). Tem jest właśnie grzech pierworodny«.

Myśl jego niespokojna i wiecznie czynna starała się także przeniknąć tajnie organizacyi świata. Zdało mu się, że odkrył prawa niezmiennie, mechanizm kompletny, koła i sznury, słowem całość mate-

matyczną. »Odkryłem dalej, że przy każdym kole, sznurze, liczbie już zorganizowanej i pchniętej w ruch i spełniającej swe przeznaczenie było coś więcej jeszcze: czynność bezpośrednia, myśl całkiem uduchowiona, może duch, może anioł, to, co nazwałem życiem, chociaż jest już życie organiczne w każdym kole, w każdym sznurze, ale to drugie życie, o którym mówię, jest całkiem mistyczne: każde zdarzenie, każdy fenomen może być objaśniony wyłącznie przez jedną z tych metod, co mi dowodzi, że obie one są współczynnne (*coagissantes*) i prawdziwe. Myślę, że w każdej chwili jest w wszechświecie przemiana, przelew (*une transfusion*) tego podwójnego życia, jednego w drugie. Oto dla czego równie silnie wierzę w geniusz Cezara, mówiący do Brutusa: »Zobaczysz mnie pod Philippi«, jak w prawa Kepplera i Newtona«.

Widzimy zatem, jak choroba oczu wpływała poniekąd dodatnio na rozwój duchowy Krasińskiego. »Ta choroba nauczy mnie myśleć« — przepowiadał sam sobie. Istotnie pogłębienie myśli filozoficznej od wyjazdu z Genewy jest już w Petersburgu bardzo znamienne. Bezwątpienia dzieła filozoficznej treści (Ballanche, Schelling, historia filozofii Damirona) wpływały pobudzająco na niego i dawały watek rozmyślaniom, ale największymi jego mistrzami były: samotność i cierpienie. Samotność fizyczna i duchowa: bo dnie całe spędzał sam w swym pokoju, a ci nieliczni, którzy go odwiedzali czasem, byli mu duchowo obcy lub obojętni; cierpienie, także fizyczne i duchowe, bo do cierpień wzroku dołączały się bez

ustanku cierpienia patrioty, Polaka, w stolicy cara, gnębiela ojczyzny. Jak przed laty Mickiewicz w Moskwie i Petersburgu nie przestawał marzyć o doli narodu, szukał sposobu na wydobyć go z więzów despoty i tworzył *Wallenroda*, tak teraz Krasiński miał czas wśród tych rekolekcyj petersburskich zastanowić się nad stosunkiem Polski do Rosyi, a wzmianka o rozpoczętym *Irydionie* dowodzi, że znalazł już sposób na ukrycie myśli politycznej. Polaka przebrał za Greka z czasów cesarstwa rzymskiego i Greka tego obdarzył zrazu uczuciami zupełnie pogańskiej zemsty.

Tak naturalne uczucie wstrętu i nienawiści ku ciemierzcom cofało się jednak w długich, samotnych miesięcznych rozmyślaniach przed szlachetniejszymi prądami chrześcijańskimi. Idea zemsty dla zemsty wydawać się poczęła jałową. Powoli brała górę w sercu i rozumie młodzieńca-poety idea wyższa, szlachetniejsza, idea chrześcijańskiego znośnienia cierpień, owiana pociechą, z samej głębi wiary czerpaną, że »zmartwychwstanie się z pracy wieków«. Ideę taką znalazł ojciec »piękną«: rozgrzeszała go ona poniekąd *ex post* z bezczynności w roku 1831. Syn opowiadał mu obszernie plan i pomysł *Irydiona*. A tak, gdy ze strony najbliższej znalazł Krasiński zachętę do napisania utworu, młodzieńcza fantazyza poczęła go stroić w szaty klasyczne, dawała mu podstawę z marmurów rzymskich i rozciągała nad nim nieskalany błękit rzymskiego nieba. Samem prawem psychologicznem kontrastu pojęć i uczuć, marzył cierpiący Krasiński w lodowatym Petersburgu

o Rzymie, grzejącym się w słońcu, zanurzonym w blaskach słonecznych. Myśl patriotyczna, skrepowana nad Newą, biegła nad Tyber, na południu nabrać »szerzy i mocy«.

Kończył się wreszcie ten przymusowy pobyt w Petersburgu, ta ofiara, złożona Molochowi Północy ze zdrowia i zgryzot moralnych. Stanisław Małachowski, późniejszy przyjaciel i powiernik Zygmunta Krasińskiego, tak mówi w *Krótkim rysie* z życia i pism Zyg. Krasińskiego:

»Tę podróż i ten siedmiomiesięczny (*mylnie, zamiast pięciomiesięczny*) pobyt w tej stolicy państwa, w tym zimnym, północnym klimacie liczył Zygmunt do najsmutniejszych dni żywota swego. Osłępy prawie zupełnie, pędził on smutne godziny w ciemnym pokoju i samotności. Skoro tylko uczuł się nieco silniejszym na zdrowiu i wzroku, ojciec zawiózł go do cesarza Mikołaja. Cesarz przyjął go z niezwyklej uprzejmością, oświadczając mu całą życzliwość swoją i obiecując mu wszelkie ułatwienie w otrzymaniu posady u dworu, w dyplomatycznym lub jakimby chciał zawodzie. Trudne i bolesne było położenie Zygmunta w tej chwili, którego umysł i serce w innym znajdowały się kierunku, który inne powołanie w sobie czuł, inną przyszłość przewidywał, i — nie łatwe wyjście z niego. Jedyne smutny stan zdrowia i wzroku, coraz się pogarszającego, ułatwił je i wybawił z niebezpieczeństwa. Cesarz, uznawszy tego istotną potrzebę, zezwolił na wyjazd jego za granicę, do łagodniejszego klimatu i poratowania tak wątłego zdrowia.

Wrażenie, jakie wywarł na umyśle jego pobyt w Petersburgu, odbiło się na kartach poematu, który w Wiedniu napisał p. t. *Pokusa*. Poemat ten ogłosił drukiem później w Paryżu 1841 r., napisany zaś jako przestroga dla młodego przyjaciela Polaka, Adama Potockiego, mającego jechać do Petersburga.

Około 5-go marca 1833 r. opuścił Krasieński Petersburg, udając się na Warszawę do Wiednia. — Póki był w obrębie policyi rosyjskiej nie śmiał pisać do Reeva o wrażeniach petersburskich. Dzielł się nim tylko wrażeniami z zakresu sztuki i poezyi. Zresztą nie mógł byle komu powierzać sekretów, a od dłuższego czasu już sam pisać listów nie mógł, ale je dyktował.

Widocznie pod wrażeniem II części *Fausta* zestawiał Byrona z Goethem, przyznając autorowi *Fausta* pierwszeństwo.

»Koniec Fausta jest mi dowodem, że Goethe był istotnie wielkim poetą, większym niż sam Byron; bo rozważ Manfreda, Kaina, Marino Falieri etc. etc., a zobaczysz, że wszędzie upadek (*perdition*) wieńczy dzieło. Pod tym względem Byron jest w poezyi tylko przybliżeniem wszechświata. Nie objął wszystkiego, a Goethe objął wszechświat, rozumiał walkę dobrego ze złem i kazał Dobru tryumfować. A przecież co do formy Goethe jest więcej materyalistą od Byrona. Był dzień, w którym Goethe wziął Diderota za wzór — dziwne to, że człowiek ten w końcu zwyciężył świat i pychę szatana.

»Jest to także wielkim pomysłem, że Faust kończy ślepotą. Tak być musiało. On wszystko wyczerpnął

na ziemi, wszystko w piekle. Teorya i praktyka — wszystko skończyło się dla niego i za prawdę, musiał oślepnąć...»

Badanie poezyi prowadziło go do zastanowienia się głębszego nad istotą artyzmu i poety jako poety. On sam już się poczuł artystą, poznał rozkosze tworzenia, kiedy pisze: »Są rozkosze niewypowiedziane dla artysty, ale też jest on przeznaczony na większe cierpienia, niż ktokolwiek na świecie. Co prawda, egoizm jego jest wzniosły, ale zawsze to egoizm. A cóż on robi, gdy się znajdzie w położeniach, gdzie, aby być szczęśliwym, trzeba być sobą. Jego piekło tu się zaczyna. Nigdy nie będzie naprawdę wiedział, co to miłość kobiety. bo dla niego on sam jest wszystkim. On wszystko tworzy: świat, statuetkę, wiersz, kochankę. On kocha swe arcydzieła, ale nic innego nie kocha. I dlatego rzeczywistość jest dla niego trucizną. I dlatego nigdzie nie może znaleźć ani spełnienia swych życzeń, ani celu swym marzeniem. Wszystko, co nie jest nim, zniechęca go i do rozpacz przywodzi. Żyje pośrodku ludzi jak Kain z przekleństwem na czole. A mimo to on kocha szaleństwo, pragnie dobra. On zechce szczęścia dla świata, choć go ten świat na każdym kroku odepchnie. Ale, tylko skoro jest samotny, czuje się szczęśliwy. Jest silny, jak półbóg. — Oto dlaczego wielki artysta nie jest nigdy ani dobrym małżonkiem, ani dobrym ojcem. To straszne!... Oto, dlaczego Byron nienawidził świata — oto, dlaczego my brzydzimy się tem, w czem wielu ludzi znajduje upodobanie i mądrość. Drogo się płaci za to, że się zajrzało pod rąbek ta-

jemnicy Bogów. Jedna, jedyna kropla, co z niebios na czoło twe spada, czyni cię niezdolnym do życia na ziemi, a przecież nie stałeś się aniołem. Jesteś po dawnemu człowiekiem, ale już braci nie masz...»

Kraśiński wyznaje, że czuje wstręt ogromny do świata. »KaŹde zetknięcie się z istotą ludzką ziębi mnie i pozbawia mnie całkiem natchnienia. Jestem silnym tylko wtedy, kiedy sam jestem. Biada mi!«

Po Wielkiej nocy, spędzonej w Warszawie, wyjechał Kraśiński w połowie kwietnia 1833 r. z Warszawy do Wiednia, w towarzystwie Konstantego Danielewicza, którego charakteryzuje tak w liście do Reeva:

»Wielki muzyk, bladego lica, umiejący lepiej wyrazić poezję swą w akordach, niż we wierszach; zresztą głęboko myślący. Może dojść myślą do olbrzymiej abstrakcyi«. Danielewicz osiągnie z czasem wielki wpływ nad Kraśińskim i zajmie wśród przyjaciół jego miejsce pierwsze

Jechali na Kraków, który zachwycił Kraśińskiego kościołami swymi i pamiątkami przeszłości. Z Wiednia miał przesać »długi ustęp« (*un long morceau*) Reevowi z prośbą, aby po odcytaniu posłał go Henryce Willan. Być może, że była to owa Wizya, poświęcona „*dilectae*“. Nie mamy wiadomości, czy Reeve wywiązał się z polecenia. Coś między nimi zaszło w tym czasie. Reeve przewinił w czemś wobec Kraśińskiego. Następstwem tego była przerwa dłuższa w korespondencyi, trwająca siedm miesięcy (od 20 kwietnia 1833 do 20 listopada t. r.).

W Wiedniu rozpoczął znowu kuracyę na oczy,

»długą, nudną, nie wiele polepszenia przynoszącą«. Odezwał się znowu do Gaszyńskiego (7 lipca 1833) w tonie smutnym, który objaśnia dostatecznie dopisek Danielewicza: »Jesteśmy tu z Zygmuntem od kilkunastu tygodni i męczymy się brakiem życia, może równie, jak ty, nieszczęśliwem życiem«.

Zdrowie Kraśińskiego coraz się rozstrajało: »nerwy moje grają wciąż jak struny i przyjdzie do tego, że same fałszywe akorda wydawać będą... Piszę jeszcze czasem, ale nie z taką wiarą, jak dawniej; gdzież się podziały wszystkie wiary moje!«

III.

„AGAY-HAN“.

W czasie pobytu w Wiedniu postanowił Krasiński zająć się wydaniem Agaj-Hana. Rękopis, dawno już gotowy, teraz może przez Danielewicza przejrany, przesłał poeta do Wrocławia, gdzie też wyszedł z druku u B. Korna pod literami A. K. w październiku 1833 r., ale z datą 1834 r. Że jednak Agay-Han wydrukowany był i sprzedawany już w jesieni 1833 r. widać to wyraźnie z listów do Gaszyńskiego (d. 21 listopada 1833 r.). Czytamy tam: »Jeśli wpadnie ci w ręce *Agay-Han*, drukowane w Wrocławiu u Korna, niedawno, to myśl o mnie«. A d. 16 grudnia tłómaczył przyjacielowi intencje swe autorskie: »Agay-Han jest *meus*. Sądzą, że nie było jeszcze po polsku dzieła formy takowej. Poemat prozą; często liryczny; zresztą może być głupstwem, bo myślę, że wiek XIX jest wiekiem mierności pod wszystkimi względami...«

Z listu zaś do Reeva z d. 19 grudnia 1833 r. można dokładniej oznaczyć czas wyjścia z druku *Agay-Hana*: »Dwa miesiące temu ukazał się w Wrocławiu utwór poetyczny na mój sposób (210 stron)... Piszą mi, że robi wrażenie«. (*Corresp.* II, 55—56).

Oto tytuł pierwszego wydania:

AGAY - HAN

Powieść Historyczna
oryginalnie napisana

przez
A. K.

w Wrocławiu
u Wilhelma Bogumiła Korna
1834

(str. VI+212, in 8° min.)

Na str. 1 przed tekstem czytamy *motto*:

*I loved her as a child. I loved her as a youth, but
she never did love me.*

Melmoth-Mathurin.

(Kochałem ją dzieckiem, kochałem młodzieńcem,
ale ona nigdy mnie nie kochała).

To *motto* starczy za dedykacją: wyraźnie i wyłącznie odnosi się ono do pani Załuskiej. Przypuszczamy, że wyjątku tego z Melmoth-Mathurina nie było jeszcze w Genewie; umieścił go Zygm. Krasiński jako wspomnienie dni letnich w Opinogórze spędzonych w sierpniu 1832 r.

Agay-Han ma na tytule dodatek: *Powieść historyczna*. Punktem wyjścia był dla Krasińskiego epizod z r. 1611: niedola Maryny carowej, jej związanie się z Dymitrem Drugim Samozwańcem, a po śmierci tegoż z atamanem kozackim, Zaruckim, którego awanturnicza wyprawa na Astrachan, po chwilowem po-

wodzeniu zakończyła się zabiciem Zaruckiego i utopieniem Maryny.

Krasiński sam przed I rozdziałem *Agay-Hana* podał źródło historyczne, z którego czerpał. Były nim Niemcewicz: »Dzieje panowania Zygmunta III«. Jak już z listu do Reeva widać było, pociągnęła Krasińskiego ku tej epoce nie tyle jej tragiczność, istotnie olbrzymia ze względu na stosunek obu narodów, ile raczej obrazowość i różnaitość: a zatem przeważał punkt widzenia artystyczny nad dziejowym. Zarzutu nie można z tego robić autorowi. Poeta nie jest i nie chce być historykiem. Jego przedewszystkiem nęci malowniczość kontrastów; wyobraźni otwarte tu szerokie pole, fantazyja zapełnia je dowolni krajobrazami, strojami różnych narodów, grą barw, mieniących się jak w kalejdoskopie.

Wątek opowieści stosunkowo ubogi. Maryna, po zabiciu drugiego Dymitra, chroni się do zamku w Kałudze, gdzie ją lud oblega; wreszcie dostaje się do więzienia. Wyprowadza ją stąd giermek, pacholę z krwi królewskiej tatarskiej, *Agay-Han*, postać zmyślona, którą Krasiński wyposaża do zbytku wschodnim temperamentem, namiętnościami, dzikością, odwagą bez granic itd. *Agay-Han* kocha Marynę, która lekceważy pacholę, a pełna ambicji, po zabiciu Dymitra, nie chce wyrzec się panowania i oddaje się Zaruckiemu w nadziei, że ten ją na tron carów wprowadzi, jako matkę małego carewicza. *Agay-Han* nienawidzi Zaruckiego; przechodzi na stronę cara nowego i z tatarskimi pułkami ściga Zaruckiego i Marynę aż na dzikich stepach nadwołżańskich i dalej

za Jaikiem. Dopędza ich, bierze w niewolę, zabija Zaruckiego, a gdy Maryna darzy go wciąż tylko pogardą, gdy niema nadziei, aby mu się dobrowolnie oddała, topi ją pod lodami rzeki Jaiku i sam już prawie nieprzytomny na krach lodowych pędzi ku morzu Kaspjskiemu, by tam zginąć.

Powieść jest przeładowana opisami, a wskutek tego, że brak jej jakiegokolwiek urozmaïcenia, że ciągle roztacza przed czytelnikiem pobożowiska, pożogi, krew, trupy, dzikość ludzi, że osoby główne: Maryna, Zarucki i *Agay-Han* nie mogą najmniejszej obudzić sympatii w czytelniku, interes w czytaniu słabnie, ciągle się załamuje i nie więzi uwagi, nie tamuje nigdzie oddechu.

Nam dzisiaj, popsutym powieściami historycznymi Sienkiewicza, wydaje się *Agay-Han* dziwaczny i niesmaczny. Nie należy jednak zapominać, że przeszło pół wieku dzieli *Agay-Hana* od *Ogniem i Mieczem*, że Krasiński miał lat 20, kiedy tę powieść »historyczną« pisał, że tworzył ją w warunkach niekorzystnych, na obcej ziemi, bez materiałów archeologiczno-etnograficznych. Skutkiem tego było, że kolorytu epoki w *Agay-Hanie* niema, że krajobrazy są fantastyczne, a Astrachan, słynny z kawioru, karuku i kawonów, wygląda jak czarowny jakiś gród z bajki indyjskiej. Jakoż przepych farb, koloryt wschodni, zgiełk barw i ludzi jest tu istotnie azjatycki raczej, niż europejski. Są tu opisy, przypominające Matejkowski wir kolorów. Gdziekolwiek zaś mamy prawdziwą orgię wrażeń świetlnych. Oto np. opis namiotu *Agay-Hana*:

»Pod jej stopami kobierce naśladują zieloność murawy, dyamenty rosy przejrzystość i krople; u ścian piętrzą się obicia przetykane wieńcami róż, fiołek (sic), jasmínów i gałęzi, na których malowane ptaki przesłiczne rozciągają pióra, a z góry pada światło dzienne, ale nim dojdzie oczu, przekrada się pośród muslinów i jedwabów, długo błędzić musi po haftach ze złota i srebra, ślizgać na perłach, *wyssac błękit* z ametystów i rubinów purpurę, a wtedy *całe pijane od farb i połysków* na dół się stoczy i *pląsa w drżące łuki*, którym końca nie masz; one biegną dołem i wspinają się nazad, wypuszczając z siebie okręgi, iskry, rozkwitanie i życia pozór owym udanym haftem nadając, a promienistemi sieci (!) cały namiót *kratkują od góry do dołu*, zalewają potokiem jasności która płynie *szkarłatem i błękitem, zieleni się* jak szmaragd, to *złoci* jak pomarańcza i do oka wpływa mile, bez rażenia, bez olśnienia, gdyby *tysiąc motyli igrających razem* po trawniku, kiedy słońce już nie parzy, a zachodzi w *złocie*, księżyc zaś naprzeciwnie się podnosi lamowany *srebrem*, a między nimi dwoma ujęte chmury hożym wieńcem oplatają niebo...«

Od łagodnej bieli pereł do rażących, jaskrawych barw szkarłatu i złota, jakież tu natłok męczący kolorów!

Co się tyczy osób występujących na tem jaskrawem tle, to nie mamy tu jeszcze starannego cieniowania rysów, raczej grubo narzucane farby, plamy, działające na odległość, rażące z bliska. Niedostatek ten pochodzi z braku dostatecznego materiału słowa polskiego. Wiemy, że Krasiński wówczas brak ten

odczuwał, że domagał się, by mu nadesłano klasyków polskich z Warszawy. Zwłaszcza cztery pierwsze rozdziały Agay-Hana noszą na sobie liczne ślady niewyrobienia słownego. Konstrukcye są nie-polskie, porównania często sprzeczne z duchem języka polskiego, okresy wadliwe: »Stoły jedne za drugimi jak potężny wał się ciągną, na owej zmiecionej dolinie. — Drugie, rozrzucone jak wyspy roz-pusty (!) pomiędzy sosnami, które *idąc od wzgórzów niegęstemi szeregami, stąpają otrzasaając* (!) śnieg z ramion *aż do tego rzędu stołów*« itd.

Co do form gramatycznych, Krasiński stara się archaizować styl końcówką -y w instr. plur. »zmarzłemi bryły, zbrojnemi stopy, twojemi gwary.

Agay-Han jest bezwątpienia ulubieńcem Krasińskiego. Jakżeż mdło rysuje się ta postać z samego początku utworu, jak nienaturalnie: »w młodzianie owym było coś dziecinnego i straszego zarazem«, »oczy jego były żywą tęczą (!) uczuć, zmienną jak opalowe (!) połyski« (wystawmy sobie oczy o połyskach — opalowych!), »głos jego przybierał rozmaite tony, przebiegał od słodkiej nuty dziecinnego śpiewu aż do grzmiących *dźwięków* (!) surowego męża,... a przy końcu tak był okropny, pełny zawziętości i urągania, że coś w nim podobnego do *skowyczeń* psa wśród nocy zimowej«.

Ani trochę nie dziwimy się Marynie, że w takim Agay-Hanie nie mogła się zakochać. Nic tu nie pomogą pochwały i uniesienia autora: »A on zapalony, niewstrzymany, z czołem, na którym błyszczy tysiąc wspomnień i nadziei, nie już błaga Tatar... ale mło-

dzian z krain południowych Azyi, marzeń ognistych rozhużdany goniec« itd. itd.

Przytem ma on sposób wyrażania się, może wschodnio-tatarski, ale stanowczo niemiły: »Zarazę nam przyniosły nieczesane Dżarmida tysiące; pot morowy sączył się z ich bród i włosów, jak z pryszczów gądziny«.

albo: »Sułtanko moja! Tulipanie piękności, żaglu białe na lazurówem jeziorze mej duszy, o rajski ptaku mój« —

Wszystko to dowodzi, że Krasiński pisał z trudnością pod koniec 1831 r. On to sam czuje, sam się na to żali w Agay-Hanie: »Już mi nawet język rodzinny, język mój cudowny, w którym Allah upodobał sobie, omdlewa w pamięci...«

»Gruba niewiernych mowa osaczyła me uszy do koła sieciami...«

»Teraz kiedy zapominam mojej mowy, płaczę, płaczę... Czuję codzień więcej słów zagubionych na zawsze... Jedne po drugich mrą drogie pamiątki; Jakaś tam przepaść jest, co czyha pod moim mózgiem; w nią wyraz po wyrazie zlatuje... To męka, to rozpacz...« (Por. list do babki, t. I, str. 318 i 319).

Istotnie, pomimo wielkiej odporności wewnętrznej, pomimo wszelkich prób archaizowania mowy, styl Krasińskiego w Agay-Hanie pokrywa się od czasu do czasu pleśnią cudzoziemską. Obczyzna nie tylko powlekała zewnętrzny wyraz, nie tylko psuła okres, ale wgryzała się nieraz aż do samego wnętrza myśli polskiej. Wtedy to słyszymy o naddziadzie Agay-Hana, który pierwszy rzucał w grunt czaszkę zbro-

czoną, węgielny kamień wieży (!) z głów pobitych nieprzyjaciół« — o Zaruckim, że »bycze barki marszczą się nad kształtnem jego ciałem«, »z pałaszem w dłoni, jakby pałasz i dłoń jedną kością były« (!) albo dowiadujemy się, że »gaje i sady mruczą od powiewu letniego; Maryna zaś powie do Zaruckiego: masz prawdę, Igorze!«

I nie tu zrazu nie pomogą starożytnie słówka, któremi stara się poeta ozdobić pasmo swego opowiadania. Tkwią one w niem, ale nie wykwitły z niego, ledwie się trzymają powierzchni: »świdrem poszły mu oczy« — okrom wątpliwości, »iżali« itp.

Tymczasem książki polskie, wysłane przez starościnę opinogórską, nadeszły były z Warszawy do Genewy, a z nimi jakby duch nowy, duch polski powiał nad Lemanem. Począwszy od rozdziału piątego, styl Agaj-Hana nabiera mocy, jedności, wyzwala się z pod przewagi konstrukcyi francuskiej; z niepozornej na początku rudy coraz częściej przebłyskują pod koniec ziarna szlachetnego, szczeropolskiego kruszeu.

Przełom w stylu, nastroju i sposobie opowiadania dokonywa się w ciągu rozdziału piątego. Rzecz można, że z Maryną, wydobywającą się przy pomocy Agay-Hana z więzienia na świeże powietrze i swobodę, odetchnął i Krasiński pełną piersią i raźniej do dzieła swego przystąpił. Opis ucieczki Maryny z Zaruckim przed pogonią moskiewską należy do najlepszych ustępów. I Zarudzki tu po ludzku przemawia i przyroda opisana naturalnie, oddana bez przesady.

Moment dziejowy coraz lepiej odczuty, nie w szcze-

gółach wprowadzile, ale jako całość: »Ta ogromna burza, co z Lechii ciągnęła na Moskwę za gwiazdą swoją, nadobną Mniszechówną, teraz już na osobne rozsypuje się chmury, a każda chmura szamoce się w kącie widnokregu...«

Opis Astrachanu, cały zmyślony, etnograficznie fałszywy, ale jakże ciekawy, jak ponętny barwami! czyta się jak bajka wschodnia. Już z tego jednego opisu widać, jak się fantazja Krasińskiego wzmogła, jak olbrzymie przeleciała przestrzenie od Snu Elżbiety Pileckiej, Teodora, fragmentu pod tytułem *On* itd. Do udatnych miejsc zaliczyć jeszcze trzeba opis pogrzebu synka Maryny, tudzież śmierć Maryny, wiedzionej na lody Jaika przez oszalałego Agay-Hana.

Sam Agay-Han rośnie w miarę jak się powieść zbliża do końca. Z pacholęcia na pół dzikiego, na pół tkliwego i tającego pod każdym wejrzeniem Maryny, wyrasta Agay-Han na wodza Tatarów, jako Nuradyn, zahartowany w ciężkich wojnach, coraz obojętniejszy na ludzką niedolę pod wpływem rosnącej i przepalającej go jedynej namiętności. Jeszcze krok, a byłby z niego prawdziwy bohater.

»Z obojętnością spogląda na rannych i na poległych. Tak, jak wielki człowiek, co nie dba o gminu zagubę, bo czuje, że przez zgon tysięcy dopnie myśli swojej ogromnej«. W porę spostrzega się Krasiński, że dotknął innej sfery, współczesnej mu, w którą Tatarzyna wprowadzać się nie godzi. To też zaraz przyćmiewa blaski rzucone na głowę Agay-Hana: »Ale w nim owa myśl (ogromu) nie w głowie,

jeno przesiaduje w sercu, nie wyrze ona skutków na cały naród...«

Wśród licznej, dotychczasowej drobniejszej dziatwy natchnień Krasińskiego jest Agay-Han najsilniejszym, na pozór odmiennem dzieckiem, a przecież i on nosi na sobie znamię rodowe, charakterystyczne znamię swego poprzedzającego rodzeństwa: Alana Reichstala, Mestwina, Mściwego Karła, Teodora... Znamię to występuje dopiero pod koniec utworu, ale z całą siłą niezaprzeczonego, rodowego typu. »Miłość twoja — woła rozszalały Agay-Han do Maryny — była dla mnie jako ten most śliski nad otchłanią, po którym wszyscy w godzinę sądu przechodzą mamy do nieba; *ale teraz dostałem się do raju, do Zemsty*«. Jest tutaj to uczucie zemsty uzasadnione szalem namiętnego syna Wschodu, szalem odbierającym mu świadomość słów i czynu — niemniej jednak uczucie to znalazło swój wyraz. Krasiński doskonale sam określił ojcostwo swe duchowe: »Żegnaj mi na wieki dziecię mojej wyobraźni... życie ci przeszło na mękach, a mściłeś się zbrodniami...

Agay-Han powstał w chwili przełomowej w czasie, kiedy Krasiński nie w ciągu lat, ale w ciągu miesięcy dojrzewał, przeobrażał się duchowo, rozrastał. To też ta powieść »historyczna«, jakkolwiek w ciągu kilku miesięcy napisana, inną jest na początku, inną pod koniec. Gdyby mu stan zdrowia był w lecie r. 1833 na to pozwolił, byłby ją autor pewnie uważniej odczytał i pierwsze rozdziały pod względem technicznym »dociągnął«, dostroił do końcowych. Dziś jest Agay-Han wybornym, pierwszorzędnym doku-

mentem psychologicznym w historii jego rozwoju duchowego. Jest on niezbędnym szczeblem, po którym poeta wstępuje na niedaleką już wyżynę swej twórczości. W *Agay-Hanie* poszły na dno męty, niejasności, niepewności słowa; osad był tam jeszcze u spodu, ale treść słowa u góry była już świetna i przeźroczysta. Forma ustalała się zatem, wydoskonalona, giętka, podatna ruchliwym myślom i lotnym natchnieniom młodzieńca. Narzędzie już miał powolne swej dłoni, a wielka materya, jak ogromny odłam karraryjskiego marmuru, czekała tylko na uderzenie mistrzowskiego dłuta.

IV.

„NIE-BOSKA KOMEDYIA“.

Od końca 1831-go roku nie przestaje Krasiński bacznie przypatrywać się rozwojowi spraw społecznych w Europie. Jak to już poprzednio stwierdziliśmy na całym szeregu ustępów z listów do Reeva, walka klas roboczych z kapitałem przedewszystkiem pochłaniała całą jego uwagę. Ciągłe znajdowaliśmy tam zapewnienia o przeżyciu się dotychczasowej organizacji społecznej, o nocy, w której żyjemy, dalekiej jeszcze od *przedświtu* nowych stosunków. Widzieliśmy, co w Genewie wpływało na podniecenie i naprężenie uwagi jego w tym jednym kierunku: i Reeve z Londynu, i ojciec z Petersburga, i dziewczyna w karczmie w Ferney głosili niemal to samo, choć w różnych tonach i sposobach.

Przesilenie bowiem było wtenczas powszechnie zapowiadane i oczekiwane. Ogólny zapanował niepokój i »jakieś oczekiwanie tęskne«, ale nie »radosne«, jak u Mickiewicza w 1812 r., przeciwnie: smutne, pełne przeczuć złowróżbnych i lęku przed groźną przyszłością.

Byłoby ciekawem i bardzo pouczającym zestawieć wszystkie te przecucia i obawy lat owych w różnych krajach i narodach. Rzec można, iż od upadku Napoleona mnożą się objawy powszechnego niepokoju. Nie tu miejsce jednak na ich szczegółową charakterystykę. Jako przykład przytoczymy tylko kilka głosów, kilka ustępów z dzieł, które z pewnością znał Zygmunt Krasiński.

W porządku chronologicznym wysuwa się na sam przód dzieło anonima o Towarzystwach tajnych w Niemczech itd. (*Des Sociétés secrètes en Allemagne — Paris, 1819*). W słowie wstępnem autor tak charakteryzuje stan ówczesny Europy:

»Europa przechodzi całkiem odrębne przesilenie. Jej moralne i polityczne położenie, całkiem przeciwne naturze, zapowiada nieuniknioną katastrofę. Łuk jest napięty tak silnie, jak tylko może być, ostatecznie poruszenie przerwie cięciwę.

»Kiedy Chrześcijaństwo zmieniło postać świata, nastrój umysłów był prawie że taki sam, jak dzisiaj; drogi były przygotowane, czasy się wypełniły: władza Cezarów i poganizm rozpadały się ze starości, a jak Cyceron powiedział, dwóch augurów nie mogło sobie spojrzeć w oczy — bez śmiechu.

»...Idee powszechne, idee panujące gotują wielki przewrót. Sięgają one trochę dalej wstecz, niż poza dwa wieki; ale jeśli zważymy punkt wyjścia, widzimy, jakim krokiem olbrzymów idee te postąpiły. Jeszcze nie wszystko się zmieniło, ale wszystko się zmieni. Obietnice i ustępstwa, które siła wydała monarchom, co zdetronizowali Buonapartego (!), roz-

dmuchują ów ogień pożerający, który tli wśród ludów od lat trzydziestu. Jego tylko żelazne ramię zdolne było zdusić ten ogień.

»...Przed upływem lat pięćdziesięciu będziemy mieć nową religią i nowych panów«.

(Ileż w tym małym ustępie było treści do rozmyślań dla przyszłego autora i *Nieboskiej* i *Irydiona*!)

Najbliższe dziesięciolecie zdawało się zupełnie sprawdzać złowróżbne przepowiednie autora »Towarzystw tajnych«. Okres od 1820—1830 r. zaznaczył się szeregiem faktów, zwiastujących z jednej strony wzrost reakcyi, z drugiej zawziętość żywiołów, dążących do zmiany społecznych stosunków: we Francyi zamordowanie księcia Berry (1820), w Rosyi sprzysiężenie dekabrystów (1825), rozruchy we Włoszech i Hiszpanii, rewolucya we Francyi, Belgii i Polsce, w Anglii *Reform-bill*, jako rozłam między agrarną *gentry* a przemysłowo-fabryczną demokracją; — wszystko to było dla przenikliwego umysłu naturalnym objawem nienaturalnego, niezdrowego położenia Europy. Filozofowie, historycy i poeci zgodnie, choć z różnych przesłanek, do jednakowych dochodzili wniosków: wiek swój, wiek XIX-y, uważali za czas »przejścia«, przygotowawczy, niezdecydowany, gotujący drogi *Deo ignoto*. Nawet Ballanche, łagodny i cichy filozof-poeta, ten sam, którego uważali współcześni za ogniwo pośrednie między de Maistre'm a J. J. Rousseau'em, pod mglistą powłoką rozumowań historycznych tał obawy o los »patrycyatu«, który nie spełniwszy swej misji przodowania społeczeństwu, naraża się na walkę z plebejuszami; przeczuwał

chwile, kiedy to »plebejanizm wejdzie do grodu, tłumnie skupiony około jakiegoś nieznanego wodza, który wynurzy się nagle z łona tłumu, uchwyci ręką śmiałą siekierę rewolucyjną i sztandar wyzwolenia«.

Równocześnie Wiktor Hugo zaznaczał w przemowie do swych *Liści Jesiennych* (listopad 1831) ważność chwili ówczesnej: »wszystkie społeczne decyzje zakwestyonowane, wszystkie członki ciała politycznego powykręcane...; wszędzie zresztą uszom czujnym daje się słyszeć głuchy odgłos rewolucyj, jeszcze zakrytych...

...Wiary są w walce z sobą, sumienia w niepokoju; nowe religie z formułkami to dobre, to złe — stare religie zrzucające starą skórę...« To aluzje do Furieryzmu, Owena i St. Symonistów.

A ci, których nazwiska łączą się kiedyś w wspólnej pod jednym dachem pracy, Mickiewicz, Michelet i Quinet, nieznani wówczas sobie, wspólne będą głosić obawy, jednakie pragnienia.

Mickiewicz mógł już w r. 1830 w Szwajcaryi, a potem w Rzymie i Genewie 1831 r., w częstych z Krasińskim rozmowach wyrazić niejedno z swych zapatrywań na społeczne kwestye. Nie drukował wtedy wszystkiego, np. tych myśli „*O sejmie polskim*“, gdzie znajdują się takie ważne spostrzeżenia, będące oczywiście wynikiem długoletnich rozmyślań; ale łatwo mogły być poruszone w rozmowach szwajcarskich na dwa lata przed napisaniem *Nieboskiej*:

»Stoi gmach jeszcze, jak dom podkopany w fundamentach, ale za pierwszym powiewem wiatru upadnie. Ta grożąca odmiana objawia się w różnych

symptomatach każdemu, kto czuje i myśli, kto wierzy w Opatrzność. Przepowiadają tę burzę filozofowie, poeci, księża, wieśniacy na różnych punktach ziemi, w różnych partyach i religiach.

Dość podnieść oczy w górę: tam ksiądz Lamennais, Schelling, Lamartine i *mnóstwo innych*, jak chorągwie na wieżach pokazują, skąd wiatr zaczyna wzmagać się; dość ucho przyłożyć do ziemi: tam w tawernach niemieckich, w foburgach paryskich, nawet w chatach włoskich jeden rodzi się huk, wróżący trzęsienie ziemi. Kiedy nastąpi burza, za rok, czy za lat sto, dla mnie obojętne pytanie; czuję, że nastąpić musi«.

Michelet w swej *Rzymskiej Historii* (II², 1833, str. 400) zwrócił bystro uwagę na przełomową chwilę niegdyś — Cesarstwa Rzymskiego, dziś — naszego świata i znowu przypomni nam równoczesność dwóch bliźnich arcydzieł: *Irydiona* i *Nieboskiej*, tak, jak w westchnieniu końcowem odnajdziemy tam silne podobieństwo do tęsknot Krasińskiego: »...oby Bóg nas jak najkrócej trzymał w tem zawieszeniu między światem ginącym, a tym, co się nie zaczął jeszcze«.

Quinet wreszcie w uwagach wstępnych do swego *Ahasverusa* (*Revue d. d. M.*, 1er octobre 1833) będzie mówił o chorobie wieku, »dziwnej, męczącej nas bez przerwy. Jak ją nazwać? Nie jest to, René, twoja choroba, choroba ruin; nasza jest zjadliwsza i bardziej gryząca... To choroba przyszłości, choroba ostra... W głębi dusz naszych czujemy już, co ma być. *Nic* to na pozór, ale to *nic* żyje już w naszym łonie, widzimy je, dotykamy się go, chociaż świat

o niem nie wie. Zabija nas nie słabość naszej myśli, ale dźwiganie ciężaru przyszłości w pustce chwili bieżącej (*c'est le poids de l'avenir à supporter dans le vide du présent*). By się z gorączki wyleczyć, trzymamy przy ustach naszych czarę jutra, skąd pić będą wargi — ale nie nasze... Ludzkość cierpi bole ciche w łonie, jak gdyby Boga miała porodzić...»

Co czuli najlepsi, najgienialniejsi w ówczesnem społeczeństwie europejskiem, to wyrazić miał najdramatyczniej, najsilniej, dwudziestoletni młodzian, dojrzały przedwcześnie w szkole cierpień i narodowych i ludzkich. Nawet ból fizyczny, choroba długa oczu, zagrożonych ślepotą, nie przeszkodził przyjsciu na świat dziecka długich i bolesnych rozmyślań. Zamknięcie przez całe miesiące w pokojach ciemnych, zupełne przez jakiś czas odosobnienie (w Wiedniu i Petersburgu) sprzyjać będzie obmyśleniu i przetrwaniu ogromnej treści.

Wyjazd z Petersburga, wydobyć się z dusznej, przynębiającej atmosfery tamtejszej na świeższe, zachodnie powietrze, wpłynęło ożywczo na umysłowy i fizyczny stan Zygmunta Krasińskiego. Towarzystwo, odtąd stałe i długoletnie, druha uniwersyteckich czasów, Konstantego Danielewicza, oddziaływało jak najlepiej; było moralną podporą, było wręcz podniecię umysłowej twórczości. Krasiński zawsze potrzebował jakiegoś *medium*, które odgrywało wobec niego taką rolę, jak konduktory elektryczne wobec piorunów: wyzywało i wyładowywało nadmiar jego energii duchowej. Takim był Reeve w Genewie, takim będzie później Gaszyński, kiedyś Ciesz-

kowski. Na długie lata jest nim teraz Danielewicz. Dzięki jego listom do generała, regularnym i szczegółowym, będziemy najdokładniej poinformowani o życiu, zdrowiu, pracach umysłowych i stosunkach towarzyskich Zygmunta Krasińskiego. Listy Danielewicza dają nam obraz wierny, może czasem szary i jednostajny, ale nigdzie nie zepsuty ani zbyt dla Zygmunta pobłażliwością, ani banalnem mentorstwem. On kocha głęboko i prawdziwie swego druha, ale właśnie dlatego, że go naprawdę kocha, będzie zawsze zmartwiony i nigdy nie zatai, ilekroć mu się coś w Zigmuncie nie spodoba.

Zrazu pobyt w Wiedniu zapowiadał się pomyślnie pod każdym względem.

Danielewicz opisuje generałowi z Wiednia dnia 4 lipca 1833 r., jak sobie urządzili życie:

»Sposób życia nasz jest taki. Wstajemy bardzo rano i zaraz, jeśli pogoda, wychodzimy na Basteyen pić wody. Koło 9-tej wracamy i po śniadaniu czytamy mu głośno dzieła, które dostać możemy, przy tem zaraz debata i rozprawy... W żadne poezyc i romanse już się nie wdajemy, ale w rzeczy *serio*. Potem następuje godzina obiadowa, po której zwykle ktoś do nas przychodzi...»

W tymże liście mamy nadzwyczaj ważną wiadomość o pierwszych początkach *Nieboskiej*:

»Równie ze stanem fizycznym i horyzontem moralnym powoli się rozjaśnia i zdaje mi się, że obadwa tak ściśle z sobą były połączonymi, iż nie wiem, który z nich mam brać za powód, który za skutek. To

wiem tylko, żeśmy przyszli z Zygmuntem do ważnej dla niego epoki...

Rzadko bywamy w złym humorze Bayronicznym, bo to już z mody wyszło. Ponieważ zaś nigdy nie może się obejść bez marzenia o jakim poemacie, więc i teraz to samo się dzieje, ale bohaterem tego dzieła ma być poeta, który wzięty jako człowiek w sferze wypadków jest wiecznie zerem — żonę zaniedbuje i do grobu wpędza, dziecko robi nieszczęśliwym, nareszcie wśród politycznych wypadków gra bardzo zabawną (!) rolę, bo nic nie działającą i nic nie znaczącą, i trochę na arlekina zakrawa. Wprawdzie i publikum, co się około niego rusza, nie wiele więcej warte od poety, ale i to wielki krok, że mu *tragico-bouffo* daje postać.

Oto pierwsze zarysy planu »Nieboskiej«, jakże ciekawe i nieoczekiwane! Hrabia Henryk »w sferze wypadków« ma być „wiecznie zerem“!! Jeśli pierwszy pomysł przedstawienia bohatera w roli złego męża i ojca ostał się czasem w zupełności — to z drugiej strony hr. Henryk »wśród politycznych wypadków« gra w utworze przeciw rolę bynajmniej »nie zabawną« — a trudno nam się nawet oswoić z myślą, że wielki przeciwnik Pankracego mógł kiedykolwiek »trochę na arlekina zakrawać« („*tragico buffo*“) i grać wogóle rolę »nic nie działającą i nic nie znaczącą“!!

Musimy zatem przypuścić, że w ciągu pisania w Wiedniu »Nieboskiej«, która pierwotnie miała mieć tytuł »Ludzkiej komedii« (*L'Umana Comedia*, w przeciwstawieniu do *Divina* Dantego), treść mu-

siała bardzo się rozrósć, a bohater zmęźnieć i odrzucić wszelkie cechy „*buffo*“, skoro ostatecznie »Nieboska« miała być »obroną tego, na co się targa wielu hołyszów: religii i chwały przeszłości«. Nie można było dawać roli arlekina, »roli nie nie działającej i nic nie znaczącej« bohaterowi, który miał ostatecznie być przedstawicielem »przeszłości« w tej walce »dwóch principów: arystokracji i demokracji« (do *Gaszyńskiego I*, 37).

Powody tej zasadniczej zmiany, tego odstąpienia od pierwotnego pomysłu hr. Henryka, jako »wiecznego zera«, leżały w samym przedmiocie, zbyt poważnym, rzekłbym: tragicznym, a zatem wykluczającym wszelkie naleciałości *buffo*, które mogły być tylko przemijającym nastrojem lepszych pod względem zdrowia, dni kilku.

Jak szybko ten lepszy nastrój, to »rozjaśnienie horyzontu moralnego« minęło, świadczy fakt, że po tym ciekawym liście Danielewicza z d. 4 lipca, mamy list obu przyjaciół do Gaszyńskiego w kilka dni potem pisany (7-go lipca) w całkiem przygnębionym tonie. Kasiński napisze tam: »Nieraz leżąc w gorączce, cierpiąc z zamkniętymi oczyma, przypominam sobie twarz twoją...«

...i mnie los nie obdarzył swojemi dary: w głębi duszy mojej osadził wiele myśli i uczuć wiele, które żrą i palą... Wiek, który nas otacza, ciąży na mnie...«

A Danielewicz dopisze: »Jesteśmy tu z Zygmuntem od kilkunastu tygodni i męczymy się brakiem życia, może równie, jak ty, nieszczęśliwym życiem.«

Były to więc miesiące zmiennego zdrowia, humoru i nastroju: nerwy Krasieńskiego grały wciąż jak struny, a choć tłumnie odwiedzającym go tam rodakom zdawać się mogło, że to człowiek szczęśliwy, bo słyszeli nieraz śmiech jego, »konceptów tłum, żartów mnogość«, to przecież mało kto mógł się domyśleć, »że pod tą powłoką coś głębszego smuci się, czasem rozpacza«. (*Do Gasz.* 34).

Pobyt w Wiedniu w lecie 1833 r. nietylko nie rozjaśnił, ale owszem chmurami zasnuł »horyzont moralny« poety. Powodem tego było towarzystwo tamtejsze polskie, zatrwożone objawami rozstroju społecznego we Francyi. W podnieconej i nerwowo lękliwej atmosferze salonów wiedeńskich, wzrastało przyszłe arcydzieło. Danielewicz taką dał charakterystykę ważnych dla *Nieboskiej* miesięcy owych (w liście do generała z Wiednia 29 sierpnia 1833 r.):

»Bogu chwała, że ten Wiedeń opuszczamy. Los chciał nagromadzić około nas mnóstwo Jeremiaszów, proroków zaguby i nieszczęść — myśl, która *bardzo często Zygmuntovi się podoba*. Śmieszne wciąż robili hipotezy, nieledwie, że koniec świata, że kometa 34go roku nas pochłonie etc. etc. Najbardziej zaś Giżycki, *dans sa condition d'aristocrate* o swoją głowę się turbował, stąd routy tutejsze podobne do pogrzebów i ledwie że *de profundis* nie śpiewali i nie śpiewają. Chwała Bogu, że dostaniemy się między góry i morza, bo to jedno, jak widzę, robi jakiś efekt na Zygmuncie. Nie cierpiałem poezyi, bo mniemałem, że ona jego nieszczęście sta-

nowi, ale lękam się, żebyśmy z Charybdy do Scylli nie wpadli«.

W kilka dni potem, d. 4-go września 1833 r. wyjechali z Wiednia na Ischl, Salzburg, Innsbruck, Trydent i Treviso do Wenecyi. Kto chce mieć pojęcie o ówczesnym nastroju i stosunku wzajemnym obu przyjaciół, niech odczyta wstęp do t. zw. »Niedokończonego Poematu«, który jest wiernem wspomnieniem i krajobrazu i uczuć. W Wenecyi spędzili drugą połowę września i początek października; tam dokonczył Krasieński zaczęta w Wiedniu »Nieboską«. Wzrok mu się znowu pogorszył tak, że musiał Danielewiczowi dyktować swe listy. Dziewiątego października ruszyli dalej na Bolonię i Ferrarę, gdzie zajęły ich biblioteka i wspomnienia Torquata Tassa; 24-go t. m. stanęli w Rzymie. Usposobienie poety nie było pogodne. Rzym nie dodał mu sił moralnych. Nastrój był zrazu pesymistyczny i wyraził się między innymi w takim np. ustępie listu do ojca (d. 2 listopada 1833, dyktowany):

»Nie pojmuję błogosławieństwa, które Krzyż, jak mówią, rozlał nad tym miastem; musi ono być tak zupełnie duchowne, że żadnego kształtu widomego nie przybrało, bo co w oczy wpada, to jedynie tylko poniżenie i jakaś barwa przekleństwa rzucona na wszystko, równie na ludzi, jak na budynki. Nie znam podlejszych twarzy od włoskich, męskich — włoskie kobiece są piękne, ale mają coś żydowskiego. Niebo tylko i klimat jest w rzeczy samej pełen słodczy i ponęty«.

Nieboska Komedia była wprawdzie już napisana,

ale zapewne Krasiński przerabiał ją i uzupełniał, a chociaż już o druku myślał, to jednak Rzym całą siłą swych wrażeń historycznych pociągał poetę w sferę *Irydionową* i na razie odwodził od druku *Nieboskiej*. Widzimy to zwłaszcza z listu do ojca (z d. 11-go listopada 1833 r.), gdzie znajduje się ów znany od lat dwudziestu kilku ustęp:

»Czy pamięta Papa treść myśli mojej jednej, którą opowiadałem Papie w Petersburgu i którą Papa znalazł piękną? Zwała się Irydion, działa się przed wiekami w Rzymie. Napisałem był jej połowę w Petersburgu, w Warszawie podarłem, ale przez rok cały ona mi pokoju nie dała, chodziła mi po głowie, nabierała szerzy i mocy. Tu mi się objawiła, tu zobaczyłem mojego Irydiona, chodzącego po forum; ja go już nie tworzę, obserwuję tylko. Człowiek ten chodzi ze mną po wszystkich ruinach — przez wdzięczność nie dam mu zaginąć«.

Innymi słowy: chodziło o jak najszerszą podstawę i jak najmocniejsze fundamenty dla ogromnego pomysłu. Tej podstawy, tych fundamentów, nie można było improwizować, należało zdobyć je długą pracą, głębokiem wniknięciem w ducha pogańskiej Romy. Do tego przystąpił teraz Krasiński, gdy już *Nieboską* napisał. W tymże samym liście, z którego powyższy urywek był dawno znany, czytamy dalej:

»Im więcej rozpamiętywam dzieje Rzymu, tem bardziej się przekonuję, że to był najpodlejszy z narodów — wielki tylko wtedy, kiedy szło o jego egoizm — nie nigdy poetycznego nie miał ten naród

w sobie, był prawniczym i rozbójniczym, podchwytywał zapisy starych królów, zdradą, przekupstwem świat podbił, a kiedy podbił, rozpasał się na wszystkie zbrodnie i podłości. Sam chciał być świętym, ale u drugich nie świętego nie uznał nigdy — Dlatego dzisiaj tyle grobów tutaj i tyle jaszczurek na nich — wreszcie plebs zwyciężyła patrycyat i wszystko i świat cały stał się jedną podłością«.

Z dnia na dzień rozszerzał się ten pogląd, a zarazem pogłębiał. W dziesięć dni potem pisał autor *Nieboskiej* prześliczny list do Gaszyńskiego, w którym odnajdujemy i echa *Adama Szaleńca* i program dziejowy tła Irydionowego: »...lubię te gruzy, lubię tę karę, która spadła na miasto wieczne, na miasto ucisku i podłości... Lud i Cezar nie znali nic, nie umieli nic... z Rzymu przodków swoich zrobili rynsztok rozkoszy i legli w nim i przeszło lat trzysta leżeli w nim, aż... przyszli barbarzyńcy i znieśli ich precz na wieki! — Ale razem tu jest świętszy widok: Krzyż tu panuje, katolicyzm tu stanął po wszystkich wzgórzach; on świat ocalił, a razem w miłosierdziu swoim obronił ostatki starego świata!...« (*Do Gasz.* I, 36—37).

Jakież to w ciągu trzech tygodni postępowanie, aby nie rzec przeskok od owego pesymistycznego zapatrywania: »nie pojmuję błogosławieństwa, które Krzyż rozlał nad tem miastem«.

Ale ten nagły zwrot będzie zarazem oznaką, że to nie wynik powolnej i statecznej pracy ducha, tylko jedna z odmian ruchliwej, żądnej estetycznych wrażeń natury poetycznego umysłu. Jakoż będzie

takich odmian niemało, zanim »Irydion« ukaże się w druku. A tymczasem tenże list do Gaszyńskiego kończył się ważną wiadomością:

»Teraz ci powiem coś, ale żądam od ciebie najświętszego słowa przyjaźni, że nikomu, bez wyjątku, nie powiesz nic o tem. Mam dramat, dotyczący się rzeczy wieku naszego; walka w nim dwóch pryncypiów: arystokracji i demokracji; tytuł *Mąż*. Prześlę ci manuskrypt; nie wątpię, że zyski będą, bądź łaskaw je przyjąć od przyjaciela. Rzecz, sądzę, dobrze napisana. Jest to obrona tego, na co się targa wielu hołyszów: religii i chwały przeszłości! Bezimiennie powinno być wydrukowane; nikt nie powinien domyślić się autora«.

Do tego listu dopisał Danielewicz: »Zygmunt pisze bez ustanku. Musi być w nim *furibunda vena* poetyczna, a przytem szalona wytrwałość, że go nic nie zraża. Ale rzeczywiście jest to talent, o którym nie możesz jeszcze mieć wyobrażenia, bo go teraz nie znasz. Ja mniemam, że kiedyś się zaprze tego, co teraz pisze, bo epoka jego pisania dotąd nie nadeszła. Jego *Mąż* rekomenduje się twojej opiece i największemu sekretowi, jest to dzieło, które się żadnej partii nie spodoba, na którym mało kto się pozna, przeciwko któremu może wszyscy krzykną, tak, jak krzyknęli przeciwko *Banquet des Girondins* Karola Nodier. Zaklinam cię o sekret w imię całej przyjaźni, jaką masz dla niego«.

W kilka tygodni później donosił znowu Krasiński Gaszyńskiemu: »Manuskrypt ci przyszlę, kiedy będzie przepisany; jest on po polsku. Daruję ci go,

zrobisz, co zechcesz. Jeśli nie wydrukujesz, to będziesz miał pamiątkę po przyjacielu, a pamiętaj imienia jego nigdy nie wydać. Jeśli będę miał fundusze, to ci przeszlę na to. Zresztą za miesiąc poszlę samo pismo«.

Tymczasem 17 stycznia 1834 r. zmienia Krasiński zamiar: »Manuskryptu ci nie posyłam, bo: 1^o nie jedziesz do Paryża; 2^o goły jestem i nie mam za co drukować; 3^o *może lepiej dać pokój* — zobaczymy później, tylko nie mów o tem nikomu«.

Następuje w listach głucho milczenie o dramacie, aż dopiero 29 marca 1835 r. pisze Krasiński, mistyfikując Gaszyńskiego: »Jeśli dostaniesz w Paryżu świeżo wyszłe dzieło *Nieboska Komedia*, napisz mi zdanie swoje o niem, ciekawym bardzo, jak go (!) znajdziesz, wtedy ci udzielę moje też nad niem uwagi i spostrzeżenia«. — Gaszyńskiemu przykra być mogła ta »nieufność«, jak sądził. Krasiński objaśnia (26 kwietnia), że to tylko przezorność ze względu na niepowołanych czytelników ich korespondencji. I znowu milczenie. W następnym roku (1836, 9 lutego) uwiadamia Krasiński przyjaciela: »...co się tyczy *Komedii*, nie mam żadnego egzemplarza. Ta rzecz się stała przez księgarza w Frankfurcie nad Menem i ten księgarz się przestraszył potem i wstrzymał i wstrzymuje dotąd gotową edycję. Ładu z Niemcem dojść nie można, tak się boi. Edycya mała, bo tylko 250 egzemplarzy. Teraz, kiedy widać, że chwałą dzieło (nie tylko jeden egzemplarz, ale ze dwadzieścia wykradziono i rozesłano), powiedz mi, czy nie możnaby drugiej edycji zrobić?...«

Zapowiedziany zatem w listopadzie r. 1833 dramat p. t. *Mąż* ukazuje się w druku, od razu jako rzadkość bibliograficzna, dopiero w kwietniu 1835 r. pod zmienionym tytułem: *Nie-Boska Komedia* [mały tomik, 11·5×18 cm., str. 6 nieliczb. + str. 164+2 nlb. — Paryż. W typografii A. Pinard, Quai Voltaire, 15. — 1835. Na karcie drugiej nieliczb.: »Poświęcone Maryi«].

Odrzucając tu rozstrzygnąć wątpliwość, która może się budzić wobec tak długiego przeciągu czasu między napisaniem a wydaniem *Nieboskiej Komedy*. Mógłby kto przypuszczać, że Krasiński przez r. 1834 poprawiał, wygładzał, może rozszerzał tekst pierwotny i dlatego zwlekał z drukiem. Tak nie było. Nie mamy wprawdzie pierwotnego autografu *Nieboskiej* i nie możemy oznaczyć szczegółowo, jak powstawało arcydzieło; ale dochował się list do Reeve'a z dnia 19 grudnia 1833 r., a zatem z czasu, gdy Krasiński (raczej Danielewicz) przepisywał dla Gaszyńskiego do druku autograf pierwotny. Otóż w liście tym do Reeve'a podaje poeta szczegółowo treść dramatu aż do jego zakończenia, które dosłownie na francuskie tłumaczy. Widać z tego streszczenia, że *Nieboska Komedia* miała już w końcu r. 1833 te same niemal rozmiary, jakie znajdujemy w późniejszym drukowanym tekście. Wydanie *Nieboskiej* opóźniło się znacznie z przyczyn nie tyle materialnych (braku gotówki na druk), ile duchowych. Pogarszający się stan zdrowia Krasińskiego wpływał przygnębiająco na jego ducha, który tracił zaraz właściwą sobie sprężystość i energię i zabarwiał mu ponuro widok świata i ludzi. Wiadomości, jakie mógł odbierać

z kraju i z emigracyi, nie mogły go dobrze usposabiać. Odchodziła ochota ogłaszania zaraz drukiem tego, co było jeszcze nie przeżytą, a idącą ku życiu rzeczywistością, samą treścią jego znękanego ducha.

Coraz czarniej przedstawiała mu się przyszłość Polski. W końcu listopada narzekał w liście do ojca, że »położenie Polaka jest gorzkie na każdym punkcie okrągłej ziemi. Żeby im Pan Bóg nie pamiętał tej ich rewolucyi! Ta zgubiła nas i nadzieje nasze i wszystko«. (25 listopada 1833 r. z Rzymu). W tydzień potem pisał Danielewicz do generała Krasińskiego zaniepokojony stanem zdrowia Zygmunta, jakąś »dziwną apatią«, która sprawiała, że najchętniej przebywał on wtedy w ciemnym pokoju i nie myślał o niczem. Danielewicz doskonale oceniał i rozumiał genezę tej apatii swego przyjaciela:

»Gdyby Zygmunt miał zatrudnienie odpowiednie swemu przeznaczeniu i talentom, to byłoby najlepiej, ale nie w takiej epoce go (!) znajdzie — czuje to bardzo dobrze, że idzie w lata, że nie czyni żadnej przysługi ludzkości — gdyby ją czynił, gdyby go ludzie potrzebowali, żądali jego opieki, jego pracy, choć w małej sferze, sądzę, żeby choroby nie było. — ...Mniemam, że mu żony już potrzeba, chociaż krzyczy, jak mu to powiedzieć i przeraża mnie opisywaniem, jakim byłby mężem i ojcem«. (2 grudnia 1833).

Tę jałowość życia swego czuł najboleśniej sam Krasiński, kiedy równocześnie uzasadniał przed Reeve'em poglądy swe na stosunek jednostki do społeczeństwa: »ludzkość jest prawie niczem, a człowiek

wielki, czynny, świadomy celu, wszystkim; jemu samemu, poecie, trudno żyć w społeczeństwie, on je kocha, pragnie jego dobra i szczęścia — ale w osobistem zetknięciu z ludźmi traci swą moc i energię. Poeta pragnął działania, rwał się do czynu wielkiego, a skazany był na bezczynność; czuł równocześnie braki swe duchowe, bolał nad nimi i szamotał się w próżni bez wyjścia. W długiej gorzkiej samotności zanalizował on sam siebie do gruntu, a nie mogąc postawić się w świecie istotnego działania, przeniósł żywce swoje *pragnienia czynu* do świata zmyślonej walki społecznej i wysnuł najdalsze konsekwencje z przesłanek zaczerpniętych, bądź co bądź, ze współczesnych mu zagadnień społecznych. Skoro los skazał go na bezczynne przypatrywanie się życiu społecznemu, stworzył przeto sobie dramat, jeśli nie żywy, to bardzo żywotny, a główną w nim rolę dał *Mężowi*, wyposażonemu świadomie w własne zalety i wady. Z pierwotnego pomysłu bohatera *tragico-buffo* opadały coraz bardziej cechy »arlekina«, wyłaniała się postać niepospolita *Męża*. Ten panować miał w całym dramacie, walczyć do ostatka w obronie przeszłości, której rzecznikiem gorącym był sam poeta. Siła i dzielność tego *Męża* »przeszłości« mogły się ujawnić w walce z ludźmi »przyszłości«, przedstawiającymi nowe idee, nowy jakiś ustrój społeczny. *Mąż* wymagał zatem logicznie i psychicznie przeciwnika, Przeciw-Męża, którym jest Pankracy. Bliższe zaś wniknięcie w szczegóły obu walczących z sobą zasad zmuszało do pogłębienia postaci *Męża*, do wykazania genetycznego, skąd i dla

czego *Mąż* jest właśnie takim, jakim go widzimy w walce z Pankracym i wstrętnym mu gminem. Za tem poszło, że Krasinśki musiał sięgnąć wstecz do młodości męża, na razie przynajmniej do jej *zakończenia*, tj. do chwili, gdy młody poeta »zstępuje do ziemskich ślubów«, — Tego, który chce świat stary zbawić, widzimy naprzód w roli skromniejszej, małżonka i ojca, i stwierdzamy, że człowiek ten własne rodzinne szczęście podeptał, ognisko domowe rozburzył, a to dla urojeń poetycznych, dla dogodzenia wrażliwej swej, zmiennej, kapryśnej, fantastycznej naturze.

Po pierwszej, rodzinnej katastrofie »Mąż« szuka upojenia w sławie, wysuwa się na czoło walki społecznej, a choć huragan dziejowy złamał już dawny ustrój i godzi po prostu na życie jego i garstki mu wiernej — on do nowych warunków już się nie przystosuje; ani chce, ani potrafi — ginie więc, przegrawszy życie w drugiej fazie: egoistycznej, bezwzględnej sławy. A tak »Mąż« traci szczęście własne i szczęście współbraci.

»Obrona tego, na co się targa wielu hołyszów: religii i chwały przeszłości« dostała się zatem w powołane wprawdzie, ale nielitościwe ręce. Pankracy zwycięża — na chwilę... I w tej właśnie ironii bolesnej faktów, w tej zaciętej walce dwu zasad, kończącej się ogólnem wyniszczeniem ich obu, tkwi racya późniejszego tytułu dramatu. *Mąż* bowiem odgrywa ostatecznie tylko straszną, ludzką komedię, on, co całe swe życie jak »dramat układał«.

* * *

Nieboska Komedia składa się zewnętrznie, według podziału autora, z czterech części; logicznie dzieli się jednak na dwie: dramat rodzinny i dramat społeczny »męża«, hr. Henryka. Każda z tych dwu części znowu symetrycznie na dwie podzielona:

Dramat rodzinny z dwóch niejako złożony aktów:

Akt I: Mąż i żona } *Stare społeczeństwo.*
 Akt II: Ojciec i syn }

Dramat społeczny:

Akt I: *Nowe społeczeństwo.*

Akt II: Walka dwu światów.

Śmierć Henryka i Pankracego.

Miedzy pierwszym a drugim dramatem lat kilka upływa. Dramat rodzinny tworzy poniekąd sam dla siebie całość i wiąże się dosyć sztucznie z dramatem społecznym [»dobija godzina (? dlaczego dobija?), w której będę musiał walczyć, działać z kilkoma ludźmi przeciwko wielu ludziom« (!)]. Dramat społeczny (części III i IV) jest tak dalece odrębny, że ma osobną, wspaniałą odezwę, którą może rozpoczynał Krasiński utwór zmieniony, różny od pierwotnego pomysłu *tragico-buffo*:

»Do pieśni! Do pieśni! Kto ją zacznie, kto jej dokończy? Dajcie mi przeszłość zbrojną w stal, powiewną rycerskimi pióry?...« Od tych słów zaczyna się właściwa »Ludzka komedia« społecznych kontrastów.

Dramat rodzinny jest poniekąd dużym wstępem, prologiem, zapowiedzią dramatu społecznego. Pierwszy ma się do drugiego, jak przyczyna do skutku, jak przeszłość pełna win i grzechów zaniedbania

do terażniejszości brutalnej, ciężkiej, rozumowo machinalnej, bez serca, bez współczucia, żadnej odwetu.

Dramat rodzinny.

Poruszone są tu zagadnienia, na pozór ciaśniejsze, bo dotyczące małżeństwa i rodziny; w gruncie zaś zasadniczo ważne, podstawowe, skoro rodzina była, jest i będzie związkiem, komórką organizmu społecznego. Jakie rodziny, taka gmina, jaka gmina, taki kraj, taki naród. Poeta wprowadza nas do świeżo założonego ogniska rodzinnego w sferze »przeszłości«, arystokracji.

Jako *motto* czytamy zdania Figara (usunięte z trzeciego wydania): »De toutes les bouffonneries, la plus sérieuse est le mariage«. Historya nieudanego małżeństwa, a zatem rzecz bardzo powszednia, tutaj podniesiona została do godności poezji przez kontrast małżonków: ona cicha, dobra, kochająca — on, poeta, przywykły do swobodnego, beczynnego życia, rozmiłowany we własnych marach, żyjący głową, nie sercem. Krasiński znakomicie oddał tu typ człowieka nowoczesnego, nerwowego, poddającego się wrażeniom chwili, entuzjasty (nieraz sztucznego), człowieka, któremu co dni kilka nowy jakiś zapal przemiłujący łyzy wyciska. W chwili takiego przelotnego zapalu żeni się, czyli mówiąc jego stylem, »zstępuje do ziemskich ślubów«. Niebawem znudzony jednostajnością domowego życia, »snem Niemca przy żonie Niemce«, zaczyna wracać do wspomnień dawniejszych, przedślubnych, pragnie nowych wrażeń, a nie-

pokojony pamiątką dawniejszych mrzonek i mamideł, ucieka z domu. Żona w swej dobroci anielskiej siebie obwinia, że pocie szczęścia dać nie umiała, że go nie zrozumiała, że nie była dość poetyczną — a siląc się, aby mężowi w poezji dorównać, popada w obłąkanie. Syn, który wówczas na świat przychodzi, ma wszystko z matki: dobroć, łagodność, nawet dar poetycki, który mu matka pod błogosławieństwem mieć przykazuje. »Mąż« wraca wreszcie z bezowocnej gonitwy za marą swej młodości, znajduje żonę w domu obłąkanych, poetyzującą i kochającą go do ostatka. Na chwilę odzyskuje przytomność i umiera ze słowami: »Dobrze mi, bo umieram przy tobie«.

Tak się kończy część pierwsza dramatu rodzinnego, bardzo krótka (37 stron) i bardzo silna skutkiem skupienia i wyzyskania przeróżnych kontrastów i typów. Krótkość scen jest nieraz zdumiewająca, jeśli się zważy, że w kilku wierszach poeta umie zawrzeć wszystko, co niezbędne i oświetlić to niezwykłością położenia. (Np. ślub: — »mąż ściska rękę żony i oddaje ją krewnemu — on sam zostaje w kościele« — i t. p.).

Hr. Henryk od samego początku *Nieboskiej Komedii* do jej końca jest sobie wiernym — ciągle i wszędzie obserwuje siebie i jak czart wody święconej — tak on boi się sytuacji powszednich, ludzkich. Będzie zawsze »poetyzował« każdą chwilę i dla »złudzenia i mary« poświęci wszystko, owszem sam zechce być »marą, mgłą i dymem«, byle »zjednoczyć się« z utworem swej wyobraźni.

Kraśński, który doskonale już dawniej (w listach

do Reeve) wyrozumował sobie, że poeta, artysta wogóle, nie może być ani mężem dobrym, ani dobrym ojcem, teraz przeprowadził konsekwentnie tę myśl przez cały poemat i dał tej myśli powłokę ziemską w postaci hr. Henryka. A z tą samą bystrością i zimną krwią, z jaką skreślił postać bohatera, kreśli też jego moralne środowisko, te wyższe warstwy, które go wydały. Scena chrztu jest znakomitą. Każdy z gości mówi zaledwie słów kilka i — dobija się niemi w naszej opinii. Najlepszy jest ojciec chrzestny, człowiek »porządny«, typ przeciętny *obywatela* ziemskiego i pana, mówiącego mądre słowa bez trudu. O nim to można śmiało rzec, że »takie widzi świata koło, jakie tępemi zakreśla oczy«. Widzi on pogodną dla Orcia przyszłość, bo jakżeżby mogło być inaczej: syn hrabiego Henryka! »zostaniesz obywatелеm, a za staraniem rodziców i łaską Bożą (co za charakterystyczne następstwo pojęć!) znakomitym... urzędnikiem — pamiętaj, że ojczyznę kochać trzeba i że nawet za ojczyznę zginąć jest pięknie...«

To »nawet« starczy za portret olejny ojca chrzestnego.

Tymczasem hr. Henryk, w pogoni za marą »piękności«, bliski już jest szaleństwa i samobójstwa. Na skale, oblanej morzem, stoi rozczarowany i świadomy, że stał się igrzyskiem szatanów. Rozczarowania przeżyć nie chce: »dobija ostatnia godzina — niewidoma siła pcha mnie coraz dalej — rozkosz otchłani mnie porywa« —

Co ratuje hr. Henryka? — Chrzest jego dziecka.

Równocześnie z obrzędem chrztu Anioł stróż ratuje Męża z nad otchłani morskiej, każe mu wracać do domu i nie grzeszyć więcej. — Pomysł to godny poety-katolika: dziecię niewinne broni grzesznego ojca samą siłą łaski sakramentalnej. W podobny sposób ratuje Konrada w chwili, gdy po improwizacyi ma się stać łupem szatanów, modlitwa dalekiej i nieznaney mu Ewy...

Scena w domu obłąkanych jest znowu nieporównana w swej tragiczności. Jest ona echem wrażeń niedawnych. W czasie pobytu w Wiedniu, w lecie 1833 r., odwiedzał poeta w Döbling znajomą osobę, umieszczoną w zakładzie obłąkanych. Stąd tyle realizmu w tej scenie. Zapowiada się ona po prostu, niemal trywialnie rozmową Męża z żoną Doktora. Wśród akompaniamentu szaleńców, którzy ze wszystkich stron izby, z sąsiednich cel przemawiają, toczy się rozmowa hr. Henryka z żoną, chorą na obłąd poetyczny, przez pół świadomą siebie... Grozę tej sceny można było nadwyrężyć jednym przesadnym słówkiem i pobudzić niem do śmiechu. Krasiński wyszedł zwycięsko z arcytrudnej sytuacji i zachwyca, rozrzuca czytelnika. Hrabina umiera, przekazując dar poezyi dziecku swemu. Nie o poezję jej chodzi, ale o to, by mąż jej nie wyrzekł się dziecka, gdyby nie było poetycznem...

Dziesięć lat upłynęło od śmierci Hrabiny. Orcio podraستا. Dzieciństwo jego smutne, zamyślane; tu poeta »nie tworzył prawie nic, lecz przypominał sobie własne lata dziecinne:

»Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz

się lalką, much nie mordujesz, nie wbijas na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz łakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z? —

»Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia i ogłosił, że masz nerwy. — Ojciec chrzestny ciast ci przyniósł, poklepał po ramieniu i wróżył, że będziesz obywatelem pośród wielkiego narodu.

»Tymczasem wzrastasz i piękniejesz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknoscią dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, sniade lica, zgięte piersi, każdy, co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: »Jakie śliczne dziecię«. — Gdyby kwiat, co wędnie, miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku, chylącym się ku ziemi, anielska myśl leżała miasto kropli rosy, ten kwiat byłby do ciebie podobnym, o dziecię moje.

Cała ta część druga pełną jest wspomnień i smutków osobistych. *Wahrheit und Dichtung*... Prawda osłonięta rąbkiem poezyi. »Mąż i Orcio przy grobie w gotyckie filary i wieżyczki« — to generał z Zygmuntów przy grobie matki poety w Opinogórze...

Rozmowy »Męża« z Orciem przy grobie matki są nie tylko psychologicznie prawdziwe, ale są także stylistycznie wykończone, wypieszczone aż do szczegółów drobnych. Zaliczam je do najpiękniejszych

ustępów, jakie wyszły z pod pióra Krasieńskiego. Wierszyki tu wplecione są same w sobie dowodem ogromnego postępu pod względem harmonii słowa i odczucia nastroju lirycznego:

Ja napoję
 Usta twoje
 Dźwiękiem i potęgą,
 Czoło przyozdobię
 Jasności wstęgą —
 I matki miłością
 Obudzę w tobie
 Wszystko, co ludzie na ziemi, anieli w niebie
 Nazwali pięknoscią, —
 By ojciec twój,
 O synku mój!
 Kochał ciebie...

Hrabia w tej nawet, uroczystej chwili przy grobie żony pozuje: »mnieś przynajmniej obdarzył siłą na wytrzymanie natłoku myśli i uczuć, a jemu? dałeś ciało do pajęczyny podobne. — Niechaj stanie mir już między Stwórcą a stworzonym!« — Zupełnie Konradowa to pycha, z tą wielką różnicą, że Konrad kochał i cierpiał za miliony, a Hrabia sam słusznie mówi, że Pan Bóg łaskę swą zesłał na rozum nie na serce jego. »Odkryłem próżnię grobową w sercu mojem — znam wszystkie uczucia po imieniu, a żadnej żądzy, żadnej wiary, miłości niema we mnie...«

Rozumiemy teraz doskonale, że poecie zależało bardzo na tem, aby *Nieboska Komedya* nie miała autora na tytule i aby w ogóle nie domyślano się całkiem autora. Tu, w tej drugiej części, składał syn

jakby łzawnicę na mogile matki, tu dotykał niezabliżnionych ran serdecznych, domowych (Maryo, czyż dziecię własne chcesz zgubić, mnie dwoma zgonomami obarczyć...), żalił się samemu sobie na cierpienia swe i wkładał w poemat straszne obawy przed własną, bliską, jak mu się zdawało, ślepotą:

(*Pokój — Mąż — Lekarz — Orcio*)

»...Już nie mogę ciebie Ojczy i tego Pana rozpoznać — iskry i nicie czarne latają przed moimi oczyma, czasem z nich wydobędzie się nakształt cieniutkiego węża — i nuż robi się chmura żółta, ta chmura w górę podleci, opadnie na dół, prysnie z niej tęcza...«

»Precz ode mnie ciemności, jam się urodził synem światła i pieśni — co chcecie odemnie — Nie poddam się wam, choć wzrok mój uleciał z wiatrami i goni gdzieś po przestrzeniach — ale on wróci kiedyś, bogaty w promienie gwiazd i oczy moje rozogni płomieniem...«

»Matko moja, proszę cię — matko moja, naślij mi teraz obrazów i myśli, bym żył wewnątrz, bym stworzył drugi świat w sobie, równy temu, jaki postradałem...«

Poezya, tak niegdyś pożądana przez hr. Henryka, teraz zesła widomie na głowę jego syna — ma ją żywą przed sobą i dręczącą jak zmora: syn jest wcieleniem kary za zmarnowanie domowego szczęścia. Dziecko ciałem, młodzieniec duchem, jest Orcio uosobieniem melancholii poety samego; ten pogrobowiec kobiety, oszalałej z miłości, dręczycielem jest

mimowolnym a strasznym ojca własnego, który już poezji, albo raczej poetycznych urojeń się wyrzekł, ale pada ofiarą nowego mamidła — sławy. Cóż go ku niej nęci? Ten sam egoizm, który kazał mu przed laty opuścić małżonkę i biedz za urojoną Pięknością... On już nie spodziewa się wiele po życiu. W pustyni serca jego krąży tylko kilka przeczuć: o synu, że oślepie, o towarzystwie, w którym wzrósł, że rozpręganie się...

Zamiast usłuchać głosu Anioła Stróża, wróżącego mu zbawienie, jeśli pokocha »schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających« — bliźnich jednym słowem, Mąż ulega pokusie Mefista, nasyłającego mu orła czarnego, uosobienie sławy przeszłości egoistycznej, wyłącznej, bezlitosnej (»nie ustępuj! nie ustąp nigdy!...«) Hrabia Henryk widzi w nim posłannika chwały; już znalazł cel w jałowym dotychczas życiu: »Szablą ojców bić się o ich cześć i potęgę«. On nie chce badać, czy cel ten dobry, czy można go osiągnąć — wszystko mu jedno: »bądź co bądź, fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zaguba, uwierzę tobie, posłanniku chwały. Przeszłości! bądź mi ku pomocy!...«

Jest to głos człowieka, zdecydowanego na wszystko, człowieka, nie mającego wiele do stracenia, prócz własnego życia. Rzuca on je na wysoką stawkę: chodzi o walkę przeszłości, starego rzeczy porządku z nowym, który jak fala oceanu przeciska się przez szczeliny starego statku i grozi zalewem... Mąż pragnie być sternikiem okrętu przeszłości. Możemy być

pewni, że statku już nie opuści, ale z nim razem pójdzie na dno.

Dramat społeczny.

Od pierwszego głosu oburzenia na wiek bankierów i ciemniźcicieli, który z Genewy dochodzi do Reeva (t. I. 252 i 260), nie ustają w Krasińskim obawy o przyszłą dolę społeczeństwa. Owszem, widzieliśmy, że obawy te potęgują się w miarę, jak własne i Polski nie-szczęścia goryczą przepełniają mu serce i doprowadzają go do stanu nerwowego podniecenia, w czasie którego ani chwili spokoju nie zazna: na spacerze w Ferney, po pogrzebie Sobańskiego w Genewie, w zaciszu pensjonatu genewskiego — wszędzie już będzie go ściagać myśl przygnębiająca o zaniku powolnym obecnego stanu społecznego i lęk przed przyszłością jakąś niepewną, nieuchwytną, nieokreślną.

Krasiński złą wróżył przyszłość systemowi arystokracji i przewagi możnych.

W lipcu 1833 r., a zatem tuż przed napisaniem *Nieboskiej*, pisze krótko do Gaszyńskiego:

»Wiesz? Kiedy zarzucam wzrok na przyszłość, widzę jedno śmierć dla nas, t. j. dla tych, którzy są mojego i twojego zdania. Czy z góry, czy z dołu, przyjdzie na nas wyrok«.

Rozumiał, że zło leży głęboko, że narosło z win stuleci całych i że zaradzić nie potrafi już ta lub owa forma rządu. Młodzież ówczesna wierzyła jeszcze w ustrój rzeczypospolitej. Gaszyński zapewne,

tak jak wielu na emigracyi, spodziewał się przewrotu rychłego, upadku Orleanów i wznowienia rzeczypolitej. Krasiński nie podzielał tych złudzeń.

»Z jakich ty ludzi złożysz rzeczpospolitą we Francyi?... Czy z kupców, którzy panują; czy z robotników, którzy w warsztatach pracują dzisiaj? *Bo nikogo więcej już nie widzę na tej ziemi*; a przyznasz mi, że ni jedni, ni drudzy nie zdali się do porządku rzeczy, wymagającego największych poświęceń. Pierwsi są chciwi i srodzy, bo władną; drudzy są chciwi i namiętni i okrutni, bo cierpią. Przy takim stanie świata, dwa systemata być mogą tylko: despotyzm i anarchia...

Ja wiem, że cywilizacya nasza ma się ku śmierci; wiem, że bliskie czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą starać i same się potępić w obliczu Boga, — ale wiem, że one nie utworzą, nie zbudują; przejdą, jak koń Attyli, i głucho po nich!

Dopiero to, czego ani ty, ani nikt nie zna, nie pojmuje — nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje; — ale wtedy i twoje i moje kości próchnem gdzieś będą!« (*Do Gaszyńskiego, 17 stycznia 1834*).

To przeciwstawienie kupców — robotnikom, to wyrażenie, że »nikogo więcej już nie widzi na tej ziemi«, jest dowodem, że Krasiński sięgnął do samego wnętrza, do samej Gehenny społecznej niedoli. Nie-sprawiedliwość panujących stosunków, wszechwładne panowanie kapitału nad rozgoryczoną biedą i upośledzeniem proletaryatu, nie dochodziły oczywiście w latach 1832—1835 do tych strasznych rozmiarów,

co dzisiaj, w czasach, kiedy bezrobocie ciągle wybuchające raz w tym, raz w owym kraju, zapowiadają, jak kratery wulkanów czynnych, że w łonie społeczeństwa wre lawa i szuka sobie drogi na zewnątrz. Kiedy jednak Krasiński bawił po raz drugi w Genewie, zaczęło być coraz to głośniej o Saint-Symonistach, ich zasadach, organizacyi i propagandzie.

Musimy zatem zastanowić się tu nad istotą i znaczeniem Saint-Symonizmu, ponieważ wywarł on wpływ niezaprzeczony i stanowczy na zasadniczą ideę *Nieboskiej*. Dotkniemy szczegółów nawet, na pozór zbyt technicznych, mających jednak związek z głównymi ideami poematu.

Saint-Simon, twórca duchowy sekty, umarł w r. 1825. Przeczulił on pozytywizm i socjalizm, ale sam nie napisał dzieła zasadniczego i nie był zdolny do stworzenia systemu. Jako uczeń Adama Smitha i Jana Bapt. Say'a doszedł do wyników sprzecznych z zasadami tych ekonomistów. W społeczeństwie przyznawał pierwsze miejsce przemysłowcom i bankierom, równocześnie domagał się od nich polepszenia bytu proletaryatu. Ostatnie jego dzieło *le Nouveau Christianisme* zapowiadało wykład moralności, dogmatu i kultu nowej religii; ale śmierć przerwała dokończenie pracy. Był on zwiastunem nowej szkoły, rzucał pełnemi dłońmi myśli, których urzeczywistnieniem zajęli się zaraz po jego pogrzebie wielbiciiele tego reformatora. Do uczniów jego zaliczyć należy słynnych potem: Augusta Comte'a i Augustyna Thierry; ci jednak jeszcze za życia St-Simona odstrychnęli się od niego. Do wiernych liczyli się L. Halévy i O.

Rodriguez, wreszcie Enfantin, założyciel pisma p. t. *le Producteur*. Doktryna tego pisma polegała na takim argumentowaniu. Trzema wielkimi produktami działalności ludzkiej są: sztuki piękne (w najogólniejszym znaczeniu), przemysł i wiedza. Wszyscy pracownicy są: albo przemysłowcami, albo uczonymi, albo artystami. Ci, co się nie mogą zaliczyć do żadnej z tych kategorii, są to próżniacy. Próżniactwo musi zniknąć. — Co do władzy, jest ona albo duchowa, albo świecka. Władza duchowa przejdzie od duchowieństwa do uczonych, którzy oświatą publiczną się zajmą. Władza świecka dostanie się najznakomitszym z przemysłowców, uczonych i artystów. Oni określą każdemu miejsce i zajęcie stosownie do poszczególnego uzdolnienia. Jest to bowiem szaleństwem domagać się absolutnej równości, jak ją sobie wyobrażają niektórzy demokraci. Nierówność, hierarchia, polegająca na różnicy zasług, jest konieczną do życia społecznego.

Część filozoficzna tego programu jest owocem rozmyślań Augusta Comte'a.

Idee ekonomiczno-społeczne w czasopiśmie *Producteur* wychodziły z pod pióra przyszłego papieża St-Symonizmu. Był nim Enfantin. Przewodnią myślą jego systemu organizacyi społecznej była teoria stowarzyszania się (l'association). W nowym rządzie społecznym, według niego, bankierzy będą rejdować. Dzięki kredytowi, papier zastąpi monetę.

Ubocznie rzuca Enfantin myśli o niemoralności pojęcia własności: »dziedziczenie rozwija zmysł próżniactwa«. Podobnież co do wartości produkcji idzie

Enfantin za Ricarde'em, rozwija jego myśli o nadwartości i woła: »Znaczy to, że robotnicy płacą ludzi niektórych za to, że ci nie nie robią. Ten artykuł Enfantina w *Producteur* z roku 1825 zawiera w związku całą książkę o »Kapitale« Marxa. Ale Enfantin nie kieruje się ani zawiścią, ani nienawiścią, unika dróg gwałtownych do osiągnięcia celu i jest przekonany, że dobrze funkcjonujący kredyt doprowadzi w spokoju do zmiany zasadniczej: zniesienia dziedziczności.

Nie poprzestając na ideach ekonomiczno-społecznych, adepci Saint-Simona zgromadzali się często, aby omawiać idee religijne mistrza. Był to konieczny hołd i trybut, złożony romantyzmowi epoki, która bez religijnej przymieszki obejść się nie mogła. Eugeniusz Rodriguez, żyd, brat ucznia St-Simona, postanowił stworzyć nową religię ludzkości; zaraz pomyślał o hierarchii w grupie Saint-Symonistycznej, z której starał się zrobić gminę religijną. Przywódcy sekty tworzyli »kollegium« i nazywali się »Ojcami«. Członkowie innych stopni (było tych stopni 4) zwali się synami. Członkowie tego samego stopnia zwali się między sobą braćmi.

Nowy ten religijny duch w sekcje zraził wielu starszych członków. Comte i Halévy wystąpili z grupy. Po śmierci Eug. Rodriguez'a główną rolę wśród Saint-Symonistów odegrali: Enfantin i Bazard. Bazard, syn nieprawego łoża, odznaczył się odwagą w walce 1814 r. i niezwykłą ambicją. Był to logik Saint-Symonizmu; niewymowny, chłodny, nie umiał wzruszać, ale potrafił przekonać. Na zewnątrz wcie-

leniem St-Symonizmu był Prosper Enfantin. Upokorzenia, jakich doznał za młodu, otworzyły mu oczy na nierówności społeczne: zapragnął innych podstaw życia; stworzył system, do którego umiał wciągać ludzi. Pięknym był mężczyzną, obdarzonym głosem miękkim, jedwabnym, z natury był wesoły i pod tym względem tworzył przeciwieństwo z Bazardem, zgryźliwym śledziennikiem; wywierał urok na prozelitów. Pewność siebie miał Enfantin ogromną; z tej pewności był tylko krok jeden do uwierzenia w jakąś opatrnościowość swego powołania: to mu się zdawało, że zajmie z czasem miejsce wśród założycieli religij, jak Mojżesz, Zoroaster, Mahomet, to znowu ulegał złudzeniu, że może jest nowem wcieleniem Jezusa Chrystusa. W życiu prywatnem dalekim był od ascezy. Lubiał dobrze zjeść i wypić; całkiem naturalny to objaw w dawnym komiwojażerze win. Na byle jakie pochlebstwo kobiecie dał się złapać. Żenić się nie chciał, nawet wtedy, gdy był powinien (był ojcem nieślubnym dziecka, które zresztą dobrze wychował), bo uważał, że małżeństwo zniknie niebawem ze stosunków społecznych.

Enfantin, Bazard i Rodriguez zorganizowali partję, którą nazywano zrazu *les Producteurs*, a później *Saint-Simonistami*.

Zbór Saint-Symonistów był początkowo bardzo skromny, z czasem wzrósł i wzmógł się przez przyjęcie do swego grona bogatszych adeptów, np. G. d'Eichtala, żyda.

Pierwsze posiedzenie publiczne odbyło się dnia 10 grudnia 1828 r. Bazard przemawiał. Na zapytanie

kogoś z publiczności, aby wyraźnie powiedziano, kim są Saint-Symoniści, Bazard sformułował takie *credo*: »Jesteśmy równocześnie dziedzicami katolicyzmu i kontynuatorami rewolucyi; chcemy zniszczyć resztki tronu i ołtarza, a na tych ruinach odbudować społeczeństwo i władzę (*l'autorité*)«.

Konferencye publiczne ogłoszono następnie w 2 tomach p. t. *Exposition de la doctrine Saint-Simonienne 1830*.

Najważniejsze zdania tej doktryny brzmią tak:

Nadszedł czas nowej organizacyi społeczeństwa. Wypadkiem najdonioślejszym w historii ludzkości jest rozwój postępowy idei asocyacyi: rodzina, gród, naród, chrześcijaństwo. Kroczy społeczeństwo do szerszej jeszcze asocyacyi: jest nią ludzkość cała.

Dotychczas silny wyzyskiwał słabego: począwszy od ludożercy, a skończywszy na kapitaliście, co eksploatuje robotnika. Ostatnie nadużycie wynika z prawa własności, które trzeba zmodyfikować. Prawo dziedziczenia powinno przejść z rodziny na państwo. Praca tylko daje prawo do własności. Zamiast eksploatować człowieka przez człowieka, należy całą ziemską eksploatować przez ludzkość.

Nowe pojęcia mają być rozpowszechnione w dwójaki sposób: za pośrednictwem 1) wychowania i 2) prawodawstwa.

Sankcyą wyższą nowego porządku społecznego będzie religia. Religia też doskonalila się w toku wieków (fetysyzm, politeizm, monoteizm).

Nowa wiara będzie syntezą wszystkich idei ludz-

kich, a nowa organizacja polityczna będzie zarazem religijną.

Chryścjanizm nie może być podstawą przyszłej religii: potępił on materią, poniżył ciało dla ducha, a przemysł dla teologii. System chrześcijański polega na dualizmie. System nowy wróci do jednolitości. Oto dogmat: Bóg jest jeden. Bóg jest wszystko, co jest: wszystko jest w nim, przezeń, wszystko jest Nim. Bóg, istność nieskończona, to Miłość bez granic, powszechna, objawiająca się nam pod dwiema głównymi postaciami: ducha i materii, rozumu i siły, ładu i piękności.

Nowa ta trójca wyraża się w porządku socyalnym jako trójca wiedzy, przemysłu i religii. Religia łączy wiedzę i przemysł tak, jak miłość łączy ducha z materią.

Religią kierować będzie człowiek z naturą najbardziej artystyczną, najczulszą, najmiłociwszą: to będzie kapłan najwyższy. Władza i Przemysł będą również miały swych naczelników. Będą to pomocnicy i podwładni najwyższego kapłana. Kapłan najwyższy wyznaczy każdemu jego rangę i pracę: wszyscy ludzie są urzędnikami społecznymi, każdy urząd jest święty. Kapłan będzie prawem żywym, kochanem przez wszystkich. Miłość w podwójnym objawie, dośrodkowym i odśrodkowym, miłość własna i miłość bliźniego — to podstawa hierarchii, racja bytu władzy i posłuszeństwa.

Oto w skróceniu system Saint-Symonistyczny. Polega on prawie całkiem na filozofii historii, jak ją

wówczas pojmowano i objaśniano na podstawie Vico'a i Herdera.

Saint-Symoniści doszli zatem do teokracji, silnie zorganizowanej.

Propaganda nowej sekty szerzyła się dość prędko dzięki rewolucji lipcowej 1830 r., tudzież ofiarności majątniejszych prozelitów. Tymczasem w »kolegium« opracowywano teologię i moralną stronę nowej wiary. Kwestya małżeństwa poddana została dyskusyi.

Saint-Simon przekazał był ustnie taką sentencję: »L'individu social c'est l'homme et la femme«. Enfantin zastosować to chciał najpierw do kleru nowej religii. Kler, według niego, miał się składać z par; w parze z kapłana i kapłanki, »prześwietlonych obłokiem kadzidla«, a więc nie związanych bynajmniej małżeństwem. Pomysł ten natrafił na opór innych członków »kolegium«. Wtedy to (31 grudnia 1829 r.) Bazard i Enfantin ogłosili się wodzami St-Symonizmu. Odstreńczyło to kilku St-Symonistów, ale za to ci, co zostali, byli pod urokiem nowej władzy nowego kościoła. Między jego członkami panowało braterstwo prawdziwe.

Rewolucya lipcowa dodała im zapału. Propagowali »religię St-Symonistyczną« na zebraniach publicznych, które gromadziły ludzi najrozmaitszych zawodów i stanów. »Nawrócenia« stawały się coraz częstsze. Na jednym z takich zebrań Liszt, gorący wielbiciel nowej doktryny, zapoznaje się i zaprzyjaźnia z Heinemem, który później jeden z swych utworów poświęca Enfantin'owi.

Wielu szło na te zebrania z prostej ciekawości

aby zobaczyć »rodzinę« Saint-Symonistów w ubiorze niebieskim, osobliwym... Wybiera się na wieczór taki Saint-Simonistów Reeve, hawiający w Paryżu w przejeździe z Londynu do Genewy.

Każde zebranie miało głównego mowcę, z góry oznaczonego, którego wprowadzali uroczyście ojcowie: Bazard i Enfantin. Przemowy były gwałtowne i porywające. Niezwykłą siłą przekonań i swadą oratorską odznaczał się Emil Barraut. Oto wyjątek z jednej z jego mów z r. 1831, która bądź w streszczeniu, bądź w całości mogła być znaną Krasieńskiemu:

»Opowiedziałem wam naiwnie, kim byłem, kim jestem, kim chcę być... Z kolei ja was zapytam, kim jesteście? Niestety! Alboż wy wiecie? Jesteście-li chrześcijanami, czcicielami samotnego krzyża? Jesteście-li filozofami-niedowiarkami? Czy jesteście zwolennikami upartymi wszystkich przestarzałych stanów prawnych (légitimé)? Czyście liberałami, oburzającymi się na myśl samą o jakiejś hierarchii i marzącymi słodko o chimerze indywidualizmu? Czyście wreszcie ludźmi, lękającymi się wszelkiej nowej idei i ciągle drżącymi na myśl o postępie?... Nie. — Gdybyście szczerze wyznawali jedną z tych opinii, to czyż nie byłoby to szaleństwem z waszej strony przychodzić tu i słuchać nas z religijnem skupieniem? A więc coście za jedni? Oto ludzie, którzy w nie już nie wierzą silnie z tego, w co się dziś jeszcze wierzy, ludzie, którzy przychodzą tu i przynosicie wasz sceptycyzm, wasz niesmak, wasze znużenie, waszą obojętność i niepewność... Rozpra-

wiacie, dyskutujecie, zgłębiacie wszystko, ale nigdy nie działacie. Jakto! wtedy, gdy rozum wasz rozważa z chępliwą powolnością, rozbiera z drobiazgowem upodobaniem najmniejsze szczegóły porządku społecznego, który dajemy, czyż nie słyszycie krzyków boleści lub wściekłości, jęków, stłumionych westchnień i charczenia tylu biedaków, którzy cierpią, desperują, wycieńczają się, konają? Słuchajcie, słuchajcie nareszcie! U Żydów, kiedy na drodze znajdowano trupa, mieszkańcy pobliskiej miejscowości przysięgali, kładąc rękę na zwłokach, że nie byli w niczem winni tego mężobójstwa. Otóż, zaklinam was, zrozumieście mnie! Na widok tego ludu całego, który widzicie w błocie ulic waszych i placów, na nędznych śmietnikach, wśród stęchłego powietrza piwnic i stodoł, w przepełnionych szpitalach, w obrzydliwych więzieniach, w bladej głodzie i nędzy, w wycieńczeniu ciężkiej pracy, jak na wpół pokryty łachmanami i w konwulsjach wstrętny jest niemoralnością, udręczony łańcuchami, zaledwie żyjący — zaklinam was, dzieci klas uprzywilejowanych, którzy tyjecie z potu nędzarzy, wyzyskiwanych na waszą korzyść — przysięgnijcie, żeście nie winni tych cierpień, tych bólów, tej agonii. Przysięgajcie! — Nie mielibyście do tego odwagi!«

Łkania, płacze, uściski były odpowiedzią na tę mowę.

Powoli sekta wciągnęła w zakres swej propagandy drobnych mieszczan i robotników. Równocześnie rozpoczęło się działanie misyj na prowincyi, zwłaszcza na południu Francyi, z ogromnem powodze-

niem. W połowie 1831 roku mieli Saint-Symoniści już sześć »kościółów«: w Tuluzie, Montpellier, Lyonie, Dijon, Limoges, Metz, a nadto 9 środowisk propagandy, która nawet w wojsku francuskim się szerzyła. Trzech kapitanów dało swą dymisję i wystąpiło z armii, aby się poświęcić całkiem pracom sekeyi. — W Szwajcaryi dostaje się Saint-Symonizm do Lozanny za pośrednictwem kilku politechników, mających stosunki w Enfantin'em. W Anglii doktryna ta nie miała wielkiego powodzenia, ale wywarła wielkie wrażenie na młodym filozofie Stuarcie Millu, który poznał osobiście Bazarda i Enfantina w r. 1830 w Paryżu. Ponieważ Stuart Mill doskonale się znał z młodym Reevem, nie jest więc wykluczonem, że opowiadał Reevowi dodatnie wrażenie, jakie mu Saint-Symonizm zostawił. Listownie Reeve nie wzmiankuje tego, ale ustnie mógł Krasieńskiemu udzielić spostrzeżeń i wyobrażeń Stuarta Milla o Saint-Symonizmie.

Saint-Symoniści postanowili także działać na sfery polityczne zapomocą prasy. Udało im się pozyskać dziennik wpływowy wśród młodszego pokolenia, *le Globe*, dotychczasowy organ polityków, którego opinie estetyczne i literackie przemawiały do przekonania Mickiewicza, gdy jeszcze bawił w Rosyi. Po lipcowej rewolucyi *le Globe* stał się Saint-symonistyczny. Nawet tak bystra i rozumna głowa, jak Sainte-Beuve, jeden z redaktorów *Globu*, życzliwie się zapatrywał na nową sektę. Założyciel *Globu*, Piotr Leroux, dał się pociągnąć Enfantinowi. Od 18

lipca 1831 r. *Globe* dodał do tytułu swego: *Journal de la doctrine de Saint-Simon*.

Rozruch robotniczy w Lyonie, ten sam, który tak przeraził Krasieńskiego w Genewie, był jakby wodą na młyn idei St-Symonistycznych. Zaraz *Globe* zażądał zniesienia podatków bezpośrednich, ogłoszenia nowej religii, aby położyć tamę rozruchom krwawym. St-Symonistom lyońskim dali »Ojcowie« z Paryża rozkaz, aby uspokajali walczących. Mimo to szerzyły się w prasie urzędowej i nieurzędowej pogłoski, że Saint-Symoniści przyczynili się do rozruchów lyońskich; być może, że i Krasieński uwierzył tym fałszywym pogłoskom.

Pomijamy tu reformy finansowe, proponowane przez Saint-Symonistów, a zwracamy uwagę na zalecanie prac publicznych, a przede wszystkim środków komunikacyjnych. Na polu literatury i sztuki Saint-Symoniści byli barbarzyńcami; dość powiedzieć, że domagali się zburzenia Luwru i Wersalu, jako wyobrazicieli idei przeżytych, nieegzystujących. Zanosilo się nawet na zwalenie wspinałego zabytku architektury średniowiecznej w Paryżu, kościoła St. Germain l'Auxerrois. *Globe* zadowolony był z tego: »Po co kościoła i zamku, skoro się nie chce już ani księdza, ani pana«.

W r. 1831 osiąga Saint-Symonizm szczyt popularności i niepopularności. Miał entuzjastycznych zwolenników, miał też zaciętych wrogów. Niewielu tylko zdołało oddzielić tam ziarno, plenne na przyszłość, od plewy. Polemika wrzała. Największymi przeciwnikami Saint-Symonistów byli chrześcijanie, katolicy

i protestanci, oburzeni nadużyciem imienia religii i kościoła. Pojawiały się broszurki katolickie o Saint-Symonizmie. Z samego tylko r. 1831 mamy trzy: *Joua, Entretiens sur les Saintsimoniens, Rouen*; — *Les Saint-Simoniens à Lyon, 1831*. — *Lettre aux prédicateurs de la doctrine Saint-Simonienne, Dijon 1831*. — Nie brakło ataków z obozu na pozór zbliżonego do Saint-Symonistów. Słynny Fourier, trochę może z zazdrości, że nie jego system bierze górę, ogłosił w r. 1831 broszurę p. t.: *Piège et charlatanisme des deux sectes Saint-Simon et Owen*. Wreszcie w uniwersyteckiem nawet zaciszu rozległ się poważny głos historyka Lacretell'a, zwalczający *lege artis* nową doktrynę.

Ale największe niebezpieczeństwo dla rozwoju sekty tkwiło w niej samej, w jej organizacyi. Odmienne charaktery obu »ojców«, Bazarda i Infantina, musiały doprowadzić do nieporozumień między nimi. *Cherchez la femme...* Kwestya roli i znaczenia kobiety była wprawdzie określona w Saint-Symonizmie przez ustanowienie pary kapłańskiej: ale pozostawała niejedna jeszcze niejasność. Infantin, który zrazu był za tem, aby stosunek kapłana do kapłanki był zupełnie platoniczny, zmienił z czasem zapatrywanie. Z nieubłaganą logiką wyciągnął on bardzo daleko idące wnioski z tego dogmatu Saint-Symonistów, że ciało jest równie święte, jak duch. Zwierzchnik, działający na podwładnych wszystkiemi sposobami, mógł dojść do przekonania, że środki duchowe nie wystarczają, że łatwiej i skuteczniej można będzie na podwładnych i podwładne oddziaływać zapomocą sto-

sunków płciowych... Rozumował dalej Infantin, że rodzina jest nieodłączną od własności indywidualnej i dziedzicznej; skoro znosi się te ostatnie, to musi i rodzina jako taka zniknąć; a tak kolektywizm doprowadził go konsekwentnie do teoryi o wolnej miłości: Oto nieszczęśliwym małżonkom należy dać furtkę wyjścia z położenia fatalnego; najpierw zapomocą rozwodu. Kapłan i kapłanka mogą i powinni oddziaływać na podwładnych wszelkimi sposobami. Kapłan i kapłanka kochają się gorąco między sobą, ale kochają zarazem swe dzieci w Saint-Simonie (*fils en St-Simon*) i niczego nie powinni im odmówić, coby się mogło przyczynić do ich szczęścia i zdrowia. Infantin szedł tak daleko, że w liście do swej matki przewidywał możliwość oddania własnej żony (a nie był żonatym) w objęcia jakiego Saint-Symonisty, gdyby od tego zależeć miało szczęście i życie tego człowieka.

Te wstrętne doktryny nie znalazły uznania u Bazarda. Sprzeczki z Infantinem były zrazu ukryte przed kolegium, ale z czasem stały się jawne, a gdy dołączały się do kwestyi kobiecej także inne sporne, np. prawo publicznej i jawnej spowiedzi — Bazard zerwał z Infantinem w listopadzie 1831 r., wystąpił z sekty, ogłosiwszy w następnym roku broszurę wyjaśniającą p. t.: *Discussions morales, politiques et religieuses qui ont amené la séparation qui s'est effectuée au mois de novembre 1831 dans le sein de la société saint-simonienne*. Za Bazardem poszli inni znakomitsi Saint-Symoniści: Leroux, Carnot i w. i. Nie zmięszało to Infantina. Ogłosił (listopad

1831), że »stara moralność« ma być wykonywaną skrupulatnie aż do ukonstytuowania nowego dogmatu. Hierarchia zostaje nadal obowiązującą dla mężczyzn, zniesioną jest dla kobiet aż do zjawienia się Matki, kobiety-Mesyasza, która przez związek swój z Ojcem utworzy naj wyższą parę, *le Couple-Prêtre*. Odtąd, podczas posiedzeń Saint-Symonistycznych kazał Enfantin stawiać koło siebie fotel pusty, jako wyraźną odezwę do kandydatek na przyszłą Matkę Saint-Symonizmu.

Od listopada 1831 r. do lutego 1832 r. dał Enfantin kompletny wykład swych teoryj. Na jeden z nich wybrał się Reeve podczas swego pobytu w Paryżu. Nie znając wcale Hegla, odkrywał Enfantin jego sposób argumentowania, widząc wszędzie dwa pojęcia przeczące sobie, pogodzone jakimś trzeciem (teza — antyteza : synteza):

Wiedza i przemysł łączą się i godzą w religii: człowiek i świat w Bogu — ja i nie ja w nieskończoności.

Rodriguez był jeszcze dotąd wiernym Enfantinowi. Ale gdy logik Saint-Symonizmu ogłosił, że w przyszłym społeczeństwie dzieci nie będą znały swych rodziców, było tego Rodrigueza o wiele, odłączył się i wydał manifest jako uczeń St-Simona, mający prawo do przewodniczenia sekcje.

Wreszcie nadeszło prześladowanie rządu. 20 kwietnia 1832 r. wyszedł ostatni numer *Globu* z manifestem Ojca, Enfantina:

»Ja, Ojciec rodziny nowej,

Zanim nakazę umilknąć głosowi, który codzien

ogłasza światu, kim jesteśmy, chcę, by głos ten powiedział, kim ja jestem. Bóg dał mi misję powołania proletaryatu i kobiety do nowego przeznaczenia, misję wprowadzenia do świętej rodziny ludzkiej wszystkich tych, którzy dotychczas byli z niej wykluczeni, albo byli w niej uważani za małoletnich; misję urzeczywistnienia towarzystwa (*association*) powszechnego, którego domagają się od początku świata głosy o wolność wszystkich niewolników, kobiet i proletariuszów«.

Ojciec Enfantin tegoż dnia przeniósł się z adeptami swymi do Menilmontant na wspólne życie. Było ono klasztorne niemal, uregulowane według godzin. Enfantin wymyślił osobny kostyum dla Saint-Symonistów: jasno-niebieski surdut, biała kamizelka, na której czerwonymi literami wypisane było nazwisko właściciela ubrania i białe spodnie. Kamizelka zapinana była z tyłu i nie można jej było zapiąć bez obcej pomocy. Miało to Saint-Symonistom przypominać codzien ich braterstwo. Zaczęto w ogrodzie przy domu wspólnym budować świątynię.

27 sierpnia rozpoczął się proces Saint-Symonistów. Odbywały się dziwne sceny podczas zaprzysięgania świadków. Skazano Enfantina i dwu innych na rok więzienia i 100 franków kary. Dom w Menilmontant rozprószył się na rozkaz Enfantina. — 15 grudnia 1832 Enfantin rozpoczął odsiadki kary więziennej, przygnębiony i rozczerwony: od roku oczekiwał i wzywał kobietę-Mesyasza bez skutku! Inni Saint-Symoniści spodziewali się Matki na r. 1833; wyglądano jej ze Wschodu.

Enfantin, po wyjściu z więzienia, postanowił udać się na Wschód, do Egiptu. Ciągnęły go tam wspomnienia napoleońskie, ale przedewszystkiem projekt kanału sueskiego, poruszony dawniej już przez Saint-Symonistę Michała Chevalier. W towarzystwie kilku przyjaciół stanął Enfantin w porcie Aleksandryi w październiku 1833 r., a zjednawszy sobie dla projektu Mahmeta-Ali, rozpoczął zrazu prace wodne nad Nilem (*le barrage*), ale skutkiem epidemii, chorób i śmierci towarzyszy prace przewlekły się. Enfantin wrócił do Francyi w r. 1837.

Tymczasem sekta Saint-Symonistów we Francyi rozlażała się powoli i właściwie jako grupa wymarła w r. 1833. Niektórzy z Saint-Symonistów, pomimo zerwania z Enfantinem, pozostali wierni ideałom Saint-Symonistycznym; inni przeszli do furyeryzmu. Kilku wróciło do chrześcijaństwa. Saint-Symonistów poznać można po wspólnym rysie: jest nim wiara w ideę postępu. Postęp jest dla nich podstawą historii, prawem ludzkości, źródłem wszystkich nadziei. O tej wierze w postęp wie doskonale hr. Henryk w rozmowie z Pankracym.

Duch Saint-Symonizmu przetrwał o wiele dłużej. Historia tej doktryny nie kończy się ani z uwięzieniem Enfantina, ani z powrotem jego do Francyi z Egiptu. Jeszcze za Napoleona III nie tylko żyli St-Symoniści, ale trwała doktryna St-Symonistyczna. Dawni sekcjarze z Menilmontant z rozrzewnieniem wspominali lata młodzieńczego zapału dla sprawy wspólnej i wiary bezgranicznej w »ojca«. Przyjaźń

wówczas zawarta przetrwała lat dziesiątki. Ale dalsze dzieje Saint-Symonistów już nas tu nie obchodzą.

Saint-Symonizm jest zatem obszerną syntezą, zawierającą pewną metodę, pewną metafizykę i pewną organizację społeczną. Tą metodą jest pozytywizm, metafizyką: panteizm, organizacją społeczną: kolektywizm. Wszystko składa się na religię ziemską, która ma wyprzeć religię chrześcijańską. Pozytywizm Saint-Symonistyczny żył dalej w pozytywizmie Comte'owskim. Metafizyka tej doktryny panteistyczna nie uznaje właściwie śmierci, widzi wszędzie ciąg dalszy dawniejszego życia bez jakiegokolwiek przerw.

Kolektywizm Saint-Symonistyczny jest przede wszystkim religijny, różny od materialistycznego, niereligijnego kolektywizmu Karola Marxa. Duch doktryn jest odmienny; marxiści myślą mylko o reformie materyalnej społeczeństwa, Saint-Symoniści dołączają do niej jeszcze reformę moralną.

Polepszenie fizyczne, moralne i umysłowe proletariatu pozostało zawsze hasłem Saint-Symonizmu. Jako środki praktyczne do osiągnięcia tego celu zalecał on zakłady kredytowe, roboty publiczne i wychowanie ludu. Wszystkie stronnictwa dzisiejsze godzą się dziś na te środki.

Wpływ Saint-Symonizmu na literaturę współczesną i sztukę nie da się zaprzeczyć i jest dziś uznany. Znakomity pisarz francuski, M. de Vogüé, powiedział: »Wpływ małej grupy Saint-Symonistycznej na wiek nasz był może trwalszy i potężniejszy, niż wpływ wielkiego ruchu literackiego; odnajdujemy

go na początku wszystkich przeobrażeń ludzi i rzeczy, obyczajów naszych i praw».

Nie bez racji zatem mówił Enfantin: »Świat podzieli się naszymi szczątkami«. Rzec można, że największą i istotną zasługą Saint-Symonizmu było rozbudzenie w uczniach swych zamiłowania do pracy, którą wzniesiono na piedestał świętego obowiązku dla każdego człowieka. Saint-Symoniści pracowali z myślą o drugich, nie o sobie tylko, stosownie do ich nauki, która potępiała egoizm, a zalecała solidarność.

Dziś zatem historia, obejmując Saint-Symonizm w całym jego przebiegu, widzi obok śmiesznych i zdrożnych objawów zarody krytycznej i zdrowej myśli, pobudzającej do koniecznych reform społecznych. Ale w r. 1833 trudno było przewidzieć, które prądy w Saint-Symonizmie wezmą górę. Jest to zatem zupełnie naturalne, że Krasiński zwrócił przede wszystkim uwagę na zwyrodnienie obyczajowe, które niósł z sobą projekt Enfantina o wolnej miłości, a w naruszeniu samych podstaw społecznych, w rozluźnieniu węzła rodziny widział upadek ludzkości i jej zdziczenie.

Natomiast podziwu godna jest konsekwencja logiczna, którą poeta wysnuł z założeń Saint-Symonistycznych: nie wiedząc jeszcze, do czego po wielu latach, po śmierci jego, Saint-Symonizm doprowadzi, nie znając nawet nazw socjalizmu i komunizmu, on je już logicznie przepowiedział i konieczność ich wyrozumował, jak ów słynny astronom, który matematycznie wykazał istnienie nowej planety, zanim

ją teleskop na niebios przestrzeni odszukał. Gdyby *Nieboska Komedia* ukazała się była w r. 1835 równocześnie w oryginale i w przekładzie francuskim, byłaby zwróciła na się uwagę całego wówczas myślącego ogółu, a dziś byłaby kamieniem węgielnym wszechświatowej sławy Krasińskiego. On pierwszy bowiem wprowadził Saint-Symonizm do poezji, tak jak on pierwszy stworzył dramat nie z antagonizmów narodowych, nie z bied i trosk jednym krajem i jedną mową objętych, ale z rozdarcia się całej ludzkości na dwa wrogie obozy: uciskających i uciskanych.

Wielki rozum Krasińskiego *przewidział*, a zbolełe serce jego *odczuło* niedolę upodlonych i krzywdzonych. Czy to istotnie w r. 1833 napisane, a nie dzisiaj, w dobie ciągłych strejków i zmów wszelkiego rodzaju:

»Czy widzicie, jak oni czekają niecierpliwie, szmerzą między sobą, do wrzasków się gotują, wszyscy nędzni, ze znojem na czole, z rozczochranemi włosy, w łachmanach, z spiekłemi twarzami, z dłońmi pomarszczonemi od trudu...

»Kobiety przybyły także, ich matki, ich żony, głodne i biedne, jak oni, zwiędłe przed czasem, bez śladów piękności — na ich włosach kurzawa bitej drogi, na ich łonach poszarpane odzieże — w ich oczach coś gasnącego, ponurego, gdyby przedrzeźnianie wzroku...«

Cóż temu przeciwstawia wyższe warstwy ludzkości? Czy dogmat wiary? Ach, coraz więcej takich, którym dogmat ciąży ołowiem i którzy żyją „bez

dogmatu": »ktokolwiek jesteś, powiedz mi, w co wierzysz — łatwiej byś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie. — Wstydzicie się, wstydzicie wszyscy, mali i wielcy — a mimo was, żeście mierni i nędzni, bez serca i mózgu, świat dąży ku swoim celom, rwie za sobą, pędzi przed się, bawi się z wami, przerzuca, odrzuca — walcem się toczy; pary znikają i powstają, wnet zapadają, bo ślisko, bo krwi dużo — krew wszędzie — krwi dużo, powiadam wam...«

Krasiński przewidywał krwawe rozwiązanie kwestyi społecznej i na tem tle osnuł ostatnią część *Nieboskiej*. Czy miał rację? Przyszłość odpowie. Nie brak dziś poważnych usiłowań, indywidualnych i państwowych, aby walkę klas przeprowadzić tylko w sferze naukowo-praktycznej, a szeregiem ustaw nowych zażegnać burzę społeczną, zadowolić wymagania najniezbędniejsze proletaryatu i przez powszechne zdemokratyzowanie społeczeństwa dojść do pokojowego rozwiązania strasznego problemu. Ale czy usiłowaniam tym nie stanie w poprzek elementarna siła najniższych popędów człowieka, siła i pragnienie zemsty, krwawego odwetu za lata upodlenia i nędzy, — któż zaręczy?

Saint-Simoniści zapewniali o swem usposobieniu pokojowem, o dążeniu do spokojnej przemiany stosunków, nie do krwawego przewrotu — ale byli już wówczas i tacy, którym spieszo było do urzeczywistnienia raju na ziemi za jakąkolwiek cenę. I kto by dał wiarę? Te głosy ochryple od wściekłego podjudzania biednych do zemsty, do walki z bogaczem,

rozlegały się wprawdzie nad Sekwaną, ale w obcym tam języku! To były polskie głosy: W sierpniu 1833 r. ukazuje się w Paryżu prospekt na pismo emigracyjne p. t. *Nowa Polska*. Czytamy tam:

»Wolność ludzkiego ducha, zupełne usamowolnienie myśli i ludzkich towarzystw, powstanie przeciw przeszłości, powszechne przekształcenie Europy, nowy kierunek ludzkiej wiedzy, wzniesienie jednej i ogólnej syntezy (!) myśleniu, nowa wiara, nowa ludzkość, nowa jej przyszłość: ten jest symbol Nowej Polski«. Program był, jak widzimy, bogaty... Bogactwo programu jest, jak wiadomo, stałą cechą wszystkich prospektów dziennikarskich. Ale »Nowa Polska« dopełniała, jak mogła, przyrzeczeń. Na dalszych jej kartach czytamy takie wywody: »jest pewna, że dziś wielki posiadacz ziemi, że książę, że hrabia, że Pan, że szlachcic obszerne posiadający włości, jest dziedzicem rabunku, posiada przez wojnę, jest synem szczęśliwego wojownika... (str. 113).

»Nadchodzi sąd ostateczny, świta dzień naprawienia historycznych zbrodni. Ujarzmieni, złupieni, ciemnieni, niewolnicy, nie mający nic, powstają przeciw synom przywłaszczenia, przeciw dziedzicom rozboju... Towarzystwo najazdów i wojny jest rozwiązane i niewolnicy są usamowolnieni, człowiek uznał swoją godność i uznał, że jest równy dziedzicom swoich zwycięzców, że ziemia powinna być wspólna i wolna, że przeto społeczeństwo swoim początkiem niesprawiedliwe musi być zniszczo-



ne, że przez zniszczenie nadużyć zajaśnieje nowy wiek ludzkości, odrodzenie, naprawienie.

Używaliście — ustąpcie! Wrócił prawdziwy właściciel; społeczeństwo usamowolnione samo chce siebie urządzić. (Nowa Polska, Paryż 1833, str. 114).

Tak pisał niedoszły polski Pankracy nad Sekwaną, a w poemacie Krasińskiego codosłownie powtórzy hr. Henrykowi:

»Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, *ustąpcie* młodym, zgłodniałym i silnym!«

»Nowa Polska« poczuwała się zrazu do Saint-Symonizmu, który przebija z wielu jej kart, a zwłaszcza z tego ustępu (str. 118): »Są współczujące dusze, nie jesteśmy sami — pragniemy być ostrzegającymi rozkrzewicielami nowej wiary«.

Ale upadek Saint-Symonizmu przeraził redaktorów Nowej Polski: »Upadek tych Ikarów był zbawiennym przestrzeżeniem pisarzom »Nowej Polski« (str. 144).

Nie ulegał zatem Krasiński żadnym hallucynacyom, ani był pod wpływem rozgorączkowanej wyobraźni, gdy malował straszną część trzecią *Nieboskiej Komedyi*, prawdziwą noc walpurgijską rozbestwionej ludzkości... On ją odczuwał wszystkimi zmysłami zbolelej i cierpiącej duszy i jak Dant za życia przeszedł przez piekło przyszłych pokoleń, staczających się zwolna, lecz stale, przyspieszonym pędem, ku przepaści...

»Powstanie przeciw przeszłości« — mówi anonimowy autor artykułu »Nowej Polski« i w tych trzech wyrazach zamyka istotnie cały problem *Nieboskiej Komedyi*. Wiemy, że »Mąż«, hr. Henryk

rozumie doskonale konieczność nadchodzącej walki, że wzywa Przeszłości, by mu była »ku pomocy«, owszem, by się weń wcieliła: »a jeśli się duch twój wrócił do łona Boga, niechaj się znów oderwie, wstąpi we mnie, stanie się myślą, siłą i czynem«.

Przeszłości zagląda w same białka oczu — Teraźniejszość. Jej wcieleniem Pankracy, człowiek gienialny, który wyszedł z czarnej masy pospólstwa (*un homme de génie, sorti de l'obscurité*: do Reeva) i na jej wzburzonych falach góruje. Człek to w podwójnem znaczeniu wyrazu — bez przeszłości, bez wspomnień rodzinnych, nie uznający jej i gardzący nią. Wiarą jego: »jęk przez rozpacz i boleść, wydarty tysiącom tysięcy — głód rzemieślników, nędza włościan, hańba ich żon i córek, poniżenie ludzkości ujarzmionej przesądem« — innymi słowy niedola i nędza ludzkości to jest »Bóg« Pankracego »na dzisiaj«, czyli program najbliższej działalności. Pankracy nie byłby gienialnym, gdyby tylko do bezmyślnej destrukcyi dążył. On wie, że po zniszczeniu trzeba odbudowania, po zaoraniu nowego zasiewu, ale spokojnym jest o przyszłość ludzkości: »Z pokolenia, które piastuję, w sile woli mojej narodzi się plemie ostatnie, najwyższe, najdzielniejsze. Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów. Oni są ludźmi wolnymi, panami jej od bieguna: Ona cała jednym miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu«.

Nie dziw, że człowiek, rozłaczający taki ponętny obraz raj u ziemskiego przed oczyma zgłodniałych

i wynędzniałych tłumów pociąga je za sobą, jest ich bożyszczem, ich »wściekłością i kochaniem«.

Postać to genialnie odczuta i po mistrzowsku namalowana. O niej jednej może wśród całej galeryi postaci, stworzonych przez Krasińskiego, można powiedzieć, że jest namalowana: inne, nie wyjmując hr. Henryka, są raczej biustami marmurowymi, posągowo białymi, o delikatnem wyrzeźbieniu głowy. Pankracy, po kilku pociągnięciach pióra, staje jak żywy przed nami, prosi się niemal o płótno i pędzel:

»wstąpił na stół... mówi do nich... Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny; każde słowo rozeznasz, zrozumiesz, ruchy jego powolne, łatwe, wtórują słowom, jak muzyka pieśni; czoło wysokie, przestronne, włosy jednego na czaszce nie masz: wszystkie wypadły strącone myślami — skóra przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy koście i muszkuły — a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasuje; nigdy krwi, nigdy zmiennej barwy na licach — oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy. Chwili jednej zwątpienia, pomieszaniam nie dojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wyteży ponad nimi: schylają głowy, zda się, że wnet uklęką przed tem błogosławieństwem wielkiego rozumu — nie serca; precz z sercem! z przesadami! a niech żyje słowo pociechy i mordu«.

Ten »władzca dusz i zapału« tłumów nędznych i ciemnych wie dobrze, z jak kruchej i bezmyślnej gliny lepić ma przyszłą budowę społeczną.

»Pięćdziesięciu hulalo tu przed chwilą i za każdym słowem mojem krzyczało *viva!* Czy choć jeden zro-

zumiał myśli moje? pojął koniec drogi, u początku której hałasuje? ach! *servile imitatorum pecus*«.

»Służalcze naśladowców bydło!« Jak to dobrze, że Pankracy nie zapomniał jeszcze łaciny i zwrotem Horacego umie przed ogółem pokryć swą dumną wzgardę dla owczego pędu ludzkości! Zna on na wylot te tłumy, jak je znają dzisiejsi przewodcy proletaryatu! Wiedzą dobrze, ile bezmyślności jest w krzykach i oklaskach wielkiej masy, która słów nie potrafi sprawdzić, ani prawdy odróżnić od fałszu — instynktem kocha, instynktem nienawidzi i mści się i morduje instynktem!

Dwaj przedstawiciele dwu rozbieżnych kierunków: przeszłości i teraźniejszości, pragną się przed stanowczem starciem i ostatnią bitwą poznać i nawzajem przeniknąć. Pankracy szuka Hrabiego w starodawnej siedzibie arystokratycznej: hr. Henryk szuka Pankracyego w tym czarnym tłumie, który wydał »władcę swych dusz«, a zarazem jest dzieckiem jego myśli i powolnem jej narzędziem. Spotkanie było nieuniknione i da się bardzo łatwo objaśnić temperamentem i charakterem obu przeciwników. Pankracy jest urodzonym agitorem i wielkim łowcą dusz do swego społecznego wniku. Porwał za sobą miliony i kroczy na zagubę ostatniej twierdzy arystokratycznej. Zgnieść ją materyalnie, nie sztuka! Tysiącom setki się nie oprą. Ale Pankracy marzy o większym tryumfie: moralnym! On wie, że w całej twierdzy św. Trójcy jedyną głową myślącą, jedynym istotnym przeciwnikiem jest hr. Henryk — i to go drażni. Jakim sposobem człowiek rozumny może nie uznać

krzyczących gwałtów przeszłości, może się głosić jej obrońcą... On chyba udaje! Ale gdyby tak stanąć oko w oko, rozmówić się, porwać go i przekonać i na swoją stronę przeciągnąć! To dopiero byłby tryumf — już nie brutalny tylko tryumf kułaka nad bezbronnymi, ale zwycięstwo myśli nad myślą...

Leonard, towarzysz Pankracego, sekcjarz zacięty, bezwzględny i — ograniczony, nie może zrozumieć zamiarów Pankracego i posądza go nawet o zamiar zdrady:

»Na co ta odwłoka, te półśrodki, układy, rozmowy... ty nas zdradzasz...«

Pankracy odprawia go najpierw krótko i wzgardliwie:

»Myśl więcej, gadaj mniej, a kiedyś (!) mnie zrozumiesz« —

A potem prosto wyjaśnia mu cel zamierzonej z hr. Henrykiem rozmowy:

»Ja chcę go widzieć — spojrzeć mu w oczy — przeniknąć do głębi serca — przeciągnąć na naszą stronę«. On wie, że hr. Henryk jest wprawdzie »zabitym Arystokratą«, ale jest zarazem poetą i na tym fackie buduje Pankracy swe zamiary. — A pożegnawszy Leonarda, Pankracy odkrywa nam jeszcze tajniejsze pobudki swego postępowania: »Czemuż tak pragnę go (Henryka) widzieć, ośmielić? — czyż duch mój napotkał równego sobie i na chwilę się zatrzymał? Ostatnia to zaporą dla mnie na tych równinach, trza ją obalić, a potem...«

Co potem? To słynne: *et après?* którem, według legendy, najbujniejszych zamiarów młodzieńca do-

prowadzić było można do zastanowienia się i ukrócenia buty nieograniczonej — to pytanie, *co potem?* które każdy człowiek rozumny w chwili swych najgłośniejszych tryumfów stawia sobie w cichości ducha i korzy się przed zagadką bytu — to straszne pytanie nurtuje także pierś Pankracego w przededniu ostatecznego tryumfu.

Co potem? gdy już ten nowy świat z myśli jego się wysnuje, gdy ziemia cała stanie się jednym miastem kwitnącem, a na niej zamieszka plemię najwyższe, najdzielniejsze — *co potem?*

»Myśli moja! czyż nie zdołasz ludzi siebie, jako drugich ludzi sz! Wstydz się, przecie ty znasz swój cel — ty jesteś myślą... panią ludu... Świat nowy utworzyłaś naokoło siebie, a sama błąkasz się i nie wiesz, czem jesteś...«

Spotkanie się z hr. Henrykiem ma być ostatnią próbą dla myśli Pankracego — on chce się zmierzyć z równym sobie rozumem i ostrza swej myśli na nim spróbować. Człowiek, wierzący wyłącznie rozumowi, chce logicznie i konsekwentnie usunąć sobie z drogi ostatnią rozumową przeszkodę i jest pewny zwycięstwa.

Równocześnie hr. Henryk przechodzi także chwile wahania się, wątpienia. Miał on je od początku, gdy się zdecydował na walkę w obronie przyszłości:

»Bądź co bądź, fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zaguba, uwierzę tobie posłanniku chwały...« Uwiadomiony przez Przechrtę o tem, że Pankracy chce się z nim spotkać i rozmówić o północy, hr. Henryk postanawia z narażeniem życia zwiedzić

wprzód obóz wroga, przypatrzeć się nowemu społeczeństwu, wniknąć w jego zamiary i rozstrzygnąć nurtującą w nim wątpliwość, czy przeszłość jest fałszem, czy prawdą.

Towarzyszy mu w tej niebezpiecznej nocnej przechadzce po lesie, zapelnionym nowymi »obywatelami« i »obywatelkami«, figura charakterystyczna pozorowego »Przechrzty«, w gruncie żyda, fanatyka, talmudysty. Kresząc tę postać, znakomicie pochwycił z życia (oko wschodnie, czarne... ramiona obwisłe, nogi uginające się, ciało niedołężnie, w bok schylone, na ustach coś lubieżnego, coś złośliwego, na palcach złote pierścienie -- głos chrapliwy) Krasziński nie ulegał tylko wrodzonemu wstrętowi Aryjczyka do Semity, ale bystro zrozumiał i ocenił rolę Żydów w każdym fermentie społecznym. Nie mogło ująć uwagi jego wpływowe stanowisko Żydów w Saint-Symonizmie (Żydami byli obaj bracia Rodriguez, przechrztami: G. d'Eichtal i Carnot) i logicznie zapowiedział niejako dzisiejsze, przewodniczące stanowisko Żydostwa w socjalizmie.

Rola, jaką odgrywa Przechrzta w *Nieboskiej*, jest ze wszech miar charakterystyczna. Rewolucja społeczna tam tryumfuje; nie dziwnego, że Żydzi są po stronie Pankracego; ale myliliby się, ktoby naiwnie przypuszczał, że przewrót socjalny wystarczy im i pogodzi ich z ludzkością, jako równych z równymi. Izrael chce władzy i panowania. »Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich (goimów) głupstwie i dumie osadźmy potęgę Izraela...

»...uwierzyli pogardzający miłości pogardzonych...«

Przechrzta czuje doskonale, że gardzi nim równie Pankracy, jak i hr. Henryk. Więc ani jednemu, ani drugiemu nie służy przechrzta naprawdę, zwodzi obu, ale ulega im, bo się ich boi. Ten strach fizyczny jest tu wybornie scharakteryzowany, jak niemniej zwroty i sposób mowy (»Miły obywatelu Leonardzie — Wielki obywatelu (do Pankracego) — Jaśnie Wielmożny Panie (do Henryka).

Rozpoczyna się ta wieczorna przechadzka hr. Henryka z Przechrztą po lesie nowego społeczeństwa: istna karykatura wędrowni Danta z Wergilim po Piekło. Rozpoczyna się scena najciekawsza, ta, która z pewnością poddała pocięciu zmianę pierwotnego tytułu »Mąż« na ironiczny napis »Nieboskiej Komedyi«. Jedno tylko, co mogłoby być z tamtej Dantejskiej, boskiej, do tej nie-boskiej przeniesione, to ów charakterystyczny i złowrogi napis:

Lasciate ogni speranza voi ch'entrate.

Zaczyna się ta »komedia« napozór wesoło: tańcem wolnych ludzi, co prawda, »w około szubienicy«. Fantazja poetya odrazu sięga przedewszystkiem do skarbcza własnych wspomnień, do rozmowy w karczmie w Ferney z dziewczyną, zadowoloną z rewolucyi lyońskiej.

Mąż (do dziewczyny): Cieszy mnie, żeś tak rumiana i wesoła.

Dziewczyna: A dyć, tośmy długo na taki dzień czekały — juści ja myłam talerze, widelce szorowała ścierką, dobrego słowa nie słyszała nigdy — a dyć czas, czas, bym jadła sama — tańczyła sama...

Nieznacznie wnosimy się od spokojniejszych tonów ku coraz dzikszy: po chórze lokai słyszymy chór rzeźników i chór zacieklej w zemście chłopów. Stanami zawodowymi, fachami występują tu biedy ludzkie w tej wielkiej dysharmonii społecznej. Scena z Rzemieślnikiem, wyraźne echo lyońskich rozruchów robotniczych, jest może najżywotniejszą po dziś dzień, a stanowi nowy dowód wielkiego serca poety, współczującego szczerze z istotnymi paryasami rodu ludzkiego, robotnikami wielkich fabryk.

Zabłądziwszy w lesie, trafiają hr. Henryk i jego przewodnik na scenę dziwną: to Leonard odprawia na rozwalinach starożytnego tumu, ostatniego kościoła... obrzędy nowej wiary. Tu mamy obraz karykaturalny Saint-Symonizmu, w zarysach, jakie mógł sobie wysnuć Krasiński z opowiadań Reeva, artykułów dziennikarskich i broszur polemicznych:

Mąż: Któż jest ten młody człowiek na gruzach przybytku stojący? — trzy ogniska palą się pod nim, wśród dymu i łuny, twarz jego płonie, głos jego brzmi szaleństwem. —

Przechrzta: To Leonard, prorok natchnięty Wolności — naokoło stoją nasze kapłany, filozofy, poeci, artyści, córki ich i kochanki. —

Mąż: Ha! wasza arystokracja — pokaż mi tego, który cię przysłał. —

Przechrzta: Nie widzę go tutaj. —

Leonard: Dajcie mi ją do ust, do piersi, w objęcia, dajcie piękną moją, niepodległą, wyzwolo-

loną, obnażoną z zasłon i przesądów, wybraną z pośród córek Wolności, oblubienicę moją. —

Głos dziewicy: Wyrwam się do ciebie, mój kochanku. —

Drugi głos: Patrz, ramiona wyciągam do ciebie — upadłam z niemocy — tarzam się po zgliszczach, kochanku mój. — —

Mąż: Z rozpuszczonym włosiem, z dyszącą piersią wdziera się na gruzy, namiętne podrzuty —

Przechrzta: Tak co noc bywa. —

Leonard: Do mnie, do mnie, o rozkoszo moja — córo Wolności. — Ty drżysz w boskim szale; natchnienie, ogarnij mą duszę — słuchajcie wszyscy — teraz wam prorokować będę. —

Mąż: Głowę pochyliła, mdleje. —

Leonard: My oboje obrazem rodu ludzkiego, wyzwolonego, zmartwychwstającego — patrzcie — stoim na rozwalinach starych kształtów, starego Boga. — Chwała nam, bośmy członki Jego rozerwali, teraz proch i pył z nich — a duch Jego zwyciężyli naszymi duchami — duch Jego zstąpił do nicości. —

Chór niewiast: Szczęśliwa, szczęśliwa oblubienica Proroka — my tu na dole stoimy i zazdrościmy jej chwały. —

Leonard: Świat nowy ogłaszam — Bogu nowemu oddaję niebiosy. Panie swobody i rozkoszy, Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemniejącego, twoim niech będzie ołtarzem — w oceanie krwi utoną stare ły i cierpienia rodu ludzkiego — życiem jego odtąd szczęście — prawem jego, równość, a kto

inne tworzy, temu stryczek i przekleństwo». (I, 45 do 46).

W obrazie tym szczegóły o kapłańskiej parze są z rzeczywistości wzięte, niemniej zasada *Enfantina* wolnej miłości, zapędy *Saint-Symonistów* do burzenia świątyń chrześcijańskich, a wreszcie zasada hierarchii religijnej, którą hr. Henryk odrazu znakomicie określa jednym zwrotem:

Ha, wasza arystokracja!

(»kapłany, filozofy, poeci, artyści...«)

Natomiast, co wychodzi poza granice *Saint-Symonizmu*, to żąda krwawego przewrotu i utopienia starego świata w »oceanie krwi«:

»Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemieczcy, twoim niech będzie ołtarzem — w oceanie krwi« itd. Nigdy też żaden arcykapłan *Saint-Symonizmu* nie dawał nikomu »święcenia zbójeckiego«, jak to czyni Leonard, ani nie zalecał wyznawcom nowej wiary: »Idź i niszczone pokolenia po wszech stronach świata!«

Jest w tem z jednej strony gra wyobraźni podnieconej, a z drugiej zupełnie logiczne rozumowanie, że pokojowe, zgodne przeprowadzenie doszczętnych zmian w ustroju dotychczasowym społecznym jest mrzonką, że jedyną radykalną drogą jest — wyłączenie opornych. Podobnie na karb zbyt — *à outrance* — konsekwencji, wysnutej z przesłanek *Saint-Symonistycznych*, z ich zapatrywań na sztukę, jest nowe *credo* estetyczne w Chórze Artystów:

Chór Artystów: Na ruinach gotyckich świątyń zbuduję tu nową — obrazów w niej ni posągów

niema — sklepienie w długie pugiwały, filary w osiem głów ludzkich, a szczyt każdego filara jako włosy, z których się krew sączy — ołtarz jeden biały — znak jeden na nim — czapka Wolności — Hurra-cha!« —

Natomiast, co już całkiem przechodziło pojęcie *Saint-Symonistyczne*, co jest zupełnie własnością *Kraśńskiego*, jego psychologicznem obliczeniem, sprawdzonem w kilkadziesiąt lat potem, to postulat niezbędny komunizmu: zniesienie pojęcia ojczyzny i wszelkiego uczucia patryotycznego. Zwrócić tu musimy uwagę każdego pilniejszego czytelnika *Nieboskiej*, że cała wędrówka hr. Henryka po lesie odbywa się w miejscu geograficznem jakimś, ale odojczyźnionem, że się tak wyrażę, wynarodowionem do szczytu. Chór chłopów zdaje się mieć cechy polskie, ale równie dobrze mogliby przemawiać wieśniacy niemieccy czy hiszpańscy z czasów pańszczyźnianych. Natomiast rzemieślnik, ginący z wycieńczenia i braku sił jest jeszcze dzisiaj (a cóż dopiero przed 70-u laty!) figurą niepolską: klnie i wyrzeka, że najlepsze lata przesłęczał nad warsztatem — *jedwabiu*. (Zbyt wyraźne to echo *lińskich* zaburzeń z powodu przesilenia w produkcji *jedwabiu*). Jest to zatem »międzynarodówka« zupełna i nie potrzebujemy nawet zapewnienia z ust *Pankracego*, że żaden z jego obozu nie wierzy ani »w kasty, ani w kości prababek, ani w słowo ojczyzna i tam dalej«. Jakoż tego rodzaju ustrój socyalny może zejść tylko na ruinach wszelkich małych i dużych ojczyzn. W końcu XIX stulecia doszli najspokojniejsi badacze socyalizmu do takiego

właśnie wyniku. Emil Faguet, którego nikt o »burżuazyjne« zacołanie nie posądzi, w dokładnym bilansie socjalizmu *pro i contra* (*Le socialisme en 1899*) dochodzi do wyniku, że socjalizm będzie mógł tylko wówczas się urzeczywistnić na naszej kuli ziemskiej, kiedy wszyscy i wszędzie równocześnie zgodzą się na ustrój socjalistyczny. Skoro bodaj jedno państwo pozostanie przy dawnych warunkach istnienia (armia, wytwórczość konkurencyjna itd.), będzie ono tem samem zagrażać egzystencji socjalistycznej innych, które prędzej czy później, albo raczej bardzo prędko stałyby się pastwą państwa militarnego.

W gruncie rzeczy kwestya rozwiązania socjalizmu jest zatem kwestyą powszechnego rozbrojenia, tylko nie wiadomo, kto zechce i kto będzie mógł je zacząć... To też socjalizm, przynajmniej całkowity, konsekwentny, nie pseudosocjalizm kompromisowy, nie będzie mógł wejść w życie aż wtenczas, kiedy już *ojczyzn* nie będzie. (*„Le socialisme, intégral au moins, ne pourra donc être essayé que quand il n'y aura plus de patries“*). — Wiedzą o tem wybornie przewodcy socjalizmu, ale ze względów taktycznych, aby nie odstraszać ludzi, wierzących jeszcze w »słowo ojczyzna i tam dalek« — nie idą na razie tak daleko, pozwalają socjalistom francuskim zgrzytać zębami na Niemców, a niemieckim socjalistom wolno zapewniać publicznie, że na wypadek wojny z Francją solidarnie z monarchistami bić będą nawet socjalistów francuskich. Na razie kwestya ojczyzn nie dojrzała jeszcze na świecie, a Pankracowie sądzą,

że nie jest roztropnem strącać z drzewa zielone i kwaśne owoce...

Krańskięskiego jednak takie względy krępować nie mogły, to też konsekwentnie z przesłanek Saint-Symonistycznych brak ojczyzny wywnioskował i przepowiedział. Komuna paryska 1871 r., która w oczach Prusaków wszczęła wojnę domową i wzięła się do niszczenia stolicy Francyi, dowiodła, że w *Nieboskiej* przesady nie było i niema, że wszystko z niej spełnić się może w czasie i przestrzeni.

Podobnie ma się rzecz z drugą obserwacyą filozoficzno-historyczną, z drugim obliczeniem, z tym zadaniem fałszu dogmatowi socjalistycznemu równości absolutnej. Tej równości absolutnej przeczy talent indywidualny, zdolność osobista, dar Boży, którego żaden rząd socjalistyczny w kolebce dziecka nie zważy, nie przytnie do ogólnej miernoty, nie udusi w żelaznych powijkach.

Sam Pankracy jest takim gienialnym wyjątkiem, pewnym siebie, świadomym siebie wyjątkiem. Ale obok niego, nieświadomie dla tłumu, rosną wyjątki inne, taki np. generał Bianchetti, »kondotier ludów«, wiodący tłumy do zwycięstwa. Pytają go się, jak zorganizował atak na okopy św. Trójcy? Odpowiada Bianchetti:

»Chociażeście moi bracia w Wolności, nie jesteście moimi braćmi w gieniuszu; po zwycięstwie dowie się każdy o moich planach«.

A hr. Henryk słusznie mówi: »Radzę wam go zabijcie, bo tak się poczyną każda Arystokracja«. Istotnie w Bianchettim jest zaród przyszłego

dyktatora wojskowego, a może i cezara *in partibus*. Możliwy tylko dodać, że zabicie jednego Bianchetiego, ani dziesięciu mu podobnych, nie rozwiąże zasadniczo kwestii socjalistycznej: społeczeństwo musi być przez kogoś rządzone. Frazes, że społeczeństwo samo się będzie rządzić, brzmi nie źle z trybuny agitacyjnej, ale w praktyce wyglądać będzie tak, że jakieś jednostki, oczywiście nie samowolnie, ale z wyboru (a więc znowu parlamentaryzm, tak dziś zdyskredytowany!), będą społeczeństwem kierować i jego potrzeby normować. Potrzeba będzie całej armii urzędników w przyszłym socjalistycznym państwie, urzędników do oznaczenia jakości i ilości produkcyi, podziału produktów itd. Georges Renard (socjalista) poświęcił lata całej pracy, aby wybrnąć z tego skomplikowanego problemu przyszłej maszyneryi państwowej socjalistycznej. Dzieło jego „*le Régime socialiste*“ jest najlepszym dowodem, do jakich wewnętrznych sprzeczności i zawikłań doszedłby socjalizm z chwilą, gdyby zaczął funkcjonować i jak w sposób nieunikniony po niewielu latach doszedłby do systemu faworyzowania pilniejszych, karania leniwszych pracowników, do zaniku indywidualnej twórczości w dziedzinie przemysłu i wynalazków, do powolnej stagnacyi, braku wszelkiego postępu i ogólnej apatyi społecznej.

Nauka nie poszła w las, ani też z lasu nie wyszła.

Hr. Henryk wraca z tej pouczającej wędrowki po lesie społecznym nie nauczony i nie wzruszony. Widzi zło, ale nie dostrzega jego przyczyn. Widok biednego zmarłego rzemieślnika, co życie prześlęczał

nad warsztatem jedwabiu, nie przemawia mu do serca, tylko do rozumu. Przestrogi dla siebie stąd nie umie wynieść. — Na chwilę radby z tego chaosu społecznego utworzyć coś i wzywa Boga, by dał mu potęgę: »a w jedno słowo zamknę świat ten nowy ogromny — on siebie sam nie pojmuje«. I zaraz porzywa niepoprawnego poetę dawny szal: »Lecz to słowo moje będzie poezją całej przyszłości...« Jak gdyby w tej strasznej chwili o poezję chodziło! A głos dobrze mu znany z tych czasów, gdy się nad żoną waryatką poetycznie litował, dodaje: »Dramat układasz!«

Jego szatan przerywa rojenia poetyckie i sprowadza go na padół rzeczywistości. Duch mściwy budzi się w nim i każe wzgardzić przyszłą ludzkością: »Zemsta... Zemsta za zhańbione popioły ojców moich — przekleństwo nowym pokoleniom — ich wir mnie otacza — ale nie porwie za sobą — Orle, Orle! dotrzymaj obietnicy«.

Już zaciął się w swej nienawiści do całej przyszłości. Z wiary przodków swych i swojej nie miłość chce wysnuć, nie przebaczenie i nadzieję lepszych czasów, ale zemstę i okrucieństwo:

»Wiara w Chrystusa i Kościół jego, ślepa, nieubłagana, wrzaca niechaj zstąpi na mnie, a wrogów będę mordował i palił — ja syn stu pokoleń... na tysiącach krzyżów rozkrzyżuję nieprzyjaciół Jego...«

Już jest gotów do rozprawy z Pankracym.

Ta rozprawa jest koroną całego utworu, sam jej pomysł genialnym, a wykonanie jego znakomitą. Rozmowa Henryka z Pankracym mogłaby być u in-

nego poety przerodzić się w niesmaczny dyalog na temat arystokratycznych i demokratycznych zasad, lub stać się jałową tyradą: w *Nieboskiej Komedyi* jest to walka dwu równych i godnych siebie sił, dwu namiętnych tytanów.

Poeta nie przesadził z góry sprawy i w tem dowód wielkiego rozumu i wielkiej szlachetności uczuć: siły walczących są równe i znakomicie z obu stron wyzyskane; w tem dowód, do jakiego stopnia poeta opanował przedmiot i sam się wzniósł ponad zacie trzewienie stronnicze.

Obaj przeciwnicy pozostają sobie wierni i konsekwentni. Obaj nie ustępują na krok z swych przekonań i słów nie obwijają w bawelnę. Pankracy na chwilę łudzi się, że trafił w słabą stronę natury duchowej przeciwnika, że »zagiął palec po pod serce jego« i że po nerwie *poezyi* dojdzie do skrytych pobudek działania Henryka — ale tutaj go taktyka zawiodła. Skutek osiągnął wręcz przeciwny zamierzonemu. Henryk przeszedł już dawniej wątpliwości, które chce w nim obudzić Pankracy — (»Postęp — szczęście rodu ludzkiego — i ja kiedyś wierzyłem«) przeboleł złudzenia i wie, że »teraz trza mordować się nawzajem...«

Z tej rozprawy wychodzą obaj rozjąttrzeni: Henryk, przejęty obrzydzeniem i wstrętem do tego, co widział w lesie »społecznym«, nie chce widzieć w »przyszłości« jeno »stare zbrodnie świata, ubrane w szaty świeże« — Pankracy zaś nie widzi w przeszłości nic godnego przechowania, ocalenia — a rozjąttrzony oporem Henryka, upokorzony w miłości własnej, że

go na swoją stronę przeciągnąć nie zdołał, rzuca mu na pożegnanie przekleństwo. »należne starości«. W tych obu ludziach niema już prawie nic ludzkiego: urosli do dwu niweczających się nawzajem symbolów; przeczą jeden drugiemu i bolesnym przywilejem człowieczeństwa te dwa niepospolite rozумы nie mogą się — zrozumieć.

Mickiewicz, który należał do tych wyjątkowych ludzi, co się na doniosłości *Nieboskiej Komedyi* zaraz poznali, rozumiał głęboko historyczne znaczenie tej rozprawy Pankracego z Henrykiem, jej nastrój filozoficzno-historyczny, jej nieprzemijającą wartość w dziejach ludzkości, bez względu na ten lub ów naród. Wykazał najpierw prawdziwość tej rozmowy na probierzu polskiej historii, a potem na rzymskich dziejach:

»Panowie polscy (z końca XVIII wieku) często miewali podobne rozmowy. Książę Czartoryski, Andrzej Zamojski, król Stanisław August nieraz rozprawiali o rzeczach politycznych i społecznych z ambasadorami rosyjskimi, którzy byli także rodzajem Pankracych...«

Gdyby można było wiedzieć, co Sulla i Marius mówili z sobą, kiedy dziwny przypadek pod jeden dach ich sprowadził, możeby w ich rozmowie znalazła się niejedna myśl powtórzona w powyższej scenie, bo ten sam spór toczy się od początku społeczeństwa ludzkiego, a strony walczące zmieniają tylko kształt i hasło. Pankracy i Hrabia nie są tu Pompejuszem i Cezarem, ale podobni są bardzo do Mariusa i Sulli, poprzedników Cezara. Hrabia chciał-

by udawać Sullę. Kiedy ten nadzwyczajny człowiek, czule przywiązany do tradycji starego Rzymu, widząc rozpadający się ze wszech stron budynek Rzeczypospolitej, przedsięwziął ratować ją prawdziwie po rzymsku, po pogańsku, postanowił przywrócić stary porządek rzeczy, wytępiając wszystko, co mogło zagrażać dawnej Rzeczypospolitej. Rozpoczął głośne w dziejach świata rzezie. Ale zalawszy krwią wszelki opór, nie wiedział, co dalej czynić, dokąd kierować losy Rzeczypospolitej. Kiedy już zabrakło mu przeciwników, złożył topór dyktatorski w ręce senatu i odchodzącemu bezbronnie, samotnie, nikt nie śmiał zrobić żadnego zarzutu: dowiódł bezinteresowności własnej, ale razem okazał niedołążność starego Rzymu. Byłoby tak niewątpliwie i z myślą, wyobrażaną przez Hrabiego, gdyby odniosła zwycięstwo. Z drugiej strony Pankracy, rodzaj Robespiera na koniu, lub Mariusa, czuje ułomność i niedostateczność swego systemu i dlatego oddałby wszystko za to, żeby mógł pociągnąć do siebie, ułodzić hr. Henryka; bo wtedy tylko zaspokoiłby swoje sumienie.

Postawić naprzeciw siebie dwa te systemy, wcielone w dwie osoby, jest to oryginalny i wspaniały pomysł. Istotnie dzieje się zawsze nie inaczej; pierwszej rozstrzyga się wszystko w duchu, nim zwycięstwo urzeczywistni się na ziemi. Przeciwnicy przed spotkaniem się na oręż, starli się tutaj, że tak powiemy, na duchy i widać już, na czym się skończy rozprawa.

...Prawdy nie masz w żadnym obozie, unosi się

ona nad obydwoma. A tak zwycięstwo żadnej stronie nie pójdzie na korzyść.

Ostatnia część *Nieboskiej* zawiera opis obozu »przeszłości« w okopach św. Trójcy w przededniu stanowczej bitwy, która kończy się doszczętnem rozbiem garstki, oddanej Henrykowi, i zwycięstwem międzynarodowej fali nowych pokoleń. W tej części spełnia się dola ziemską hr. Henryka. Walczy on zacięcie, bez nadziei zwycięstwa, bez względu na stronników, żadnych życia nawet za cenę wstydu. Walczy, choć za życia ma już piekło w duszy, bo oto syn jego własny, oślepy, z rozkazu matki prorokuje mu zagubę i potępienie wiekuiste. Ta przeszłość, którą on poetycznie ukochał bez zastrzeżeń, teraz z lochów podziemnych przemawia głosami licznych ofiar feudalnej tyranii, sądzi go za winy pradziadów (»Na tobie się kończy ród przeklęty...«) i potępia na wieki:

»Za to, żeś nie kochał, nie nie czeił, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś, potępion na wieki...«

Istotnie hr. Henryk jest bezpowrotnie zgubiony. Trawi go nieuleczalna choroba pychy bez granic, egoizmu niemal potwornego w swej dumie pańskiej i w żądzy panowania wyłącznego:

»Jakże tu dobrze być panem, być władzą — choćby z łoża śmierci spoglądać na cudze wole, skupione naokoło siebie i na was, przeciwników moich, zanurzonych w przepaści, krzyczących z jej głębi ku mnie, jak potępieni wołają ku niebu. —

Dni kilka jeszcze, a może mnie i tych wszystkich nędzarzy, co zapomnieli o wielkich ojcach swoich,

nie będzie — ale bądź co bądź — dni kilka jeszcze pozostało — użyję ich rozkoszy mej kwoli — panować będę — walczyć będę — żyć będę. — To moja pieśń ostatnia! —

I teraz tu stoję na pograniczach snu wiecznego, Wodzem tych wszystkich, co mi wczoraj jeszcze równymi byli. —

Na chwilę przed zgonem samobójczym, on nam odkrywa otchłań swej ambicji:

»Człowiekiem być nie warto — Aniołem nie warto — pierwszy z archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu uczułem nudę w sercu swoim i zapragnąłem potężniejszych sił. Trza być Bogiem lub nicością«. —

Ale w dalszym wyniku dochodzi Henryk do zwątpienia w samą potrzebę Boga. On »stąpi w prawdzie ku sądowi Boga«, on wie, że potępiony jest na wieki i widzi tę wieczność swoją, całą czarną, obszarami ciemności płynącą ku niemu — »a pośrodku jej Bóg, jak słońce, co się wiecznie pali, wiecznie jaśnieje — a nic nie oświeca...«!

Ostatnie słowa jego są przekleństwem, rzuconem poezji, tej poezji fałszywej, sztucznej, której igrzyskiem był Henryk życie całe. Pojmuje się, że ten człowiek zwyciężyć nie mógł. Mickiewicz świetnie określił brak programu Henryka, mówiąc, że na wypadek zwycięstwa, byłby był z niego drugi Sulla, a na domiar złego Sulla poetyczny, któryby świat cały jako poezję przyszłości pojmował — a jako »dramat układał«.

Zwycięża Pankracy — na chwilę i na pozór. Czyż

Pankracy godzien był zwycięstwa? Rzeczywistego — nie; chwilowego i pozornego — tak! Zwycięstwo jest na chwilę przy nim, ale po to tylko, aby mu całą jego nicość pokazać. Pankracy tryumfuje; przeszkód już nie ma, głowy ostatnich arystokratów spadną niebawem z rusztowania — a potem?

Leonard radzi mistrzowi, aby odpoczął po tylu trudach — ale Pankracemu nie do snu...

»Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ich ostatniem westchnieniem. Patrz na te obszary, na te ogromy, które stoją w poprzek między mną a myślą moją — trzeba zaludnić te puszcze, przedrzeć te skały, połączyć te jeziora, wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest«.

Zdaje się Pankracemu, że pora zamienić myśli w czyn. Cały program Saint-Symonistów czeka urzeczywistnienia: eksploatacja globu ziemskiego, zaludnienie pustyń, ułatwienie komunikacji tunelami i kanałami, jednym słowem ów raj marzony niegdyś: »ludzie panami ziemi od bieguna do bieguna, ziemia jednym miastem kwitnącem...« — A potem?

I teraz dopiero, gdy już na pozór niema na ziemi głosu, któryby mógł sprzeciwić się Pankracemu, gdy nadeszły czasy, w których świat jego ma powiedzieć: Jestem, »a nie będzie głosu na świecie, co by mógł także odpowiedzieć: Jestem« — teraz wreszcie Pankracy widzi otchłań bez końca dla myśli swej i swego świata: widzi jego moralną próżnię... Więc nie

poza tem! Więc »ziemia jednym miastem kwitnącem«: ten ma być cel Ludzkości całej, treść cała jej bytu przez wieki wieków... I dla takiego to »jednego domu szczęśliwego, jednego warsztatu bogactw i przemysłu« Pankracy wytoczył krwi strumienie i przeszłość całą w oceanie krwi ludzkiej utopił?! A cóż będzie, jeśli człowiek zostanie człowiekiem i czegoś więcej zapagnie, niż ziemskiego szczęścia, za czemś większem zatęskni, niż za warsztatem bogactw i przemysłu? Co będzie, jeśli myślą wzbije się ku niebu?

Pankracy drży na samą myśl tego nowego świata, którego teraz już nie poskromi, nad którym nie zdoła zapanować. On pragnie zniszczenie zastąpić nowem życiem, on wie, że trzeba, »by w dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży — inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest...« Ale on wie także, że to nowe życie już nie dla niego... Fanatyk Leonard mówi mu wprawdzie o Bogu Wolności, który sił im ma dodać, ale Pankracemu straszno na samo wspomnienie Boga:

»Co mówisz o Bogu, ślisko tu od krwi ludzkiej...« On już pojmuje, że zwyciężył nie on, ale ktoś trzeci, że on, Pankracy, był tylko narzędziem tego trzeciego, że przeszedł, jak wódz Hunnów, jak orkan łamiący wszystko, ale że już ożywić, zaludnić, stworzyć nieczego nie zdoła. Nie może bowiem zwyciężyć na wieki prawo brutalnej przemocy, idea, którą on sam streścił w swym okrzyku, ciśniętym w twarz Henrykowi: »Zgrybiali, robaczywi, pełni

napoju i jadła — ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym«.

Łudził Pankracy, łudził siebie i swoich, kiedy twierdził, że to są »wyższe kręgi« świata! Na tak zwierzęcej podstawie trudno się rozwinąć Ludzkości. Instynktownie czuł on, że z tej przeszłości, której szermierzem był Henryk, można było i należało przenieść w przyszłość ducha miłości, ducha poświęceń, tę ideę przewodnią pierwszych wieków rycerstwa, które krzyżowymi wojnami królestwo Boże do ziemi przybliżyć pragnęło, które póty kwitło, póki umiało naprawiać krzywdy (»redresser les torts!«) i chciało bronić uciśnionych, biednych, maluczkich...

Ale Pankracy nie słyszał w przeszłości rycerskiej tylko chrzest bezmyślny tarczy herbowych, ale Henryk nie widział w nowych falach ludzkości tylko męty i krew i dlatego żaden z nich nie zwyciężył.

Pankracemu, duchowi bezmyślnego zniszczenia, po którym bezmyślne zwierzęce życie ma się w »dwójnasób« rozpleść, duchowi przeczenia i martwej racji społecznego stanu widnieje na widnokręgu, na chmurze płonącej od zachodzącego słońca, znak innej śmierci, z której wiekuiste życie wytrysło, znamię cierpienia cichego, zaparcia się, znamię pokory bez granic, która przebiła Niebiosą i wyjednała przebaczenie dla wygnanych z raju pokoleń... Napróżno Pankracy radby wzrok ukryć przed strasznym znamieniem Krzyża, który nawskróś przenika ogromny rozum jego i promieniami swemi rozkłada go w proch... A tak ginie Wódz Ludów w chwili

tryumfu, ginie, jak noc przed jutrenką, zginąć musi, by dać świadectwo Prawdzie.

A prawdą jest, że do prowadzenia Ludzkości rozum sam, choćby największy, nie wystarczy. Rządzi nią Duch Stworzyciel, ten, który konającemu Pankracemu z piersi wyrwa ostatni krzyk: »Galileae vicisti!«, Duch Odkupiciel, który był najwyższym Rozumem, ale zarazem największą Miłością, który mógł o sobie powiedzieć: »Jam jest Droga i Żywot«.

Mickiewicz mówi: »To zakończenie dramatu jest przepyszne, nie znamy nic równego. Prawda nie była ani przy Hrabu, ani przy Pankracym, unosiła się nad nimi i zstąpiła teraz potępić obu. Zwyciężony padł, przeklinając siebie, zwycięzca w pierwszej chwili tryumfu uczuł, że był tylko narzędziem zniszczenia. Ukazał mu się znak na niebie, jemu tylko widomy, a w chwili, kiedy ten znak zrozumiał, pada trupem, powtarzając słowa cesarza rzymskiego, który po daremnych usiłowaniach obalenia chrystyanizmu, skonał, wołając: »Galilejezyku, zwyciężyłeś!« —

Zachodzi słońce nad Okopami św. Trójcy, — nad tą wielką mogiłą Henryka i Pankracego — idzie noc, kto powie, jak długa? i czem brzemienna? Jakie zaświta po niej słońce i jakiemu społeczeństwu?

Kraśiński tego nie mówi w *Nieboskiej*, nie udaje proroka i tem składa nowy dowód swego wielkiego rozumu i wielkiej szczerości, które tkwią już i w tem, że nie oświadczył się ani za Henrykiem, ani za Pankracym i że obu osądził; jednym wzgardził — drugiego znienawidził. Ktoby zaś chciał zarzucić Kraśińskiemu, że nie dał nam w *Nieboskiej* własnego

społecznego ideału, że wykazał tylko dwa ujemne kierunki, a nie dał dodatniego — temu wypada przypomnieć, że żaden poemat, choćby najgienialniejszy, nie dał jeszcze nigdy i nigdzie rozwiązania zagadnień społecznych i że nikt, nawet gieniusz, nie jest w stanie dać więcej, niż może. Kraśiński szczerze przyznał się, że prorokiem nie był i że nie wiedział szczegółowo, co się wynurzy na powierzchni ziemi, gdy kiedyś opadną wody społecznego potopu, wzbierające za dni naszych:

»Ja wiem, że cywilizacya nasza ma się ku końcowi, wiem, że bliskie czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą stare karać i same się potępić w obliczu Boga — ale wiem, że one nic nie utworzą, nie zbudują.

Dopiero to, czego ani ty, ani nikt nie zna, nie pojmuje, nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat nowy z woli boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje, — ale wtedy i twoje i moje kości próchnem gdzieś będą«.

I my nie jesteśmy dziś bliżsi rozwiązania, niż poeta przed 70-u laty — a zanim Królestwo Boże zstąpi na ziemię i nasze kości dawno próchnem będą.

W tem leży gienialność, niespożyta siła *Nieboskiej Komedyi*, że dziś jest tak świeża, pociągająca, żywotna, jak w chwili, gdy wyszła z pod pióra poety, owszem — bliższa nam jeszcze i zrozumialsza; a w tem znowu tkwi tragizm tego utworu, że stał się on sybilińską księgą naszego społeczeństwa, coraz droższą, że pokolenie mija za pokoleniem, każde czyta *Nie-*

boską, a każde ma w niej coraz wyraźniejszy odgłos coraz bliższej przyszłości.

* * *

Arcydzieło Krasińskiego ma prócz głębokości pomysłu i żywotności, jeszcze jedną cechę utworów prawdziwie genialnych: prostotę układu i formy. Budowa *Nieboskiej Komedyi* jest tak prosta, że na pozór zdaje się uboga: cztery części, symetrycznie na dwie się dzielące, jak cztery kolumny doryckie, podtrzymujące tryumfalny łuk śmiałej myśli Krasińskiego. Każda część rozpoczyna się przesłiczną odezwą, jak uwerturą, co streszcza w sobie nastrój i znaczenie tej części. Styl poematu jednolity, mocny, dźwięczny jak spiż, donośny jak dzwon, tak dopasowany do myśli, że tworzy z nią nierozłączną całość i potęguje jej doniosłość, rozbrzmiewa poważnie, rzewnie niemal, uroczyście, jak przystało na utwór, który mógłby także wziąć za swe godło: *vivos voco, mortuos plango...* Styl *Nieboskiej Komedyi* jest doskonałością, jest szczytem, który Krasiński osiągnął szczęśliwie — na którym nie danem mu było długo się utrzymać.

Najbliższy *Irydion* ma w najlepszych swych ustępach moc wysłowienia *Nieboskiej Komedyi*, czasem ją osiąga, ale jej nigdzie nie przewyższa. Późniejsze utwory, prozą pisane, zachowają niejedną właściwość dodatnią, niejedną piękność stylu Krasińskiego, ale tej prostoty i naturalności, którą jaśniej *Nieboska*, nie będą miały już nigdy.

Wspomnieliśmy już, jak małymi środkami pisar-

skiemu umie poeta największe wywołać wrażenia. Nieraz zdawaćby się mogło, że on żałuje nam czasu, że mówi tylko tyle, ile musi, że to nie pełny obraz myśli, ale jej stenogram.

Jakoż tak było istotnie. Przypomnijmy sobie tylko, w jakich warunkach autor pisał *Nieboską*. Jest ona samą esencją, samym wyciągiem tych wszystkich trosk, smutków, goryczy i przedwczesnych doświadczeń, które poeta gromadził w swej duszy od r. 1831. A gdy przyszło do wydania tej myśli na zewnątrz, do ich spisania, duch był bardzo rączy — ale ciało gorzej niż mdłe, — rozstrojone; wzrok ducha był sokoli i sięgał w tajnie przyszłych wieków, — ale wzrok doczesny zamierał, oczy zagrożone były ślepotą. — Światła znosić nie mógł, to też listy ówczesne są krótkie, lakoniczne, bo sama czynność fizyczna pisanja i patrzenia na papier była dla niego bolesna. I w tem mamy fizyologiczne objaśnienie zbytniej lakoniczności i zwięzłości *Nieboskiej Komedyi*. Poeta myśl swą w ciemnym pokoju przerabiał, streszczał, zbijał ją w jak najmniejszą liczbę słów, aby ją potem jak najprędzej na papierze wyrazić, jak najmniejszym kosztem zboląłych oczu. »Niema złego, co by na dobre nie wyszło« — w tym razie choroba wzroku oddała istotne usługi poecie, nauczyła go myśleć — jak sam zaznaczał w listach — a my dodamy, że nauczyła go myśleć zwięźle, skupiać swe myśli, nie rozpuszczać ich w słów potoku, ale tworzyć z nich niejako kryształ, załamujące w sobie całe snopy tęczowych promieni.

Tem się tłumaczy nadzwyczajna krótkość niektó-

rych scen, na którą słusznie krytycy narzekają, bo nieraz piękność, wspaniałość myśli, domagająca się szerokiego rozwinięcia, pada ofiarą tej bezlitosnej zwężłości. Sam poeta czuł później potrzebę dokładniejszego, albo raczej przystępniejszego wyrażenia swej myśli, kiedy pierwotne, silne jak piorun zakończenie *Nieboskiej* zamienił na dłuższą rozmowę Pankracego z Leonardem, uzasadniającą powolniej śmierć bożyszczu tłumów i okrzyk jego ostatni: dwa razy tam tyle słów, ale myśli przez to nie przybyło.

Do tej zwężłości myśli musiała się zastosować charakterystyka krótka, nerwowa, błyskawiczna osób. Tylko głównym postaciom poświęca poeta dokładniejsze wizerunki duchowe: Henryk jest oświetlony wszechstronnie w roli męża, ojca, wodza — zawsze poety. Już Pankracy krótszą zadowolić się musi charakterystyką: ale starczy ona, jak widzieliśmy, za portret olejny... A teraz żona hr. Henryka: wzór bogobojnej, wiernej mężowi, oddanej dziecku niewiasty; we wszystkim, co mówi, określa się doskonale, oznacza zarówno pierwotną skalę swego umysłu jak i anielską czystość duszy. »Stworzona dla ogródka i domku«, ona myśli o sprawunkach, o tortach na chrzciny, nie zaniedba poprawić kołderki w kolebce dziecka — ale ona czuje zarazem, że mąż przestał ją kochać, a nie wie, dlaczego... Czy może być lepsza, głębsza charakterystyka jej gołębiej prostoty i niewinności, jak w tych kilku słowach:

»Wczoraj byłam u spowiedzi i przypominałam sobie wszystkie grzechy — a nie mogłam nic znaleźć takiego, coby cię obrazić mogło...«

Orcio jest od dzieciństwa do śmierci opisany *con amore*: cierpienia jego, przedwczesny rozkwit władz umysłowych, okupiony kalectwem fizycznym, gorzkie uczucie dziecka, zmuszonego patrzeć na winy ojca — wszystko to wyjęte z własnej piersi i z własnych doświadczeń dostarczyło gotowych rysów na wytworzenie postaci żywej, tchnącej prawdą i żalem...

Wśród drugorzędnych postaci zwraca przede wszystkim uwagę Leonard, ulubiony uczeń Pankracego, towarzysz i świadek ostatniego tchnienia »mistrza«. W nowem społeczeństwie odgrywa on rolę »proroka natchnionego Wolności« i arcykapłana, wzywa kapłanki przyszłej i szczęśliwszy od Enfantina, ma ich kilka do wyboru. Przez dziwną pomyłkę, przeoczenie kilku ustępów *Nieboskiej*, Klaczko w znakomitem studyum o Bezimiennym Poeście polskim, domyśla się w Leonardzie następcy Pankracego, szczęśliwego »pojednawcy« (*conciliateur*) przyszłych pokoleń...

»...le jeune Léonard, le disciple chéri de Pancrace, l'enthousiaste sincère qui a partagé toutes les haines, toutes les idées du maître, mais qui ne s'est pas souillé de sang, et soit hasard, soit instinct, soit bonheur, n'a pas de crimes à se reprocher(?)... Le rôle conciliateur est il-réservé à Léonard, type de la génération naissante qui a assisté à nos luttes« etc. —

Leonard inaczej wygląda w *Nieboskiej Komedyi*. Przedewszystkiem jest to fanatyk zaciekły, który nie dowierza nawet Pankracemu, a w okrucieństwie chyba go przechodzi. Nigdzie Pankracy nie przema-

wia tak wściekle do najgorszych instynktów ludzkiej natury, nigdzie tak nie podjudza do rozlewu krwi, jak to czyni Leonard:

»Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemięcy twoim niech będzie ołtarzem — w *oceanie krwi* utoną stare łzy i cierpienia rodu ludzkiego — kto inne (prawo) tworzy — temu *stryczek* i przekleństwo! Idźcie bez trwogi i mordujcie bez wyrzutów...«

Zaprawdę, trudno o tym człowieku powiedzieć, że niema sobie zbrodni żadnej do wyrzucenia... Wszakże on daje nawet jako arcypkapłan święcenie zbojeckie olejem, sztyletem i trucizną, a domniemany »pojednawca« ludzkości obiera za życia Pankracego drogę wcale radykalną:

»Idź (mówi do Hermana) i niszczone stare pokolenia po wszech stronach świata!« Czy od takiego człowieka można oczekiwać, że »się nie splami krwią« w przyszłości? — Przechrzta, który zna z bliska Leonarda, ostrzega hr. Henryka i drży o własną skórę:

»Leonard może mnie poznać J. W. Panie — patrz! jaki nóż wisi na jego piersiach!« — Wreszcie jedno z pytań, z którem Leonard zwraca się do Hrabiego, brzmi: »Ty sam, czyją śmiercią się chlubisz?«

Zdaje się, że trudno o dosadniejsze zaprzeczenie domysłu Klaczki, jak to, które tkwi w słowach samego Leonarda. Nie rozszerzalibyśmy się tu nad pomyłką, która w niczem nie przynosi ujmy całości bystrych i świetnych spostrzeżeń krytyka — gdyby nie to, że mylne mniemanie przedostało się nawet

do najlepszej książki o Krasińskim, gdzie Leonard uchodzi także za »człowieka dobrej wiary...«

Z innych, podrzędniejszych figur, wybornie i konsekwentnie obmyślał poeta postać Ojca Chrzestnego, wcielenie bezmyślnego oportunizmu. Pankracy gardzi nim i nazywa go »starym doktrynerem«, Henryk, oburzony dwulicowością człowieka, który zdradził obóz własny i jawi się pod koniec jako parlamentarzysta, kusiciel z obozu Pankracego, — Henryk grozi mu śmiercią i wartość tej społecznej jednostki streszcza krótko: »Na cel mi wziąć to czoło zorane zmarszczkami marnej nauki, na cel tę czapkę wolności na tej głowie bez mózgu«.

Doskonale są, idealne, figury sług polskich. Te jedne świadczyłyby o narodowości autora, gdyby był nawet na zawsze bezimiennym pozostał. Stary Jakób, wierny do ostatniego tchu, przeklinający Pana, ale wtedy, gdy już mu na nie przydać się nie może. Mamka Orcia raz tylko występuje, ale w jednym zdaniu odkrywa całą głębię przywiązania, do jakiego tylko nasze wieśniaczki są zdolne: »Najświętsza Panno Częstochowska, weź mi oczy i daj jemu!«

Albo czy nie świetnie scharakteryzowany ów krewny Hrabiego, co to na widok odchodzącego od zmysłów Orcia, myśli przede wszystkim o sukcesyi po rychłej śmierci tego jedynego dziedzica i odzywa się do brata swego:

»Co myślisz bracie, to wymaga rady familijnej!...«

Im dokładniej wczytać się w *Nieboską Komedję*, tem więcej podziwiać trzeba ogrom doświadczenia

życia i głębokiej znajomości przeróżnych dusz ludzkich: od najwznioślejszych do bardzo poziomych, zaledwie godnych człowieczego ciała. Jest w tym poemacie dziwnie wysoki już nastrój moralny, dziwnie szlachetne pojęcie celu i wartości życia, celu i wartości cierpienia...

Nieboska Komedia rozpoczyna się od znamiennych słów Anioła Stróża: Pokój ludziom dobrej woli, a po latach wielu, jako owoc życia całego, pełnego gorzkich rozczerowań, poeta zanuci psalm dobrej woli, błagać będzie jeszcze o wypłewienie z dusz naszych kłólu złud świętokradzkich, tych złud, któremi zasiana jest od początku do końca cała *Nieboska*, złud poetycznych Henryka, złud społecznych Pankracego.

Piękności formalnych, językowych, jest w *Nieboskiej* sporo — ale poeta trzyma je na wodzy i nie pozwala zbyt wybujać kwiatom stylistycznym. Do piękności tych, na które pierwszy Mickiewicz zwrócił uwagę, zaliczyć należy przedewszystkiem wstępy liryczne, poprzedzające każdą z części. Ostatni wstęp, opisowy, jest mistrzowskim odtworzeniem krajobrazu ze wspomnień podolskich i alpejskich, jest jej — nie obrazem realistycznym — ale uduchowieniem, odczuciem i współczuciem ducha przyrody z duchem poety.

* * *

Na znaczeniu i wartości *Nieboskiej Komedy* nie poznano się u nas natychmiast. Trochę w tem winy samego poety, który pierwsze wydanie otoczył takim

wałem ochronnym, że druk mógł raczej za rękopis uchodzić. Ale właściwym powodem był fakt, że arcydzieło to, podobnie jak w poprzednim roku (1834) *Pan Tadeusz*, zjawilo się w pośród emigracyi, rozjątrzonej wówczas bieżącymi sprawami politycznymi, poważnionej i zgietkliwej. *Pan Tadeusz*, tak przecie bliski, prosty, poufały, niemal brat-szlacheć, przechodził zrazu niepostrzeżony nad Sekwaną, oceniony przez kilka zaledwie głębszych umysłów. Cóż dopiero *Nieboska Komedia*! dziwna forma, zagadkowa treścią, tajemnicza bezimiennością autora.

Jednak emigracyjne czasopisma wiedziały coś o niej. Pierwszy *Tygodnik Emigracyi Polskiej* (litografowane czasopismo) doniósł w numerze z d. 6 maja 1835 r. krótko w rubryce nowości literackich, gdzie zapowiadał także wyjście Pieśni Janusza:

»*Nieboska Komedia* (na przeciwieństwo tytułu *la Divina Comedia di Dante*) wyszła z druku przed niejakim czasem w Paryżu. Ma ona mieć (!) znakomite zalety w obrazach politycznych; autor niewiadomy i dzieło dotąd nie wystawione na sprzedaż publiczną«. Tenże tygodnik, widocznie mający informacje bliższe, doniósł 31 grudnia tegoż roku, że autora otacza wielka tajemnica, że rękopism przysłano z Wiednia (!) jednemu z księgarzy paryskich, że wkrótce po wydrukowaniu nadeszło polecenie wstrzymania sprzedaży, tak, że tylko jeden egzemplarz krąży po emigracyi. Nieznany nam krytyk, który, jak sam zaznacza, miał utwór tajemniczy tylko kilka godzin w ręku — nie mógł go dobrze streścić, ale już i to mu za zasługę poczytać można, że

nazwał *Nieboską* dziełem, poruszającym »kwestye wielkie, socyalne, całą ludzkość obejmujące«. Krytyk zarzucał autorowi, że »nietrafnie i nieprawdziwie umieścił na polskiej (!) ziemi powtórzenie scen strasznego dramatu, odegranego w czasie rewolucyi francuskiej. Zdaniem krytyka, demokracja polska nie wysłała zasad swoich z pism Babeufa i Murata. Charakterystyczny szczegół podaje krytyk *Tygodnika Emigracyi Polskiej*. Oto krążyła wśród emigracyi polskiej pogłoska, że autorem *Nieboskiej Komedyi* był Mickiewicz. Krytyk uważa pogłoskę tę za dowód, jak mało sam Mickiewicz jest rozumiany:

»Autor *Ksiąg pielgrzymstwa* zanadto wyraźnie objawił widzenie swoje rzeczy polskich, aby potem, jak kapłani egipscy, stawiał Sfinksa w przedśionku świątyni prawdy i nie rozwinął koniecznych następstw położonej zasady; *Nieboska* zaś *Komedia* jest tylko pięknem, pełnem poezyi i czucia marzeniem poety-katolika, który widzi rozsuwającą się społeczność, zbudowaną przez katolicyzm, widzi czczość i szkaradę wdzierających się na jego miejsce materyalnych teoryj i nie wie, jakie nowe słowo Boże zstąpi między ludzi i natchnie ich nowem życiem«.

Pomijam inne, pobieżne, powierzchowne sądy najwcześniejsze o *Nieboskiej Komedyi*; nie świadczą one o istotnem zrozumieniu arcydzieła. Był to jeszcze za twardy orzech do zgryzienia dla ówczesnej rodzimej krytyki. Nawet L. Ulrych stawiał poematowi zarzuty dziwne, chcąc *Nieboską Komedyę* określić pewną epoką i pewnym narodem. Krasieński, który o zarzutach Ulrycha wiedział od Gaszyńskiego, musiał obja-

śniać *Nieboską* i bronić od zarzutów niesłusznych. List z d. 5 kwietnia 1837 r. jest znakomitą obroną *Nieboskiej* z punktu widzenia ogólnoludzkiego, nie zaś polskiego lub francuskiego itp.

Dopiero Mickiewicz dał pierwszą ocenę *Nieboskiej*, godną arcydzieła. Poeta przeniknął na wskrós poetę, odczuł piękności estetyczne, oddał hołd wzniosłości pomysłu i prostocie wykonania, zrozumiał i ocenił »odwagę« napisania dramatu proroczego. Mickiewicz poświęcił cztery wykłady *Nieboskiej* (d. 24 stycznia 1843 r., 31 stycznia, 7 lutego, 21 lutego), objaśnił znakomicie znaczenie i stosunek wzajemny części poszczególnych utworu, uwypatnił piękność ustępów lirycznych i dał świadectwo »przenikliwości prawdziwie wieszczego wzroku«

Taki sąd starczy za wszystkie współczesne i za bardzo wiele późniejszych. Z oceny Mickiewicza płyną wszystkie niemal nowsze zapatrywania na *Nieboską*, aż do najnowszych. Wszystkie one liczą się z Mickiewiczem, rozwijają jego myśli, lub usiłują z nimi walczyć.

W dwadzieścia lat po wykładach w Collège de France rozległ się znowu sąd Polaka o *Nieboskiej*, wydany w języku francuskim. Był to hołd młodego wówczas pokolenia emigracyjnego z lat 1848—1860, którego najświetniejszym rzecznikiem był Julian Klaczko.

W trzy lata po zgonie poety, pod świeżem jeszcze wrażeniem niepowetowanej straty, w czasie, gdy na Zachodzie znowu zaczęto przysłuchiwać się odgłosom wypadków warszawskich, napisał Klaczko jedno

z najświetniejszych swych studyów p. t.: „*La Poésie polonaise au dix-neuvième siècle et le poète anonyme*“ (Revue des deux mondes, XXXVII, 1-er Janvier 1862). Dał on tam rzut oka na całość poezji Krasińskiego i na jej stosunek do życia naszego narodu. *Nieboskiej* nie mógł wiele miejsca poświęcić, ale tych siedm kartek, które Francuzom i oświeconej Europie dawały pojęcie o dramacie przyszłości starczyło, aby poemat oświecić historycznie i filozoficznie, aby wykazać jego pokrewieństwo duchowe wśród rodziny arcydzieł literatury polskiej i europejskiej.

Zachował nam Klaczko cenne świadectwo, jak pierwotnie społeczeństwo nasze rozumiało, albo raczej nie rozumiało Henryka, bohatera *Nieboskiej*, obrońcy ginącego społeczeństwa: »Z trudem pojmowano tego nieprzyjaciela demokracji, który zdawał się być z nią związany niejednem powinowactwem tajemnym i nieprzepartem, tego przyjaciela szlachty i bogaczy, który tak mało ich szanował, a nawet pogardą obarczał — tego męczennika bez zapatu i wyznawcę bez wiary. Potrzeba było doświadczenia rewolucyi, prób bolesnych r. 1848, aby ułatwić zrozumienie tajemniczego bohatera bezimiennego poety, i rzecz można, że dopiero przy blaskach pożogi, co ogarnęła Europę całą, ukazał się po raz pierwszy w całej namacalnej i dotykanej prawdzie, sceptyczny obrońca ginącego świata«. — Hr. Henryk jest jakby wcieleniem w r. 1833 tego chaosu sprzecznych uczuć, nadziei i obaw, który spadł na społeczeństwo europejskie w piętnaście lat potem. Jest to świadectwo ważne i niepodejrzane naocznego świadka owej pa-

miętnej epoki. Dlatego-to charakterystyka Henryka jest tak znakomita, bo krytyk znał za młodu niejednego hr. Henryka i patrzył niemal codzień na podobnych ludzi, którzy tęsknili za ideałem, a nie próbowali odtworzyć go w sobie, którzy raczej szukali wzruszeń przemijających, aniżeli prawdziwych uczuć. O nich to powiedzieć można, co Klaczko świetnie zastosował do hr. Henryka: „*Il a eu un faux enthousiasme et un enthousiasme à faux*“. Krytyk nasz rozumiał oczywiście doniosłość społeczną dramatu przyszłości, ale był on zanadto dzieckiem swego czasu, aby odczuć tak grozę położenia, jak my ją dziś dopiero zaczynamy odczuwać. Przecież, kto umiał czytać między wierszami, ten powinien był wyciągnąć i wielką naukę i doniosłą przestrożę z następujących słów, których nie chcemy psuć przekładem:

»...il est certain hélas! que nous ne sommes pas au bout de nos épreuves, et que la comédie infernale sera encore pour longtemps le drame de l'avenir. Les dangers que court la société nous feront encore plus d'une fois préférer l'ordre établi à l'ordre moral, et nous nous surprendrons en plus d'une occurrence à invoquer les fantômes du moyen âge dans la crainte du spectre rouge, à jouer aux fils des croisés sans être même enfans de la croix et à nous proclamer papistes sans être catholiques«.

W dwadzieścia lat po studyum Klaczki ukazał się obszerny artykuł o *Nieboskiej Komedyi* pióra Stan. Tarnowskiego w warszawskiej *Niwie* (r. 1882), skąd po latach dziesięciu, prawie bez zmian, prze-

szedł do monografii tegoż autora o Krasińskim. Jest to studium przedewszystkiem estetyczne i zawiera mnóstwo świetnych spostrzeżeń o pięknościach utworu. Genezy jego dać nie mogło, bo listy do jenerała i do Reeva nie były znane, a skutkiem tego domysły o powstawaniu *Nieboskiej* są tam mylne. Charakterystyka Henryka, choć na ogół bardzo trafna, miejscami jest stanowczo za pobłażliwa: »wiele piękności w nim zostało (?), serce było wielkie (!?), zguba przechodzi może miarę jego win i miarę sprawiedliwości — poetycznej« (str. 141). — Niema także w studium prof. Tarnowskiego uwzględnienia momentu historycznego, duchowego wpływu epoki na powstanie *Nieboskiej Komedy* na co zwrócił uwagę dawniej już prof. W. Nehring. Domysły jego znalazły świetne potwierdzenie w listach poety do Reeva. Natomiast rozbiór psychologiczny najgłówniejszych postaci należy do najpiękniejszych ustępów w dziele prof. Tarnowskiego.

Streszczać tu wszystkie inne pomniejsze zdania o *Nieboskiej Komedy* niema potrzeby. Sądy Mickiewicza, Klaczki i Tarnowskiego są jakby odzwierciedleniem i skryształowaniem zapatrywań trzech pokoleń na gienialny utwór dwudziestoletniego młodzieńca. Każde pokolenie widzi w *Nieboskiej* napozór to samo, ale każde widzi z innego punktu, a każde następne widzi więcej...

Z tego względu godnym uwagi jest sąd dzisiejszy, głos z pokolenia najmłodszego, wchodzącego w życie społeczne. Wnuk Zygmunta Krasińskiego, znalazł w późniejszych jego listach ciekawy dowód, że za-

nosiło się u poety około 1840 r. na ciąg dalszy *Nieboskiej*, a zarazem na dodanie osobnej części wstępnej; skutkiem czego rozrastał się pomysł cały na olbrzymią Trylogię. Że wydrukowana w roku 1835 *Nieboska* przeróbki takiej znieśćby nie potrafiła, to wykazuje bardzo jasno i dokładnie Adam Krasiński w studium swem p. t.: »Nieznany pomysł trylogii u Zygmunta Krasińskiego« (*Księga Jubileuszowa* dla Stanisława Tarnowskiego. Kraków, 1904). Z tego studium wyjmujemy tu bardzo oryginalny pogląd autora na dwie główne osoby *Nieboskiej*: hr. Henryka i Pankracego. Punkt widzenia jest nowy, to też obaj wielcy przeciwnicy w nowem stają świetle:

»Dwie wizye, w których przyszłość im się objawia, przejmują bohaterów przed zgonem. Są one nierównej dla nich przegranej zapowiedzią i czuć, że twórca tego dramatu ludzkiej żądzę nierówną miarą chciał mierzyć ich klęskę.

Wizya Pankracego jest Pankracego pogromem, lecz widzenie Hrabiego Henryka przekleństwem mu było i potępieniem. Henryk nad przepaścią, z baszty przyglądający się zniszczeniu w dumnej, zawziętej rozpaczki woła ku swej przyszłości, którą wie i którą ślepy Orcio przejrzał i przepowiedział straszliwie. Wódz Okopów św. Trójcy rzucił swój pałasz niepotrzebny mu już, ale hardą wspaniałość bierze do grobu i z nią się nie rozstawa. Z nią wybiera się w drogę, z nią stąpa ku sądowi Boga. Patrzy w przepaść i w przyszłość — przepaść przyszłością mu — przyszłość przepaścią. — »Widzę ją — woła — całą czarną — obszarami ciemności płynącą do mnie —

wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez końca, a w pośrodku jej Bóg, jak słońce, co się wiecznie pali — wiecznie jaśnieje — a nic nie oświeca».

I oto w tych słowach sąd nad sobą czyni i potępienie bierze — za to, że nie nie ukochał, za swoją martwą wiarę.

Pankracy, rozdawca myśli, dawca nadziei tłumom, mistrz skupionej, nieubłaganej rachuby, więcej ma zaiste wiary od Henryka. I życia nie obrał z wszelkiej miłości. Pod tem czołem łysym — w tych oczach rozumnej przewagi — w zastygłych rysach twarzy upartej, rozkazującej, czytają rzesze nietylko pewność siebie człowieka, ale pewność zwycięstwa sprawy, a tę dawać może jedynie przekonanie. Pankracy je ma. Pankracy wątpi, ale wierzy mimo, lub raczej wierzy, choć zna i wątpienie. Nie ma ufnej, przywiązanej całą mocą ducha, wiary, jaką daje poczucie, że cel i droga święte — widzi chuci, które poruszył do głębi, widzi przed zastępami swymi namiętności, niosące sztandar na czole i zbrodnie, szturmujące do boju. A przecież wierzy w przyszłość swego ludu, dlatego nie ustaje w drodze, dlatego depcze w krwi.

Czyż szczerem nie jest w owej chwili, gdy, zwycięzca już, odpowiada Leonardowi: »Nie czas jeszcze zasnąć, dziecię — bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ich ostatniem westchnieniem. — Patrz na te obszary — na te ogrody, które stoją w poprzek między mną a myślą moją — trza zaludnić puszcze — przedraćzyć te skały — połączyć te jeziora — wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób

tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest».

Takich słów moc przywiązuje ludzi do wodza i można pojąć Leonarda. — Z takich myśli może jeszcze wykwitnąć zbawienie.

A gdzież jest Leonard Henryka? którego nawet stary sługa, Jakób, który go na rękach nosił dziećciem, — przeklina.

— — Henryk w czyn przyszłości nie wierzy. Ma wszystkie tradycje, a żadnej niema nadziei. Wzywa Chrystusa i Maryą, choć wie, że ma znak potępienia na czole — poetą jest uczuć, które w nim nie mieszkają.

Pankracy wierzy źle, potwornie, nieufnie, lecz wierzy. Wierzy w coś większego od pożogi, jaką niesie, jaką jest, w coś, co żywot dawa, a nie odbiera, i wie, że bez tej wiary — dzieło zniszczenia odkupionem nie jest.

Dlatego Henryk ginie w rozpacz, przeklinając wszystko — i moc Bożą, o której strasznie bezna dziejnie mówi, że to słońce pali, a nie oświeca, — a Pankracy upada przerażony poznaniem Prawdy i poznaniem swej wiary zarazem: *Galilae vicisti!* To nie okrzyk przerażenia jedynie, to głos upokorzenia, to oddanie świadectwa Prawdzie.

Przepyszne jest zakończenie dramatu i przeprowadzenie uczuć w ginącym wodzu tysięcy. Blask krzyża rozkłada go w proch — nie ciało, staniające się na ramieniu Leonarda, ale sumienie, ale duszę...

— — Hrabia Henryk tylko o ciemności wołał i widział je płynące obszarami ku niemu.

Któż więc z nich dwóch, któż z wielkich duchów walki osiągnąć może zbawienie i zmartwychwstanie w przyszłości, jeżeli to wogóle możliwem dla ich wiary?

Jedynie Pankracy.

.....

Arcydzieło *Nieboskiej Komedyi* nie inną, a tę konieczność zwiastuje, gdyby z walki na okopach św. Trójcy wysnuć przyszło dzieje dalszych dni i odrodzenie witać w nowej jutrzni. Gdyby nam poeta chciał ukazać nowo obleczonego człowieka, byłby nim Pankracy, nie Henryk — lecz Pankracy, który ukląkł przed tem, co palił i niszczył, Pankracy, który przeszedł przez czyściec myśli i odrodził się chrześcianinem». —

W tej ewolucyi zapatrywań na myśli przewodnie *Nieboskiej* widzimy znamienne historię idei i obowiązków społecznych ostatnich czterech pokoleń, olbrzymią doniosłość utworu, który jest też na wieki obliczony, nie na jedno stulecie. Równieśnicy Krasińskiego spoglądali nań jeszcze spokojnie, niemal obojętnie, jak na szary brzask, ledwo widoczny na niebios kręgu. Ludzie z połowy XIX wieku już z niepokojem nań patrzyli, jak na świt nowego dnia, płonący na chmurach niepewnego ranka krwawemi i tajemniczemi zgłoskami...

A nas, u progu nowego stulecia, olśniewa coraz potężniej coraz bliższe, coraz zrozumialsze, słoneczne

niemal światło *Nieboskiej*, które przenika do sumień naszych, obnaża bez litości grzechy społecznego zaniedbania, zdaje się wyrzucać nam czas stracony, »wahanie się i bojaźń« i uporeczywie powtarzać zdanie, umieszczone na samym tytule tragicznej, ludzkiej komedyi:

To be or not to be, that is the question!

KSIĘGA PIĄTA

I.

Na rozstajnych drogach.

Pobyt Z. Krasńskiego w Rzymie w końcu 1833 r. nie odznaczył się niczem szczególnem. Pewne wyczerpanie fantazyi i zniechęcenie daje się w nim wówczas zauważyć: jest to całkiem naturalny stan ducha, wypoczywającego po trudach twórczości, a równocześnie zajętego myślami Irydionowemi, które przesuwają się przez umysł jego jak mgławice. Rzekłbyś, z ruin Forum, Koloseum i Termów wzbijały się przed nim opary pogańskich idei, zmysłowego piękna starożytności i klasycznych kształtów rzeźby i architektury — stając do walki w duszy jego z cichemi katakumbowemi cieniami pierwszych chrześcian. Rozmyślał wtedy nieraz nad tem, co każdy umysł głębszy odczuwa, a co tak pięknie określił Mickiewicz, kiedy powiedział o pogańskiej sztuce, że w czasach Odrodzenia wyszła »z otchłani nakszałt potworu o stu głowach bogów, nimf i półbogów. Ci bogowie, tacy dumni i tacy piękni, obnażając swe ciała jędrne, tworzyli dziwne przeciwieństwo z przeźroczystemi a leciuchnemi kształtami aniołów i świętych. Te nimfy

i półbogi, w całej swej zmysłowej piękności i muskularnej sile zdawały się kusić i wyzywać czystość dziewięciu chrześcijańskich, męczenników pokorę i asceetyczną chudość zakonników».

W Krasieńskim odbywała się także walka dwu tych światów. Roma pogańska wstawiała przed nim z martwych i roztaczała wdzięki zmysłowego życia i użycia. Rzym zaś katakumbowy mówił o podziemnem, zagrobowem życiu, cierpieniu doczesnem i męczeńskich palmach.

Młodzieńcza porywczoność niechętnie ulegała niewzruszonej powadze Kościoła; zważmy jednak, że były to czasy, w których t. zw. katolicyzm liberalny święcił swe tryumfy. Ksiądz de Lamennais nie był jeszcze zerwał publicznie z Rzymem, ale już w listach swych gromy ciskał na papieża. Montalembert jeszcze ufał palącym słowom księdza de Lamennais i pisał Przedmowę do swego przekładu »Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego«. Aż tu niespodziewanie rozeszła się w Rzymie wieść o potępieniu i samego księdza de Lamennais i Przedmowy Montalemberta do przekładu Pielgrzymstwa. Zakipiał oburzeniem na nietolerancję Krasieński i napiętnował ją bardzo dotkliwie w liście do ojca (d. 1 grudnia 1833 r.), gdzie porównał Stolicę Apostolską z mocarstwem absolutnem wschodniem. A w tymże liście korzył się przed boską potęgą chrześcijaństwa i zdumiewał nad jego ubożuchnymi początkami:

»W tych dniach byłem w katakumbach, które są w Kampanii rzymskiej i zaczynają się od kościoła św. Sebastjana. To strach bierze pomyśleć,

że Chrześcijanie zaczęli swój zawód w takich dziurach, a potem oświadczyli światem. Niech Papa sobie wystawi ciąg korytarzy niskich i ciasnych z czarną czerwonałą gliny, zstępujących w dół coraz bardziej i w których wyrżnięte są groby, podobne do legowisk dzikich zwierząt... nigdy nie okropniejszego i świętszego zarazem nie widziałem».

Przeczuwamy, że Irydion zstąpił do katakumb.

Poeta odbywał częste i dalekie spacerunki po »kampanii« rzymskiej, a potem wracał do domu wyczerpany zupełnie z sił, rzucał się na sofę i pograżał w smutnych myślach. Gnębił go bez ustanku jakiś dziwny, nerwowy lęk przed najbliższą przyszłością całego społeczeństwa. Posyłając (d. 6 stycznia 1834 r.) ojcu na imieniny swoją miniaturę (której podobiznę dajemy w tym tomie), dołączał do niej krótki, serdeczny liścik z powinszowaniem i tak go kończył:

»Niech Bóg Wszechmocny strzeże drogiego oycy — niech pozwoli, byśmy wśród wypadków, które zewsząd się gotują, mogli wypłynąć w iakiej arce zbawienia — niech nas zjednoczy, niech uczyni, bym Papie zdał się na coś więcej, niż dotąd mogłem — niech zasłoni nas obu od gorzkich położeń, od strat, od smutków, od nieszczęścia drugich. A choćby i to wszystko się nie spełniło i żadne życzenie moje nie doszło końca, zostanie nam obu miłość nasza — i z tą żyć potrafim — Ściskam drogiego Oycy po tysiąc, sto tysięcy razy — Zygm. Kras.»

Ten list jest bardzo wymownym dowodem wielkiej, gorącej miłości, którą żywił poeta dla swego ojca. Korespondowali oni wówczas zawzięcie z sobą;

sprzeczali się w listach i przekomarzali, ale przede wszystkim kochali się serdecznie. Trudno może wyobrazić sobie dwu ludzi, bardziej odmiennych, więcej różniących się pod względem zapatrywań i upodobań. W jenerale była dziwna mieszanina prostego, zdrowego rozumu z staropolską tężyzną wojskową, która znaczyła się w każdym niemal zwrocie, w sposobie myślenia, w rubasznym wydrwianiu fantazy i polotów poetyckich syna. Za młodu mniej dbający o formy i przepisy religijne, stawał się jenerał w miarę lat szczerze i gorąco, choć nie ostentacyjnie, pobożnym: umiał wieść z synem dysputy listowne w kwestyach filozoficznych i religijnych, o Görresie i Schellingu (np. w liście z d. 14 stycznia 1834 r.), ale romantyzmu i byronizmu nie rozumiał i nie cierpiał, Byrona nazywał »bandytą moralnym«, a syna ostrzegał przed nadużywaniem imaginacyi. Z żołnierską rubasznością pisał do Rzymu z Petersburga: »Imaginacya jest twym nieprzyjacielem; ona jest fr...ą moralną w tym wieku; a w związku z tem potępieniem imaginacyi zalecał synowi (w odpowiedzi na jego wspaniały list z d. 11 listopada 1833 r. o początkach Irydiona): »Nie nadto spółkuj z Irydionem, gdyż jeżeli on zajmie wszystkie twe władze, to na tem twe ciało i zdrowie będzie cierpieć« (z *Petersburga*, 27 grudnia 1833 r.). Z miniatury syna swego był bardzo rad i z ojcowską satysfakcją stwierdzał, że jedynak jego »ma coś pocziwego i niegłupiego (!!) w swej fizyonomii«. Już to jenerał wogóle nie psuł ukochanego syna pobłażaniem, a cóż dopiero zbytkiem uznania dla prac jego

literackich. Po przeczytaniu *Agay-Hana* przysłał mu z Petersburga ostrą i surową ocenę, która pewnie przykro dotknęła miłość autorską. Z oceny tej bije zapach pseudoklasycyzmu warszawskiego; zdawałoby się mogło, że słyszymy tu jeszcze echo obiadów czwartkowych u jenerała, że to Koźmian lub Osiński znęcają się tak nad biednym romantykiem. Píše więc ojciec, że w *Agay-Hanie* »polszczyzna litewska, a czytanie fatygujące«, że wszystko tam nastrojone na »ton najwyższy«, że brak naturalności i »niema periodu, na którymby spocząć można«. Charakterystyka osób także nie podoba się jenerałowi: »twoje rysy są wydatne, ale nigdzie nie okrzesane i są podobne do snycerstwa wiejskiego po cerkwiach, które chłop-amator ciosał. Czytać ci trzeba Krasickiego, żebyś gładkości nabrał«.

Od Byrona zawrócić chciał jenerał syna swego do Xiecia Biskupa Warmińskiego! innemi słowy: chciał zapały imaginacyi ostudzić dobroduszną, trzeźwą i gładką poezją Monachomachii i prozą Doświadczyńskiego!

W gruncie rzeczy nie tyle jenerałowi zależało na stylu syna, ile na tem, aby uspokoić jego wrzącą wyobraźnię, »exaltacyą i nerwy«. Zygmunt zbyt żywo, zbyt boleśnie przypominał jenerałowi fantazye, uniesienia i nerwy nieboszczki żony; to też otwarcie pisał do jedynaka, że bał się pod tym względem dziedziczności: »boję się successyi linii twej macierzystey« (12-go lutego 1834 roku). — Że obawy te nie były płonne, tego dowodzą ówczesne relacye Danielewicza, a z czasem i sam poeta uzna,

że szereg cały cierpień moralnych i fizycznych przejął po matce. Danielewicz narzekał przed generałem (8-go lutego 1834 r.): »Nie sposób jest wykorzystać zabytka tej nudnej, starej (!), oklepanej poezji i zawsze *grób, ciemność, dyabeł* etc. etc. nawet w chwilach zabawy muszą grać pierwszą i znakomitą rolę«. Rzecz dziwna jednak, że późniejszy »Aligier« tak powierzchownie sądził tu o akcesoryach romantyzmu, a nie starał się przedstawić generałowi samego wnętrza tej świątyni, w której widniał wspaniały ołtarz poezji Zygmunta. Wszakże autor *Nieboskiej* rozwijał wtedy właśnie przed Gaszyńskim olbrzymi i wzniosły program poezji, którą wyzwała z wszelkich naleciałości czasu, naśladownictwa i stosunków przemijających: »Co ty mnie chcesz stosować poezją do ducha czasu?! Alboż poezja jest nałożnicą marnych okoliczności?... Poezja tyczy się rodu człowieka całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje i dlatego właśnie była zawsze i być zawsze musi religijną, to jest mówić o zagadce wielkiej, którą Bóg zadał ludzkości: o przecuciach innego życia, o wspomnieniach tego, co poprzedziło nasze przybycie na ziemię, o nadziejach i bojaźniach, o tem wszystkim, co się zowie uczuciem istoty żyjącej w granicach a przeznaczonej kiedyś do życia bez granic.

Inszem słowem, zowie się to wszystko religijnością — a to, co ty przeznaczasz poezji, zowie się po ludzku: polityką, filozofią, prawodawstwem itd.; ale nigdy poezją! Zapewnie, że poezja zmienia

formy swoje podług czasów i okoliczności, ale jej wszystko jedno, czy z piramid Egiptu, czy z świątyni Turcyi, czy z katedr niemieckich wyciskać tajemnicę stworzenia, upadku, śmierci i dalszego życia; a że religia chrześcijańska jest ostatnią, dopełnieniem wszystkich innych, poezja chrześcijańska być nie przestanie«. (*Do Gasz. I, 45, 46*).

To wysokie, rzekłbym kapłańskie, pojęcie o dostojęństwie poezji mogło także oddziaływać hamująco na twórczość jego; nie łatwo pisać, gdy się ma takie wysokie wyobrażenie o poezji, a w dodatku odbiera się ciągle ostrzeżenia przed poezją i od ojca i od przyjaciela. To też poeta żartobliwie na pozór, a ze smutkiem w duszy uspokaja ojca co do *Irydiona* (13-go lutego 1834 r.): »W tych dniach *spróbuję* pojechać na polowanie z Bowerem i Labedoyerem, by zabić bekasa i rzucić go na drugą szalę wagi, do której przyczepiony *Irydion*«.

Wiadomość o zamążpójściu Henryki Willan, otrzymana od Reeva (listopad 1833 r.) nie zmartwiła go zbyt, jakkolwiek odczuł przykro to zakończenie »dramatu«. Henryce życzył w nowym zawodzie błogosławieństwa bożego, ale nie mógł się zrazu oswoić z tą myślą, że ideał z nad Lemanu jest już żoną jakiegoś nieznanego mu człowieka. »Dziwna to rzecz — pisał — te stare miłości (!) które spią w sercu, a potem nagle się przebudzą bez energii, bez szału, ale pełne tęsknoty i goryczy. Otóż przynajmniej jeden dramat rozwiązany, skończony, spełniony«. Do ojca pisał potem prawie obojętnie (19 lutego 1834 r.), że

Henryka Willan »poszła bogato i dobrze za mąż trzy miesiące temu w Londynie«.

W lutym 1834 roku kończył 22 lata, uważał się za »bardzo starego we wszystkim, krom doświadczenia«; narzekał, że od 2½ lat książki żadnej nie przeczytał. »Co prawda miałem lektorów, ale więcej spałem podczas ich lektur monotonnych, niż słuchałem. Za tem poszło, że zapomniałem, co umiałem (a nie było to trudnem), i że niczego nowego się nie nauczyłem«. (*Do Reeva*). — Z tego, co o sobie pisze, widać, że był nerwowo wyczerpanym, w jakimś odrętwieniu umysłowem (*inanition morale*); dziśby to nazwano neurastenią. Jedyłą przyjemność znajdował w częstych spacerach za Rzymem po kampanii, a pomimo katarów i nagniotków, tam nabytych, uważał, »że kampania jest bardzo piękną rzeczą. Jest to najogromniejsza nuda, jaką znam, nuda najlepiej wyrażona. Jest tam milczenie, zestarzenie się, ogrom — wszystko razem. Ruiny przechodzą zwolna w proch... wszystko jest osowiałe, bez nadziei, bez postępu, wszystko stoi na miejscu, albo raczej wszystko idzie zwolna ku nicości; ja i *campagna* rzymska tworzymy jedność, a krzyki pułhaczów, które cieszą się na tych ruinach, zgadzają się wybornie z napadami wesołości, które budzą się czasem w mem sercu...«

Nie opuszczały go *spleeny* i przywidzenia, których rozprószyć nie mogły przyjacielskie perswazye Danielewicza. Poeta gryzł się wewnątrz bez wyraźnych powodów. Danielewicz tak to generałowi objaśniał (w liście z d. 17 marca 1834 r.):

»Ja w tem wszystkim widzę tylko wyrafinowany, rozumowy egoizm, którego najlepsze serce, najpocziwsze dyspozycye przewyciężyć nie mogą, który nigdy z siebie oka nie spuszcza i w każdym momencie próbuje się i passuje się sam z sobą. W zapale poetycznym ponarzucal sobie despotycznie dziwne systemata i *widzimisie*, pogardzał długo tymi, co im wierzyć nie chcieli, lub nie mogli, dzisiaj przyszła kolej wątpić o ich prawdzie...«

W świecie mało bywał. Lubiał towarzystwo hrabianki Kaliksty Rzewuskiej, córki słynnego Emira, z którą sprzeczał się i drażnił w rozmowie. Była to panna bardzo muzykalna, bardzo wykształcona, ale przytem dziwaczka trochę i znudzona. Wspomina także o ciotce swej, księżnej Lubomirskiej, znękaney cierpieniami, »istocie świętej«, przy której poeta czuł się »bardzo małym«.

Zdrowie zaś pocztawiało ciągle wiele do życzenia. Z końcem marca 1834 r. żalił się Gaszyńskiemu, że go »oczy żrą, palą, rozdzierają«. Generał Krasiński, w ciągłej obawie o zdrowie jedynaka, uprosił Dra Sauvana (warszawianina, z rodziny francuskiej spolszczonej), aby czuwał w Rzymie nad jego synem. Umówiony był projekt kuracyi: Zygmunt Krasiński miał pojechać z Drem Sauvanem do Zurychu, aby tam po radzie z słynnym lekarzem Drem Schoenlein'em zadecydować szczegóły kuracyi. W związku z tem zapowiadał poeta Reewowi, że w połowie kwietnia wyjedzie z Rzymu na Monachium do Wiesbaden i Ems, aby pokusić się »raz ostatni o odzyskanie zdrowia«. Chciał jechać na Genewę, aby

wznówić dawne wspomnienia i zamawiał tam sobie zawnazs list Reeva („*que les souvenirs reviennent m'entourer*“).

Tydzien wielkanocy pragnął jeszcze spędzić w Rzymie. Wspaniałe uroczystości kościelne u św. Piotra przejęły go na wskrós. Silne wzruszenie wyraziło się w liście do Gaszyńskiego:

»Siedziałem w kościele św. Piotra do godziny dziesiątej w wieczór, słuchałem *Miserere*. Nic wznioślejszego nad te głosy ludzkie rozpaczające, konające z bolu i żalu, rozchodzące się zwolna po tem ogromnem sklepieniu, między massy cieniów, massy złota, marmurów i drogich kamieni, zanurzonych w ciemnościach. Nad grobem Piotra pali się gromnie kilka; a reszta kościoła, to nicość cieniów, to nieskończoność cieniów, chaos jakiś z marmuru i cieniów. Świat, jakiegoś nie widział nigdy. Bóg wszędy — Bóg, co skonał na krzyżu; i dziś On, o tej czarnej godzinie, kona w każdym zakęcie tego olbrzymiego gmachu

— — Gdzie nadzieja wasza, ludzie, kiedy Syn Boży zniknął i niema Go! Ale trzeciego dnia On zmartwychwstanie i świat ten zbawi. — —

Ale ja już pisać, opisywać nie umiem; czuję głęboko, ale wyrazić, codzień mniej wyrażać umiem. Nie wiem, co się ze mną stało...«

Listy Reeva i Gaszyńskiego napróżno go wyczeekiwały w Genewie między 10-tym a 12-tym maja 1834 r. Zmienił plan podróży i nie pojechał na Genewę. Nie trafiało się dotychczas, aby od ułożonych projektów podróży odstępował. Coś w życiu jego

zaszło, co wpłynęło na zaniedbanie Genewy, która miała go przecie wspomnieniami swemi otoczyć... Oto serce jego już obumrzeć miało na zawsze dla genewskich wspomnień!

W sam dzień Wielkiejnocy, 30 marca 1834 r., zawarł Krasiński w Rzymie nową znajomość. Edward Jaroszyński, podolak, heglista, wprowadził go w dom krewnych swych, zamożnych obywateli wołyńskich, państwa Bobrów-Piotrowickich. Pani domu, Joanna z Morzkowskich, jaśniała wtedy całym blaskiem niepospolitej urody. Średniego wzrostu, szatynka, o przeszlicznym, prawdziwie polskim owalu twarzy, miała w dziwnych ciemno-niebieskich oczach tyle czaru, w harmonijnych kształtach całej postaci tyle wdzięku, że autor *Nieboskiej* poddał się bardzo prędko nieprzepartemu urokowi dwudziestosiedmioletniej kobiety. Miała ona wzrok krótki, coś sennego w oczach, miękkość jakąś i dobroć, przezierającą i dziś jeszcze z portretów, których kopie podajemy. Była to dama światowa, przywykła do życia salonów petersburskich i drezdeńskich, prowadząca u siebie na Wołyniu w Zahajcach dom gościnny, po staropolsku dla braci szlachty otwarty i licznie nawiedzany, zwłaszcza odkąd mąż jej, Teodor Bóbr, wybrany został marszałkiem krzemienieckiego powiatu. — Mężowi swemu wniosła krociową fortunę, oddając rękę z miłości, wzajem gorąco miłowana. Pobrali się bardzo młodo, może zbyt młodo, aby miłość ta, niedoświadczonego dziecka niemal, mogła przetrwać próbę czasu. Dwie córeczki ożywiały dom szczęśliwy, któremu zrazu chyba ptasiego tylko mleka brakowało. Jak i kiedy

zaczęły się gromadzić chmury nieporozumień nad tem gniazdem rodzinnem, nie potrafimy dokładnie określić. Tyle możemy powiedzieć z jakim takim podobieństwem do prawdy, że pan Bóbr nie umiał oprzeć się wpływom wesołych kompanij ówczesnego słynnego »bałagulstwa« wołyńskiego, że dla tych kompanij mógł czasem zaniedbywać ognisko rodzinne, że hałaśliwy światek wołyński mógł w końcu znużyć młodą mężatkę, tęskniącą do wyższych, podnioslejszych wrażeń i że gdy z dziecka zaczęła wyrastać na kobietę, a okiem doświadczeńszem przejrzała pustkę próżniaczych przejażdżek po świecie, zatęsknić mogła do istoty, któraby nietylko piękność jej ocenić, ale także duszę przeniknąć umiała. Zdrowie jej zaczęło niedopisywać; dość wczesnie poczęły się objawy cierpień nerwowych, zmuszających do szukania ulgi w łagodniejszym klimacie. W r. 1831 poznaje ją w Dreźnie przelotnie tam wówczas bawiący Juliusz Słowacki. Drezno było ulubionem miejscem jej pobytu zagranicą. Na jednym z jej portretów widzimy w oddali okolicę Drezna. Duża fortuna pozwalała na częste przejażdżki zagranicę.

Tak upłynęło lat dziesięć jej małżeństwa... Zbliżał się rok trzydziesty życia, owa psychologiczna Scylla i Charybda dla serc kobiecych. Lata mijały. Piękność jej jaśniała w całym blasku...

Aż nadeszła wiosna pod nieskażonym błękitem rzymskiego nieba i technienie jej owiało dwoje ludzi stęsknionych, zobojętniałych na pozór, a całą duszą spragnionych poezyi uczuć i wzruszeń.

Niezapomniane dla obojga były te pierwsze tygo-

dnie wspólnych wycieczek w okolice Rzymu, te pierwsze spojrzenia upajające, pierwsze westchnienia, rozmowy ciche, słowa urywane, łzy pierwsze...

Oczarował ją polotem swej wyobraźni, wdziękiem słowa poetycznego, urokiem młodego gieniuszu!

Ponieważ państwo Bobrowie opuszczali Rzym 19 kwietnia, Krasiński postanowił towarzyszyć im, póki się dało. Zdawał on sobie odrazu sprawę z niebezpieczeństwa sytuacji, ale nie miał sił, aby stanowczem z samego początku rozłączeniem się przerwać te rozkoszne pęta, które oplątywały niewidzialnymi a silnymi więzami ją i jego. Pani Bobrowa ufała swej enocie wzorowej dotychczas żony i matki — może wmawiała w siebie, że pozostanie w granicach obowiązków.

We Florencyi zabawiła z matką swą i mężem czas jakiś; pisał stąd poeta do Gaszyńskiego (19 maja) donosząc, że jedzie na Wenecję do Monachium i że stanie tam pierwszego czerwca. Łatwo się domysleć, że tą samą drogą jechali państwo Bobrowie. Jak rozkoszne chwile pędzili zakochani w Wenecyi, widać to z późniejszego ich opisu w liście do Reeva; był to maj w naturze i maj w ich miłości: »wieczory zachwycające, gdzie wszystko brzmiało rozkoszą, miłością, — a nieraz płynąc pod mostem westchnień słyszałem głos, który mi mówił: »kara« i »zbrodnia«. Ale z głosu tego drwiła sobie pożerająca mnie namiętność. Często cierpiałem, jak potępieniec, wzrok mój był prawie zniszczony, a mimo to wiodłem ją na łodzi w samo południe, wśród oslepiają-

cych blasków słońca włoskiego, na Lido, Malamocco, Chiosę...

»Pamiętam, raz w wieczór, przechadzając się na wybrzeżu pustem Lida, przy blasku smutnym księżyca, na widok miejsc, gdzie z tobą byłem, mówiłem jej o wysokim i bladym Angliku...

Piękną była owej nocy! Miała coś w rysach swych z odaliski i anioła...« (*Do Reeva* II, 71).

Dodajmy zaraz, że mąż i matka pani Joanny towarzyszyli tym wycieczkom po lądzie i morzu. Do Monachium podróżowano wśród liczego towarzystwa razem; stamtąd pani Bobrowa z matką swą, mężem i dziećmi udała się do Wiesbadenu, Krasiński zaś z Danielewiczem pojechał do Kissingen, gdzie już nań oczekiwał generał.

Spotkanie z ojcem po dłuższem niewidzeniu było zapewne czułe, ale rozłąka z ukochaną psuła chwile wspólnego pobytu z generałem, któremu zresztą syn wyznał najzupełniej miłość swą dla pani Bobrowej. Ojciec, na nieszczęście, nie wziął zbyt seryo tej miłości; może mniemał, że uczucie to minie tak spokojnie, jak miłość dla Henryety Willan; bądź co bądź nie starał się syna oddalić od miejsca pobytu pani Bobrowej. Po miesięcznym pobycie w Kissingen odjechał generał W. Krasiński do Polski, a syn skwapliwie skorzystał z tego, aby niepodzielnie oddać cały czas swój ubóstwianej kobiecie. Niepodobna przypuścić, żeby mąż pani Joanny nie domyślał się niczego. Z listów do Reeva widać owszem, że już w Genewie i Monachium bacznie czuwał nad zachowaniem się żony, że domyślał się jej miłości dla

Zygmunta Krasińskiego, ale zawierał szlachetności obojga; może, podobnie jak generał Krasiński, łudził się, że to kaprys przemijający, na który sam czas najlepszem będzie lekarstwem. Nie zapominajmy zresztą, że były to inne czasy, że romantyzm świecił wówczas nie tylko w poezji, ale także w życiu codziennem swe tryumfy, że jeszcze dziesięć lat temu na Litwie pani Puttkamerowa przyjmowała jawnie, z wiedzą małżonka, westchnienia i hołdy niewinne Adama Mickiewicza, któremi tam nikt się nie myślał gorszyć. Tu więc, z początku, otoczenie najbliższe pani Bobrowej nie miało z pewnością powodów do żadnych poważnych obaw. Dla niej hołdy nieustanne dwudziestodwuletniego młodzieńca-poety były upajającym trunkiem. Mogła się czuć heroiną romansów Balzaca, które tak wówczas wchodziły w modę, że nawet Krasiński, ostro odsadzający literaturę francuską współczesną od wartości, napisze wtedy — z pewnością dla popisu przed panią Bobrową — jakąś nieznana nam niestety »powieść à la Balzac«, do której pod bardzo przejrzystą alluzją wejdzie »romans mężatki...« (*Do Gasz.* 55).

A cóż dopiero, kiedy jej odczytywał *Nieboską* lub może fragmenty *Irydioną*, dwa utwory, które jej poświęcał — gdy dniami i tygodniami całemi pieścił jej słuch najwspanialszą muzyką słów miłosnych, gdy wzrok jej olśniewał błyskawicami myśli swych niepospolitych, jakich nie słyszała dotychczas od nikogo — czyż dziwić się, że go pokochała jak wcielenie poezji wśród szarej i nudnej prozy życia, jak promyk słońca wśród mgły jesiennej...

A on? — Dla niego miłość tej prześlicznej pani była wielkiem objawieniem nieznanych mu sił w życiu, ogromną niespodzianką, rozkoszą i boleścią, do których zniesienia sił mu poprostu brakowało. Rozpoczęła się w nim bowiem walka zajądła uczuć prawych, zasad etycznych, będących samą treścią jego ducha, z całą szarańczą instynktów niskich, zmysłowych, które rzuciły się do podgryzania najszlachetniejszych arterij moralnych. — Namiętność stanęła do walki ze zwykłą, prostą moralnością i burzyła zwolna, bezlitośnie, same podstawy etyki ludzkiej: małżeństwo musiało już uchodzić za najpoważniejsze ze wszystkich błazeństw (*de toutes les bouffonneries* — *Nieb. Kom.*), aby miłość dla mężatki, i to matki dzieciom, mogła się wydać pobłażania godną. Jako poezya młodości zaczęło uchodzić »rozpasanie wszystkich uczuć« (Listy, I, 51). Nawet autorska ambicya musiała iść na usługi wybiegów zakochanego poety: »By dobrze pisać, trzeba żyć wprzód. Ja zarzucam na pewny czas pisanie, biorę się do życia: wychylę kilka puharów wesela, kilka puharów boleści, po ludzku kochać będę, po ludzku cierpieć, a potem siądę i zapiszę i to będzie dobrem... Materya nie jest tak podłą rzeczą, jak sądziłem dotąd, my przez wieczność całą będziemy w materyalnych ciałach; niema ducha bez materyi, jak niema myśli bez słowa, jak niema ciała bez formy. Są rozkosze i jest poezya materyalna. Tę należy harmonijnie pomieszać z poezją ducha, a wtedy stanie na nogi człowiek upoetyzowany, wtedy każdy go pozna i pokłon (!?) mu odda. Inaczej niktby nie

uczuł sympatyj do niego, inaczej byłoby to stworzenie nieorganiczne na ziemi, może organiczne na księżycu lub Jowiszcu, ale tutaj marne, niezrozumiałe. — Tak więc się zmodyfikowałem i z chmur zastąpiłem...« (Listy, I, 51—52).

Ale takie »zstąpienie z chmur« i »zmodyfikowanie« siebie nie mogło się odbyć bez cichych i wyczerpujących walk wewnętrznych, z których wielbiciel pani Joanny wychodził nieraz znękany i bezsilny. Ciągłe udawanie wobec najbliższego otoczenia, ciągła odświętna rola Balzakovego bohatera zaczęła w końcu nużyć go i moralnie i fizycznie. Nie ukrywał tego przed ojcem, owszem spowiadał się przed nim, jak przed najlepszym, najserdeczniejszym powiernikiem:

»Ja przyznaję jużem zmęczony, choć ją szczerze bardzo kocham i winieniem wdzięczność za tysiączne Jej dobroci, za tysiączne Jej niezrażania się. Na Jej miejscu byłbym oddawna wypędził i z nie-nawidził p. Zygmunta — ale w tej kobiecie jest jakieś miłosierdzie anielskie. — Słowem, dosyć głupią rzeczą jest mieć stosunki z istotą niewolną, otoczoną przeszkodami; więcej przykrości, niż przyjemności. — Trza cały dzień być na służbie (!!). Nie wiem, co mi się stało, ale zleniwiłem, mozem osłabł. — — Z tego wszystkiego wyjdzie jeszcze siła, praca i moc nad sobą«. (28 lipca 1834 r. z Frankfurtu).

A nazajutrz, najbliższy świadek tej »służby«, Dannielewicz, także osłabiony i wyczerpany swoją znowu służbą i drużbą, tak się żalił generałowi:

»Ta mieszanina rozmaitych elementów: świetnego czasami rozumu, na subtelne sofizmata mar-

notrawionego, obok niepojętego w małych rzeczach nierozsądku, nadnaturalnej odwagi, niepotrzebnej obok moralnego tchórzostwa, dobroci serca nieograniczonej, obok lekkomyślności w innych przypadkach, jest dla mnie niepojętą. — Albo to jest niezmiernie słaby charakter, który się okupuje najmocniejszą walką z sobą samym, albo też jest to jakieś wielkie przeznaczenie, które jeszcze swojego zawodu nie znalazło, a w dotychczasowym mu ciasno, albo-li też już w biegu zatrzymane i zmarnowane. Bóg sam to wie i sądzić go będzie. To tylko jest realne, że jest bardzo nie-szczęśliwy i wciąż się męczy. Ale czegoż się męczy? O bagatele, któreby każdy drugi pominął...»

»Wracam do mojej teorii *d'une grandeur en travail, ou d'une grandeur erronée*. Pani S. pisała do niego między innymi taki frazes: *qu'elle est fière de lui au nom de l'humanité*. Dopieroż żale nad panią S., że biedna, nieszczęśliwa, zgubiona etc.«

Danielewicz w tymże liście zapowiada wyjazd swój do Monachium. Chce tam nabrać sił do dalszych przyjacielskich przy Zygmuncie obowiązków: »bo mi sił już zupełnie brakuje. Od półtora roku, momentu własnem życiem nie żyję tylko obcem, bo ten ktoś nigdy z siebie nie wychodzi; ja więc jestem jak owo pasożytno ziele na dębie, a przyzna JWPan, że dąb dziwnego nabożeństwa«.

W słowach Danielewicza nie było przesady; że »dąb« był istotnie »dziwnego nabożeństwa«, dowodzi niejeden szczegół tej miłości *à la Balzac*, która rozmarzywszy go na dobre, nie dała mu spokoju i mę-

skiej siły. Różne drobne, nieodłączne od takiej fałszywej sytuacji przykrości, były kroplami zimnej wody na rozpaloną głowę romantyka. Odetchnął spokojniej, gdy krople spadać przestały. Przed ojcem się tłumaczy (a jak się z tych szczegółów generał musiał cieszyć!) z Frankfurtu dnia 2 sierpnia 1834, po wyjeździe pani Bobrowej do Ems:

»Pani sama wciąż była fatalnego humoru... spazmy, łzy i długie milczenia. To wszystko bardzo mi serce rwało, bo ją szczerze kocham, bez szalu wyobraźni, ale szczerze, prawdziwie z sercem. Nawet odetchnąłem, kiedy odjechała (!). Tęskno mi za nią, ale *jakoś wolniejszy jestem*«.

A w kilka dni potem z zadowoleniem pisał do generała z Wiesbadenu (5-go sierpnia 1834 r.):

»Zresztą zdrowie moje dobre. Tylko jeszcze nie pojmuję, co to się znaczy, że nie słyszę głosu pani B., lub pisku jej dzieci«. — Stanowczo wypoczywał po męczącej roli romantycznego kochanka. W tymże liście po uwagach niekorzystnych o ostatniem dziele Lamennego *Ies paroles d'un croyant* (»jako poezya małpiarstwo Mickiewicza«), dodaje: »Na świecie literackim całej Europy jedyna nie-mierność, to Mickiewicz... Znam jeszcze jedną nie-mierność, to pani B. — ale tylko na scenie uczuć moich i pragnień«.

Przytaczamy te urywki z listów do generała, jako wyraźny i nie podejrzany dowód marzycielskiego jeszcze stosunku do pani Bobrowej. Nie kochanki on w niej szukał, ale raczej duszy czulej niewieściej, zdolnej do zrozumienia go, do otarcia łzy jego w dniach zniechęcenia i smutku.

»Tęskno mi wciąż do p. B. — Jednak ta kobieta była dobrą dla mnie, jak tylko dobrą być można — prawda, że nie na wiele jej się zdałem, ale ją bardzo kocham, nie szalenie, o nie! broń Boże! ale tem przywiązaniem *wdzięczności* za łaskę doznaną, *za dobroć nieodpłaconą*...« (6-go sierpnia t. r.)

Zatęskniwszy tak do pani Joanny, zapomniawszy już »o pisku jej dzieci«, wybierał się 17-go sierpnia do Ems, pomimo niemiłej perspektywy spotkania tam także Ankwiczów i jakiejś garbatej Charlińskiej i pani Grocholskiej: »wszystkie baby zazdrośne, że pani B. piękniejsza, do tego Ankwiczowie, którzy może kiedyś myśleli, że się ożenię z ich córką; miłość własna panny Henryety, z którą zawsze mówiłem *exclusive*, wszędzie, gdzie się spotkałem, obrazi się. Już musieli im w Ems dać do pocucia, że Krasiński umizga się do pani B. — a zatem Krasiński znajdzie się w najlichszej pozycji — wśród dziesięciu bab zazdrosnych, że amanta nie mają itd.... Wielkiej sobie uciechy nie obiecuję w Ems, może dostanę dymisyę — i cóż mógłbym zarzucić? nie umiałem korzystać z niczego; oddano mi wszystko, ja nie nie wziąłem: kobiety dość tego nie lubią«. (17-go sierpnia 1834 r. z Wiesbadenu).

A Danielewicz, niezadowolony z takiego dziwnego kochania, na które bardzo trzeźwo i sceptycznie się zapatrywał, napisze w miesiąc potem do generała:

»...Smutny i smutny, czy pod okiem kochanki, czy z daleka od niej. Gdyby się tylko trochę zastanowiła pani B., toby dostrzegła, że zamiast z nudów ją wyrwać, jeszcze jej nudów dodaje. Takiej mi-

łości nie pojmuję, nie rozumiem, i prędzej rozum stracę, nim pojmę. — —

Nie taki był Zygmunt, kiedy go poznał, za młodu, był pełen błędów, ale też pełen zalet i życia. Marzyłem sobie, że błędy ustąpią, passye zasną, a życie i cnoty zostaną. Życie ustało, cnoty śpią gdzieś głęboko, błędów zrozumieć nie chce, a i passye się znajdują za okolicznością«. (18-go września 1834 z Wiesbadenu).

Zygmunt Krasiński nie zatracał jednak nigdy jasnej świadomości własnych swych pomyłek. Młodzieńczy szal porywał go chwilami, ale dni rozwagi zaraz potem nadchodziły, a wtedy nieubłagany był sędzią samego siebie.

Świadczy o tem obszerny list do Reeva (z Wiesbadenu 25-go sierpnia 1834 r.), w którym streszczał przyjacielowi dotychczasowe dzieje swej niezwykłej miłości. Wyjątki z tego listu jużesmy wyżej podali, a teraz uzupełniamy je ogólnym sądem poety o tem, co w nim i przezeń zaszło:

»Wiodłem żywot upiększony poezją chwil dorywczych, zasępiony sytuacyami przykreimi, żywot wznoszący się na przemiany do tragizmu, a potem spadający w buffo, żywot utkany z zachwytów i urągów, ze słabości i egzaltacyi, z błazeństw tego rodzaju, jak moda, wstążka, plotka i z rzeczy poważnych, uroczystych, jak uwiedzenie, upojenie miłosne, zgryzoty cnotliwej kobiety, która się poświęciła, nienawiść dla tego, który jest jej mężem, tysiąc obaw przed niespodziankami i zemstą, tysiąc oczekiwań na szczęście, stokroć zawiedzionych a raz spełnionych, wre-

szcie rozpacz, zwykle zakończenie podobnego dramatu, gdzie, *jak mówi Balzac*: »Dwie piękne dusze rozłączone są przez wszystko, co się nazywa prawem, a połączone wszystkimi pokusami przyrody...«

»... Okoliczności stały się coraz nieznośniejsze. Mąż stał się podejrzliwym, zazdrosnym, niespokojnym. Wreszcie rozłączyliśmy się. Ja zostałem w Wiesbaden, ona bawiła niedaleko. Czasem udaję się na dwa lub trzy dni, aby ją zobaczyć. Ale towarzystwo, które ją otacza, zajęte jest plotkami i zazdrości jej urody; to też pada ofiarą cnotliwości tych pań.

Patrz zatem, jak żyłem. Od pięciu miesięcy nie zmówiłem ani jednej modlitwy; jednak nie odczuwam zgryzot. Do tego stopnia silną była we mnie potrzeba działania, która zmuszała mnie do życia wszystkimi memi władzami, do szukania zbawienia tam, gdzie inni śmierć znajdują. Zdrowie moje poprawiło się, a wśród tysiącznych obaw i tysiącznych wyczekiwań nerwy me odzyskały dzielność. Chciałem żyć i żyłem, ale teraz chwila rozłąki się zbliża. Ponieważ to, co się stało, nie było nigdy towarzyską zabawą, ale owszem dramatem smutnym, rzeczywistym, namiętnym, fatalnym i silnym, muszę się teraz spodziewać kary surowej i długiej. Niech i tak będzie«. (*Do Reeva* II, 70, 72).

Ironia losu chciała, że tegoż samego dnia, w którym autor *Nieboskiej* przed przyjacielem swym tak poetycznie »dramat« życia swego »układał«, ów trzeci w »trójkacie«, pan Bóbr z Ems najspokojniej uwiadamił jenerała o tem, jak się miewa Zygmunt, żartując sobie i z niego i z jego czułych westchnień.

W liście tym traktuje go mąż pani Joanny, jak dobrego, nieszkodliwego dzieciaka. Widocznie ów romans *à la Balzac*, odgrywany to w Wiesbaden, to w Ems, nie był tak dalece niebezpieczny, z pozoru tylko bardzo francuski, w gruncie szczerze jeszcze polski, więcej dający materiału niewieścim plotkom, niż — spowiednikowi...

Listy ówczesne Z. Krasińskiego do Gaszyńskiego nie dorzucają światła na tę sprawę; są one dziwnie krótkie, zakrótkie; mogą nawet obudzić podejrzenie, że je z czasem Gaszyński umyślnie skracał do druku. Lecz i one zawierają uboczne potwierdzenie naszego domysłu, że poeta, dręczony niepokojami sumienia, raczej przesadnie odmalował przed Reevem swe rzekome winy.

»Ja żyję, ale jak żyję? tobym trudno opisał. Naprzód we mnie jest pierwiastek zgubnej goryczy, który objawia się ciągle, czy się rzucę na chmury i siedzę nad ziemią, czy zejść na ziemię i rzeczywistości się chwycę, tak, że rzeczywistość zda mi się ideałem. Fizycznych nawet rozkoszy dopełnionych niema, umysłowe jeszcze błędniejsze. Gdzież jesteśmy? gdzie żyjemy?« (*Do Gasz.* 23-go sierpnia 1834).

Napisanie romansu *à la Balzac*, w którym puścił wodze ironii, wyśmiewając plotkarki, uwłaczające dobrej sławie pani Joanny, miało także głębsze pobudki historyozoficzne. Od osób, które czytały ów romans i zapamiętały w przybliżeniu treść jego, wiemy, że powieść zaczynała się w sposób żartobliwy od sceny w jakimś sklepie niemieckiego »badu«, gdzie bohater odcina się atakującym go plotkarkom;

wraca potem do siebie, by odpocząć i zapada w sen. W tym śnie ma widzenia czasów przyszłych, które mu Dante objaśnia. Występuje tam ludzkość współczesna ze wszystkimi wadami i potwornościami społecznego ustroju, albo raczej rozstroju, a zatem: militaryzmu, giełdy itd. Słowem mielibyśmy tam już pierwszy pomysł późniejszego *Smu* z t. zw. „*Niedokończonego Poematu*“, wyraźny dowód, jak wcześniej, bo przed ogłoszeniem *Nieboskiej*, autor jej przemyślał nad genetycznem uzasadnieniem hr. Henryka, jako przenikliwego i nielitościwego szydery z rzekomych dobrodziejstw współczesnego mu »postępu«.

Miejmy nadzieję, że ów romans *à la Balzac* nie zaginął na zawsze, że się odnajdzie i rzuci tak pożądane światło na ciągłość rozwoju historyzoficznych myśli poety.

Miłość nie pochłaniała go wyłącznie; myślał także o swych utworach. Dowodzi tego fakt, że w tych właśnie miesiącach letnich 1834 r. czytał pani Bobrowej *Nieboską* w Wiesbaden, cieszył się jej uznaniem dla tego utworu, rad widział rękopis *Nieboskiej* na stole ukochanej, której miał pieszczone lat tylu dziecię ducha swego poświęcić. Powiózł wreszcie rękopis do Frankfurtu i księgarzowi Jügelowi w największej tajemnicy do wydania anonimowego powierzył.

Wiadomości z paryskiego życia emigracyjnego żywo go obchodziły, a przedewszystkiem ten, co był naszej emigracyi czołem i koroną — Mickiewicz. W końcu sierpnia 1834 r. uwiadamy z Wiesbadenu ojca o ślubie Mickiewicza z panną Szymanowską i o naj-

nowszym jego utworze, *Pannu Tadeusza*. Zachęcał generała, aby go sobie sprowadził, a dla tem większej zachęty zapewniał, że tam już niema »szału poetyckiego pierwszych dzieł« Mickiewicza, że to jest »w swoim rodzaju arcydzieło prostoty wiejskiej«, że »to jest *Pan Podstoli* wierszem napisany«. (29 sierpnia 1834 r.).

Pierwsze wrażenie pobieżne po odczytaniu *Pana Tadeusza* nie pozwoliło jeszcze Krasińskiemu oddać prawdziwego hołdu temu arcydziełu poezji naszej. Już w kilka tygodni potem mamy gorętsze uznanie dla *Pana Tadeusza* — ale jeszcze nie uwielbienie, które dopiero po sześciu latach nadejdzie. Bądź co bądź zapął dla *Pana Tadeusza* w nim wzrasta; 17-go września 1834 r. pisze do generała:

»Niech Papa przeczyta co prędkiej *Pana Tadeusza* Mickiewicza. To jedynie dzieło w swoim rodzaju — lepsze od Mon(ach)omachii, komiczne, pełne życia narodowego polskiego, dzieło polskie całą gębą, narodowe, wiejskie, szlacheckie — Don Kiszott polski — dowód nieodbity wielkiego gieniuszu. Wszystko tam się znajdzie: wady i zalety Polski, natura polska, uczucia nasze wzniosłe i śmieszności bez liku — rewolucye nasze, seymiki, szlachta stara i młode generacye, jakobiny i doktrynery — wszystko, wszystko z taką prawdą oddane, z taką prostotą, że aż strach bierze«.

Spędziwszy drugą połowę września we Frankfurcie, pożegnał w końcu tego miesiąca panią Bobrową. 6-go października pisał do niej z Frankfurtu jeszcze,

uwiadamiając, że stosownie do jej życzenia jenenaście mszy »za duszę kuzynki Józefiny« zamówił, że był w katedrze na jednej z tych mszy, »a dawno już nie był na żadnej«.

Szczegół o mszach niech nas nie dziwi. Pani Bobrowa była osobą szczerze i głęboko religijną. Możemy sobie wyobrazić, jakie walki wewnętrzne toczyły się w niej między duszą na wskrós prawą i szlachetną a nerwami rozkiełznanymi i pierwszymi objawami cierpień, które po latach zamroczą jej umysł. — Rozstanie z Z. Krasińskim było wówczas smętne zapewne, ale nie tak bardzo jeszcze bolesne. Rozstawano się z nadzieją spotkania w roku przyszłym. List pierwszy, po rozstaniu pisany, jest też zupełnie spokojny, o drobiazgach donoszący, zawiera w końcu czułości dla córeczek pani Joanny; nawet o guwernantkę dla nich ma się starać Zygmunt Krasiński.

W kilka dni po wysłaniu tego listu z Frankfurtu, opuścił to miasto poeta i zaczął zwolna kierować się na południe. — 11-go października napisał z Monachium list do Reeva, przepełniony wspomnieniami błogich letnich miesięcy. Z Monachium, gdzie dwa tygodnie zabawił, pisał także do ojca. Samotność oddziaływała zawsze przynębiająco na poetę. Nie mógł on mówić z Mickiewiczem:

»Samotności! do ciebie biegnę jak do wody
Z codziennych życia upałów;
Z jakąż rozkoszą padam w jasno-czyste chłody
Twych niezglębionych kryształów.
Nurzam się i wzbijam w myślach nad myślami,
Igram z niemi jak z falami...«

Nie! Samotne myśli Krasińskiego nie były falami chłodzącymi — były raczej koszulą Dejaniry palącą... To też narzeka przed Reevem na »samotność zgubną (*funeste*)«, na to, że skazany jest, mimo osób miłujących go, na »samotne życie i śmierć samotną«. Nawet miłość kobiety niezwyklej, »która czoło jego uwieńczyła miłością kochanki, siostry, matki i dziecka«, nawet ta miłość nie dała mu sił i życia. »Przeszła jak marzenie ponad mą trumną« (*Do Reeva*, II, 74—75). Równocześnie zaś odślaniał przed ojcem sam rdzeń swej natury duchowej i bez litości dla siebie, a ze zdumiewającą przenikliwością i trafnością taki dawał swój wizerunek; *se ipsum pinxit*:

»...Z ludźmi, których znam oddawna, choćbym najserdeczniej ich kochał, staję się martwym głazem, milczącą istotą. Tak przy końcu i z panią B. było. Ileż razy mi przypominała pierwsze dni miłości mojej i moje długie rozmowy, opisy, przemowy, które ona tak lubiła, które ją oszołomiły — pytała się o nie, a ja nie mogłem ich wznawiać. — Niechże trafi się nowy człowiek; wtedy nie rozumiem, jaka siła budzi się we mnie bez wiedzy mojej. Miłość własna staje na straży, jak anioł, wszystkich słów moich, myśl moja pomimowolnie się wyteża, prawie bez rozkazu; staje się mocną. Ja czuję wtedy nieraz, że stwarzam, że wynajduję nowe widoki, stosunki, uwagi. Im mój słuchacz bardziej się dziwi, tem (więcej) rosnę w moc, w wymowę, sam nie chcąc, nie żądając tego, jakby inspiracja jaka spadała na mnie — a kiedy go przekonam, żem silny, leniwieję. — Złąd

też poszło, że wszyscy, którzy krótko mnie znali, powzięli wysokie wyobrażenie o moim rozumie, — wszyscy, co długo, zwątpili o nim. Sam nigdy tak dzielnie nie myślę, nie zdołam nigdy w samotności tak myśleć; trza mi bodźca, a jeśli go niema, tam raczej zwierzę, niż człowiek...» (*Z Monachium, 12 października 1834 r.*). — W ścisłym związku z tym własnoręcznym portretem duchowym, jest o miesiąc późniejsza próba wyjaśnienia jednej z zagadek psychologicznych, tak powszechnych u tylu pisarzy prawdziwie twórczych:

»Co to się znaczy, że niby ja wszystkich rozumiem, a nikt mnie? Czy to czasem nie znaczy, że ja nie jestem indywiduum, że nie mam własnego charakteru, ale że mam wielką drażliwość nerwową i moralną, jak kobieta; co robi, że mogę wleść w każdego uczucia na chwilę. — I kobiety, dla tych samych przyczyn, nikt nie rozumie — bo kto może kaprysy, rzeczy nieregularne, niewymiarkowane zrozumieć?« (*Do ojca z Rzymu, 11-go listopada 1834 r.*).

Z Monachium powoli, na Medyolan posuwał się ku Rzymowi. »Zmieniał miejsca, widoki, ale zmieniał napróżno«, bo ciągle miał z sobą — siebie samego, t. j. stały przedmiot niezadowolenia. Z Medyolanu odezwał się do Gaszyńskiego z narzekaniem na los swój:

»Dotąd nie nie zaspokoilo pragnień moich na tym świecie. Ani żądzom mojej miłości własnej, ani żądzom serca mego nigdy nie stało się zadość... Sam nie wyrozumiałbym, czego żądam, ale czuję skorpiona

żądań, przewracającego się we wnętrznościach moich, który, nie dostawszy nic, sam siebie zakłuwa...

Takie istoty, jak ja, powinny były urodzić się w nieprzeklętym świecie, poczynającym żyć, w wiosnianym Edenie, przed grzechem pierworodnym, kiedy wszystko było świętem i wolnem; lub prosto w piekle, jeśli im już los kazał narodzić się wśród niedopełnionych, w grzechu i karze żyjących stworzeń. (*Do Gasz. z Medyolanu, 30 oktobra 1834*).

Narzekał na pustkę ducha swego, na ból fizyczny, który wznosi myśl jego ku Bogu z prośbą o litość, na ból moralny, który oddala od Boga, napełnia duszę zazdrością szatańską, pożądaniemi pychy.

Mimo to wszystko interesował się polskiem piśmienictwem, uwiadamał Gaszyńskiego o tem, co piszą Dmochowski i Osiński, jak mu się Mochnackiego dzieło o »Powstaniu« wydało, powtarzał mu wreszcie znane już nam z listu do jenerała zdanie swe, niedocenające *Pana Tudensa*. Sam także był literacko czynny. Pisząc do pani Bobrowej z Medyolanu list francuski dość obojętnej treści, umieszczał tam ciekawą, niestety zagadkową dziś wiadomość o utworze jakimś drobnym, napisanym na życzenie pani Joanny jako wspomnienie jej zmarłej »kuzyny«. Nie posyła jej utworu tego, chcąc go czytelnie przepisać, a cierpi na oczy. »Starałem się wprowadzić do tych kilku wierszy (*dans ces quelques lignes*) o losie duszy, co uleciała z ziemi, nieco pierwiastku anielskiego, którego mi, zdaniem wielu, odmówiono. Pierwsza to rzecz, jaką w życiu napisałem, w której wyrzekłem się całkowicie środków piekielnych (*des moyens in-*

fernales [!]). Oцени Pani, czy mi się to udało. Aby rzec prawdę, demony zaczynają mnie nudzić. Mam ich dosyć w mem łonie». (*Z Medyolanu, 28 października 1834 r.*).

W dalszym toku tego listu zachwyca się śpiewem słynnej Malibran w Normie i dołącza osobny list do »Teodora«, męża pani Joanny. Wyprawiwszy do niej drugi list z Medyolanu 4-go listopada 1834 r., wyrażający w ostrożnych słowach tęsknotę za nią i nudę, z ciągłym zapytywaniem się o męża i dzieci — ruszył do Rzymu.

Tu zastał widocznie list pani Bobrowej, bardzo spokojny i trafnie go oceniający, skoro 11-go listopada pospieszał wytłumaczyć się przed nią z zarzutów:

»Chciałbym teraz wrócić do tego, co Pani mówi o mojej imaginacyi, o fałszywości tej imaginacyi i o tem, że ja sam wiem doskonale, jako idee moje są fałszywe«.

Zarzucała mu mianowicie pani Joanna, że »tworzy sobie jakąś doktrynę poetycką, której nie odczuwa, z której może nawet sam drwi, a którą rozwija po to tylko, aby z wieść drugich«. Poeta zastrzega się wobec tego uroczyście: »nie staw mnie pani w rzędzie chorych z imaginacyi«.

A przecież jeśli porównamy zarzuty pani Joanny z tem, co pisze często o Zygmuncie Danielewicz do generała — hędziemy musieli nie jemu, a jej przyznać słusność. W końcu tegoż listu ciekawe znajdujemy wyznanie: »Długo nienawidziłem Rzym, teraz go kocham«.

Równocześnie opisywał dokładnie Reewowi stan swej duszy o »porywach szatańskich«. Nie możemy tu przedłużać opowiadania długimi ustępami jego korespondencyi ówczesnej z przyjaciółmi. Listy te należałoby tu w całości podawać, chcąc w szczegółach określić smutny stan jego fizyczny i moralny. Co w tem najboleśniejsze, to zupełna świadomość powolnego zaniku sił duchowych i cielesnych:

»Nicość życia wypełniła aż po brzegi czarę mego przesytu... Kto mnie zna na wskrós, unika mnie, pyta, kim jestem, skąd przychodzę... Kobieta, którą najdłużej kochałem, która mnie najsilniej kochała, doszła w końcu do przypuszczenia, że byłem dyabłem. Słowem, jestem w walce z braćmi mymi, ludźmi«. (*Do Reeva, 12 listopada 1834, passim*).

Ten zupełny upadek ducha da się tylko wytłumaczyć rozłąką z ukochaną, miłością bez nadziei, aby kiedykolwiek miłość taka mogła się stać jawną i dozwoloną. Moralne uczucie jego cierpiało w tej walce nierównej z pierwszą namiętnością silną.

»Tak Briareus olbrzym stapał ku mieszkaniu bogów, i dostawszy piorunem w łeb, zwałił się pod gruzami gór, które dźwigał. O, gdybym choć raz mógł na jawie obaczyć wszystkie moje ukryte żądze, sklejone w ciało, ubrane w formę; ponieważ jestem mężczyzną, ta forma musiałaby być kobietą. Nie byłby to posąg Pigmaliona, ale ona, utworzona z żebra duszy mojej, poznałaby mnie, byłaby mną i sobą zarazem. O! wtedy ukląkłbym przed jej śnieżnem ciałem«. (*Do Gaszyńskiego, 29-go listopada 1834*).

Były to sny chorego, sny na jawie, męczące i osłabiające. Stan fizyczny z początkiem grudnia był bardzo zły.

Kiedy niespokojny o zdrowie pani Joanny, przerażony jej milczeniem, pisał do niej z Rzymu 4 grudnia 1834 r., nie mógł dać pocieszających o sobie samym nowin. Chory był na piersi i cierpiał tak silnie, że lękano się, czy to nie suchoty. Poeta dodawał:

»smutne to dziedzictwo, które zapisała mi matka moja wraz z imaginacją swą, jeszcze smutniejszą«. Przecież pomimo złego stanu zdrowia, a raczej dla tego właśnie, postanawiał poeta zostawić przyjaciółom trwałą po sobie pamiątkę. Po tak długim milczeniu słyszymy przecież znowu o *Irydionie*, albo raczej o tle jego:

»...zanim zniknę ze sceny, chciałbym tu zostawić coś, coby mnie przypomniało tym, co mnie znali... na kilku stronach chciałbym zawrzeć wszystkie me idee, marzenia, wszystkie pragnienia dalekie, które — czuję to — nie ziszczą się nigdy. Co było myśli mych celem, radbym w słowo silne i majestatyczne wcielić. Sceną tego, co mnie nurtuje, jest Rzym, są wnętrza katakumb; dzieje się to *wśród męczenników*, u szczytu Kapitolu, obok purpury Cezarów. Z tego także względu wolałem pobyt w Rzymie, nie w Neapolu«. (9 grudnia 1834 r.).

Zważmy, że w dalszym ciągu tegoż listu opowiada Krasiński pani Bobrowej dzieje Cecylii Metelli, a następnie zajrzyjmy do tekstu *Irydiona*; przekonamy się, że poeta zajęty był wówczas tworzeniem

samego początku drugiej części, gdzie-to mamy właśnie scenę w katakumbach, rozmowę Papieża z przyszłym Cezarem, Aleksandrem Sewerem, a wnet potem z Irydionem:

»WIKTOR. Czekałem na ciebie, Hieronimie — sługi twoje dziś zrana przynieśli ciało brata, świętego pod mausoleum Cecylii Metelli...« (I, 133).

...(Wchodzi orszak, *męczennik na marach* itd. — I, 135).

A w »Przypiskach« poety do powyższych ustępów czytamy: »Pod mausoleum Cecylii Metelli«. Zdaje się, że obok tego pomnika, wystawionego żonie Triumwira Krassusa, było ukryte miejsce do katakomb. Dotąd stoi obok kościoł św. Sebastjana w Kampanii rzymskiej, od którego schodzi się w tę resztę katakomb, po której chodzić można. [Por. *wyżej ustęp z listu do ojca str. 150—151*].

»...Na Forum romanum«. Tak zwał się plac przed Kapitołem... od tego Forum wstępowały schody aż na szczyty kapitolińskiego wzgórza, tam na lewej wyniosłości« itd. (I, 307).

Tak zatem pod świeżem wrażeniem tego początku drugiej części i objaśnień, niezbędnych do tekstu, pisał Krasiński list swój z d. 4 grudnia 1834 roku; o czym jednak nie pisał do pani Bobrowej, a co my dziś jasno widzimy, to, że zaraz po owej rozmowie Irydiona z Papieżem rozpoczyna się ważny dyalog Kornelii z Irydionem, tej Kornelii, którą poeta przyozdobił wszystkimi blaskami duchowej egzaltacji i bezgranicznej dobroci pani Joanny. Odnajdziemy ją w tych słowach:

»Tak, tak, ty się nie odejmiesz mojej potędze. Ja wiem, że się urodziła, żeby ciebie zbawić.

»...Od krzyża nigdy oczu nie spuściła ku śmiertelnym twarzom — a teraz, o Panie, dwoje oczu utkwilo mi w pamięci — jego oczy, jego, Panie!«

A jak z listu do pani Bobrowej możemy na pewno wnosić o czynnej pracy nad *Irydionem*, tak znowu z listu do Reeva, w dni dziesięć po tamtym pisanego, widać, że zaprzętała go w dalszym ciągu postać demoniczna Masynissy. Reevowi odpowiada na tezę jego, że »myśl — to Bóg, a namiętność to dyabeł«. Nie zgadza się z tem Krasieński i podaje swoją definicję szatana, bardzo ciekawą i dla nas ważną, bo daje się ona żywcem zastosować do Masynissy, który najwyraźniej wtedy wysuwał się na pierwszy plan nowego dzieła. Oto najważniejsze zdania z listu do Reeva:

»W starożytności prawdziwy szatan, który bez litości popycha do złego i każe popełniać zbrodnie, to nie Pluton, to Fatum, panujące nad wszystkim...

»Weź znowu Szatana. Gdzie widziałeś istotę, która ściślej rozumowała, wyszedłszy z fałszywej podstawy? która umiała lepiej odegrać retora, obracać myślą, uzbroić się w zwątpienie, walczyć słowem zimnem, energicznym, używać teorematów, wywodów i wyników...« (*Do Reeva, 20 grudnia 1834 r.*).

Otóż i profil moralny Masynissy, a wystarczy przypomnieć sobie, jak on argumentami rozumowymi, na chłodno, »obracając myślą« Irydionową, powoli

a statecznie doprowadza bohatera do upadku, aby z listu do Reeva domysleć się, że choć nie mówi tam o Masynissie, jego przecież ciągle ma na oku.

I tak dochodził z wolna wśród zmiennych kolei zdrowia i choroby, chwil błogich i zwątpienia, do kresu owego roku 1834-go, który nazywał przed panią Bobrową jednym z najpiękniejszych w dotychczasowym życiu. Był to rok istotnie ważny ze względu na nowe, silne uczucie, które go na ziemi włoskiej opanowało. Na jednostajnej, cierpieniem tylko urozmaiconej drodze jego życia, wykwił nagle, niespodziewanie, purpurowy kwiat miłości, róża wonna, której czarem upajał się poeta. Jej ciernie nie krwawiły mu jeszcze łona.

II.

RAJ I PIEKŁO.

(1835 r.)

Rok 1835 zaczynał się nie pod najlepszymi auspicjami. Do dawniejszych cierpień fizycznych przyłączyła się jeszcze ruptura, która zmuszała go do ostrożności w ruchach, co znowu oddziaływało źle na cały organizm, wymagający ruchu. Otoczenie w Rzymie było dawniejsze: księżna Lubomirska, Adam Sołtan, Dr Sauvan i nieodstępny Danielewicz. Wspomnienia rozkosznych miesięcy wiosennych i letnich r. 1834 zatruwało mu teraz pobyt w Rzymie. Odzywał się dwukrotnie w styczniu 1835 r. do pani Bobrowej (10-go i 21-go stycznia), ledwie hamując żywsze, gorętsze wyrazy. Narzekał na nudy rzymskie, na kobiety, zajęte plotkami, a tu miał z pewnością na myśli dom pp. Ankiewiczów, gdzie nie stracono jeszcze nadziei pozyskania „*Mr. le Comte*” na zięcia. Przed Gaszyńskim roztaczał smutny obraz stanu swego:

»Chorobą fizyczną niszczała lepsza połowa ducha mojego. Tej sprężystości już nie mam, którą dawniej

gibki byłem, czy w mówieniu, czy w pisaniu... świat zewnętrzny niecznośnie mnie ciąży...

...Dogorywa w piersiach zapal, w głowie myśl, w sercu uczucie. A nie dzieje się to mimo wiedzy mojej: owszem widzę każdą iskłę, co gaśnie, każdą sprężynę, co pęka, widzę duszę moją zwijającą się w popiół jak list spalony, co zżyłma się i tli jeszcze i tuż, tuż, już zczernieje, rozwieje się w nicość. *Siła analizy* pozostała mi; nią, jak ostrzem zatrutem sam się rozdzieram i kraję, konam z przytomnością umysłu«. (I, 62. Do Gasz. 8 lutego 1835 r.).

Ta »siła analizy« nie była jednak właściwie *siłą* ducha, była raczej objawem jego niemocy i zniechęcenia, których źródłem znowu opłakany stan zdrowia i starganych nerwów. To, na co patrzył w Rzymie, rozdrażniało go tylko. Widział sędziwą księżną Lubomirską, dręczoną skrupułami religijnymi, więc zaraz lękał się, by w takiż stan duszy nie popadła pani Bobrowa. To też w liście do niej z d. 8 marca 1835 r. złorzeczy księżom w ogólności i tak do nich zniechęca panią Joannę:

»Księża, po większej części, są dumnymi, jak tyrani, złośliwymi, jak karły. Ich pokora jest udaniem, bo takiej pokory przybrać prawdziwie nikt inny by nie mógł, jak święty, a gdzież świętego szukać w 19-ym wieku, w wieku egoizmu i podłości i niedowiarstwa. Czytaj Pani Ewanielię Fenelona; módl się, ale sama, spowiadaj się, ale sama; nie rozumiem przez to spowiedzi protestanckiej, uczynionej przed Bogiem bez pomocy księdza — ale twierdzą, że można księdzu

wypowiadać [się] i pozostać samą». (*Z Rzymu, 8-go marca 1835 r.*).

List ten pisał na wyjeździe z Rzymu do Neapolu, dokąd wyruszył w towarzystwie Danielewicza. Wspomniały widok na morze, Wezuwiusz i Capri, rozerwał na chwilę znękaną umysł jego, ale ani bólu nie ukoił, ani myślom wypoczynku nie dał. Przeciwnie! W Muzeum Burbonów (dziś Narodowym) ujrzał cały szereg wykopalisk pompejańskich, a rozmyślając nad tą straszną katastrofą, dochodził do ponurych wniosków, któremi ledwie śmiał podzielić się z religijnym swym ojcem. Ciekawy to bardzo dowód, jak ciągle pracuje w nim myśl badawcza, owa »siła analizy«, na którą narzekał przed Gaszyńskim. Przyszły autor *Myśli Ligenzy* tak się zwierza ojcu (w pierwszej połowie kwietnia 1835 r.):

»...muszę wyznać tę straszną i tajemniczą prawdę, że natura, że Bóg nieraz postępuje terrorystycznie, że jak rośliny dla zwierząt, zwierzęta dla ludzi gubi, tak też pomniejsze stowarzyszenia niszczy dla większych familij narodów, narody poświęca ludzkości. Ztąd wniosek dalszy, zatrważający: »Komuż ludzkość poświęci?« — bo my nie jedyni, nie ostatni, nie najwyżsi przecie wśród światów.

Wiem-ci ja, że te poświęcenia są tylko pozorne, że to tylko przeniesienie z miejsca na miejsce, że to tylko rozwianie pewnych kształtów, by zaraz tę samą siłę ubrać w inne, ale chwila konania, chwila przemiany jest zawsze bolem i nędzą. Świadkiem niech mi będzie Pompea i Muzeum Bourbon,

w którym my dzisiaj korzystamy z wybuchu zaszłego przed wiekami, przypatrując się kółczykom i fibulom tych biednych pań rzymskich, co wtedy zginęły. Anglicy! podziękujcie! — Ciceroni, podziękujcie — historycy, podziękujcie! Ale jabym nie był chciał przed ową godziną mieć ojca, lub matkę, lub siostrę, lub kochankę w Pompei«. —

Odwiedziny Pompei pobudziły go zaraz do ciekawych zestawień sztuki pogańskiej z średniowieczną. Znać z listu do Gaszyńskiego, jak pomimo zniechęcenia, goryczy i smutku rozum poety dojrzewał szybko i świetnie:

»Byłem w Pompei: w tej odgrzebannej mumii piękne są pomniki. Architektura grecka skandowana, jak wiersze Eneidy; matematyka, prawo rzymskie stare, w kamień wcielone. — Weź Pompeję i weź katedrę w Kolonii, najpiękniejszą z gotyckich utworów, choć niewykończona. W Pompei równoległobok i elipsa, to są zasady, jedyne kształty, miara doskonała, filary cudownie piękne; ale wszystko ciasne, skończone, ograniczone, nic niema za kapitelem kolumny, na kapitelu kończy się kolumna. W Kolonii ty idziesz za strzałą gotycką; a kiedy się przerwie, ty dalej wzrokiem sięgasz tam, gdzie ci ona wskazuje — w niebo! W Kolonii piękność formy nie jest rytmiczną, jak w Pompei, ale pod formą żyje duch organiczny, wielki. W Pompei ducha niema, tylko jest ciało i ciało piękniejsze w rzeczy samej, ale zawsze określone i nieżywe. Fidiasz nieby nie pojął w liściach kapuścianych, w żabach, karłach i potworach dłutowanych w podnożu każdej katedry goty-

ckiej. Wirgiliusz plunąłby na *Fausta* Goethego. Bo im trzeba było symetrii, jedności, regularności; co pochodziło stąd, że oni tylko jedną część człowieka znali, to jest ciało i z tej części jedność zupełną wyidealizowali. My zaś pstroczyny musimy używać, bo śpiewamy o stworzeniu złożonem z duszy i ciała, między którymi zachodzi walka, sprzeczność i ból i ruch«. (*Neapol, 26 kwietnia 1835 r.*).

Doświadczał tego najlepiej na sobie twórca *Nieboskiej*, niespokojny kochanek. W niepewności o zdrowie pani Bobrowej, która leczyła się w Niemczech, spróbował Krasiński uchylić nieco zasłony przyszłości i uciec się do wróżb, nie cygańskich — ale zakonnych. Był w Neapolu klasztor *Sepolte vive*, zakonnic, zwanych *Trenta tre*. Siostra Agata przepowiedziała tam przyszłość. Krasiński poszedł do *Trenta tre*, powiedział przy kracie imię ukochanej i po dziewięciu dniach dowiedział się, że osoba, o którą mu tyle chodziło, umrze niebawem, *perchè è giovane, sensibile e affezionata*; na domiar nieszczęść: *la sua morte sarà dura*. Krasiński był przerażony, tem bardziej, że list pani Bobrowej, w tych czasach otrzymany, donosił, »że choroba jej postępuje i spełnia powoli dzieło zniszczenia«. Tu należy zaraz uspokoić czytelnika: siostra Agata gruntownie się pomyliła, gdyż pani Bobrowa wyszła szczęśliwie z owej choroby, bardzo długo żyła i Krasińskiego o lat trzydzieści przeżyła. Ale wówczas zaniepokojony był Krasiński do najwyższego stopnia. 21-go kwietnia 1835 r. posyłał pani Bobrowej kwiaty z pod Wezuwiusza

na dzień 7-go maja i zapewniał ją, że siostry *Trenta tre* modlą się o jej zdrowie.

W Neapolu mało wychodził z powodu niepogody i wiatru, bardzo szkodzącego oczom. Wyszedł na tem najlepiej *Irydion*, nad którym poeta dalej pracował. Zapewne też korespondował z księgarzem frankfurckim Jügelem w sprawie *Nieboskiej*, która już w końcu lutego 1835 roku była wydrukowaną. 30-go marca bowiem zapytuje Krasiński panią Bobrową: „*Ce balamut de Jugiel vous a-t-il envoyé le Livre?*“

Czytał tam z zamiłowaniem Herdera, zajadłego wroga katolicyzmu, »który mało przyznawał Chrystusowi, ale wzniosłym był w swej powadze, potężny rozumem, sędzia nieubłagany podłości i zbrodni, czasem prorok... w gruncie materyalista...«

W tym samym liście (z d. 4 maja 1835 r.), w którym donosi Reevowi o wyjściu z druku *Nieboskiej Komedyi* i o jej powodzeniu na emigracyi, uwiadamia go także o *Irydionie*:

»Zawsze jeszcze piszę powoli poemat mój *Irydion*, syn *Amfilocha*. Chrześcijaństwo, Północ i Cesarstwo Rzymskie mieszają się tam i utrudniają pisanie. Ale jakoś idzie i pójdzie; wiek nasz poddaje mi symbole zepsucia i gwałtu. Bohatyr mój ma coś z Hamleta, ale cele są ogromniejsze i wymagają geniusza praktyczniejszego. Choć jest on prawym, przeznaczeniem jego jest zginąć, bo przybył za wcześnie: chciał on wypełnić w jednym dniu przecucie wieków przyszłych. Ale niech przynajmniej cała ziemską chwała nie stanie się udziałem tych tylko,

co zwyciężyli i dokonali dzieła; niech też isierka spadnie na tych czoła zwiędłe, którzy pragnęli tego, co wielkie i dobre — a opuszczeni od ludzi i rzeczy mogli być tylko głosem donośnym na puszczy.

Z początkiem maja (5-go lub 6-go) wyjechał Krasński z Neapolu do Florencji i miesiąc tam zabawił. Wyrwał się do Kissingen, gdzie pragnął spotkać panią Bobrową; ale planom tym stał na przeszkodzie najprozaiczniejszy brak gotówki. Niecierpliwy kochanek skracał sobie czas listami. Dnia 15 maja 1835 r. wyprawił z Florencji do pani Joanny czuły a zarazem smutny list. Przypomina tam rocznicę wspólnego ich we Florencji pobytu, tak odmienną pod każdym względem. Żali się na coraz gorszy stan wzroku: »Danielewicz prowadzi mnie na ulicy za ramię, bo oczy mam zamknięte. Tylko wieczorem mogę patrzeć. — Radbym wiedzieć, czy otrzymała Pani *Nieboską*. Ja ją dostałem. Chciałbym wiedzieć, że dziecię to spoczywa na stole u Pani; kiedyś podobało się ono Pani (zdaje mi się, że to było w Wiesbaden). Odebrałem list z Paryża, gdzie mi mówią, że nikt nie zna nazwiska autora i że z *największym entuzjazmem od Mickiewicza, Goreckiego i w ogólności od wszystkich była przyjęta*...« (Te ostatnie słowa po polsku w liście francuskim).

O *Nieboskiej* mógł pisać do pani Joanny (wszak jej poświęcał to dziecię długich rozmyślań), do Gasińskiego i Reeve, tylko nie do ojca. Głuche milczenie o twórczości wogóle panuje w listach poety i Danielewicz do generała Krasńskiego. Syn, może

zrażony cierpkimi uwagami ojca o *Agay-Hanie*, nie wspominał już nawet o znanym generałowi z Petersburga *Irydionie* — cóż dopiero o *Nieboskiej*! Wogóle w tych miesiącach zwiększonego cierpienia oczu i podrażnienia nerwowego, staje się też ton listów synowskich nie powiem chłodny, ale jakiś twardy. Zapewne i listy generała były wówczas pełne wy mówek o ciągłym pobycie za granicą, o czas marnowany i t. p.; syn zaś usprawiedliwia się, ale dość szorstko, z pewnem zniecierpliwieniem. To raz napisze ojcu: »Ja i matka moja byliśmy tylko smutkami dla Papy. Jej losy ciągną się we mnie«. (18-go marca 1835 r.). To znowu, dotknięty jakąś ironiczną uwagą ojca o swych śmiesznościach czy dziwactwach, odpowie mu w słowach, drżących od wzruszenia i serdecznego bólu:

»Oprócz moich śmieszności, które do mnie indywidualnie należą, moje uczucia odziedziczyłem po ojcu i jestem tem, czem być Papa sam mi kiedyś wskazywał. Co do mego serca, ono bije dla Papy. Co do mojej choroby, mam ją po matce: nie można mi jej za winę przypisywać. Co do mego losu, jest on wpływem tego wszystkiego i oprócz tego wszystkiego, innych, niezależnych od nikogo z nas, ale od Fatum okoliczności... Jestem istotą chorobliwą, cierpiącą, śmieszna może często — rozum mój niech puszczony będzie na łup krytyce wszelakiej, ale serca mego bronie i bronić zawsze będę z głębokiem przekonaniem, że ono bije na swoim miejscu i że ani razu, od kiedy żyję, nieszlachetnie nie uderzyło«. (Z Florencji, 15 maja 1835 r.).

A kiedy, już po wysłaniu tej obrony, otrzymał od ojca jakiś inny list, pełen wyrzekań na wspólną ich, ciężką dolę, na los ten bezlitosny, co ich obu rozdzielił i w rozłące latami trzymał, — gdy wspomniał, jakim-to strasznym zbiegiem okoliczności ojciec jego wydobyć się nie mógł z zakłętego koła, które mu zakreslił rok 1831, — gdy rozważył, jaką przepaść wykopał ten ojciec między sobą a narodem, on, co Polski nigdy nie przestał kochać: na wspomnienie całej tej tragiczności, której brzemień obaj dźwigać musieli, syn złożył hołd cichym cierpieniom ojca ukochanego w tym wspaniałym liście z Florencji z d. 26 maja 1835 r.

»Jeśli ja Papie dniem i nocą stoję na umyśle, ciężę na sercu, o! niech Papa wierzy, że i ja nie spuszczaam losów ojca i jego położenia z oczu, z głębi duszy — Niech Papa wierzy, że dnia jednego nie było podczas całej mojej młodości, w którym-bym Boga nie prosił, w którym-bym nie płakał sercem całem, w którym-bym nie czuł tego ogromu męczarni, nie podzielał tych samych oburzeń się przeciw ludziom i rzeczom, nie doznawał tych samych wrażeń rozdzierających. Tylko u Papy to się dzieje za kurtyną, to się odbywa daleko od ludzi — u mnie to wydobyło się na wierzch, to może w oczy mi wlażło, to mi duszę zniszczyło, to mnie nauczyło nie mieć tych chwil pociechy i radości, które inni mają. Nie! Lekkomyslną istotą nie jestem. — — —

Choć oddaleni, choć rzadko spotykający się razem, a wtedy mówiący rzadko o tem, o czem napomykam teraz, jednak bądź pewny Papa, że obaśmy

na chwilę nie przestali chodzić w jednym kole — zaklętem i tem samem. Żadna ułuda, rozkosz żadna nigdy nie przytłumiła wemnie tych skrytych cierpień — a że ich wypowiedzieć nie mogę, więc w spleeny, w marzenia wpadłem dla tych, którzy innie widzą...

Papa powtarza mi zawsze, że nie rozumiem mojego położenia; przecież tyle razy byliśmy razem, że mogliśmy o niem się rozmówić. — Zdaje mi się, że je doskonale rozumiem i z tej przyczyny cierpię, z tej przyczyny nie jestem i nie będę tem, na co Bóg mnie stworzył — z tej przyczyny musiałem sobie świat własny, mój, oddzielny stworzyć, by choć dźbło jedno niezeschłe, kroplę jedną, niezatrutą na tym świecie posiadać.

List ten wyjaśnia wszystko w stosunku na pozór dziwnym ojca do syna i syna do ojca. Związani wspólnem cierpieniem, wspólną niedolą, wspólną służbą jednej i tejże idei narodowej, rozdzieleni przecież byli odmiennością wyobrażeń, rozbieżnością dróg, któremi pragnęli dotrzeć do wspólnego celu, różnicą usposobień i temperamentu, upodobań filozoficznych i estetyczno-literackich. Syn był orłem, szybującym w przestworzach, Ikarem, wzbijającym się na skrzydłach natchnień zawrotnych — ojciec Dedalem, świadomym labiryntów ziemskich i zamierającym z trwogi, by jedyny Ikar jego nie roztrzaskał głowy w upadku z podstępnych wzlotów...

»Musiałem sobie świat własny, mój, oddzielny stworzyć...« Tym światem jego to świat natchnień, świat *Nieboskiej*, świat *Irydiona*. W nim żyjąc, za-

pominał na chwilę, że nie jest na »ojców ziemi«, że »deptać musi obcych ludzi łany«, a w grodzie Danta czuł, że już za życia przechodzi przez piekło.

Przymusowy dla zdrowia, dłuższy pobyt we Florencji wpływał dodatnio na dalszą pracę nad *Irydionem*, który w tym czasie doczekał się prawie ukończenia. Dowodzi tego długi i ważny list do Reeve'a z Florencji, dnia 3 czerwca 1835 r., zawierający zupełną treść nowego utworu:

»Zdrowie moje jest złe, czego dowodem list ten nie moją ręką pisany. Mimo to doszedłem prawie do końca owego Irydiona Amfilochidesa, który po trzykroć darty, dziesięć razy przerwany bądź to z powodu mych cierpień, bądź też z powodu mych namiętności, nie przestawał od trzech lat dręczyć mego mózgu, rosnąć tam i wydobywać się częściowymi połogami. Teraz z tego chaosu Rzymian, barbarzyńców i pierwszych chrześcijan wysnułem myśl tak drogą memu sercu, tę myśl zrobiłem człowiekiem pochodzenia greckiego, który za dni potęgi i zepsucia cesarów szuka zemsty na tym Rzymie, co zwiódł Ateny i zdusił Korynt.

Człowiek ten jest samotny. Ojciec jego umarł, zostawiając mu w spuściźnie nienawiść cesarstwa, matka jego, kapłanka Odyna, porwana niegdyś w Chersonesie cymbryjskim, otruła się, kiedy był jeszcze dzieckiem. Została mu siostra; wydaje ją Hellogabalowi, aby pomieszała mu zmysły i stopniowo doprowadziła do szaleństwa. Osiągnąwszy ten cel, ubezwładnił cesarza; staje się prefektem jego pretorianów, jego bezwzględny władca. A wówczas

wmawia w niego, że potrzeba, aby cesarz dla ocalenia cesarstwa działał tajemnie przeciwko wiecznemu miastu. Pobożnym Eneaszem mego Turnusa jest Aleksander Sewerus, syn chrześcijanki Mammey. Irydyon i Aleksander spiskują równocześnie. Lecz Aleksander chce zdetronizować cesarza i wrócić cesarstwu potęgę, Irydyon zaś chce jednym zamachem obalić Rzym za pomocą wszystkiego, co ma pod ręką, za pomocą cesarza, pretorianów, chrześcijan i barbarzyńców. Myśl jego, potężna i szalona, zrywa się, jak gdyby za podmuchem rozpacz i nienawiści przeciwko wszystkiemu, co jest rzymskie; w tym stanie musi jednak udawać dniem i nocą.

Niewolnicy i gladyatorzy żyją w pałacu jego z jego ręki, znalazł dwóch patrycyuszów, doprowadzonych przez nędzę do tego, że muszą w cyrku walczyć; wyjawili im myśl swej zemsty. Scypion i Werres, obaj łachmanami okryci, z uśmiechem przyjęli myśl zasztyletowania Romy, ich niegdyś matki, a dziś macochy.

Z pośród tych wszystkich osób i tych wszystkich namiętności wznosi się spokojna postać starca afrykańskiego, Masynissy. Powaga jego jest gorzka, jak każde z jego słów; zdaje się nieraz, że żył on od wieków i że nigdy nie umrze. Piers jego jest gorejąca, sarkazm i pycha wylewają się z niej, jak z otchłani. On jest jedynym powiernikiem Irydyona. On go pobudza do znoszenia cierpień w milczeniu, powtarzając mu, że jest inny Rzym poza grobem i że przeciw temu Rzymowi trzeba będzie walczyć wieczność całą. Pobudza go potem do uwiedzenia i uzbro-

jenia katakumb. W katakumbach jest dziewica, chrześcijanka, fanatyczna i nieskalana, która stanie się szaloną⁷ z miłości. Nie mogąc buntem zgrzeszyć przeciw Chrystusowi, mdleje u stóp Irydiona, a przyszedłszy do zmysłów, uważa go za Chrystusa, który przyszedł ugruntować *millennium*. Wszystko do tej pory zapowiada zwycięstwo dla bohatera, ale w dniu umówionym, w chwili, kiedy ponurym wzrokiem tryumfującego Katyliny ogarnia miasto, które ma poświęcić bogom podziemnym, w chwili, gdy podnosi rękę, by zapalić stos, mający być hasłem pożaru Rzymu, zdradzają go chrześcijanie. Biskup Rzymu wyklina ich, kiedy uzbrojeni już mieli wyruszyć z łona katakumb.

A wtedy Irydion, który przyjął był chrześcijaństwo, wraca do bogów swej matki, do nieubłaganego Odyńa. Heliogabal i boska Elsinoe, nieszczęśliwa siostra, giną. Następuje walka krwawa, zacięta, z Aleksandrem Sewerem. A kiedy już wszystko stracił, kiedy żaden pocisk, żaden miecz nie mógł go osiągnąć, Irydion ucieka, jak Orestes, ku brzegom morza. Tam Masynissa nań czeka, aby mu duszę swą zaprzedał. Zwyciężony, poznaje w ostatniej swej godzinie, że był tylko ideą proroczą o zgubie Rzymu, niczem innem, tylko ideą. Oddaje tedy duszę swą księciu ciemności, ale pod pewnym warunkiem i nagrodą. Chce przynajmniej kiedyś oglądać ten znienawidzony Rzym w błocie i hańbie. Masynissa zgadza się na to i usypia go w grocie górskiej, latyńskiej.

Dzień, w którym Masynissa obudzi Irydiona, to nie dzień Alaryka albo Atylli, ale noc z roku 1835,

kiedy to z Rzymu, panującego materią i duchem, zostaną tylko, z pierwszej same ruiny, z drugiego zaś strupiejsza teologia. — Wstęp jest w kształcie poematu, reszta jest dramatyczna, koniec, przebudzenie, będzie balladą.

Jest to już zatem bliski ukończenia, ale jeszcze nie wykończony *Irydion*. Zupełnemu wykończeniu stała w drodze nie tylko pora roku, wielkie już we Włoszech w czerwcu upały, a w związku z nimi wyczerpanie sił, ale także wahanie się co do samej myśli końcowej utworu, jak to we właściwym miejscu wykażemy.

Aby siły swe wzmocnić, spieszył poeta do wód, a w nagrodę pracy twórczej nad *Irydionem* obiecywał sobie, po tylu miesiącach niewidzenia, dni szczęsne, dni radosne spotkania z ukochaną. Wyjechał z Florencji w pierwszych dniach czerwca do Liworna, gdzie brał kąpiele morskie. Uwiadomił stamtąd krótko Gaszyńskiego, że około 18 czerwca wyjedzie do Kissingen na trzy tygodnie. Jakoż w ostatnich dniach czerwca r. 1835 zastał w Kissingen panią Bobrową.

Radości i szczęścia obojga opisywać tu ani potrafimy, ani chcemy. Kto kochał prawdziwie, domyśli się, czem dla nich były krótkie chwile błogie po długim niewidzeniu. Jakże często mogły im na myśl przychodzić wiersze Mickiewicza, które jakby dla nich były napisane:

Potępi nas świętoszek, — rozpustnik wyśmiej,
Że chociaż samotnemi otoczeni ściany,
Chociaż ona tak młoda, ja tak zakochany,
Przecież ja oczy spuszcza, a ona lży łaje.

Ja bronię się ponętom; ona i nadzieje
Chce odstraszyć, co chwila brząkając kajdany,
Któremi ręce związał nam los oplakany...
Jest-że to ból lub rozkosz?...

Ojca uspokajał, aby nie lękał się z jego strony »głupstwa, ni szalu«, upewniał go, że to »dni kilka tylko, dni znikomych, dni może szczęśliwych, ale dni krótkich kilka. Jako muszki świętojańskie, tak te dni będą«.

Czuł się szczęśliwym swoją i jej miłością — a przed przyjacielem (Sołtanem) zwierzał się z tego nadmiaru szczęścia; »Zastałem ją dwa razy tyle kochającą mnie, co dawniej. W życiu mojem zapewne już takich dni szczęśliwych nie doznam więcej. Może ci miło będzie wiedzieć, że ten, który cię kocha, dostał się do raju i z raju do ciebie pisze«. Przed ojcem nie ukrywał szczęścia: »Może i serce Ojca się wzruszy na myśl, że jego syn szczęśliwy; jeszcze dni kilkanaście, a potem skończy się młodość — będę człowiekiem«. (Z Kissingen, 3 lipca 1835 r.). — W tych samych niemal słowach wyrażał swój zachwyt w liście do Reeva z Kissingen 10 lipca 1835 r., usprawiedliwiając się przed nim, że go nie zobaczy tego roku:

»Kobieta, którą najwięcej w życiu kochałem (1), ostatnia, koniec mej młodości, początek wieku dojrzałego i męskiego będzie w tym czasie w Tryescie i Wenecyi. Fatalność ciągnie mnie ku niej... Jest teraz tutaj. Mocen jestem i szczęśny, jak bożek pogański. Za dni kilka udaję się do Ischl, z początkiem sierpnia pojedę do Tryestu. Tam pisz. Po dniach tych, co się kończą i nigdy nie wrócą, złożę wie-

niec młodości mej i szalu. Stanę się człowiekiem«. (Corresp. II, 92—93).

I jeszcze raz, w samym szale upojenia, nie traci panowania nad sobą, przewiduje krótkość szczęścia i — rzecz wielce znamienna i charakterystyczna — stawia sobie zawczasu program poważny, program pracy ku pożytkowi dobra wspólnego:

»Niema zmiany ani w życiu mojem, ani w szczęściu mojem — to ostatnie nawet rośnie co chwila tylko ostrzega właśnie siłą swoją, że krótkich dni jest tylko ozdobą...

...Potem więc czeka mnie praca męska, wytrwałość i statek, moc nad sobą i niefolgowanie już ułudom. *Zdaje mi się, że Bóg mnie przeznaczył na coś mocnego na tej ziemi, że po uniesieniach młodości będzie coś ze mnie, że potrafię cierpieć, jak mało ludzi umieją i to dla dobra ludzi...*

Je serai homme enfin et j'espère qu'un jour mon nom restera après moi...

...Ogromna, ogromna przemiana bliska mnie, ojczy, będę ją winien najszlachetniejszej z istot słabych i pięknych. Po niej już nikt mnie nie obaczy na ścieżce *de la dissipation*. *J'ai été né pour aimer une fois et de toutes mes forces, mais non pour être un Lovelace de femmes*«.

...Nie wiem, co Papa o tem wszystkim pomyśli. Ja wiem, że prawdę mówię«. (Do ojca, z Kissingen 7 lipca 1835 r.).

Prawdę mówił, bo wówczas istotnie tego dla siebie życzył i tego pragnął dotrzymać. A przewidzieć nie

mógł, że los zadrwi sobie z najwspanialszych jego planów i za chwilę »raju«, każe mu zapłacić miesiącami zgryzot i cierpień... Jak tragicznie brzmią nam dziś takie jeszcze zapewnienia, przesyłane w kilka dni później generałowi:

»...potem (w jesieni) ona wraca do kraju i wiek młodociany, wiek marzeń, wiek błędnych pragnień kończy się dla Pana Zygmunta — zaczyna się myśl, cel i czyn«. (10 lipca 1835 r. z Kissingen).

Póki byli w Kissingen, byli w »raju«. Ale nie-szczęście chciało, że pani Bobrowa przeniosła się potem do Ischl, trafiła tam na znajome Polki, które zaczęły szarpać jej sławę i znęcać się nad nią. Na domiar biedy list pani Joanny, pisany do Zygmunta Krasieńskiego, wręczyła poczta przez pomyłkę jakiegoś awanturnikowi o takimże nazwisku, który listem tym się chełpił, jakby do niego pisany. Kiedy Krasieński przybył do Ischl, zastał panią Bobrową w stanie wielkiego rozdrażnienia. Oto jak się żalił Sołtanowi (12-go sierpnia 1835 r.): »Raj mój ziemski prysł odrazu. Polki, pani G[rocholska], o której ci wspominałem, i drugie, były w Ischl. Niema potwarzy, szyderstwa, złości, która by nie napoiły mojej biednej. Osobliwie ta G..., zlepiąca z żółci i mułu, wysoka, szkieletowa, rozpaczająca za znikłymi wdziękami, wściekła, że kto inny piękny i kochany, pod maską przyjaźni pełna nienawiści i podłości, kłamiąca, rozdierająca, w imieniu cnoty przemawiająca. Dni tam spędzone były mi piekłem. Dopiero wieczorem odpoczywałem, kiedy wszyscy posnęli: w tym salonie na wieki pamiętnym, wśród krzewów hortenzji, przy

pół-swiecie lamp, przy blasku jej łzawych oczów. Tam jej cała dusza, tyle szlachetna i dobra, na łyżę roztapiała się przedemną; tam ją, umęczoną za to, że kocha, pokochałem jeszcze więcej, niż wprzód. Ale czułem święty obowiązek, srogą konieczność wyjechania, by nie szkodzić jej sławie. Ona zaklinała, by zostać, bo kochała nadewszystko. Ale stało się: wyjechałem, przeklinając świat i podłych i nędznych, którzy mszczą się na tych, co czują, za to że sami nie czują nic, którzy będą lizać stopy pierwszej metresy pierwszego króla, a rzucają potępienie na duszę najszlachetniejszą!

Ale dosyć o nich, dosyć o psach. Wróćmy do ludzi. Zostawiłem ją w rozpacz; taki koniec raju mojego, Adamie! Jestem, jak potępiony. Nigdy nie kochał, nie wiedział, co to kochanie; dziś dopiero, zstąpiwszy do piekieł z niebios, to poznałem. Dziś dopiero chodzę po spiekłym bruku tego miasta i chciałbym się położyć i skonać na nim, tak mi dolega każda chwila bez niej. Jeżeli były jakie błędy, Bóg je nam przebaczy. Trudno tyle walczyć, co ona, a tyle kochać i szanować, co ja. A im dalej, tem ból większy, tem sroższe zgryzoty.

»Twój list — pisze z Wenecji (bez daty) — zastał mnie w Wenecji w jednej z tych kryzys, które kończą się zwykle szaleństwem lub śmiercią. Słaby jestem bardzo, mam gorączkę okropną, źle mi się dzieje. Świat, który od kolebki mnie napastował i krzywdził, nie wiem za co, i dziś wlaź mi pod moje ołtarze i tam mnie przedrzeźnia i psuje mi szczęście. Ona, jeśli w tych dniach nie straci zmysłów

na zawsze, to cud boski. Ach, jakże ona nieszczęśliwa! Ale nie przeczemnie. Świat! świat, *cette idole couverte de clinquant et remplie de boue*, ją rozszarpał i zabił. Jam mu nie hołdował, on się mści. Ja w Wenecyi, ona w Tryjeście. O to prosiła, by niby zwieść tych, co ją prześladowają! Ona myśli, że im się opędzi, tym psom zajadłym! A Bóg świadkiem, że to nie była istota, co zasłużyła na potępienie. Walki jej rozpaczniemi były, nigdy walczyć nie ustawała, ale świat nie pyta o to... Ten rok wielką zmianę we mnie sprowadził. Miałem chwile takie niebieskie! i takie piekielne także! Szatan kusił mnie kilka razy samobójstwem! *Terrible tentation: tentation des tentations!* Powiedz mi, co ta ziemia, co ludzie, co ja im zrobiłem, że od dziedzinstwa tylko ich obelgi lub przekleństwa słyszałem? Tyś mnie kochał, kilku mnie kochało, prawda. Ale ci wszyscy, żeby mi tak zabić moją biedną, moją kochaną, w moich objęciach, żeby jej przeciąć na ustach słowo kocham słowem hańba! I wszędzie, wszędzie ta hańba! I któż je wymawia? Podli, podłe, łgarze! Kto sam czysty, ten nie potępi bliźniego, ten czeka sądu Boga.

To cierpienie nie ustaje, owszem rośnie. W innych listach biedny poeta boi się, że skończy na samobójstwie, to znowu chciałby ją porwać i unieść gdzie daleko, gdyby nie dzieci, których ona ojcu odbierać nie chce; albo unosi się nad szlachetnością i godnością tak, że nieraz »nie już z miłości, ale z admiracyi chciało mu się upaść jej do nóg«. Wreszcie przychodzi chwila rozstania. »Ona wyjeżdża za dziesięć dni. Ja zaraz potem. Ile wycierpiałem,

nie masz wyobrażenia. Ile byłem szczęśliwy, także rzadko kto mieć może. Ale to tego rodzaju szczęście, co zabija więcej, niż sił przysparza. Co mi najmilszego z tego wszystkiego zostało, to to wyobrażenie, że szlachetniejszej kobiety niema na ziemi, to to przekonanie, że takiego serca daremniebym już szukał w życiu. Ah! co mi życie zatruwa, to, że ona uparła się wracać do domu. Mąż wie wszystko. Ona mu sama napisała. Wie więc, co ją czeka. Ale za obowiązek uważa odwiedzić dzieci mężowi i cierpieć. W ten rodzaj ekspiacyi widzi. Ale sił nie będzie miała i umrze, i *Trenta tre się sprawdzą*. Już teraz po kilka razy na dzień mdleję, błada, jak trup, lub rozgorączkowana, jak w malignie. Ale piękna zawsze i słodka, anielsko słodka! Ludzie to zowią błędem, księża grożą piekłem za to; ale cóż, jeśli ten błąd już w samym sobie swoje piekło zawiera? Jeśli kwiat przez to samo, że się rozwinął na chwilę, schnąć i umierać musi? Biedny to świat, w którym jedyne szczęście przezwali zbrodnią; biedne towarzystwo, które, by się utrzymać, kłamać musi.

»Addio. Za kilka dni skończy się młodość moja, wiosna życia mego. Zacznie się druga połowa bytu: Rozum, jak mówią ludzie, rozsądek! co u niektórych znaczy podłość, u niektórych głupstwo, a u bardzo mało cnotę.

»Drukując te słowa — mówi prof. St. Tarnowski — doznaje się pewnej obawy. Co innego czytać w *Niedokończonym Poemacie* o tych samych uczuciach i dziejach poetycznie przerobionych, a co innego chwycić je żywcem w Listach poety, i tak jak były,

tak jak każdej chwili w sercu jego były, wywlekać i pokazywać. Czy się nie robi źle? Czy to nie profanacja? nie okrucieństwo, którego wprawdzie nie czuje ten, kto pisał, ale którego za życia nie byłby darował? On pisał z głębi swojego żalu, każde słowo jest jękiem, każda litera łzą, a my patrzymy na to i wystawiamy na widok publiczny chłodno, dlatego, że te listy piękne! Czyż wielecy ludzie, dlatego że wielecy, nie mają tego prawa, jakie ma każdy, do poszanowania tajemnicy najtajniejszych uczuć? Nie, tylko pogarda, każde uczucie prawdziwe »ma swe panieństwo« i przed ludźmi pokazywać się nie lubi, a cóż dopiero miłość. Poeta może tym razem »zamiętnąłby się w przekleństwo«, gdyby wiedział, że jego rozkosze i skargi dostały się do rąk wszystkich, jak rzeczy powszednie, obojętne, jak gazeta!

Nie dla prostej ciekawości też, ani z zamilowania pogrobowego plotkarstwa o zmarłych wielkich ludziach, szperania w każdym ich uczuciu i wyciągania gwałtem na wierzeh wszystkiego, co się kryło w ich sercu lub myśli, ani przez zimną tylko admiracją dla pięknie wyrażającego się cierpienia. przytoczyliśmy te wyjątki. Dla takich względów tylko nie bylibyśmy się poważyli wydobyć ich z milczenia, które byłoby dla nich najlepszym sposobem uczenia, najwłaściwszą formą współczucia. Ale zdawało nam się, że wyjątki niektóre z tych właśnie listów Krasińskiego ogłosić można, a nawet trzeba, bo one lepiej, niż cokolwiek innego odpowiedzieć mogą zwycięsko na pewne o nim mylne i niekorzystne wyobrażenia.

Łącząc się zupełnie z tem zapatrywaniem, przytoczyliśmy tu, oprócz już znanych dawniej i drukiem ogłoszonych, także nowe wyjątki z listów, mogące w świetle prawdziwym przedstawić stosunek zawikłany i bolesny dwojga szlachetnych serc. Nie łatwiejszego dzisiaj, jak rozdierać szaty z wielkiego oburzenia nad zdrożną miłością: to potępiać panią Bobrową, która, jako starsza, powinna była zawczasu zerwać; to znowu krzywić się na poziom etyczny Zygmunta Krasińskiego, który nie wahał się »uwozić« kobiety zamężnej... Sąd szczerze ludzki, sąd nie inkwizycyjny, lecz bliźni, wypaść musi chyba tak, jak u prof. Tarnowskiego:

»Niepodobna odmówić współczucia tym dwojgu ludziom cierpiącym i walczącym: kobiecie, która ma odwagę oskarżyć się sama przed mężem, bo w tej szczerości widzi i rodzaj ekspiacji i godność; mężczyźnie, który ten popęd jej serca rozumie, ocenia i tej potrzebie jej sumienia szczęście swoje poświęca. Ona zapewne szlachetniejsza, bo cierpi więcej i zdobywa się na większy heroizm; ale i on szlachetny«.

A jak na potwierdzenie tego sądu, zjawia się ustęp listu, nieznanego wówczas prof. Tarnowskiemu, a tak pięknie określający, tłumaczący całą niezwykłość tego dziwnego stosunku. Z tego samego Tryestu, który nazywał wobec Sołtana »piekłem« swem (tak jak Kissingen był mu »rajem«), pisze do ojca 16 sierpnia 1835 r.:

»Zanadto kocham, bym mógł uwieść, a jeślim doszedł do najwyższego stopnia miłości, to że to jedyna kobieta, która mnie kochała właśnie za to, za co kobiety

nienawidzą, która przywiązała się do mnie przez litość nad moją konstytucją fizyczną i moralną. — Ona wprzód nędzę poznała, niż siły — i właśnie do tych nędz się przywiązała raczej jako matka, niż jak kochanka. — *Tout cela est assez humiliant pour moi d'après le monde, mais d'après mon coeur, non* — bo w tem dowód, że ta kobieta mnie kocha, że coś musi być w mojej duszy serdecznego i dobrego. *Elle m'a aimé parce que j'étais faible et malheureux*. Za to jej wdzięczność najświętszą winieniem.

Po smutnych dniach w Wenecyi, pełnych goryczy i »szatańskich« pokus samobójstwa, pożegnał na krótko Krasiński panią Bobrową i w towarzystwie Danielewicza udał się do Wiednia, dokąd przybył 14-go września. W oczekiwaniu pani Bobrowej, która na Wiedeń wracać miała do kraju, spędził poeta kilka tygodni w względnym spokoju i dokończył tu ostatecznie *Irydioną*. W końcu października przybyła pani Joanna do Wiednia. Zbliżała się chwila rozstania na długo... Smutne były ostatnie tygodnie, tem smutniejsze, że Krasiński rozdrażniony był całą nie-naturalnością stosunku, a może i cierpkimi uwagami Danielewicza, który nie szczędził mu przyjacielskich perswazyj. Danielewicz bardzo sceptycznie zapatrywał się na miłość Zygmunta. Nie wierzył w jej trwałość, nie oceniał jej siły, po prostu nie rozumiał takiej miłości. Jeżeli Odyniec nie pojmował całej potęgi miłości Mickiewicza dla Maryli, którą nazywał: »at sobie kobietą« — to Danielewicz pisał wprost do jenerała: »Nie mogę tego sobie wytłumaczyć, aby cała egzystencya, wszystkie siły, wszystkie myśli,

wszystkie uczucia zaplatały się w niewieściej spodnicy, jak w pajęczynie. Co moment mamy w ustach: »Duszę Szatanowi za jeden moment...« — Narzekał na *orgie morale*, którą, wedle wyrażenia jenerała, Zygmunt lubiał sobie wyprawiać, sądził, że dla swego systematu przyjaciel jego gotów wszystko poświęcić, nawet panią Bobrową, wreszcie żalił się zniechęcony w słowach, nie pozbawionych pewnego lekceważenia; *pluralis maiestaticus* dodaje tu jeszcze soli gryzącej:

»...na scenę występują hypokondrye, kwasy, czasem i gniewy i oświadczenia nieukontentowania, a nie nie zaręcza, że i dyabły i co innego nie powrócą. My rządźmy terorycznie. A opinia? co nam po opinii? Wtenczas tylko nieżnośna, kiedy przyjdzie do salonu, bo przeszkadza, za salonem my żartujem z opinii...« (*Z Wiednia, 18 października 1835 r.*).

Jak złożoną, niełatwą do ujęcia i scharakteryzowania, jak po prostu zagadkową osobistością był Zygmunt Krasiński nawet dla najbliższych, najżyczliwszych mu osób, dowodzi ustęp z innego listu Danielewicza do jenerała. Zważmy, że pisał to człowiek niezwykle, filozoficznie wykształcony, artystycznie wrażliwy, a przytem tyloletni przyjaciel, w końcu nieodstępny druh Zygmunta Krasińskiego, obserwujący go z dnia na dzień latami całemi. Jakże my dzisiaj, w lat siedmdziesiąt po zdarzeniach, możemy sprawiedliwie przeniknąć pobudki działania poety, skoro Danielewicz wyznaje swą bezsilność w tym względzie! Przypatruje się zjawisku psycho-

logicznemu, ale o rozwiązanie sprzeczności nawet się nie kusi:

»Jest to — pisze o nim — człowiek zupełnie różny od innych ludzi, ani go wymiarkować, ani przewidzieć, ani zapobiedz nie znam sposobu. Kiedy go nie nie porusza, ciasno mu, duszno, nudno, i zamiast, coby chciał usiłować, aby cokolwiek swoją ciasnotę rozprzestrzenił, jeszcze gorzej ścieśnia się i dusi, kwasi, nudzi etc.; niechże iskra jaka ten proch zapali, to i świat nie jest dosyć szeroki dla niego i Pan Bóg sam kapitulować musi. Ja wiem, co mnie za miesiąc czeka; na mnie się oprze *tout le revers* tego pięknego życia. Jednakże zawsze, gdy się co złego stanie, dziękuję Bogu, że nie gorsze«. (Z *Wiednia*, 29 października 1835 r.).

A tymczasem zbliżały się ciężkie chwile rozstania dla obojga zakochanych. Już 3-go listopada 1835 r. pisał poeta do ojca: »kiedy myślę, że się zbliża dzień rozstania, to drżę cały... I w rzeczy samej od dwóch lat żyłem prawie tylko w tej kobiecie... A teraz przychodzi koniec«. — 16-go listopada wyjechała pani Bobrowa z Wiednia, odprowadzał ją Zygmunt do wioski okolicznej i zwierzał się ojcu: »Od śmierci Matki takiego żalu tkliwego, serdecznego nie czułem...« A do Edwarda Jaroszyńskiego, któremu zawdzięczał poznanie pani Bobrowej, napisał: »Dzień 16 Nowembra był dniem śnieżnym, ponurym, z tych dni nieśmiertelnych, które nigdy w pamięci nie wymierają: z tych dni zabijających, stanowczych, które odmieniają postawę, twarz, ruchy człowieka, a w duszy jego coś niszczą, przetwarzają;

z tych dni koniecznych, w których objawia się siła przeznaczenia, jakby siła jaka natury ślepa, ogromna!... Ten dzień przeszedł mi nie w Wiedniu, ale w jego okolicach. Ten dzień przeszedł mi jak sen, a został się we mnie jak męka: Kiedy pomyślę o nim, zda mi się jakoby widział rusztowanie i słyszał ostatnie namowy księdza. Po tym dniu życie moje stało się bryłą granitu: ni mehu, ni rosy!«

Serce się w nim kruszyło, ale rozum wracał rychło do równowagi i spokoju. Już w dwa tygodnie po smutnem rozstaniu, szukał ukojenia w pracy umysłowej, zaciekał się w badania filozoficzne i zdawał z nich ojcu sprawę:

»Görres i systemat sceptyków wydał nowe dzieło, które rzuciło się w zapasy z analizą i śmiercią, powoli wkradającą się we wszystkie gałęzie nauk filozoficznych. Z tego wynikło, że systemat Hegłowski wziął w łeb, że Heglanie bardzo pomieszani i nie wiedzą, jak odpowiedzieć. Zdaje się podług tego niespodzianego usiłowania otrząśnienia się ze śmierci naukowej, że nowym zupełnie kierunkiem pójdzie filozofia niemiecka, chociaż i to przyznać jej trzeba, że pomimo świetne obietnice, których nie skąpi, wogóle dość niezrozumiała, a kto wie i szarlatanizmu może pełna. Bądź co bądź wyjście tego dzieła sceptycznego p. t. *Wissenschaft der transcendentalischen Vernunft* ogromny ruch umysłowy sprawiło w Niemczech i stało się powodem wielu dyskusyj, a co dziwniejsza, Wiedeń nawet, dość nienaukowy zwyczajnie, dość niefilozoficzny, zapaliło. Czytam je właśnie teraz«. (Z *Wiednia*, 29 listopada 1835 r.).

Ważny to ślad nieustających studyów filozoficznych; niedawno jeszcze rozczytywał się w Herderze.

Po pięcio-miesięcznym milczeniu odezwał się znowu do Reeva, streszczając mu dzieje ostatnie swej miłości:

»Nie pisałem przez cały czas pobytu mego w Kissingen, bo żyłem w jakiejś zawierusze wzruszeń, radości i rozpacz, która tamowała mi oddech moralny, a omal że nie pozbawiła mnie tchu fizycznego. Teraz, skoro zawierucha ta przeszła jak symum pustyni, zostawiając po sobie popioły i samotność — teraz, kiedy nie działam już, nie jęczę, nie płaczę, nie śpiewam radośnie, lecz trwam w nieruchomości i ciszy, uderzony piorunem, przybity pożegnaniem, żyjący roślinnym życiem, odwoływałem się do Twego wspomnienia«. (*Z Wiednia, 5 grudnia 1835 r., Correspond. II, 94*).

A chociaż w tymże liście wyrzekał na »pustkę straszną« po wyjeździe pani Bobrowej, nie zapominał przecież o kwestiach naukowych, zalecał bardzo Reevowi »Historię Francji« Micheleta, jako pierwsze dzieło francuskie »prawdziwie i wysoce filozoficzne«. — Zaczął bywać w salonach wiedeńskich, przypatrywał się bacznie figurom tam się ruszającym i obdarzał ojca świetnemi sylwetkami Polaków wiedeńskich. Nie możemy się oprzeć pokusie przytoczenia tu przynajmniej jednej takiej mistrzowskiej charakterystyki typu, który żyje dziś jeszcze i chyba nie prędko wymrze na *Grabenie*:

»Jest S., zupełnie człowiek znowu 19-go wieku, rozumny na biuralistę, a zatem mniemający, że po-

winien być ministrem, że to niesprawiedliwość losu, która go ściga — a zatem z swojej strony ściągający językiem wszystkich majątniejszych i wyższych od siebie. Dowcipny zgryźliwie, ale otwarcie. Egoista także, ale na zasadach poświęceń i wysokich idei — trochę poeta, nieco filozof, poniekąd historyk, wieczny krytyk wszystkiego, Byron kancellaryi austriackich (!), Katon utyki, mieszkający na 3-im piętrze, pijący kawę w kaffenhauzie, chodzący we fraku na salony — *powtarzam, człek 19-go wieku*«. (*Z Wiednia, 20 grudnia 1835 r.*).

Wśród takich to zawikłanych i nierównych wrażeń kończył się ów niespokojny rok 1835, w którym Krasinski przechodził z »raju« do »piekła« miłości, bywał to szczęsnym i mocnym jak bóg pogański, to znowu »bryłą granitu« bez mchu i rosy... A generał odczytując zdala od syna w listach jego lipcowych zapowiedzi »pracy męskiej, wytrwałości, statku, nie-folgowania już ułudom« — i porównyując je z jesieniami narzekaniami Danielewicza, nie tał tego, że uważa jedynaka za »bardzo lekkomyślną istotę«. Syn zaś nawzajem dąsał się 26 grudnia 1835 r.: »Papa sobie *systemat* o mnie ułożył!«

* * *

W pierwszych dniach stycznia 1836 r. wyjechał do Florencji. »Przez śniegi i wiatry i góry« przedzierał się z Lombardji ku Florencji; z powodu różnych przeszkód musiał nałożyć drogi i z Medyo-

lanu jechać do Genui, stamtąd morzem do Livorna 24-go stycznia stanął we Florencyi, kontent był z dużego i taniego mieszkania, z kawiarni pobliskiej i namawiał bardzo Sołtana, aby z Rzymu do niego przyjechał.

W Wiedniu jeszcze wykończył ostatecznie *Irydiona* i stamtąd może, lub też z Medyolanu przesłał kopię autografu do Paryża, do druku, najpewniej na ręce R. Załuskiego. We Florencyi oczekiwał już jakiegś o rękopisie wiadomości z Paryża — nadaremnie. Pisząc do Gaszyńskiego (9 lutego 1836) żalił się, że nie ma szczęścia z wydawaniem swych prac. Miał na myśli niefortunny układ z Jügelem o *Nieboską*, który »gotową Edycyę« ze strachu wstrzymywał (»ładu z Niemcem dojść nie można, tak się boi«) Zdawało mu się, że coś podobnego groziło *Irydionowi*. »Nieszczęśliwy ja jestem w edycyach. Wystaw sobie, posłałem teraz *Irydiona* i pieniądze komuś; od tego czasu ani słyhu o nim, zapewne manuskrypt, by dojrzewał, do szuflady schował. Jeśli to potrwa, to ja tobie drugi tego samego manuskrypt przeszlę«. Ale już z początkiem marca miał pocieszające co do *Irydiona* wiadomości. »*Irydion* za cztery tygodnie wyjdzie w Paryżu«. (Do Gaszyńskiego, 4-go marca 1836 r.).

Zapewne w pierwszych dniach kwietnia 1836 r. pojawił się na półkach księgarskich. Wnosimy to z listu do Reeva z dnia 6 marca t. r., gdzie zapowiadał bliskie (*incessamment*) ukazanie się *Irydiona*. Treść jego, jak wiemy, podał Reevowi jeszcze w maju zeszłego roku. Reeve odrazu poznał z tego streszcze-

nia starą myśl poety. (*„Vous reconnaissez ma vieille pensée“*). Krasiński zaklinał Reeva, aby nikomu nie zdradzał tajemnicy autora, a ponieważ przyjaciel bawił wtedy w Paryżu i obracał się w kołach polskich, więc prosił go Krasiński, by doniósł mu o wrażeniu, jakie tam dzieło jego sprawi.

IRYDION.

Reeve, nazywając w lutym 1836 r. *Irydiona* starą myślą poety, składał dowód doskonałej pamięci. Wystarczyło mu zresztą zajrzeć do listów Krasieńskiego z r. 1831, aby tam wśród wyjątków z *Adama Szaleńca* znaleźć zarodek *Irydiona*:

»Marzyłem wśród ruin: oto świat starożytny leży u mych nóg powalony — przed krzyżem z drzewa; milczenie grobów, burze naszego wieku, wspomnienia ojczyzny, mej ujarzmionej — wszystko to mięszało się w mym mózgu.

Pocieszałem się, spoglądając na Rzym w glinie i w błocie — gdyż w dzieciństwie mem poprzyśniętą zemstą innemu Rzymowi, a depcą pierwszy, zdawało mi się, że kiedyś będę deptał drugi« — —

O zachodzie słońca w kampanii rzymskiej tak marzył Adam Szaleńiec:

»Ach! niczego nie pragnę — chcę tylko w godzinę konania mieć przecucie, że wrogowie ojczyzny mej runą w proch, tak jak te tu portyki i że kiedyś będą marzyć i przeklinać na ich grobach, jak ma-

rzyli i przeklinali nad tymi ruinami ludzie wolni, którzy toporami i mieczami zagrzebali w piasku potęgę Romy« (z Genewy, d. 21 czerwca 1831).

Po wielu, wielu miesiącach w Petersburgu, w samem jakby sercu wroga, dojrzewała myśl Adama Szaleńca.

Jak się ta myśl rozwijała, tego nikt dziś na pewno nie może powiedzieć. Skąpe i ogólnikowe pierwsze wzmianki o *Irydionie* w listach do Reeva i do ojca pozwalają zaledwie na ustalenie mniej więcej czasu, w którym pierwszy plan powstawał; o samym planie one milczą. O *Irydionie* pisze Krasieński do Reeva 20 stycznia 1833 r., że »jest to Grek w Rzymie: *et dulces moriens reminiscitur Argos etc.* Z Petersburga nie mógł poeta pisać dokładniej o »synu zemsty«. Że o zemstę chodziło, mógł się Reeve domyślać z samego przeciwstawienia: *c'est un Grec à Rome*, zwłaszcza gdy pamiętał o tem, że pisze to Polak w Petersburgu. Wiersz z Eneidy upoważniałby Reeva i nas do przypuszczenia, że autor przewidywał odrazu śmierć bohatera (*moriens*); ale wiersz ten Wergiliusza był powszechnie znany, już choćby z »Gie-niuszu Chrześcijaństwa« Chateaubrianda, gdzie służył do objaśnienia rozdziału: »*Instinct de la patrie*«. Wiersz ten zatem nie może sam w sobie niczego dowodzić.

Mamy jednak inny szczegół, z którego pośrednio możemy wnioskować o pierwotnej idei *Irydiona*; znany nam już list Z. Krasieńskiego do Ojca, pisany w Rzymie 11 listopada 1833 r., zawiera taki ustęp: »Czy pamięta Papa treść myśli mojej, którą opowia-

dałem Papie w Petersburgu i którą Papa znalazł piękną?»

Znamy już dostatecznie przekonania jenerała W. Krasińskiego, by móc twierdzić z wszelką stanowczością, że nie byłby on nigdy nazwał *Irydiona* myślą piękną, gdyby był w planie utworu synowskiego znalazł pochwałę zemsty, a coś dopiero jej apoteozę. *Irydion* zatem kończył się z pewnością potępieniem zemsty. Czy jednak zawierał już w pierwotnym pomysle także potępienie bohatera i oddanie go na pastwę Masynissie — trudno wiedzieć. Poeta nie dokończył w Petersburgu pierwszego rzutu Irydyona: »napisałem był jej połowę w Petersburgu, w Warszawie podarłem, bo nędzna była«. W Petersburgu był on raczej w nastroju rezygnacyjnym, pod wpływem ojca. Upadek Irydyona i próbę jego powtórna na ziemi mogił i krzyżów, wytrwanie pomimo dumy i ucisku i natrząsania się niesprawiedliwych: taką i tylko taką myśl mógł Wincenty Krasiński nazwać »piękną«, a do takiej myśli przygotowywał już przed dwoma laty przyjaciela swego Henryk Reeve.

Z tych wszystkich względów przypuszczalibyśmy raczej, że od samego początku było w planie *Irydiona* i potępienie zemsty narodowej i expiacja za nią na ziemi mogił i krzyżów. Na poparcie tego przypuszczenia staje nieznany, drobny utwór, p. t. *Synleza*, pisany właśnie w kilka tygodni po wiadomości pierwszej o *Irydionie*, d. 25 lutego 1833 w Petersburgu. Cały ten utwór przejęty jest duchem rezygnacji chrześcijańskiej. Mamy w nim istotnie

syntezę rozmyślań długich i bolesnych w samotności petersburskiej. Podając na końcu tomu całkowity tekst nieznaney dotychczas *Synlezy*, tu zwracamy uwagę tylko na te ustępy, które odbiły się zbyt wyraźnem echem w zakończeniu *Irydiona*, iżby można przeżyć wzajemnemu ich duchowemu związkowi:

»Dla tych, którzy się zostali [po klęsce narodowej] zaczęło się długie męczeństwo; krwawa praca bez sławy — cierpienia bez nadziei; jedni po drugich zstąpią do grobu, a po sobie zostawią milczenie. Za te ich boleści, za tę niepamięć o nich, ich potomki będą sławni i szczęśliwi.

W tej ciężkiej pokucie za winy ojców, czyż wielu dotrzyma na drodze pokuty?

.....

A ten, który dotrwa, nie usłyszy nigdy odgłosu trąb... i zwiędnie przed czasem. Droga jego wytknięta na ziemi mogił i krzyżów...» *)

Długie męczeństwo, praca bez sławy, cierpienie bez nadziei — to wszystko nie mogłoby się pogodzić z »apoteozą« zemsty. Nie było jej zatem w pierwotnym pomysle Irydiona. — Do tego pierwszego planu wchodziły już katakumby; wnosić to można z listu do Reeve'a (d. 5-go lutego 1833. — II, 35), gdzie mamy przelotny obraz »świętej«, grzebanej w katakumbach. Skoro zaś przywiedzione powyżej zdania »*Synlezy*« są wyraźnie echem zakończenia *Irydiona*, to należy

*) ...idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów... — nie prosz o chwałę twoją... — a po długiem męczeństwie zorzę rozwiódę nad wami.

przyjąć, że już w pierwotnym pomysle utwór kończył się nie potępieniem bohatera, ale wysłaniem go na powtórna próbę do ziemi mogił i krzyżów, czyli ocaleniem duszy jego od męczarni piekła. Poeta najwidoczniej uległ tu wpływowi Goethego, który w drugiej części arcydzieła swego wybawiał Fausta z rąk Szatana. Krasiński widział w tem zakończeniu *Fausta* wyższość Goetego nad Byronem i tak to Reevowi objaśniał (d. 4 kwietnia 1833 r. — II, 43):

»Koniec *Fausta* dowodzi mi, że Goethe był istotnie wielkim poetą, większym nawet od Byrona; bo rozważ *Manfreda*, *Kaina*, *Marino Falieri* etc. etc., zobaczysz, że wszędzie potępienie wieńczy dzieło. Pod tym względem Byron zbliża się tylko do poezji wszechświatowej. Nie pojął wszechświata; a Goethe objął wszechświat, walkę dobrego ze złem, i kazał tryumfować dobremu«.

Nie możemy więc wątpić, że i Krasiński myślał pierwotnie zakończyć *Irydiona* zwycięstwem dobrej myśli nad złą. Ale z równą pewnością można twierdzić, że ten pierwotny plan uległ w toku tworzenia zmianie, że sam zamiar ocalenia Irydiona był potem poważnie zakwestyonowany; był nawet czas, kiedy cały już utwór kończył się wprawdzie upadkiem bohatera, ale nie z pobudek religijnych. Tak mianowicie stała sprawa Irydiona w r. 1835, kiedy to Krasiński podawał 3 czerwca Reevowi znaną już nam treść utworu, którego koniec miał być... — balladą!

Niema tam mowy o pokucie bohatera na Północy w krainie mogił i krzyżów; upadek jego wytłomaczony jest tylko tem, że Irydyon przyszedł za wczę-

śnie; ale myśl zasadnicza uznana jest jako słuszną (quoique juste, son sort est de périr, *parce qu'* il est venu trop tôt). Cały *Irydion* określony tam został jako myśl prorocza o zgubie Rzymu, i nie więcej: »il n'a été qu' une idée prophétique de la ruine de Rome, rien qu' une idée«. W tych słowach mamy wyraźne echo skargi Irydyona pod koniec czwartej części: »O Amfilochu! więc syn twój był tylko marzeniem... i jak zawczesną igraszkę rozbiły go losy!«

Jest tu zresztą Krasiński w zupełnej zgodzie z najpierwotniejszą myślą swoją z r. 1831. Adam Szaleniec chce mieć w godzinie konania choćby tylko przeczucie (*pressentiment*), że wrogowie ojczyzny jego runą w proch.

Nie można przypuścić, aby Krasiński chciał w r. 1835 przed Reevem zatajać myśl chrześcijańską *Irydiona*; wszak jeśli kto, to Reeve na taką myśl dzwonił już w r. 1831, kiedy mściwość potępiał, a przebaczenie chrześcijańskie zalecał. Nie taił zatem chrześcijańskiej myśli Krasiński, streszczając w r. 1835 *Irydiona*, bo nie miał czego taić: już jej tam nie było i nie było jej tam jeszcze. Irydion żył i kończył jak poganin, »jak zawczesną igraszkę rozbiły go losy (= *Fatum*)«; przebudzenie jego ze snu wieków miało być jakąś »balladą«, jakąś pogardą i dla ruin pogańskiego Rzymu i dla »zbutwiałej teologii« (*théologie décrépite*), której-to pogardy ślad został w krótkim końcowym obrazku dwu kardynałów w powozie (»na ich twarzach wyryte ubóstwo myśli...«). A zatem ruina obu Rzymów, pogańskiego i chrześcijańskiego...

Takim był *Irydion* w r. 1835. Mamyż objaśniać powody takiej właśnie przemiany *Irydiona*; mamyż przypominać, że właśnie w owym czasie (marzec 1835 r.) Krasiński był w rozterce duchowej, zniechęcony do księży, do spowiedzi, a niebawem pod wpływem Herdera ulegnie zniechęceniu do katolicyzmu.

Myśl zasadnicza utworu ulegała wstrząśnieniom, przypływowi i odpływowi idei chrześcijańskich, w miarę tego, jak autor z hymnu wyżyn moralnych, okupionych wielkimi ofiarami ducha, a nawet cierpieniami fizycznymi, zstępował sam w życiu do prostej powieści i szukał ziemskiego »raju« u stóp pani Joanny; stając w kolizyi nie tylko z najbliższem swem otoczeniem, ale, co gorsza, z własnym dorobkiem duchowym z lat 1831—1833, nabytym krwawo, niemal kosztem wzroku.

»Wśród zamętu wznoszę pieśń...« wołał na początku *Irydiona* — a miał na myśli nie tylko zamęt dziejowy, który mu służył za tło i oponę myśli jego skrytych, — ale czuł zapewne i drugi, bliższy ówczesnemu jego nastrojowi zamęt własnego ducha, bijącego się, jak ptak w ciasnej klatce filozoficznego i religijnego dylematu. I ten to zamęt miał się odbić w utworze, który od lat tylu zaprzętał myśl jego; po trzykroć podarty rękopis świadczył o ciągłych wewnętrznych fermentach, które nie pozwalały na poród prawidłowy »powieści«. Wydobywała się ona z przerwami tylko, *par accouchements successifs*, a jednak nie zaniechał jej poeta.

Wśród zamętu wznosił pieśń, która mu się *gwałtem* z piersi dobywała. Wydzierала się zaś *gwałtem*,

jako płód myśli »starej«, dawnej, pacholecej jeszcze. On sam się za »syna zemsty« uważał i »zemstą« przesiąkłły wszystkie jego dawniejsze rojenia.. Nadszedł czas myśli tej dać najwspanialszą szatę i wznieść ją na sam szczyt pomnika tyloletnich pragnień, marzeń, nadziei i — rozczarowań. I wtedy w długoletniej ducha rozterce poeta zawahał się, czy z bohaterem swym runąć do piekieł, czy też duszę jego ocalić za to, że kochał Grecyą i niebo jej wymodlić, aż wreszcie rozum (»logika«) i konieczność skazały Irydiona na czyściec, na trudy polskie, »okropniejsze, niż wszystkie przewalczone boje...«

Ale ten przeskok od potępienia do względnego warunkowego ocalenia Irydiona, nie przeszedł bez pozostawienia śladu w samym utworze. Jądro opowieści silne i odporne mogło wytrzymać taką gwałtowną zmianę temperatury — ale spojenie zewnętrzne wykazuje po dziś dzień rysy dwóch odmiennych, przeczących sobie prądów.

Porównajmy *Wstęp* z zakończeniem, a zobaczymy, jaki miał być w r. 1835 koniec Irydiona:

Poeta mówi we *Wstępie* o swej myśli, że trwa ona dopóki ziemia i ziemskie narody — »ale za to w niebie dla niej miejsca nie masz«. Wzywa dalej syna pieśni swej, by zmartwychwstał ze snu wieków, bo już Rzym grobem, ruiną: »Powstań, chodź, wzywam cię, ja i straszniejsza potęga jeszcze, od której cię wyba wić nie zdołam...«

Poeta zostawia towarzyszyów swych u stóp Apeninów, chce sam zobaczyć Irydiona:

»Ja pójdę — ja go raz jeszcze chcę ujrzeć przed zgonem, przed śmiercią jego *na wieki!*...

»On cały zawieszony leży między snem a śmiercią, między ostatnią myślą, którą pomyślał przed wiekami, a tą, która niedługo w nim się obudzi, między potępieniem życia całego, a *potępieniem wieczności*«.

A wreszcie ta silna odezwa do Irydiona: »Gdzież jesteś synu zemsty, synu pieśni mojej! Już czas zmartwychwstać, by deptać po zwłokach olbrzyma... pamiętasz — przysiągłeś. — Wyrzekłeś się nadziei, wiary, miłości, by raz tylko, raz jeden spojrzeć, a potem zamurzyć się tam, *gdzie miliony*...«

Trudno o wyraźniejszą zapowiedź innego, zmienionego potem w r. 1836 zakończenia. Pierwotnie kończył się Irydion temi słowy:

»Na milczącej arenie, na piasku srebrnym, wśród arkad, przemienionych w dzikie skały... tyś podziękował za spodloną Romę«.

Masynissa brał go na wieczność.

Po zmianie planu poeta do słów powyższych dopisał:

»Tu miał być koniec pielgrzymki twojej — stąd miałeś pójść kędy miliony«.

Wstęp niezmienny przeczy dorobionemu, dodanemu w r. 1836 zakończeniu, które było niespodzianką nie tylko dla Masynissy, ale jest nią dziś jeszcze dla każdego uważnego czytelnika.

Po długim wahaniu się poeta z zamierzonej, końcowej »ballady« wzniósł się znowu do pierwotnego hymnu chrześcijańskiego. Potępił Irydiona, dyszącego

zemstą, a zbawienie duszy jego uczynił zależnem od tego, jak wyjdzie z »powtórnej próby« wśród nowych braci na ziemi mogił i krzyżów.

Zmiany tej ostatecznej dokonał nietylko pod wpływem religijnych serca wzruszeń, ile raczej z pobudek czysto rozumowych. »Logika, konieczność doprowadziły autora do tego końca, choć sam się przyznaje, że on jest bardziej w sercu pogańskiej części zwolennikiem, niż *filozoficznej*« (! a więc nawet nie religijnej]. Do Gaszyńskiego, 114.

To późniejsze wyznanie, łącznie ze streszczeniem *Irydiona* z r. 1835, rzuca bardzo ważne i stanowcze światło na genezę utworu. Pojmujemy teraz powody ciągłego opóźnienia i podczas pisania »powieści« i po jej napisaniu, a przed wydrukowaniem. Zrazu były tam zapewne trudności także artystycznej natury: zwickanie archeologiczne trzech pierwiastków, mających wypełnić treść powieści (*»Le christianisme, le Nord et l'empire romain qui s'y mêle, me le rendent assez difficile«*, do *Reeva* II, 86); ale gdy powieść prawie końca dobiegła, myśl »przewodnicza«, myśl mściwa okazała się w końcu bezpłodną: co synowi Amfilocha do »teologii zbutwiałej« z r. 1835? czyż nie stokroć więcej uroku mogły mieć dla syna Grimhildy, kapłanki Odyna, właśnie dni Alaryka lub Atylli, »kiedy bracia matki mojej zatrąbią w rogi swoje na siedmiu wzgórzach?! — I tu »pogańska« część mogła już nawet z artystycznych względów nie zadowalać autora; pragnienia serca, które było tej pogańskiej części zwolennikiem, zaczęły poddawać się sile analitycznej rozumu, aż ostatecznie »logika, koniecz-

czność doprowadziły do tego końca», jaki dziś *Irydiona* wieńczy.

Myśl przewodnia *Irydiona* przechodziła zatem, o ile dziś sądzić możemy, następujące koleje:

- I. Pierwsza mgławica z r. 1831 pod wpływem rozpaczy patryotycznej: ogólne pragnienie zemsty, znajdujące ulgę w przeczuciu, że tak jak Rzym Cezarów dziś, tak północna potęga runie kiedyś w gruzy. (*Adam Szaleniec*).
- II. Z tej mgławicy wyłania się w początku roku 1833-go w Petersburgu idea następująca: uczucia zemsty narodowej wcielić w osobę zmyśloną Greka w Rzymie za Cezarów; uznać zemstę za jałową i niezgodną z zasadami chrześcijańskimi; poświęcenie i rezygnacya biorą górę (*»Synleza«*). Myśl ta uznana za »piękną« przez ojca.
- III. Za granicą, w r. 1834 i 1835, pod wpływem z jednej strony pism emigracyjnych, z drugiej zaś hiobowych wieści z Polski, idea mściwości bierze górę: Irydion ginie dlatego tylko, że za wcześnie przybył, ale poeta zemsty nie potępia (*quoique juste...*; streszczenie utworu w liście do Reeva).
- IV. Mściwość potępiona. Irydion zgubiony na wieki. (*Wstęp* z końca 1835 r.).
- V. Irydion zbawiony »modlitwą Kornelii«, ale skazany na »próbę powtórna« w Polsce. (Ostateczna redakcyja na samym początku 1836 r.).

A tak po trzech latach, zakreśliwszy olbrzymie koło rozmyślań i walk wewnętrznych, wracał poeta do pierwotnej idei, którą ojciec znalazł piękną,

a którą zalecało także zakończenie drugiej części *Fausta*.

Już ten rzut oka na historią powstawania i pisania *Irydiona* ostrzega nas, że mamy do czynienia z utworem niejednolitym, owocem długoletnich, głębokich rozmyślań poety, które dojrzewały zwolna wśród zmiennych okoliczności; utwór ten przeto ocenić trzeba z różnych punktów widzenia.

O *Irydionie* mówić można z dwojakiego stanowiska: niższego, obejmującego »powieść« fantastyczno-historyczną i sposób jej wykonania, — i, wyższego, wnikającego w samą ideę zasadniczą utworu. Dodajmy, że to drugie stanowisko jest punktem widzenia samego poety, któremu o ideę więcej chodziło, niż o jej oprawę archeologiczno-artystyczną. Odpowiednio też do tego dwojakiemu stanowisku mamy dwie kategorie studyów, poświęconych *Irydionowi*. Jedne roztrząsają zasadniczy jego pomysł, a osoby w nim występujące raczej jako wcielenie symbolów oceniają, nie zaś jako postacie z krwi i kości; — drugie zaś zastanawiają się nad żmudną, archeologiczną pracą poety, badają oryginalność i pochodzenie mnóstwa szczegółów historyczno-obyczajowych, z których autor utworzył staranną mozaikę obrazu historyczno-cywilizacyjnego z III wieku po n. Chr. — Zbytecznem dodawać, że ta druga kategoria studyów jest owocem najnowszych zapatrywań na potrzebę genezy literackiej utworu nawet pod jego zewnętrznym i formalnym względem.

Zastanówmy się nad głównymi osobami *Irydiona*, które są głównych idei wcieleniem.

Trzy nazwy bohatera: grecka, germańska i chrześcijańska, są jakby wykładnikami trzech prądów, nierównej siły, przenikających jego duszę. Jest on przeważnie Irydionem, bardzo często pod koniec Sygurdem, pozornie tylko, podziemnie, katakumbowym Hieronimem. Szlachetne pierwiastki duszy jego muszą iść w służbę przez całe życie trawiącej go i jak żrący jad przepalającej idei zemsty. Hieronim będzie wprowadzić w katakumbach modlił się przed zwłokami męczennika (»a nas wybaw od pokusy zemsty!«) — ale za chwilę zapomni o tem Sygurd i powie do zdumionej Kornelii: »za okręgiem twoich spojrzeń we krwi ja broczyć będę — trawa nie porośnie, gdzie mój koń przeleci!« »Kornelio! zemsta dobrem mojem — w zemście żyć muszę i skonać!« A mówi tak ulegając ułudzie, że pora mieczem wywalczyć dla podziemnej wiary tryumf ziemski, że »już bliskie czas» — a wreszcie: »Gdyby sam Bóg nie wołał na nas, gdyby pomoc świętych nam obiecaną nie była, sam jeden jeszczebym dzieło rozpoczął«. Bo tryumf Chrystusa jest mu tylko pozorem, pretekstem, wybiegiem, a żądzą jego duszy tryumf własny, tryumf sponiewieranej Grecji nad hardym Rzymem; »ani ty, ani nikt na ziemi, nie wydrze z piersi moich pragnienia, które je rozdziera...«

Irydion działałby przebiegle, stanowczo i szybko, gdyby nie był równocześnie Sygurdem. Myśl jego grecka, lotna, rączą, myśl ojcowska ma w nim samym do czynienia z usposobieniem germańskiem po matce odziedziczonem, usposobieniem refleksyjnem, skłonem do czułych marzeń (»czuję jad, co

podchodzi mi skronie i do ocz się tłoczy — niewiasty ten jad nazywają łzami — wszak ja kiedyś *miałem być człowiekiem!*« — Ob. cały monolog, kończący część pierwszą).

Ten hamletowy pierwiastek w Sygurdzie (tak naturalny u poety, który wielkim monologiem Hamleta zachwycił się i z pamięci go, niemal codziennie, przytaczał) mógłby wpływać hamująco i osłabiająco na spełnienie myśli greckiej, Amfilochowej, gdyby Irydion nie miał przy swym boku nieodstępnego Masynissy, który nie daje mu rozrzewniać się i przewlekać sprawy, pobudza go do czynu, w osobistym oczywiście interesie. Irydion tak zna swą Sygurdowo-hamletową naturę, że nie dowierza sam sobie i w chwilach stanowczych wzywa Masynissę na pomoc, na wsparcie własnej chwiejności. Taką chwilą jest np. wyprawienie z domu ojcowskiego siostry Elsinoy w progi Heliogabalowe. Prośby i żale Elsinoy już mają zmiękczyć serce Sygurda, on to czuje dobrze: »Te filary drżą na podstawach swoich, płamny jakieś czarne biegają między niemi — Bogi! nie dajcie mi upaść u wejścia do areny — Masynisso! przybywaj!«

Masynissa staje się tedy w budowie utworu nie tylko potrzebnym, ale wprost niezbędnym dla zrównoważenia pierwiastku hamletowego w Sygurdzie, który mógłby myśl irydionową nietyle może na szwank narazić, ile raczej przewlec ją i oddalić. A tak Irydion zabezpieczywszy się Masynissą od samego siebie, od nie-greckich pierwiastków swego ducha, działa wytrwale i systematycznie, działa jak wy-

trawny polityk. Nie spieszy się, nie zdradza się słówkiem przedwczesnem, ale też nie zasypia gruszek w popiele. Wszystkie siły Romy (owe trzy »systematy« zaznaczone w Przypiskach do Wstępu) stara się w korzeniu podciąć lub na swoją stronę przeciągnąć. Cezara-dekadenta obezwładnia za pomocą swej siostry, którą bezwzględnie poświęca Heliogabalowi, aby mieć go potem powolnem narzędziem swych zamysłów. Rzesze znędzniałego, głodnego ludu rzymskiego karmi swym chlebem i przysparza wrogów Rzymowi. Barbarzyństwo, liczne w stanie niewolników i w wojsku rzymskiem, zjednywa sobie łagodnem postępowaniem, urokiem pochodzenia, jako syn kapłanki Odyna. Chrześcianie są trzecim składnikiem sił ówczesnych Rzymu. Irydion wie od Masynissy, że w katakumbach los Rzymu się rozstrzygnie — więc bez wahania zstępuje w podziemia, daje się ochrzcić i jako Hieronim, współwyznawca, stara się pociągnąć młodszych chrześcian ku dziełu zemsty — a tak jak siostry rodzonej nie wahał się poświęcić dla idei, tak teraz miłości jedynej, dziewicy ukochanej, Kornelii chrześcianki użyje za narzędzie powolne swych planów i za jej pomocą wywoła rozłam, niepokój, niezgodę w społeczeństwie chrześciańskiem. Gdyby nie liczebna siła chrześcian, którą pragnie rzucić na szalę wypadków, Irydion nie zstąpiłby może do katakumb. Ale jest ktoś, komu zależy przedewszystkiem na katakumbach, a zwłaszcza na tem, aby w kiełkującym i wschodzącym bujnie zasiewie Chrystusowym było jak najwięcej kąkolu niezgody, aby myśl boską, niebieską zbrukać,

sponiewierać i do ziemskich nadużyć celów; jest duch, który znowu tak samo posługuje się Irydionem, jak on barbarzyńcami, który tak samo nie cierpi rosnącego Rzymu chrześciańskiego, jak mściwy Grek Rzymu Cezarów: to Masynissa.

Postać ta oddawna rozmaicie była tłumaczoną. Bardzo wcześnie, bo w rok po ukazaniu się utworu, przyjaciel Gaszyńskiego, Ulrych, odsądził Masynissę od racyi bytu i nazwał go »niepotrzebnym«. Antoni Małecki w doskonałym rozbiorze Irydiona (Przegląd Poznański, r. 1847, zeszyty z m. lutego i marca str. 220—222) tak określił rolę Masynissy:

»Stawił przy boku Irydiona Masynissę, jako stworzonego przed wiekami szatana z własnymi swymi celami, zgubnymi całemu rodowi ludzkiemu. Nie stawił go jednak na to, aby Irydiona kusił do złego, bo mizerny i liłości godny byłby to bohater, który tak jest słaby, że się szatanowi kusić pozwala; ale na to, aby szatańska, t. j. ujemną stronę charakteru bohatera w swej osobie oddzielnie odbijał, przez co dopiero dzieło sztuki prawdziwej plastyki kształtów, a obrazy żywych kolorów nabierają. Dlatego Masynissa też w tej tragedyi więcej jako personifikacya odzywa się i działa, niż jako udzielny a pełnomocny wykonawca własnego celu. Pod ręką poety musiał stary ten wróg rodzaju ludzkiego odrzucić i zostawić poza obrębem tragedyi nieprawe swoje, a znane nam skądinąd intencye i stać się na pewien czas w kolosalnych zarysach odbiciem tylko Irydionowego żalu i bólu i pogańskiego rozumu, przyrządzającego zemstę. Dlatego Masynissa jest jakby połową ducha Iry-

dionowego i nie niema w Masynissie, czegoby w Irydionie nie było (?); choć wiele jest w Irydionie, czego niema w Masynissie.

W Irydionie pasuje się starożytny duch zemsty; rozum zniszczenia z wyższymi uczuciami, na których nasza epoka wspartą jest.

W Masynissie niema sprzeczności, nie się w nim nie pasuje, bo jest uosobieniem przeczuciem tylko; dlatego też on jakby stróżem jest, czuwającym nad synem Amfilocha, aby kiedy w nim ujemny pierwiastek nie uległ dodatnim a istotnym popędom. W chwilach wahania się on pełnią ujemności rozumu i przeczenia swego go wspiera; Irydion zaś słucha go z zaufaniem i idzie wszędzie za głosem tego starożytnego rozumu, boć to nie obca istota, ale własny duch jego i ojca jego przez usta tego szatana do niego przemawia. Nic mu Masynissa nowego nie rozkazuje, tylko to, czego on sam chciał już oddawna. Jest on jakby skarbnicą myśli i woli Amfilocha, a więc i Irydiona. — Nawet w tych scenach, gdzie Masynissa jako udzielny charakter i rzeczywisty szatan występuje, nawet tam spokrewnił go poeta z celem i założeniem całej swojej tragedyi. Bo nie na innej-to namiętności i on opiera wszystką swoją nienawiść wobec Boga i świata, jak na nieogarnionej boleści i rozpaczliwym żalu, że zstrącony został wraz z braćmi swymi »z przestrzeni, które spustoszały teraz, a dawniej wrzały rojami szczęśliwych i pięknych«.

Otóż i to tło udzielno-szatańskiej nienawiści podobne jest do podstawy uczuć Irydiona.

[Ustęp ten wypuścił A. Małecki w zbiorowym wydaniu prac pomniejszych: »Z dziejów i literatury« — Lwów, 1896].

Doniosłość postaci Masynissy nie uszła uwagi tak bystrego krytyka, jak Klaczko. Nazywa on Masynissę wcieleniem najwyższej negacyi nauki Zbawiciela, a pomysł tej postaci uważa za najgłębszą i najoryginalniejszą z całego dramatu (p. 39):

»... doradca *Irydiona* nie jest prostym Wajdelotą (jak Halban z Wallenroda), to sam duch złego, to szatan w swojej osobie, ale szatan ściągnięty misternie do kształtów i rozmiarów klasycznych i taki, jakiegoby mogła wystawić sobie mytologia, zawsze, nawet w kreacjach swoich najbardziej ponurych, rozmiłowana w piękności, w spokoju i w pogodzie.

Masynissa nie ma ani gorzkiej i rozpaczliwej ironii Melistofelesa, ani wściekłości bez granic upadłego Anioła z *Raju* Milтона; to starzec poważny i majestatyczny. Nie trzeba w nim szukać wiecznej i powszechnej negacyi, jaką Goethe dał swojemu duchowi złego; jego nienawiść jest ściśle określona i żeby się tak wyrazić, zupełnie plastyczna. Chrześcijaństwo go razi tem samem, czem razić musiało każdy umysł prawdziwie starożytny: pozornym brakiem męskiej energii i wdzięcznych form. Nauka o poddaniu się i rezygnacyi, którą powtarzają bez ustanku wyznawcy krzyża, jemu wydaje się niegodną umysłu męskiego człowieka wolnego. Nazywa ją nikczemnością, a wszystko w niej, aż do jednego z wielkich dobrodziejstw ewangelii, aż do podniesienia kobiety, oburza go do żywego. »Oni ubóstwili córę dzieciństwa i wczesnej

starości, z łupów cielesnych rozkoszy wydumali parę tajemniczą, oni przed niewolnicą męża schylili czoła». Tak, niezdolny natchnąć człowieka do wielkich czynów, ideał chrześcijański wydaje mu się przede wszystkim *brzydkim*. »Oni się kochają w tem ciełe rozkrzyżowaniem, w tych rysach, które sobie wymarzyli pięknymi, gasnącymi w zwycięstwie miłości. *Nie znali go*, nie widzieli, kiedy konał, wydany na łup brzydocie cierpienia, kiedy upadał pod ciężarem bólu, zmazany krwią, z wichrem gwiżdżącym wśród włosów«. (Przekład St. Tarnowskiego w dziele o Z. Kr. str. 207—208).

Następuje chronologicznie ocena Masynissy przez Prof. St. Tarnowskiego. Uznaje on pierwiastek klasyczny, poważny w Masynissie, odkryty przez Klaczkę — ale prócz tego widzi w złym duchu Irydiona coś więcej jeszcze, widzi »szatana politycznego, szatana w historii, czyhającego nie na to, żeby podejść i zgubić tego lub owego człowieka jednego, ale żeby wszelki kierunek dobry i zdrowy, jaki zabłyśnie w zbiorowem życiu ludzi, zwiechnąć i na złe obrócić; [210] żeby każdy dobry popęd, każde dobre uczucie podciąć w samym korzeniu... żeby stopniowemu doskonaleniu się i uszczęśliwieniu ludzkości stawiać na drodze zawady takie, iżby ono nietylko ich przebyć nie mogło, ale żeby się cofało w tył, niżej i dalej punktu, z którego wyszło — — [211] Masynissa w katakumbach pośród płomieni, ukazujący się na miejscu pierwszej walki między chrześcianami i rzucający Bogu to wyzwanie tak kolosalnie dumne i śmiałe, tak pełne rozkoszy i tryumfu nienawiści — to jeden

z największych tryumfów w poezji. Raz tylko, ten jeden raz odzywa on się w ten sposób w poemacie, ale ten jeden raz wystarcza na to, żeby on był przedstawiony i pojęty jako ten zły duch, który ludzkości nie dopuszcza do wolności, pokoju, sprawiedliwości i cywilizacji; jako szatan w historii.

Domysł był świetnie trafny, skoro potwierdził go z czasem list Krasieńskiego do Gaszyńskiego, odpierający zarzuty L. Ulrycha, dotyczące *Irydiona*. Poeta uzasadniał wymownie potrzebę Masynissy w poemacie i tak go określił (*Do Gasz.* I, 111—112): „*Masynissa niepotrzebny*“.

»Co to znaczy powiedzieć: niepotrzebny? Jak tylko podobało się poecie wprowadzić postać, ona jest i żyje. Chyba, że jej nie dokonał, nie postawił na nogi, nie uczynił częścią żyjącą całości organicznej; wtedy należy mówić, że owa postać niedopełniona, nieożywiona, niedorzeczna, ale nie, że nie potrzebna. Tak samo możnaby wyrzec, że wszystko niepotrzebne, że cały poemat niepotrzebny, że suknie, obuwie niepotrzebne, bo można nago, boso chodzić. Mefistofeles w Fauście niepotrzebny, bo można było wszystkie jego mowy i czyny skupić w parę sentencji i położyć w przedmowie, przypisku lub dewizie. Sam Faust niepotrzebny; można było nie nie napisać; stworzenie całe niepotrzebne, można było nie nie stworzyć.

Nie nie jest potrzebnem, ale są rzeczy konieczne: i tak Bóg nie potrzebował zapewne ani komet, ani słońce, ani komarów; lecz koniecznością jego rozumu poszło, że biegą komety, świecą słońca, brzęczą komary.

Masynissa jest to pierwiastek wszechzłego, który ciągle przemienia się koniecznością samego stworzenia na dobre; są to ciemności na dzisiaj, które przestaną być ciemnościami jutro; jest-to to nie, to zero, niepojęte, okropne, straszne, szatańskie, dopóki go nie znamy, dopóki ono nas otacza tajemnicą nieskończoności, a które co chwila przetwarza się na coś: jak tylko coś powstaje, robi się światło, dźwięk, harmonia.

Jest to słowem szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity, w mgłę się rozechodzący, mający jednak chwile swoje piekielne, zbrodnicze, złośliwe.

Objaśnienie Krasińskiego nie przekonało p. B. Chlebowskiego, który stanął po stronie L. Ulrycha (*Nieboska i Irydion*, Ateneum, luty, 258—9) i wbrew oczywistemu tekstowi *Irydiona* osądził, że Masynissa jest »postacią zbyteczną zupełnie i nie wywiera żadnego (!) prawie wpływu na wypadki«.

Zdaje się p. Chlebowskiemu, że poeta już po napisaniu *Irydiona* »i n a c z e j (w liście do Gaszyńskiego) pojął i scharakteryzował rolę, jaką powinien był Masynissa odegrać w jego utworze, niż mu się przedstawiała w czasie pracy. Domysłu tego nietylko nie stwierdza w niczem korespondencya poety z Reevem, ale przeciwnie obala go w owym, przytaczanym wyżej ustępie o szatanie starożytnym (str. 182); zarzuty zaś dotyczące Masynissy, »że brak mu koniecznych rysów, jakich wyobrażenia nasza wymaga od przedstawiciela, a nawet władcy świata piekielnego« — uprzedził dawno wywód Klaczki o »klasyczności«

tego szatana, mającego przedewszystkiem działać nie na naszą wyobraźnię, ale na wyobraźnię Greka, syna Amfilocha.

Trudno także zgodzić się na domysł p. Chlebowskiego, jakoby Masynissa »wprowadzony był z czysto estetycznych pobudek do utworu, jako przeciwstawienie młodzieńczemu Irydionowi...«

Przeciwstawienie — pod jakim względem? — Że zaś pomysł był nietylko estetycznym, ale przedewszystkiem etycznym i psychicznym, bardzo wreszcie dawnym, ulubionym pomysłem, a nie dopiero w toku tworzenia *Irydiona* zmienionym, dowodzą drobne utwory z czasów jeszcze warszawskich, dowodzi ustęp z albumu pani Załuskiej (ob. wyżej str. 13—14).

Wracamy do definicyi Masynissy, podanej przez samego poetę: »jest to pierwiastek wszechzłego, który ciągle przemienia się na dobre«. W tem określeniu leży zarazem milczące zeznanie pierwowzoru poetycznego; naprowadzały na to poprzednie wyrazy: »Mefistofeles w *Fauscie* niepotrzebny...«. — Istotnie Mefistofeles niemal temi samemi słowy przedstawia się Faustowi na jego pytanie: *Wer bist du denn?*

Mefistofeles:

*Ein Theil von jener Kraft,
Die stets das Böse will und stets das Gute schafft,
Ich bin der Geist, der stets verneint...*

Masynissa jest zatem ewolucją Mefista, starą po niekąd, bo sięgającą jeszcze wiosny 1833 roku, kiedy

to poeta rozczytywał się w drugiej części *Fausta*; niemniej ewolucją samodzielną i ciekawą, albowiem Masynissie nie o Irydiona jednego chodzi, ale o społeczność chrześcijańską: Faustem Masynissy jest nie człowiek jeden, ani ludzkość w jej jednym ułamku dziejowym — ale ludzkość pomyślana na przestrzeni wieków całych od Cezarów rzymskich do ruin Rzymu papieskiego. Masynissa jest pomysłem obszerniejszym od Melista, ale przez to jeszcze nie ogromniejszym, nie większym, tylko trudniejszym w wykonaniu, z różnych pierwiastków złożonym, a przez to dającym się różnie tłómaczyć i uzasadniać.

Końcowa walka Masynissy z duchem Kornelii o Irydiona wypłynęła zaś z dwóch źródeł poetyckich: 1) Końca II-ej części *Fausta*, który, jak wiemy z listów do Reeva, wielkie na pocie wywarł wrażenie i 2) z walki szatanów o ducha Konrada i sporu Archaniołów w III części *Dziadów*.

Wpływ *Fausta* jest niezaprzeczony. Przedewszystkiem i Faust i Irydion tak samo kończą. Szatan i tu i tam pod koniec jest niemal pewny swej zdobyczy (»jednak nie uchyłisz się od przyrzeczonej wiary i pójdziesz ku starcowi pustyni...«). I tu i tam kochanka wierna, niezapominająca i w niebie o zneganym i zbołałym pielgrzymie, kochanka-chrześcianka (Gretchen — Kornelia) wybawia z sieci szatańskich oliarę, a szatan napróżno usiłuje zdobycz zachować:

On pod hymnem anioła opuścił śniade skronie —
zgrzytał i rwał ci ręce i wołał: »potępiony, potępiony, kto mi wydrze jego?« —

Zewnętrzny obraz Masynissy przypomina Melista nad zwłokami Fausta:

»On *wparłszy stopy w kipiący piasek*, głowę schyliwszy na spalone piersi, dopomina się o prawa swoje...«

Sam spór wreszcie, sąd »nierozstrzygniony« toczy się między piekłem a niebem, jak w *Fauście*. Natomiast motywy wyroku, względnie przychylnego *Irydionowi*, są już zaczerpnięte ze sporu Archaniołów w III części *Dziadów*: Tam Archaniół pierwszy przemawia za karą i potępieniem bluźniercy Konrada, Archaniół drugi wzywa litości dla zbłąkanego, który szanował imię Najświętszej Rodzicielki. On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu!

Podobnie ma się rzecz z Irydionem. Szatan uważa go za swego, bo żył w zemście i nienawidził Romy. »Lecz anioł (Kornelia) rozwiązując tęczę skrzydeł« błagał Boga słowami: »Panie, on jest moim, bo on kochał Grecyą«.

A tak jak w III-ej części *Dziadów* scena egzorcyzmu po sądzie Archaniołów kończy się wyrokiem przebaczenia dla Konrada (»Pokój grzesznemu sierocie«), tak tu w końcu dramatu szatan musi ulec wyrokowi Niebios i wydać Irydiona: »Świadectwem Kornelii, modlitwą Kornelii ty zbawion jesteś, boś ty kochał Grecyą!«

Za sprawą Masynissy cały dramat podnosi się o wszechludzką skalę i z pozornej powieści historyczno-obyczajowej przechodzi na wyżyny zagadnień moralno-społecznych. Nietylko zatem Masynissa nie jest zbyteczny, »niepotrzebny«, jak mniemał L. Ul-

rych, ale postać ta Szatana »wszystkich wieków i społeczeństw« jest wprost niezbędną w budowie psychologicznej „Irydiona“, jest wiązaniem tajemnem, łączącym Rzym Heliogabala z ziemią mogił i krzyżów.

Ta równoległa akcja Irydiona i Masynissy, na pozór jednomyślna, nadaje całości dziwnego uroku. Jest to jakby symfonia, w której dwie melodie równie tytaniczne zlewają się na pozór i harmonijnie splatają w całość — a w rzeczy samej ton Masynissy przemaga od początku, narzuca się Irydionowi i bez jego wiedzy wyprowadza »syna zemsty« w pole — w pole długich, wiekowych oczekiwań na ruinę i upadek wcale innego Rzymu, nie tego, cesarowego, który Helladę ujarzmił. *Sic vos non vobis...* Irydion, doprowadzając do oblędu Kornelią, mniema, że uczyni z chrześcian powolne narzędzie zniszczenia Rzymu, celu swego nie osiąga, ale wprowadza rozdwojenie do katakumb i pracuje na rzecz Masynissy. Do jakiego stopnia zależy Masynissie przedewszystkiem na katakumbach, widać to z tego, że po dokonaniem tam rozdwojeniu Masynissa wypoczywa »na krześle z kości słoniowej«, bo główny cel jego (rozłam i niezgoda w społeczeństwie chrześcijańskim) jest częściowo przynajmniej osiągnięty, Rzymu zaś on Irydionowi na pastwę nie wyda, bo mu Rzym potrzebny: »O, miasto serdeczne moje, błogosławię tobie..., żyj i uciskaj, by ciało zepsuło się w mękach, a duch zwątpił o Bogu! (I, 172).

Masynissie przeciwstawione są — katakumby, t. j. duch tam panujący, życie kiełkujące nowej Romy, tak samo znienawidzonej przez Masynissę, jak Roma

pogańska Cezarów przez Irydiona. — A tak samo jak bez Masynissy, tak bez katakumb obejść się w „Irydionie« nie było można.

Chrześcijaństwo wchodziło odrazu w plan *Irydiona* jako jeden ze »systematów«, tworzących obok »pogaństwa« i »barbarzyństwa« trzeci ważny czynnik społeczny cesarstwa rzymskiego w III-im wieku po Chrystusie. To chrześcijaństwo, »bez ciała prawie, bez kształtu«, podobne do »ducha potężnego w pracy wcielania się swego«, ducha »przechadzającego się w katakumbach«, odtworzone jest z wielkiem zamiłowaniem i uszanowaniem przedmiotu. Czy w pierwotnym pomysle dawał Krasiński tyle miejsca katakumbom, czy tworzył z nich część drugą w dzisiejszych rozmiarach, trudno wiedzieć. Ale przypuszczać wolno, że gdyby nie zbyt wyraźna chęć złożenia hołdu pani Bobrowej w postaci Kornelii, to możeby Irydionowi miłość chrześcijanki nie mąciła planów zemsty, może trafiłby do katakumb nie przez niewiaستę, ale np. przez Symeona z Koryntu; wówczas musiał jednak ginąć na wieki, pozbawiony zbawczego z niebios głosu Kornelii. Miłość poety dla pani Bobrowej zbyt zaważyła w ówczesnem jego duchowem życiu i bez wątpienia wpłynęła na rozszerzenie, może nawet przerobienie pierwotnego krótszego planu. Poeta sam przyznaje się, że w latach 1834 i 1835 ostygł niezmiernie w uczuciach religijnych i że od zraty wiary wybawił go wpływ dobroczynny głęboko wierzącej i religijnej pani Joanny. To też w uznaniu i hołdzie wdzięczności powie potem przez usta Kornelii:

»Ty się nie odejmiesz mojej potędze — Łaska uwiośni twą duszę. Ja wiem, że się urodziła, żeby ciebie zbawić!«

Na chrześcijanach oparł Irydion w bardzo znacznej mierze rachuby swe co do zagłady Rzymu. W planie poematu są oni czynnikiem pierwszorzędnej doniosłości. Węzeł spisku jest tak misternie splątany, że — nie mówiąc już o znaczeniu tła chrześcijańskiego dla pogańskiej idei zemsty — nie można sobie wyobrazić utworu bez roli rozstrzygającej, powierzonej katakumbom. Aby to lepiej zrozumieć, zastanówmy się nad zarzutami, które pocie z punktu widzenia budowy całości stawia pod tym względem Prof. St. Tarnowski; da nam to równocześnie sposobność wniknięcia w wiązanie wewnętrzne powieści i ocenienia kunsztu kompozycyjnego poety.

»Irydion — mówi Stanisław Tarnowski — czeka na Symeona z Koryntu; bez chrześcijan nie może zacząć działać, nie może zwyciężyć.

Tu jest pewien rozstęp, pewna niezgoda pomiędzy wewnętrzną treścią poematu i jego znaczeniem, a tem, co jest jego zewnętrznym kształtem. W przeznaczeniach Rzymu świata było, żeby Rzym nie zginął, ale przez chrześcijaństwo uratowanym był od zniszczenia, i przez nie dalej żył, i dalej znaczył. Jest więc naturalnem i słusznem, że zniszczenie dopełnić się nie może, jeżeli chrześcijanie do niego ręki nie przyłożą, jeżeli i oni nie sprzysięgną się przeciw miastu. W głębszem pojęciu rzeczy jest słuszość i prawda; pomysł Krasińskiego, podług którego Rzym przez chrześcijan i chrześcijaństwo tylko nie niszczał zu-

pełnie i przeżył upadek rzymskiego państwa, jest wytłómaczony, jasny i trafny. Ale w alegorycznem przedstawieniu rzeczy, w wypadkach przedstawionych w poemacie, w tym fikcyjnym spisku Irydiona, zależność rezultatu od pomocy lub bezczynności chrześcijan, ta nie jest tak widoczną ani tak konieczną. Żeby Rzym na zawsze zgładzić, do tego chrześcijaństwo mogło dopomóc lub przeszkodzić; ale jeżeli wyobrażeniem i symbolem tej zagłady jest walka z legiami Alexandra i pożar miasta, to bez nich udać się mogło. Kto stał na czele żołnierzy Hellogabala, własnych wyzwolenców, Greków i barbarzyńców z całego miasta, niewolników, gladiatorów, całej tej najliczniejszej zgrai upośledzonych, a do środków zwycięstwa liczył spalenie, temu pomoc, chociażby kilku tysięcy chrześcijan, tak koniecznie potrzebną nie była. Mogła się przydać, ale nie mogła rozstrzygać o skutku walki; w każdym razie sił przygotowanych było tyle, ogień rozniecony mógł roznieść taki popłoch i przerażenie, że zwycięstwo bez chrześcijan mogło doskonale przeważyć się na stronę Irydiona. Tymczasem w chwili, kiedy minęła godzina, naznaczona przez Symeona, kiedy przybiegł z katakumb posłaniec z oznajmieniem, że biskup wszystkich zatrzymał, Irydion odrazu uważa sprawę za przegraną i rozpacza. Dlaczego rozpacza, to się pojmuje: Rzym nie będzie zniszczony, Rzym odżyje w chrześcijaństwie. Ale ze względu na to, co on w tej chwili robi, na spisek, na bitwę, na pożar, rozpacz ta usprawiedliwioną nie jest; obrót tych wypadków nie zależał tak bardzo i tak jedynie od

chrześcijan. To też, kiedy od tej chwili dramat przechyla się ku katastrofie, kiedy Irydion zrozpaczony i pewien przegranej, śpieszy do katakumb, a potem na bitwę bez hełmu, bo »żeby walczyć, dość miecza; żeby zginąć, nie potrzeba hełmu« — czytelnik nie wie, skąd to zwątpienie? nie pojmuje, dlaczego wszystko ma być stracone, dlaczego Irydion gasi pochodnię zamiast podpalić stos i dać hasło pożaru. Wszak tylko jedna rachuba chybiła, a zostało ich jeszcze wiele, które mogą nie chybić. Oczywiście, Krasinski musiał zważać więcej na znaczenie, aniżeli na zgodność i podobieństwo fabuły, musiał więcej dbać o to, co mówi na końcu poematu Masynissa: »czy wiesz, kto wyrwie miasto z rąk braci swoich, kto zlatującą purpurę Cezarów pochwyce w powietrzu? Nazarejczyk« — aniżeli o to, żeby wszystkie sprawy i dzieje fikcyjnego spisku Irydiona rozwijały się według wszelkich prawideł jasnej, matematycznie ścisłej logiki. I miał słuszność; inaczej zrobić nie mógł. Względ mniej ważny, poświęcił ważniejszemu. Jednak zaprzeczyć się nie da, że w historycznym procesie upadku i odrodzenia Rzymu, było rzeczywiście czynnikiem głównym i rozstrzygającym to, co w fikcyjnych wypadkach dramatu być takim nie mogło; i stąd powstaje pewien rozstęp, pewna niezgoda pomiędzy formą allegoryi a jej treścią.

Zarzutów tych podzielać nie możemy. »Zależność rezultatu (spisku Irydiona) od pomocy lub bezczynności chrześcijan nie jest tak widoczną, ani tak konieczną«. Przedewszystkiem sięgnijmy do źródła sa-

mego idei, do miejsca pierwszej wzmianki o »Nazareńczykach« w *Irydionie*.

Zaledwie »syn zemsty« dokonał strasznego czynu, poświęcił cześć siostry, Elsinoi, na ołtarzu idei, zaledwie rozpoczął działać na Cezara, aby przezeń do zguby Rzymu się przybliżyć — a już myśli o dalszych zaporach, które mu przyjdzie obalić; ma chwile zniechęcenia: »gdziekolwiek wyteżę ramiona, tam zapory twarde jak żelazo, ruchome jak węże i wśród nich czołgam się bez bytu, bez życia«.

Nagle, niespodziewanie przechodzi w rozmowie z Masynissą do chrześcijan.

»Ah! hańba tym Nazareńczykom, co wolą ginąć jak bydło, niżli bić się jak męże — oni, oni to mnie wstrzymują«. Dlaczego? Masynissa nie dziwi się temu wykrzykowi — tak, jakby nie pierwszy raz słyszał go z ust Irydiona.

Poeta zbyt tu jest lakonicznym. Jest to początek utworu — może najstarsza jego część pierwotna z r. 1833, zbliżona stylistycznie do zwięzłości *Nieboskiej*. Domyślać się trzeba, że Irydion w planie zemsty zawczasu wciągnął w rachubę chrześcijan, tak, jak już zaatakował Cezara za pomocą Elsynoi, a niewolników i gladiatorów umiał hojnością dla celów swych zjednać. Widok męczarni chrześcijan, na które zapewne nieraz patrzył, mógł mu poddać myśl, że wśród niewinnie prześladowanych muszą być przecie rzesze całe ojców, braci, mężów, pragnących zemsty i odwetu; ale pierwsze zbliżenie się do nich przekonało go, że ludzie ci »wolą ginąć jak bydło, niżli bić się jak męże«. Więc byłby ich skreślił z rachuby swych

planów, gdyby nie Masynissa, któremu przedewszystkiem zależy na tem, aby Irydion użył chrześcijan do swych planów; podnieca go zatem bardzo chytrze i bardzo rozumnie:

»MASYNISSA. Aleksyan, syn Mammei, codzien do nich zstępuje i naradza się z pierwszymi Kapłany. — Jeśli go nie uprzedzisz, on szalę przeważy, on zmiecie Heliogabala, on swoje państwo narezęńskiem uczyni i Rzym trwać będzie w późne wieki wieków!

IRYDION. Nie — przez Thora, Ja mu przyrzekam, że nie będzie Cezarem!

MASYNISSA. W katakumbach los Rzymu się rozstrzygnie. — Idź — znamię ich na twoich piersiach, woda ich na twojem czole, niech tajemnice ich w twoich ustach będą. — Zaszczepiaj zemstę w imieniu Boga niezemszczonego dotąd. — Gdzie Jego ołtarze, gdzie Jego chwała na powierzchni ziemi? — A kiedy będziesz ich wiódł i uzbrajał, kiedy w ich ręce kłaść będziesz zakazane miecze, o, wtedy, synu mój, Duch mój będzie z tobą! (*Zbliża się i opiera się na jego ramieniu*).

Masynissa trafia do przekonania Irydiona argumentem politycznym: Aleksyan, brat Heliogabala, zstępuje do katakumb i naradza się z biskupem — śnać widzi w chrześcijanach czynnik społeczny nie do wzgardzenia; a jeśli tak, jeśli »w katakumbach los Rzymu się rozstrzygnie«, to trzeba je zdobyć dla sprawy Irydiona, trzeba tam szczepić zemstę w imieniu Boga »niezemszczonego dotąd«. Irydion nie może się wahać. Istotnie Masynissa się nie myli — a druga część

poematu otwiera się rozmową Aleksandra Sewera z biskupem Wiktorem w katakumbach. Aleksander szuka błogosławieństwa biskupa i otrzymuje je jako »pomazaniec Chrystusa«. Biskup Wiktor wie, że Aleksander Severus jeszcze nie wyprowadzi chrześcijaństwa z katakumb na Forum, że jest on tylko jedną falą w nieskończoności, ale wie także, że niedaleki Cezar może niesłychanie wiele dobrego zdziałać dla rozprzestrzenienia chrześcijaństwa i dlatego mu błogosławi:

»Żyź więc i przemiń jak reszta braci twoich, ale działaj według światła zlanego na ciebie«.

Aleksander, który gotuje się do obalenia Heliogabala, jest już w duchu chrześcijaninem; on nie błaga Wiktora o czynną pomoc chrześcijan — on go prosi tylko, aby chrześcijan »przygotował do zmiany i przyzwyczaił ich do imienia jego«. Nie o ludzką błaga pomoc, ale o modlitwę do Boga: »Ojcze, w godzinie walki bądź moim dobrym gieniuszem!«

Jakże inaczej postępuje Irydion, który omal że nie otarł się o Aleksandra, przybywając na rozmowę z biskupem. Umie on sobie zjednać biskupa i przychylnie usposobić. Słudzy Irydiona przynoszą do katakumb zwłoki jakiegoś nowego męczennika. Biskup Wiktor dziękuje mu za ten uczynek braterski. Ale Irydion z politycznemi wieściami przybywa: oto pretoryanie burzyć się zaczynają przeciw Heliogabalowi. W myśli »syna zemsty« dzień odwetu niedaleki: on pragnie pozyskać biskupa Rzymu, a przez niego tyśiące wyznawców:

»IRYDION. Ojcie, dozwól słów kilka jeszcze. — Wszak w twoim ręku przyszłość nasza, wszak jednym skinieniem możesz tysiące nas rzucić na szalę, a gdzie one zaważą, tam będzie zwycięstwo!

WIKTOR. W niewidzialnem królestwie walczyć mogę przeciw książęciu świata modłami i ofiarą, a jeśli wszyscy połączycie się ze mną w obliczu Pana, obiecuję wam zwycięstwo!

IRYDION. Ja mówię teraz o bliższych zapasach, o przedsym tryumfie! Ojcie, cierpiemy jak ludzie, spodziewamy się jak ludzie i posady nam ziemskiej potrzeba. — Dotąd potęga nienawistnych ścisłała nas zewsząd, tak, żeśmy woleli umierać, niż kłaniać się rozpuszcience lub czcić kłamstwo na ziemi. — Lecz dzisiaj to, co gubi narody, stanęło u bram tego miasta — zgrzybiała starość i duma bez granic. — Heliogabal sił nie ma do utrzymania swoich, Aleksander do ustalenia nowych rządów, a resztę sił doniszcza w zbliżającym się starciu — pomiędzy nimi obuma czyż każdy, co uwierzył w Chrystusa, nie radby krzyż wyrwać z wnętrzości ziemi i zatknąć na Forum romanum? — ojcie, widzę chmurę zgrozy na czole twojem. — Daruj, że pałam miłością ku braciom uciśnionym — daruj, że śmiało ci ogłosić, że nadeszła pora ugodzić w samo serce pogaństwa i Romy!

WIKTOR. Z litością słuchałem słów twoich! Napróżno wodę chrztu wylałem na głowę twoją! Napróżno tłómaczyłem ci świat ducha. — Tyś go nie pojął, nie zrzuciłeś starego człowieka. Tyś w żelazie

i ogniu położył nadzieję doczesnego zbawienia. — Ciężkie winy twoje! (*słychać pieśni pogrzebowe*) Czy słyszysz te Hymny, płynące wśród grobów, jak ostatnie szumy burzy, w której Jedyny skronie opuścić i skonać? — Czyż On wzywał na pomoc Aniołów, czyż On wołał o pomstę do Ojca? —

IRYDION. A więc nędza i poniżenie naszym działem na zawsze? —

WIKTOR. Mylisz się w hardości twojej, kiedy chwilę czasu nazywasz wiecznością! — Zaprawdę ci mówię, że w tych cmentarzach śpią goście tylko — że nie tylko na progach niebieskich, ale i na płaszczyznach bólu, Miłość przemoże nareszcie. — Zaprawdę, zaprawdę, ludy pokłon jej oddadzą, i nie będzie Cezara, któryby przed nią nie uderzył czołem...«

Irydion wychodzi z katakumb nie pojednany z Chrystusem, ślepy i głuchy na całą treść ducha nowej wiary — pożądający tylko owych tysięcy ciał, aby je rzucić do walki niedalekiej z Aleksandrem. Udaje się mu rozerwać zgodę chrześcian. Tylko starsi, doświadczeni si mu oporni. Wszystko, co młodsze, żadne czynu, tryumfu Chrystusa na ziemi, daje się porwać płomiennej wymowie syna zemsty i przyrzeka współudział w walce. — Odtąd już katakumby nie są schroniskiem wiary, miłości i nadziei. Nieczyste duchy starają się tam przedostać — a poeta uzmysławia to trzęsieniem ziemi w katakumbach i słupami ognia, wśród których przechadza się Masynissa. Scena ta należy do najpotężniejszych w Irydionie:

(*Nadchodzą słupy ognia, wśród nich Masynissa*).

»CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Patrz! staliśmy się jak lampy cichej świątyni, o my gorejący, o my nieszczęśliwi, ofiary mąk tylu, od wieków tylu!

MASYNISSA. Przyjdzie chwilla, w której cała ziemia na pastwę oddaną wam będzie — ale na dzisiaj tu koniec drogi waszej — nie pójdziecie dalej!

CHÓR. Zwycięstwo! Do czasu, do czasu tylko żyjem rozpaczą i nocą! I zapytają się duchy niebieskie: »Gdzie ziemia, siostra nasza?« i zapyta się ten, który ją zbawił: »Gdzie oblubienica moja?« a my wytrząśniem pod ich gwiazdy Jej umarłe popioły!

MASYNISSA. Zwolna, z cicha, dzieci moje! — Ta chwila w nieśmiertelności waszej, ale tysiąc tysięcy ludzkich pokoleń od niej przegradza was jeszcze!

Wprzódę muszą siły swoje styrać — każdą wiarę krwią popierać i ogłosić ją fałszem — każde zaprzeczenie błotem zarzucić i ubóstwić je wreszcie! — aż doważy się szala ich mierności i dumy, aż siwizna głupstwem się stanie a siła szaleństwem!

CHÓR. I zginą!

MASYNISSA. Myśl ich osiądziem — w niej światy tworzyć będziem coraz dalsze od prawdy — tak iskrę, którą wzięli z górnych przestrzeni, zamęcym w ich duszach. — Uwieńczym ich skronie ognikami wiedzy — Znikome berła powierzym ich dłoniom. — Wyniesiem ich na samodzielną ziemi!

CHÓR. I zginą!

MASYNISSA (*przechadza się wśród ogniów*). Wiaro, nadziejo, miłości! Trójco, która miałaś trwać na wieki, rozerwałem cię dzisiaj w sercach dzieci najukochańszych, błogosławieństwa Twego! Nie — Ty niemi nie

zaludnisz spustoszałych przestrzeni, kędy wrzały niegdyś roje szczęśliwych i pięknych — Ty już nigdy takich nie dostaniesz synów! — Sama zgasiłaś słońca, które były chwałą twoją!

CHÓR. Niechaj trony nasze wiecznie sterczą próżne i martwe — niechaj pieśni pochwalne u ich stóp konają!

MASYNISSA. Tej nocy naszych następców poczęła się zguba. — Jako my niegdyś, tak i oni odpadną od niego!

CHÓR. I przyjdą jeść chleb nasz i mieszkać w ciemnym domu naszym!

MASYNISSA. Wrogu! ty wiesz, że ich duch obłąkany od pierwszej wiosny ziemi! — Odtąd dnia nie będzie, żeby się nie kłócili o przymioty i imiona Twoje!

W Imieniu twojem będą zabijać i palić — W Imieniu twojem gnić i milczeć — W Imieniu twojem uciskać — W Imieniu twojem powstawać i burzyć!

Ukrzyżowan będziesz zarówno w ich mądrości i niewiedomości, w ich rachubach i szalach, zarówno w sennej pokorze ich modlitw i w bluźnierstwach ich dumy!

Na szczytach niebios ten puchar goryczy pić będziesz, dopóki ich nie przeklniesz na wieki. — Na szczytach niebios, wśród potęg twoich, doznasz, co to piekło nasze!

CHÓR. Chwała nam i Temu, co dotąd jaśnieje w ogniu odrzucenia, jak pałał niegdyś tęczami siły! Chwała nam — chwała nam!

MASYNISSA. On skazę piorunów zakrył dłonią na czole. — Na dnie przepaści on myśli krzepi na dzień ostatni świata! Chwała Jemu. — A teraz owioncie mnie ciemności — teraz w milezeniu skonajcie, bracia moi!»

Cel Masynissy osiągnięty — ale Irydion łudzi się, że i jego cel już blizki i że jeśli nie wszyscy Nazareńczycy, to przynajmniej owi najdzielniejsi, najgorętsi po ludzku, nie opuszczą go i »szalę zwycięstwa« przechylą na jego stronę. Na nich cała Irydiona nadzieja polega i nie tylko nadzieja! »Na nich oparta cała moja potęga. Na ich czele zbiegnę miasto i ludowi rzymskiemu przypomnę Brennusa. Gladiatory i żołnierze moi bez nich *nie wystarczą* tłumom. Jeśli mnie zdradzili, zginąłem!»

W tych słowach mamy odpowiedź na zarzuty Prof. Tarnowskiego. Irydionowi musimy zostawić troskę o to, czy ma dosyć sił zbrojnych na odparcie legij Aleksandra, czy nie. Jak dalece siły jego i rzymskie były równe niemal, to pokazuje kilkudniowe uparte zdobywanie Rzymu, wzgórze za wzgórzem, przez wojsko Aleksandra. Gdyby istotnie Irydionowi przybyły wtedy w pomoc owe »chociażby kilka tysięcy« chrześcijan z katakumb, sprawa byłaby inny całkiem wzięła obrót. Nie kto inny, tylko oni, chrześcijanie, samą bezczynnością przeważyli szalę na stronę Cezara — bezczynnością fizyczną, ale nie duchową. Owszem ich modlitwa rozstrzyga o wyniku walki. Biskup Rzymu nakazuje:

»Módlcie się za Aleksandra Sewera — on będzie Cezarem«.

Jest zatem zwątpienie Irydiona po zawodzie, który go spotkał ze strony katakumb, zupełnie uzasadnione, bo to nie »jedna tylko rachuba chybiła«, ale cały spisek udaremniony, a kiedy słyszymy, że »zostało ich (rachub) jeszcze wiele, które mogą nie chybić« (str. 232) — to musimy zapytać, jakie to rachuby i jak im na imię? Żołnierze Heliogabala? wyzwolenicy? gladiatorzy? Obliczył wszystkie swe siły Irydion i chyba nie myli się »syn zemsty«, kiedy mówi do powiernika swej duszy, Masynissy:

»Gladiatory i żołnierze moi bez nich (chrześcijan) nie wystarczą tłumom; jeśli mnie zdradzili, zginąłem«. Oczywiście i bez chrześcijan będzie on walczyć do upadłego, będzie siać popłoch i przerażenie, ale nie łudzi się już, aby »zwycięstwo bez chrześcijan mogło doskonale przeważać się« na jego stronę.

Nie widzę zatem żadnego »rozstępu«, ani niezgody między »formą allegoryi a jej treścią«. Prof. Tarnowski zapytuje (str. 232): »dlaczego Irydion gasi pochodnię, zamiast podpalić stos i dać hasło pożaru?« — Dlatego właśnie, że nie chce bez chrześcijan rozpoczynać ogólnej walki i pożaru Rzymu, bo ma jeszcze nadzieję słabą porwania ich za sobą pomimo oporu biskupa.

Jakoż wdziera się do katakumb i zaklina młodszych do walki: »Zostawcie zgrzybiałych na grobach, chodźcie za mną — tam zwycięstwo« itd. itd. — Gasi zatem pochodnię Irydion, nie chcąc przed czasem dawać hasła spiskowym. On wróci niebawem do swego pałacu. »Jeśli kto z moich wróci, niechaj się dzieje i czeka«.

A zatem i Masynissa i katakumby są w *Irydionie* potrzebne, albo jak mówi Krasieński: konieczne. Katakumby są jakby moralnem tłem, na którym idea niemoralna zemsty pogańskiej Greka tem jaskrawiej ma się uwydatnić.

Charakter Irydiona doskonale jest oświetlony przez jego stosunek do Elsynoi, do Masynissy, do barbarzyńców i gladiatorów, do chrześcijan i do Kornelii, do Aleksandra i Ulpiana. Raz szczerym jest i otwartym, to znowu obłudnym i podstępny — wszędzie nie siebie i szczęście swe mając na względzie, ale tę ideę, którą mu ojciec przekazał niegdyś i dla której wszystko poświęci, nawet miłość Kornelii. — Stosunek jego do chrześcijan od początku jest nie-szczery i nie może wydać pożądanego dla Irydiona owocu. Znakomicie to wywiódł i uwydatnił Antoni Małecki (*Przegl. Pozn.*, luty 1847, str. 181—2):

»... Cały ten sojusz i sprzymierzeństwo z chrześcijanami tylko na obłudzie i podstępie polega. Jakiegoż to potrzeba było rusztowania, nim je powiązać potrafił! Trzeba mu dopiero było świętą dziewicę zdradzić, zdradzoną w szalę wprawić, przez szalę uczynić z niej echo swej woli, zwierciadło swojej myśli, nim przystąpił do zawiązania węzła między sobą a tajemniczem tem gronem. A i tu ciągle dopomagała przytomność niewidzialnego Masynissy, któremu w chwili zwycięstwa nad umysłami, w chwili, gdy mu pomoc zaprzysięgają, dziękuje za nią Irydion («przez ciebie Masynisso zwyciężam!»).

Z góry więc zapowiedzieć sobie możemy, że węzeł ten kunsztowny prysnie, bo choć go Irydion zawikłał

niby silnie i kilkakrotnie, nie umieścił go jednak w sercu swoim, bo nie jest chrześcijaninem; a nie jest nim nie przeto, żeby miał Chrystusowi (jak np. Masynissa) *zaprzeczać*, lub go nienawidzić; ale że uczucia nowe i nad świat starożytny wyższe, są sercu i przeznaczeniu jego obce, że go nie obchodzą i nie mogą obchodzić, gdyż leżą poza obrębem żywotnej jego treści, którą jest tylko mściwa myśl Hellady, a poza tę nie wolno mu pod przekleństwem ojca wykroczyć.

Życie jego przy urodzeniu, a powtórnie w godzinie konania ojca, jest wymierzone nieporuszonemi granicami — nieubłagane Fatum, któremu Irydion jako postać starożytna podlega, nie pozwala mu wybieść poza te granice; a w tem właśnie cała spoczywa tragiczność, dla której Irydion walczyć musi, ale tak walczyć, iż zwyciężyć nie może. Gdyby był został istotnie chrześcijaninem, miałby odrazu na swoje usługi cały orszak Nazareńczyków, ale wtedy nie dozwoliłaby mu wiara mięszać się w boje i sprawy pomsty; nie mógłby tak walczyć. Dlatego chrześcijaninem zostać nie mógł; a że jednak pomocy chrześcijan potrzebuje, stąd udać się musiał do podstępu. Tak opierając się na obłudzie i fałszu, dokazał wprawdzie, że będzie mógł rozpocząć walkę, lecz zwycięstwa nie osiągnie. Na tem polega cała zawilłość tragiczna w losach i charakterze Irydiona. Jest występny, a niewystępnym być nie może. Gdyby przynajmniej mógł dokonać zemsty swojej! Ale i tej nie wypełni, za to, że ją pełni. A nie może jednak nie pełnić jej.

Po rozpaczliwej walce Irydion wstępuje na stos dymiący Elsynoi i ma zgorzeć, gdy wtem jawi się Masynissa i z nim się razem zapada. Pierwotnie, jak wiemy z listu do Reeva, uciekał Irydion z Rzymu ku brzegowi morskemu. Ale słusznie zmienił to Krasński. Bohatyr jego nie mógł się splamić nawet pozorem tchórzostwa. Zresztą nie o to tylko chodziło. »Porwanie to Irydiona i zapadnięcie się z Masynissą jest w każdym razie już śmiercią jego jako syna zemsty, jako syna Amfilocha. Obaczymy się jeszcze z żywym Irydionem; będzie to jednak już nie ten sam człowiek, przynajmniej nie taki sam człowiek, jakim aż dotąd on działał... Samo to wstąpienie na stos, choć nie jest śmiercią naturalną i oczywistą, jest zawsze śmiercią moralną bohatera«. (Małecki, l. c. 215, 216).

Rozmowa jego pogrobowa z Masynissą na szczycie góry między Rzymem a morzem jest już próbą zwrotu od zemsty ku miłości, próbą nieudaną jeszcze, ale świadczącą o tem, że uczucia lepsze nie zamarły w nim całkiem, jest poznaniem oszukaństwa Masynissy, przeświadczeniem, że syn Amfilocha »był tylko marzeniem, tylko cieniem odbitym od późnej przyszłości — i jak zawczesną igraszkę rozbiły go losy«. Nie chce już służyć nikomu. Odpycha Masynissę: »ni tobie, ni Bogu żadnemu nie oddam duszy mojej«. Napróżno Masynissa kusi go obietnicami, jakimi Fausta Melisto będzie uwodził, Irydion urąga skarbowi »stłabego gieniuszu«. Podrażniony Masynissa musi z teraźniejszości sięgnąć w daleką, bardzo daleką przyszłość, aby znęcić raz jeszcze Irydiona.

Irydion sam stawia warunki. Chce powstać ze snu wieków, ale wtedy dopiero, kiedy na Forum będą prochy tylko, na Cyrku kości same, a na Kapitolu hańba. Masynissa przystaje na taki układ o duszę (»Mnie Rzym — tobie duszę moją!«) i usypia Irydiona na całe wieki w grocie latyńskiej, okrytej winem i bluszczem. —

Prześnił Irydion i Germanów i Hunnów napady, i zaranie średnich wieków z Karolem Wielkim na czele i czasy Rienziego i świetność papieskiego Rzymu, aż dożył dni naszych i obudził się znowu na głos Masynissy. Z groty swej wyrzwał w cudną noc księżycową i za przewodem szatana ruszył ku miejscu prastarej swej nienawiści — ku Rzymowi.

Rozradował się wzrok jego i dusza:

»Pójrzał syn wieków i uradował się w sprawiedliwości zemsty swojej. — Każda ruina była mu nagrodą: i niziny, wdowy amfiteatrów, i wzgórze, świątyni sieroty — z lekkich stóp swoich otrząsał proch i perzynę tam, gdzie cyrk Karakalii, tam, gdzie Mausoleum Cecylii, żony Krassusa. — I ulicą grobów starodawnych wiódł go straszny przewodnik do bram Rzymu. — One same się roztworzą — nie słychać zgrzytnienia zawiasów. — Weszli. — Straże nagle usnęły oparte na broniach. — Oni przeszli, jak cienie!

* * *

I wśród długich, samotnych kaplic ciasna im droga się wije. —

O nocy jedyna, ostatnia! o nocy miłości mojej, coś słonecznego w twoich blaskach jaśnieje — nad każdą

ruiną zasłoną cieniów rozdierasz — i truchlejącą, nagą, wydajesz wrogowi. — Twój księżyc nędzne domy i nędznych, rzadkich mieszkańców wytyka szyderstwa promieniem!

* * *

W krużganku Bazyliki stoi dwóch starców w purpurowych płaszczach. — Żegnają ich zakonnicy imieniem książąt kościoła i ojców — na ich twarzach wyryte ubóstwo myśli — wsiedli do powozu — czarne, schorzałe konie ich ciągną — i z tyłu sługa z latarnią, jaką trzyma wdowa nad dzieckiem, konającym z głodu, i na ramach u okien i na listwach u dołu ostatek pozłoty! Minęły zwolna jęczące koła, siwe głowy wychylone zniknęły. »To następcy Cezarów, to rydwan kapitolńskiej Fortuny« rzekł przewodnik, a syn Grecyi pójrzał i klasnął w dłonie. —

* * *

A teraz stromą pochyłością, sadzonemi schody, wstąpili na puste dziedzińce — pośrodku posąg Aureliusza na koniu, z wyciągniętą dłonią w próżniach powietrza. — Cezar bez poddanych — Tryumfator bez pieśni — a z tyłu czarne tło murów Kapitolu!

* * *

Obok skały tarpejskiej ułamkiem miecza, wracający na ziemię po latach tyłu, zostawił znak swój na czole najlepszego z Cezarów — i dźwięk greckiego żelaza

o spiż rzymską rozległ się, jak dzwonu uderzenie pogrzebne, ostatnie! i z nad szczytów zamku odparł żałośny krzyk sowy i z odległych ulic odparło skowyczenie psa, błędzącego po innych ruinach!« —

Wracała mu pamięć dni i miejsc starych. Doszli do Kolosseum. Tu miał być koniec jego pielgrzymki — stąd miał już pójść »kędy miliony« — to jest w moc i panowanie Szatana wiekuiste, tu miał się Masynissa upomnieć o dotrzymanie umowy, skoro Irydion nie mu zarzucić nie mógł i większej ruiny Rzymu pomysłęby sam nie zdołał — miał Rzym pod stopami swymi i deptał po nim; pora było Masynissie oddać duszę. —

Ale Szatan przeliczył się w swej pewności tryumfu. Mógł był wszystkie ruiny Rzymu Irydionowi pokazać i niemi o duszę się dopominać — ale do Kolosseum lepiej było go nie wprowadzać... Tu radość Irydiona miała się w „dziwne uczucie“ zamienić.

»...Dziwne uczucie się budzi...

»I wszystko, coś widział niegdyś, wszystko, czego częścią bywałeś, wróciło ci na pamięć. — Tam był tron Cezarów — Ozwały się w myśli twojej trąby, piszczałki, poklaski, przekleństwa. — Słońca tylko niema, niema purpurowej obłony, co powijała na wierzchołkach Cyrku — Księżyc blado świeci nad tłumem wskrzeszonych, przechodzących, niknących. —

* * *

»Z nich wszystkich został się głos Hymnu, słyszanego niegdyś. — To »niegdyś« było wczoraj — tu

wczoraj — skonali Nazareńczycy. — Ich twarze były pogodne, jak wieczór letni — i otóż na miejscu, na którym padli, krzyż czarny stoi dzisiaj, drewniany, cichy, na środku Areny — od jego spokojnych cieniów odwrócił przewodnik ponure oblicze. —

* * *

Ale w tobie dziwne uczucie się budzi — nie litość nad Romą — bo jej żałoba ledwo za jej zbrodnie staje — nie strach obranego losu — ty zanadto cierpiełeś, byś mógł się lękać — nie żal matki ziemi — boś miłości życia wśród snu wiekuistego zapomniał — ale jakieś wspomnienie twarzy dziewczęcej — jakiś smutek nad tym krzyżem, którym dawniej pogardziłeś, boś go daremnie chciał zaostrzyć w żelazca!

Ale teraz zdało ci się, że walki z nim nie chcesz — i zdało ci się, że on znużony, jako ty — oplakany, jak losy Hellady niegdyś — i zdało ci się w promieniach księżyca, że on świętym na zawsze!

* * *

Jednak nie uchyłisz się od przyrzeczonej wiary — wstaniesz i pójdziesz ku starcowi pustyni...» —

Ale to »dziwne uczucie nie mogło go przykuć na zawsze do krzyża. Pora mu było dotrzymać słowa Masynissie, który przerażony, bo przeniknął duszę Irydiona, stara go się teraz oderwać krok za krokiem od samotnego Krzyża na Kolisseum. »Synu! czas, wypiłeś napój (zemsty), który ci wieki sęczyły do czary

i kropli nie zostało. Synu! czas, zorza niedaleka — nam ubiedz długą drogę trzeba«. Irydion już miał odejść, gdy wtem od szczytów amfiteatru »zabrzmiął głos pełen chwały« — syn Amfilocha podniósł oczy i ujrzał wśród jasności przejrzystych anioła o »słodkiem licu«, poznał dawne kształty, poznał Kornelią i spoglądał na nią z niewysłowioną tęsknotą, jak ten, co się żegna z pięknością na wieki!

Ten głos anielski rozbrzmiał w górze nie na potępienie, którego pewny był już Masynissa. »Głos wzywał starca napowrót przed stopnie Krzyża na sąd nierozstrzygnięty jeszcze«. — Ten sąd — wiemy już — ocala duszę Irydiona. Kornelia wymodliła to w niebie i przebaczone mu, bo »kochał Grecyą«.

Przebaczone mu — do czasu, jeśli z drugiej podobnej próby wyjdzie zwycięsko. Irydion ma odżyć jako człowiek współczesny nam »na ziemi mogił i krzyżów«, niedawno spustoszonej ogniem i mieczem: »poznasz ją po milezeniu mężów; po smutku drobnych dzieci, po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców...«

Głos boży, głos, co zleciał jak piorun o świcie, a tak wszechmocny, że woń wszystkich kwiatów dolin podniosła się ku niemu, Chrystusowy głos każe Irydionowi z Kolosseum iść na Północ, zamieszkać wśród braci nowych:

»Tam powtórna próba twoja — po drugi raz miłość twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysięcy wcieli się w jedno serce twoje!«

Irydion ma odczuć wszystkie męczarnie Polaka po

r. 1831. Cała jego przeszłość grecka i bolesne doświadczenia z czasów Heliogabala mają mu teraz być nauką i przestrogą w »ziemi mogił i krzyżów«. Nauka to bolesna i przykra nad wyraz, ale zbawienna. Owoc to gorzkich rozmyślań, okupiony przez poetę łzami rozpaczy po nieszczęśliwej wojnie narodowej — owoc cierpki, który samemu poecie wydał się nie do przełknięcia — a jednak uznany przezeń za lek jedynie skuteczny.

Posłuchajmy, jak objaśnia *Irydion* w liście do Gazyńskiego i bądźmy wdzięczni Ulrychowi, że poematu nie zrozumiał dobrze, a przez to wywołał sprostowania autora. W rok po wydaniu *Irydion* spojrział nań spokojnym okiem i myśl zasadniczą utworu wyłożył jak na dłoni, po prostu, a wspaniale:

»Spytaj się Leona, czy nigdy nie słyszał, nie znał, nie ścisnął ręki postaciom, które żyły, a częścią nikły nieszczęśliwie na ziemi, których głowa pałała jednym tylko dzikim marzeniem, a których serce cierpiało i żądało i wszystko poświęciło i wreszcie pęknąć musiało w żelaznych rękach konieczności, nie nie wyprosiwszy u losów, nie nie zdziaławszy dla braci. Zstąpili oni do grobu hańbą pozorną okryci, wielu ludzi ich przekląło; oni święci byli uczuciem, wielcy męstwem, błędem ich tylko to było, że nie wymiarkowali czasu, sił, zasobów, słowem całego mechanizmu i matematyki życia. Tacy ludzie należą duszą i ciałem do poezyi. Polityka mało o nich, lub nie nie powie, historia więcej, poezya najwięcej, wszystko może! I po wszystkie wieki byli tacy bohaterowie nieszczęścia, żadnem nie uwieńczeni zwy-

cięstwem, bezsławni, o grobach bezpomnikowych, co przeczuwali daleką zorzę, ale jej nie mogli ujrzeć i zginęli przez to, że raczej w przeczuciu żyli, w żądzy swojej, niż w rzeczywistości faktów ziemskich. Z masy takich bohatyrskich serc złożone pokłady ziemi, na której zakwitnie później kwiat dni pogodnych.

Otóż uosobieniem tej masy jest *Irydion*. Ale choć on jest poetyczną prawdą, nie jest on prawdą filozoficzną. [Nie zemstą dzieją się wszelkie postępy rodu ludzkiego, ale miłością, ale pracą długą ducha. Ciało musi się żżymać, krwi pragnąć, mieczem i włóczniami miotać, krótkie albowiem dni jego; Duch może myśleć, modlić się, kochać, bo ma wieki przed sobą. Ciało, gdy raz padnie, nie powstanie więcej; Duch, z sere, co pękły, przelewa się w serca co biją i kończy zaczęłą drogę.]

Otóż w połowie pogańskiej dzieła, w połowie zmysłowej, młodzieńczej, bohatyrskiej, poetycznej, wre ciało, wre zemsta, jako jedyna myśl; żelazo, ogień i zniszczenie idą za nią. Lecz ogień zagasa, żelazo pryska, zniszczenie w własnym chaosie nie wie co począć, śmiech szatana nad tem wszystkim się rozlega. Ciemno i gorzko. Najszlachetniejsze cele giną niedokończonemi, ogień i żelazo słabemi są na doprowadzenie ich do końca.

W drugiej, ostatniej części, chrześcijańskiej, filozoficznej, następuje zbawienie: bo wszystko co złe, darowane być musi (!) za to, co było dobrego — i przestroga, nauka, by Duchem działać, by z pracy wieków zmartwychwstać. Cóż to jest praca wieków? To

jest praca Ducha, święta, żmudna, długa, ale jedna prawdziwa. A zatem właśnie to, czego Leon żąda, tam jest: to jest, że dzisiaj już kierunek społeczeństw na drodze wolności nie uznaje konwulsji i rzezi, jeno uznaje konieczność rozumu i cnoty. Logika, konieczność doprowadziły autora do tego końca, choć sam się przyznaje, że on jest bardziej w sercu pogańskiej części zwolennikiem, niż filozoficznej: wołałby dzień taki jeden, choć z przegraną, niż nadzieję dalekiej przyszłości. Ale darmo — co jest, to jest: nie nasze kaprysy światem rządzą, ale rozum Boży. — Artysta ten rozum pojąć winien; gdy go nie pojmuje, jest dzieckiem, a dzieło jego nie jest poezją, koniecznością, ogółem.

Autor więc dwie części miał w tem wszystkim na myśli:

1. Zemstę, ciało i konwulsję, co zwykle miotają światem, — i tylu umarłych zawczasie, pięknych, dzielnych, niepamiętanych.

2. Ducha i prawdziwy postęp rodu ludzkiego, chrześcijański, idealny, którym wszystko, co jest i co będzie, się dzieje; przetworzenie wnętrza Ducha, by potem wcielić w świat tegoż Ducha; rozum Boży przeciwstawiony namiętnościom indywidualnym, wiecznie rozbijany.

Ztąd pochodzi, że za *czyścić*, za powtórna próbę, każe głos, słyszany w Kolizeum, iść Irydionowi do ziemi mógł i krzyżów i tam już nie dbać o chwałę własną, ale o dobro braci swoich; nie już o zewnętrzne tryumfy, o zwycięstwa własne, ale o Duchową piękność, o przekształcenie tego, co złem, na

dobrze; i w nagrodę takiej pracy, okropniejszej, niż wszystkie przewalczone boje, obiecuje mu zmartwychwstanie i to jeszcze na ziemi. Chrześcijaństwo nie inaczej owaładnęło światem.

Zresztą mówiłem z autorem wiele o tem. On sam wie, że wykonanie jest w wielu miejscach słabe, niedostateczne, chrome, że dramatyczność nieraz zasypia, słowem, że są ogromne błędy pod względem wyrobienia. Lecz o myśli głównej, przewodniczej, o tem, co było marzeniem jego młodości, sądzi, może uwiedziony dumą, że jest szeroka i głęboka, i że jest zgodna z prawdą wiekuiłą z jednej strony, a z drugiej z przemijającymi objawami, których za czasu naszego, za dni krótkich naszych wiele już było, a znikły wszystkie, zostawiając za sobą jęk niesłychany, tytańskiej boleści, zawodu najświętszych i najjaśniejszych nadziei... Na to, że to prawda, mógłby autor wywołać cienie poległych i żyjących; mógłby niejednego zapytać: »czyś ty nie czuł, nie marzył tak?« a niejedenby odpowiedział: »Tak jest — nietylko niejeden, ale naród cały!« (*Do Gasz.* 113—116).

Do tych wymownych słów trudno cokolwiek dodać. Są one streszczeniem walk wewnętrznych poety, co wbrew głosowi serca, które domagało się dnia jednego bodaj, pogańskiego, »choć z przegraną« — ukończył się przed rozumem Bożym i narodowi swemu zalecił »przekształcenie tego, co złem, na dobre«, ciężką pracą wiekową, »okropniejszą, niż wszystkie przewalczone boje«; — a w nagrodę trudów ukazy-

wał na odległych falach całych pokoleń — zmarłych wstanie.

* * *

Zstępując z wyżyn ogólnej idei *Irydiona* do szczegółów samej techniki wykonania, zwrócić musimy przede wszystkim uwagę na niezwykle trudność przedsięwzięcia. »Wymyśleć Greka, który swoją ojczyznę chciał pomścić na Rzymie upadającym, wymyśleć całą jego historię, jego spisek, jego walkę i jego przegraną, to było dość śmiałe. To zaś pociągało za sobą konieczność wystawienia obrazu Rzymu... Nie dość na tem; trzeba było, żeby ten obraz, cały starożytny, jak być może najbardziej klasyczny, dał się nagiąć do ukrytej myśli poety i był jej tłumaczeniem wiernem i wyraźnym... (St. Tarnowski, 248—249).

Trudności były istotnie ogromne, a do ich pokonania nie wystarczała intuicja gieniusza. »Niniejsza powieść pomyślaną jest w trzecim wieku po Chrystusie« — mówi poeta na samym wstępie ważnych i pełnych erudycji przypisków. Otóż wnikięcie dokładne w ówczesne dzieje cesarstwa rzymskiego nie tylko zewnętrzne, ale owszem wewnętrzne, społeczne, obyczajowe — nie mogło być robotą dorywczą i przegodną. Na szczęście znakomity słuchacz wykładów genewskich Rossiego znał dzieje Rzymu bardzo dobrze, a poznał je jeszcze lepiej wśród częstych odwiedzin Forum, Kolosseum, Kampanii rzymskiej i wykopalisk pompejańskich. Z współczesnych mu rodaków jeden tylko Mickiewicz znał równie dobrze świat

starożytny i jego ducha. W »Przypiskach« do *Irydiona* złożył Krasieński świetne dowody i głębokich rozmyślań nad duchem społeczeństwa pogańskiego i olbrzymiego odczytania w materyale naukowym danego przedmiotu.

O ile świat rzymski jest w *Irydionie* wystudjowany starannie i w głównych swych zarysach zgadza się z badaniami historycznymi, o tyle cała powieść o Irydionie, jego rodzicach i jego myślach mściwych, jest już owocem poetycznym fantazji patryotycznej Krasieńskiego. Pomysł małżeństwa Greka Amfilocha z córą dalekiej Północy, Grymhildą, przeczy prawdzie historycznej. Grek, który gardził w duszy nawet Rzymianinem, uważając go za barbarzyńcę, nie byłby nigdy wyniósł Germanki ówczesnej do godności swej małżonki. Jeżeli poeta szuka aż »w Chersonesie Cymbrów« matki dla swego bohatera, to czyni to ze względu na te składowe pierwiastki ówczesnego państwa rzymskiego (a zatem i jego powieści), które symbolicznie mają wyobrażać Amfiloch (»pogaństwo bez życia«) i Grymhilda (»barbarzyństwo«). Irydion jest zatem symbolem dwu sił starożytnych: ducha hellenckiego, któremu cielesną powłokę daje córka ludów mocznych, świeżych, uosobienie ducha pra-germańskiego. Oba te pierwiastki, hellencki i germański, odnajdujemy z łatwością w mściwym, bezwzględny, przebiegłym, a równocześnie chwilami rozmarzonym i hamletowym Irydionie. Dodajmy zaraz, że w literaturze współczesnej francuskiej znalazł Krasieński pobudkę do zajęcia się światem skandynawskim. J. J. Ampère ogłosił w tomie szóstym

Revue des deux mondes (r. 1832) studium o »Dawnej Literaturze Skandynawskiej«; słaWił tam Sygurda, bohatera Północy i tak go scharakteryzował, że słowa jego żywcem do Irydiona-Sygurda dałyby się zastosować: »wielka chwała, koniec nagły i smutny — oto jego przeznaczenie, jego i Achillesa; i jest to uwagi godne, że w Skandynawii, tak jak w Grecyi, taka sama myśl melancholiczna skojarzyła się z myślą dzielności i chwały, i że u obu ludów bohater narodowy ginie w blasku młodości...«

O ile zatem genealogia Irydiona jest po prostu genialnie obmyślana dla celów powieści samej, o tyle znowu pomysł jakiejś tradycji zemsty narodowej Greków przeciw Rzymowi nie jest zgodny z prawdą historyczną. Dawno to już zauważył Prof. Nehring: »Grecya za czasów Heliogabala wydawała uczonych, filozofów, retorów, rękodzielników, spieszących do Rzymu po zarobek, sławę, ale nie wydawała mścicieli. Historia o nich nie wie. Historycy, z rodu Grecy, jak Dio Cassius i inni, uznają w Rzymie potęgę i czynią to bez patryotycznej nienawiści. Od czasów cesarstwa nie słyhać w Grecyi o żadnych spiskach lub buntach«. Wspomniany w *Irydionie* Filopomen, ur. 253 r. przed Chr., wódz achajskiego związku, nie miał żadnej głębszej, politycznej myśli, a gdyby ją był miał nawet, trudno przypuścić, aby mogła się ona propagować w ukryciu przez cztery wieki aż do czasów Irydiona.

Bez wątplenia wiedział o tem wszystkim Zygmunt Krasiński, ale ponieważ nie pisał historii czasów Heliogabala, więc w »powieści« swej nie myślał krę-

pować się faktami dziejowymi. Jeżeli pomimo całej niehistoryczności stworzył takiego Greka o niezbyt greckiem nazwisku i kazał mu działać za czasów Heliogabala, to uczynił to dlatego, że chciał dać dobry symbol miłości pogańskiej do ziemi rodzinnej i nienawiści pogańskiej do ciemnicy-wroga. Wziął więc najbardziej przystępny i najjaskrawszy wyraz takiego dziejowego przeciwieństwa: Grecyą zasłużoną dla ludzkości, Grecyą Sofoklesa i Platona, sponiewieraną przez potwory takie jak Neron lub Heliogabal, cesarów Rzymu, pod których ręką »ludzkość zgniła«. Słowem: świat ducha, zgnębiony i spodlony przez świat materyi, świat brutalnej pretoryanów przemocy! Czy był istotnie w tym lub owym wieku cesarstwa rzymskiego możliwy taki Irydion? Może nie historycznie — ale to pewna, że i filozoficznie i poetycznie da się taka postać, taki symbol uzasadnić, że ma wszelkie prawo do bytu w »powieści«.

Z tego zapatrywania wyszedłszy, rozgrzeszymy poetę z góry z wszelkich możliwych anachronizmów lub niedokładności: pokaże się może, że nie było nigdy żadnego pierścienia ze znakiem tajemniczym Romy, że mówiąc o katakumbowym chrześcijaństwie, nie można mówić o krzyżu w katakumbach, bo go tam chrześcijanie z różnych względów zastępowali »ichtysem«, Orleuszem, winnem gronem itd. Są to wszystko drobiazgi, które w niczem nie ujmują piękności utworu, ani nie osłabiają myśli jego przewodniej. Te i tym podobne zarzuty rozbroił poeta wspaniałomyślnem wyznaniem w liście do Gaszyńskiego, którem aż na trzy zbyty okupił wszelkie anachro-

nizmy i pomyłki w szczegółach: »są ogromne (!) błędy pod względem wyrobienia«.

Wspomnieliśmy już o nadzwyczajnej skrzętności, z jaką autor *Irydiona* gromadził sobie szczegóły historyczno-obyczajowe do epoki Heliogabala. Już Lucyan Siemieński zastanawiał się nad źródłami literackimi i historycznymi, z których Krasieński mógł czerpać. Ogłosił on w *Czasie* w roku 1870 swój przekład polski francuskiego dyalogu pana de Ferrière, wydrukowanego p. t. *Il vivre* w r. 1830. Występujący tam Heliogabal mógł zdaniem Siemieńskiego poddać Krasieńskiemu pomysł użycia tej właśnie epoki za tło swej powieści. Przypuszczał także Siemieński, że utwór Quineta „*Ahasvérus*« oddziaływać mógł na Krasieńskiego. W rozmowie z Mickiewiczem wyraził Siemieński przypuszczenie, »że zachodzi pewna analogia między *Ahaswerusem* Quineta a *Nieboską* i *Irydionem*«. Mickiewicz odparł doskonale: »Zapewne, ale tylko w zewnętrznej szacie — u Krasieńskiego nierównie większa żywotność; u Quineta wiele książkowego szumu«.

Wykazanie szczegółowe zależności Krasieńskiego od źródeł historycznych i zestawienie wpływów ich na *Irydiona* stało się przedmiotem kilku specjalnych rozpraw. Przypomniemy tu najważniejsze. Prof. W. Hahn w bardzo dokładnem i pełnem erudyty studyum p. t. „*Tło historyczne w Irydionie*“ (Przewod. nauk. lit. — Lwów 1897) zastanowił się nad tem, o ile osnowa historyczna *Irydiona* zgadza się z prawdą dziejową. Nie będziemy tu streszczać wywodów p. W. Hahna; zaznaczymy tylko, że do najciekawszych wy-

ników jego cennej pracy zaliczamy udowodnienie wpływów dwu dzieł francuskich: *Chaussarde, Héliogabale, ou esquisse morale de la dissolution romaine sous les empereurs* (Paris 1802) i *Créviera Histoire des empereurs Romains* (Paris 1766, tomów 12; dzieło to miał Jenerał Krasieński w swej bibliotece już przed r. 1827). — *Chaussarde* mógł zwrócić uwagę Krasieńskiego na pierwszorzędnę w owym wieku znaczenie *Ulpiana*; *Crévier* zaś poddać mógł myśl spisku *Irydionowego*, wykazując, że za *Heliogabala* spiski na życie *Cezara* były częste (Hahn, l. c. 928, zwłaszcza nota).

Prof. Adam Miodoński rozpatrzył »chrześcijaństwo w *Irydionie*« (Przegl. Polski, 1897) i określił przedewszystkiem tradycją pierwszych chrześcijan »o końcu świata«, zastanowił się nad »urokiem i siłą *Kornelii*«, wreszcie ocenił pięknie znaczenie biskupa *Wiktora* w *Irydionie* i w historyi. Historyczny papież *Wiktor* umarł na lat 16 przed wstąpieniem *Heliogabala* na tron *Cesarów*.

Mówiliśmy już powyżej o rozmaitych zapatrywaniach krytyków (począwszy od *Ulrycha*) na *Masynisę*. Rzecz można, że sam *Irydion* mógłby mu pozazdrościć pod tym względem powodzenia. Po *Ulrychu*, *Małeckim*, *Klaczce*, *Tarnowskim* i *Chlebowskim* zajął się *Masynisą* w nowszych czasach p. *Drogosław*. Głównym wynikiem rozprawy jego p. t. „*Masynissa, Irydion, Kornelia*“ jest wykazanie wpływu *Lucifera* z *Byronowego Kaina* (*Ateneum* 1895, I, 279—304). Zdaniem autora poeta »bezwiednie usiłował zlać w jedno i pogodzić z sobą odmienne stosunki i sprzeczne rysy«

goethowskiego Mefistofelesa i byronowskiego Lucyfera w „*Kainie*“. Myśl Drogosława nie jest jednak dokładnie rozwinięta. Sam on zaznacza, że »łatwo poczynić szczegółowsze zestawienia«. Pominął Drogosław np. określenie Boga dane Kainowi przez Lucyfera, zupełnie zgodne ze słowami Masynissy:

Lucifer o Bogu:

»He is great
But in his greatness is no happier than
We in our conflict...

But let him
Sit on his vast and solitary throne
(Byron, *Cain*).

Masynissa:

Na szczytach niebios ten puchar goryczy pić będziesz...
(Chór) Niechaj trony nasze wiecznie sterczą próżne i martwe...

Nie może być wątpliwości, że Krasiński obdarzył Masynissę rysami Byronowego Lucyfera. Nigdzie Mefistofeles nie zieleje we *Fauście* taką nienawiścią, takim poczuciem samodzielności jak Lucifer, który istotnie wpłynął na niektóre charakterystyczne cechy Masynissy, dowodzące tu zależności Krasińskiego (l. c. 296).

Po wymienionych studyach analitycznych ukazała się bardzo ważna praca Prof. T. Piniego: *Studjum nad genezą Irydiona* (Lwów, 1899 r.).

Składa się ono z trzech rozdziałów. W pierwszym (»Geneza psychologiczna«) stara się autor dać rozwój myśli irydionowej poczynawszy od r. 1831-go, a pomimo

że nie była mu znana wydana później korespondencya poety z Reeve'em, skreślił dobrze, z wielką przenikliwością sądu, stan uczuć Krasińskiego po r. 1832; w drugim rozdziale p. t. »Źródła historyczne« zastanawia się kolejno, bardzo drobiazgowo, nad książkami, których czytanie mogło wpłynąć na autora *Irydiona*. W tych dociekaniach posuwa się może p. T. Pini za daleko i nieraz widzi wpływ jakiś tam, gdzie ja, na przykład, dopatrzeć go się nie mogę; ale na ogół sądząc, doszedł autor do ważnych i przekonujących wyników, które należy uważać za trwałe dorobek naukowy. Aby zacząć od nieudanych wywodów, tak łatwych do popełnienia, gdy się jest w zapale i na drodze »odkryć« — powiem, że przypuszczenie, jakoby Krasiński oparł plan działania *Irydiona* na czterech przyczynach upadku Rzymu, podanych przez Gibbona w jego *Historji upadku państwa rzymskiego*, nie może się ostać wobec faktu, że autor hipotezy musi punkt trzeci Gibbona odrzucić, a drugi rozbić na dwie części. Trzymając się ściśle tekstu Krasińskiego »Przypisków do Wstępu« widzimy, że Krasiński mówi tam ogólnikowo o dezorganizacji i »stanie konania« państwa rzymskiego, nie wymieniając Gibbonowskich »czterech głównych powodów«. Natomiast charakteryzuje poeta wybrany dla swej »powieści« moment dziejowy w sposób następujący:

»Trzy systemata stały obok siebie: 1) Pogaństwo już bez życia... 2) Chrześcijaństwo dotąd bez ciała prawie, bez kształtu, prześladowane, rosnące między ludem — podobne do ducha potężnego w pracy

wcielania się swego — i 3) barbarzyństwo rozmaite, dzikie» itd.

Ten-to podział na trzy składowe pierwiastki, tworzy naturalny plan Irydiona, który wszystkie trzy »systemata« stara się dla swej idei pozyskać. Mógł oczywiście Krasiński z własnych rozmyślań wysnuć owe trzy »systemata«; ale jest autor, któremu twórca *Irydiona* bardzo dużo zawdzięcza, jak tego dowiedli pp. Hahn i Pini, a który taki sam plan w swoim dziele przeprowadził — to Chateaubriand. Uszło uwagi dotychczasowych badaczy ważne bardzo dzieło Chateaubriand'a p. t. »*Études ou Discours historique sur la chute de l'Empire Romain, la naissance et les progrès du Christianisme et l'invasion des barbares*«. Już w samym tytule mamy dużo obiecującej dla *Irydiona* treści. Dzieła tego fragment ogłosił był Chateaubriand w r. 1826; w całości zaś ukazało się po raz pierwszy w zbiorowym wydaniu (*Oeuvres complètes*) Chateaubrianda, które wyszło w latach 1826—1831. (*Études ou Discours* wypełniają tam tomy 4, 5, 5 bis, 5 ter.). Nie myślę tu streszczać tak dużego dzieła; zawiera ono mnóstwo świetnych i głębokich spostrzeżeń, wyjaśniających stosunek chrześcijaństwa i barbarzyńców do Rzymu cesarów. Ale wystarczy przytoczyć jeden charakterystyczny ustęp, aby ocenić możliwość wpływu tego dzieła na Krasińskiego. Wykazawszy doniosłość chrystyanizmu za cesarstwa rzymskiego dla całego ludzkiego społeczeństwa, mówi Chateaubriand przy końcu swej wstępnej »expozytyki«:

»Je vais essayer de vous peindre ces trois mon-

des, *coexistant* confusément: le monde païen ou le monde antique, le monde chrétien, le monde barbare; espèce de trinité sociale, dont s'est formée la société unique qui couvre aujourd'hui la terre civilisée. Résumons l'exposition du système qui m'a paru le plus approprié aux lumières du présent...«

Aż do następstwa nawet wyrazów mamy tu identyczny podział na trzy światy, trzy »systemata«, które stały wówczas obok siebie (*coexistants*).

W dziele tem Chateaubrianda, które jest jakby podręczną, trochę bezładną, ale przepełnioną faktami encyklopedyą wiadomości dotyczących cesarstwa pogańskiego i chrześcijańskiego, obyczajów pierwszych chrześcijan i obyczajów barbarzyńców itd. itd., mógł Krasiński znaleźć mnóstwo potrzebnych mu szczegółów. Nie twierdzę bynajmniej, aby z nich wprost korzystał; ale bardzo mi się wydaje prawdopodobnem, że przy pomocy Chateaubrianda rozejrzał się Krasiński po raz pierwszy w olbrzymiej literaturze i jej głównych źródłach. Na kilku miejscach mówi Chateaubriand o Heliogabalu bardzo obszernie, przytacza ustępy z Athenaeusa (*Deipnosoph.*), Lampridiusa, Herodiana, Diona Cassiusa. Pierwsze zaciekawienie się epoką mógł Krasiński wynieść z tych »*Études*« Chateaubrianda, za czem czem poszło samodzielne rozczytywanie się w podanych tam źródłach.

W trzecim rozdziale swej pracy zastanawia się p. T. Pini nad »wpływami literatury pięknej«. Mówi naprzód o wpływie *Wallenroda*, który jednak jest więcej niż problematyczny, bo przytoczone zestawienia są zbyt ogólnikowe i nie wykazują żadnego mo-

ralnego podobieństwa obu bohaterów. Natomiast o wiele ważniejsze i zupełnie przekonujące są zestawienia tekstów *Irydiona* (Przypisków) z dziełkiem Ferriera *Il vivere*; jasno z nich wynika, że szczegóły dotyczące Heliogabala powtarza Krasiński nieraz dosłownie z Ferriera (l. c. 51—53). Co więcej forma utworu Ferriera, ustępy dyalogowane, wpłynęła bardzo wyraźnie na *Irydiona*. Zwłaszcza sposób, w jaki tam przemawiają chóry, te zdania urywane, te dyalogi, w których dwie osoby rozmawiają tak, że jedna kończy zdanie drugiej — to wyraźnie naśladowane z *Il vivere*, jak wykazał p. Pini.

Pomijam pomniejsze reminiscencje z Bohdana Zaleskiego i Zacharyasza Wenera, co do których pozwałam sobie mieć duże wątpliwości — a przejdę do bardzo ważnego i bardzo pewnego wyniku poszukiwań pana Piniego: wykazał on mianowicie wpływ znaczny wielkiego utworu Chateaubrianda: *Les Martyrs*. Pisał o tym wpływie także p. W. Hahn; poprzestał jednak na krótkim stwierdzeniu faktu i poparciu go kilku szczegółami. Pan Pini przeprowadza dokładnie porównanie między Grekiem Eudorosem i kapłanką Welledą z jednej — a Amfilochem i kapłanką Grimhildą z drugiej strony. Drugim analogicznym motywem jest proroctwo Grimhildy o upadku Rzymu, które jest reminiscencją proroctwa pustelnika Pawła w *Tebaidzie*. Trzecim najciekawszym faktem w dziedzinie zależności *Irydiona* od *Męczenników* jest podobieństwo Masynissy do Szatana u Chateaubrianda. Pan Pini tak to określa:

»W Szatanach Krasińskiego i Chateaubrianda od-

bija się odwieczna walka dobrego ze złem, walka, której celem jest nie jeden człowiek, ale całe społeczeństwo, cała ziemia. A jeden środek ma ich obu doprowadzić do tego celu: namiętna miłość, którą starają się wzbudzić w sercach »wybranych« (bo zarówno Kornelia jak Kymodoke są wybrane przez Boga). Kymodoke miała już wkrótce zostać małżonką Eudora, kiedy szatan wysyła do niej boginię namiętności — Kornelia i Irydion zdawna już żywili ku sobie żywsze uczucie, kiedy Masynissa każe synowi Amfilocha porwać ją w objęcia... W jednym i drugim poemacie starania szatana nie odnoszą skutku — w jednym i drugim kończą się tryumfem wiary chrześcijańskiej na arenie w Colosseum. Analogia jest zatem zupełna«.

Istotnie, o ile stosunek Masynissy do Boga jest skreślony pod wpływem Lucifera z Byronowego *Kaina*, to z drugiej strony sposoby walczenia z Bogiem przypominają szatana z *Męczenników*. Pod jednym względem możnaby uzupełnić jeszcze poszukiwania p. Piniego: oto nawet zewnętrzne rysy Masynissy zdają się być reminiscencją jednego ustępu z VIII-ej księgi *Męczenników*; kto wie, czy i afrykańskie pochodzenie Masynissy nie tam ma swe źródło:

»...le chef des démons entre au séjour, ...ainsi dans le désert de Zaara... le noir Africain se couche sur les sables... Alors le démon de la fausse sagesse se lève... Il affecte la forme d'un vieillard«.

A to, co ten demon mówi, przystaje zupełnie do Masynissy: »Nous n'obtiendrons la victoire que par

le raisonnement, la douceur, et la persuasion... Je saurai forcer l'Éternel à détruire une seconde fois son ouvrage...»

Te jednak reminiscencye i analogie z *Męczennikami* Chateaubrianda nie wyczerpują całej kwestyi wpływu tego pisarza na Krasińskiego. Pomimo całej sumiennosci i rozległości studyów pp. Hahna i Piniego tylko połowa pracy jest dokonana. Analogie i reminiscencye są tu tylko zewnętrznym, materyalnym, że tak powiem, objawem duchowego stosunku, który czeka jeszcze na dokładną charakterystykę. Są podobieństwa, ale są też bardzo głębokie różnice w pojęciu i przedstawieniu tak chrześcijaństwa jak pogaństwa w *Męczennikach* i *Irydionie*. Nie mogąc kwestyi tej, bardzo ciekawej ze względu na znaczenie obu znakomitych pisarzy w ich społeczeństwie, poświęcać tu osobnego ustępu, zaznaczę tylko, że — o ile mnie się zdaje — przeciwstawienie kultu pogańskiego obrzędowi chrześcijańskim jest lepiej wyzyskane i silniej oddane w *Męczennikach*. Natomiast mniej jest sztywności i pompy u Krasińskiego, choć sporo jej mamy w *Irydionie* właśnie skutkiem wpływu uroczystej prozy Chateaubrianda.

Ważne studyum prof. Piniego zawiera jeszcze jeden szczegół, na który warto zwrócić osobną uwagę. Mówi on o wpływie Hamleta na monolog Irydiona, zamykający pierwszą część »powieści«. Wpływ ten występuje, zdaniem p. Piniego, z »krzyczącą wyrazistością«. Jakoż tak jest istotnie. Samo zestawienie tekstów przekonywa nas o tem, a ustęp z listu poety do pani Bobrowej czyni z domysłu p. Piniego pra-

wdziwą *coniectura palmaris* i zamienia go na pewnik. Nie mógł p. Pini wiedzieć, że w liście do Reeva zwróci sam poeta uwagę na podobieństwo duchowe bohatera swego do królewica duńskiego. W liście zaś do pani Bobrowej z d. 9-go grudnia 1834 roku będzie się najpierw rozwodził nad Rzymem, który »śmiał zażądać od nieba panowania nad ciałami i nad duszami — a dziś leży w ruinie«, — potem zaś przypomni swej ukochanej szczegół następujący:

»Czy pamięta Pani ten mały stolik, tego czarnego i starego Szekspira i ten wspaniały monolog Hamleta, który Pani tłómaczyłem, a z którego powiodło się Pani poprawnie wygłosić pierwsze wiersze:

To be or not to be that is the question!

Czytałem wiele różnych rzeczy, ale nigdy na tym świecie nie znalazłem nic, coby dla mnie dorównywało sile nieodpartej, mocy magicznej tego wiersza. To też wie Pani, jak ja ten wiersz kocham i jak go często powtarzam — dziesięć razy na dzień jest on na mych ustach lub w mej myśli; jest to jakby pierścień magiczny, który opasał serce moje, jest-to jak przyjaciel odnaleziony w pewnych chwilach, czasem jak wspomnienie, to znowu jak nadzieja. Zdarza mi się, że wygłaszam go przez sen, że chcę coś powiedzieć po przebudzeniu się i zamiast tego zaczynam mówić: *To be or not etc.* Dziwne to, że kilka tych słów związało do tego stopnia moją duszę.

Teraz rozumiemy zupełnie, dlaczego wiersz ten zdobi tytuł »*Nieboskiej*« i dlaczego monolog cały ham-

letowski słyszymy w parafrazie Sygurda-Irydiona! Były to wiersze uświęcone dla poety i własnem jego upodobaniem i drogiemi wspomnieniami angielskich lekcij z ukochaną.

* * *

To dorywcze rozejrzenie się w »prolegomenach« *Irydiona* daje pojęcie o niesłychanej pracowitości poety, który nad »powieścią« swą lata całe strawiwszy, stworzył to, co Małnecki nazywa pięknie »ogromem przepełnionym pomysłami, a przemyślanym w najmniejszych szczegółach swoich«. Obok postaci głównych: Irydiona i Masynissy, wystudyowanych głęboko, dał nam poeta cały szereg zajmujących i przykuwających uwagę osób.

Jak pięknie, jak lekko, powiewnie nakreślona jest miłość Irydiona i Kornelii! Jak uczucie to kryje się zrazu w obsłony wspólności braterskiej, chrześcijańskiej, a później, za podmuchem Złego wybucha żarem długo tajonych uczuć. Scena uwodzenia Kornelii w katakumbach przeprowadzona jest z mistrzowskiem stopniowaniem psychologicznem; co prawda, mistrzostwo to okupił poeta drogo, bo spokojem dusz dwojga, własnej i ukochanej!

Ponad drugorzędne postacie w *Irydionie* wznosi się szlachetna para: Elsinoe i Aleksander Severus. Na przekór nienawiści plemiennej kochają się oboje — bez najmniejszej nadziei — i nigdy może idealny stosunek dwojga dusz pięknych nie był naszkicowany z większą delikatnością; całe mistrzostwo znać tu w krótkości określenia tej dziwnej miłości: westchnień

kilka i spojrzeń kilka — oto wszystko! Seraficzne to uczucia Greczynki i Rzymianina — smutne i rzewne, a wstrząsające do głębi.

Obok tych dwu par zakochanych, tej przynęty dla szerokiego koła czytelników, szukających w powieści przede wszystkim »romansu«, — jakiż tam orszak osób, z których każda może być przedmiotem estetycznego lub filozoficznego rozbioru, bo każda niemal jest wcieleniem jakiegoś historycznego lub psychologicznego typu. A przecież względ artystyczny był tu, jak słusznie zaznaczył Prof. Tarnowski, dla samego poety podrzędnym. Postacie te jednak żyją własnem życiem, umieją w nas wywołać wstręt, jak Heliogabal, uszanowanie, jak biskup Wiktor, zaciekawienie, jak Ulpianus... Pomimo całej ideowej abstrakcyjności głównego celu, ta »powieść«, nawet jako powieść zajmuje, nieraz zachwyca.

Usterki kompozycji artystycznej wynikły z długiego pisania i częstego przerabiania *Irydiona*. Nie da się zaprzeczyć, że układ jest w ogóle nieco za rozwlekły, nieożywiony, nie stopiony jednym potężnym żarem natchnienia. *Irydion* był z pewnością pierwotnie o wiele krótszym, kiedy go poeta nazywał w liście do Reeva swoim »opusculum«; po napisaniu, rozpoczęły się uzupełnienia, wstawki, wzmocnienia w miarę tego, jak chodziło o uwydatnienie większe »pogańskiej« lub »chrześcijańskiej« części. Ten rozłam wewnętrzny, duchowy podczas pisania i przerabiania *Irydiona*, zaszkodził niemało sile i ognio wi utworu. Chęć artystyczna odtworzenia dziejowego momentu przebrała miarę w przeładowaniu erudycyjnych szcze-

głów i archeologicznych drobiazgów, które nieraz rozpraszają uwagę czytelnika. Zwłaszcza Heliogabai na tem źle wyszedł. Nie jest on, jak to mówią, »wytrzymany« w tonie dziejowym, w mowach swych jest za rozwlekły, bądź to kiedy nie wiadomo dlaczego opowiada Elsynoi sny swoje, bądź też kiedy gawędzi z Irydionem zamiast działać. Dziwimy się Elsynoi, że chce wstrętnego sobie Heliogabala nawrócić na wiarę Odyna (!), uważamy rozmowę Irydiona z Heliogabalem za nudną, rozwlekłą i niezbyt potrzebną, tak jak rozprawa historyozoficzna Irydiona z Ulpianem zyskałaby także na zwięzłości; spotkanie to zresztą kontrastem swym przypomina zanadto spotkanie Pankracego z hr. Henrykiem, nie dorównywając mu w sile. Sam Krasiniński zauważył, że w *Irydionie* »idee więcej się ruszają niż ludzie«.

Istotnie, za często mówią tam, gdzie działać trzeba; np. Scypio opowiada, zamiast się bić. Pod tym względem nietyle to są krewcy ludzie Południa, ile raczej mężowie Północy, o których mówi Kochanowski przez usta rotmistrza: »Tak-ci, panowie, wy tu radzicie, a w polu nas wojują«. Cała część czwarta *Irydiona* jest pod tym względem charakterystyczna. Przypomina się tu sąd ostry poety samego: »dramatyczność nieraz zasypia«.

O pięknościach stylu *Irydiona* wiele pisano; nikt trafniej go nie określił od Prof. Tarnowskiego, który uznał *Wstęp*, jako obrazowość stylu, za »jedną z wielkich piękności naszej literatury«. — »Zapewne jest to proza tak uroczysta, tak majestatyczna i tak poetyczna, że włos jeden dalej, a wpadłaby w przesadę,

zastosowana do przedmiotów drobniejszych byłaby nienaturalną i śmieszną...« Mówiąc zaś wogóle o stylu *Irydiona*, zaznacza sprawiedliwie tenże krytyk: »Gdyby wreszcie chciał kto dodać, że uroczysty ton prozy *Irydiona* wpada tu i owdzie w przesadę i staje się nużącym przez swoją majestatyczność i obrazowość, to takiemu odpowiedzieć łatwo, że nadmiar gdzieś niegdzie trafić się może; ale gdzież znowu znalazłby się ten majestat, ta uroczystość, ta wielkość prawdziwa stylu i języka?«

Tej charakterystyce stylu trudno odmówić trafności. Kto wie, czy majestatyczność jego nie poszła poniekąd ze zbytniego przejęcia się stylem „*Męczenników*“ Chateaubrianda, bardzo dziś nużących z powodu monotonnego, arcypoważnego nastroju. Styl *Irydiona* jest wspaniały — ani słowa! ale zdaje mi się, że nie jest dość urozmaicony; rysunkowy, ale nie kolorowy. Rzeźba to, prześliczna płaskorzeźba w nieskalanej bieli marmuru — ale nie obraz, nie siła kolorytu i kontrastów barwnych. Logomachie, tak częste, rozumne i głębokie, nie porywają za serce. Chłód powinien wieje z tej prześlicznej płaskorzeźby... Rozstawilibyśmy się też z *Irydionem* na chłodno, gdyby nie cudowne »Dokończenie«, które niespodziewanie przeszywa serca nasze, rozrzewnia, każe zapomnieć o Rzymie i Heliogabalu, a przenosi nas czarowną mocą na Północ, do ziemi mogił i krzyżów...

Tem dokończeniem żyje po dziś dzień dla nas Irydion, jak ożył dla poety w r. 1836-ym!

Niema wątpliwości, że *Irydion* był odpowiedzią na *Wallenroda*, odpowiedzią na pozór spóźnioną, skoro w r. 1831-ym Wallenrod stał się Belwederem; spóźnioną pod tym jednym względem, ale nie przestarzałą po dzień dzisiejszy. Nie tak dawno jeszcze twierdził jeden z poetów naszych, że »słowa Wallenroda palą i do czynu pędzą, kiedy Irydiona dzwonią pięknie, ale i powstrzymują energią działania, wieją po sercu zwątpieniem w indywidualną siłę«.

Nie tu nie pomoże wybieg poetyczny, że »Irydion widzi zniszczony Rzym, ale nie widzi powstającej Hellady, kiedy Wallenrod widzi tryumf Litwy«. Tryumf to w poemacie, nie na ziemi, niestety! Tryumf ziemski okupić trzeba wiekowym trudem. Nie zgadzamy się zresztą na zarzuty powyższe, stawiane Irydionowi. Syn Amfilocha nie jest bynajmniej symbolem »zwątpienia w indywidualną siłę« i chyba nie powstrzymuje niczyjej »energii działania«. Irydion zaś odrodzony, dążący ku nowemu życiu na ziemi mogił i krzyżów, słyszy głos: »Idź i czyń... czyń ciągle i bez wytchnienia...« więc chyba nie pozbawi swych nowych braci ani »energii działania«, ani »indywidualnej siły«.

Że praca będzie »okropniejsza, niż wszystkie prze-walczone boje«, że warunki nawet dla tej pracy będą bezlitośnie ciężkie — wiemy dziś wszyscy, wiemy lepiej, niestety, niż dziadowie nasi. Uczuciu ziemskiemu, uczuciu narodowemu tak dotkliwie i tak często obrażanemu trudno, jak trudno!, przebaczyć, a cóż dopiero przeanielić się w miłość ku wrogom;

a gdy w jeden biją policzek, Chrystusem być trzeba, aby drugi nadstawiać...

Irydion zamieszkał wśród braci nowych, których mu dano i rzeczywiście po raz drugi ujrzał miłość swoją przebitą, konającą i męki tysięcy wcieliły się w serce jego —

Czy wytrwa?

Wallenrodów już nie wyda ziemia nasza. Postarał się o to wróg. Ale i o to się stara, by Irydion-naród zwycięsko z próby mu danej nie wyszedł, by serce mu wyschło w piersiach, by zwątpił o braci swojej, by wreszcie o Bogu samym mógł rozpaczyć...

Przecież nie stracił jeszcze wiary, nie wyrzekł się miłości i żyje nadzieją. Dotąd jest spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych. Wie, że męczeństwo ma być długie, ale ufa stale przyrzeczeniu:

»A po długim męczeństwie zorzę rozwiode nad wami — udaruję was, czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami: szczęściem — i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty: wolnością!«

I.

W ROZSTROJU.

Przez cały rok 1836 Krasieński czuł się źle: cierpiał i moralnie i fizycznie. Moralne cierpienie określał jako chorobę wieku, »morową zarazę«, której ulec musiał, bo »niema na szerokim świecie dzisiaj istoty, którejby ta zaraza nie dotknęła, niema serca, któreby nie cierpiało przez brak wiary i nadziei; bo tak się ułożyła terażniejszość, że jest próżnią, w której nic z przeszłości nie pozostało i w której dotąd nie niema z przyszłości«. Zapewne generał Krasieński starał się pocieszyć syna, dowodząc mu, że Polska pomimo nieszcześć politycznych ma jaką taką pomyślność materialną, względny dobrobyt itp. — Zygmunt Krasieński nie mógł ze względów ostrożności otwarcie w listach zbijać zapatrywań ojcowskich: czynił to w obłonach stylu cenzuralnego, nie mniej jednak stanowczo występował przeciw takiemu optymizmowi: »Na świecie tak się wszystko trzyma w związku, że nie można rozdzielać pewnych rzeczy i uczuć. Nie można powiedzieć komuś: bądź szczęśliwy z tego, że twoja kochanka ma jedno oko piękne, chociaż

nieszczęśliwy z tego, że drugiego wcale nie posiada. Brak tego jednego oka i drugiego piękność w niwecz obróci. Szczęście materyalne, jakkolwiek wysokie, nie może stanąć za szczęście moralne — a szczęście moralne jest to ruch, czynność umysłowa. — W takim samym stosunku mają się uczucia ciche, rodzinne, do uczuć ogólnych. Dom i przestrzeń, na której dom stał, ściśle z sobą powiązane». (Z Florencyi, 26 stycznia 1836 r.).

W tych spokojnych na pozór, chłodnych słowach, ileż kryje się żalu serdecznego! Cóż mu potem, że ma »szczęście materyalne«, że jest jedynym spadkobiercą dużej fortuny, okiem w głowie kochającego ojca — kiedy »uczucia ciche, rodzinne« nie dadzą się oddzielić od »uczuć ogólnych«, a te są straszne, rozpaczliwe w tych właśnie latach ucisku mikołajowskiego.

Nietylko Polska, nietylko emigracja nasza, ale cała, rzec śmiało można, Europa zdumiona i przerażona była gwałtowną mową Mikołaja I, wypowiedzianą w Warszawie d. 16 października 1835 r. — Zaczawszy od obelg, od zarzutu polskich kłamstw i polskiego gwałcenia przysiąg (przyczem i Aleksandrowi I dostała się wymówka, że zrobił dla Polski więcej, niż się carowi rosyjskiemu godziło) — zapowiedział Mikołaj deputacyi warszawskiej, że jeśli Polacy »upierać się będą w zachowywaniu *mrzonek o narodowości odrębnej* (*rêves de nationalité distincte*), o niezawisłej Polsce i o wszystkich tych *chimerach*«, to ściągną na się wielkie nieszczęścia. »Kazałem tu wznieść cytadelę i oświadczam wam, że za najmniejszym roz-

ruchem każę zbombardować miasto, zniszczę Warszawę, a możecie być pewni, że ja jej nie odbuduję«. Z dumą stwierdził dalej, że »wśród wszystkich zamieszek, które niepokoją Europę, wśród tych wszystkich doktryn, które *wstrząsają gmachem*, Rosya jedna pozostaje silna i nienaruszona«. »Wiercie mi — kończył przemowę swą do Polaków — jest to szczęściem prawdziwem należeć do tego państwa i korzystać z jego ochrony...«

Dobrodziejstwa tego państwa i to szczęście utwierdzał Mikołaj ukazami: o niezliczonych konfiskatach dóbr, o przetruceniu tysięcy dziatwy polskiej na stepy Uralu i t. d. Te hiobowe wieści przejmowały dreszczem zgrozy biednego Zygmunta Krasińskiego, a jak sam pisze: »wstrząsnęły nim całym od stóp do głowy i od mózgu do serca«. Zadrżał o przyszłość narodu, tak ciężko doświadczonego; sięgnął do jego przeszłości, pragnąc w niej odszukać rękojmię silnych wiar i silnych zasad, na którychby oprzeć można nadzieje przyszłości. Ale tu rozstrój myśli filozoficznej nie dawał mu pewnej ostoji. Był jeszcze pod wpływem filozofii niemieckiej, a choć pragnął się z niej wyzwolić, chociaż przeklinał »Niemców, filozofów«, nie miał własnego systemu, własnej opoki. Mgła panteistyczna usposabiała go pesymistycznie. To też skreślony wówczas w liście długim do generała historyozoficzny pogląd na przeszłość naszą dziejową, na cały nasz dorobek cywilizacyjny i duchowy, jest dziwnie ponury i przygnębiający. Przytaczamy go tutaj raz dlatego, że krótki tylko wyjątek, a tem samem nie zupełną myśl poety, podał już przed dwudziestu

kilku laty Szujski w rozprawie »O młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju« (Dzieła, Ser. II. Tom VII, 366–7), a powtórę dajemy ten pogląd, jako doskonały dokument zniechęcenia chwilowego, które było wypływem i współczesnych okoliczności i wywołanego niemi rozdrażnienia.

Odczytując te gorzkie wynurzenia zbolełego poety, miejmy zawsze w pamięci, że za lat kilka będzie w *Przedświcie* błogosławił ojców winie, że pod rdzawymi szyszakami dostrzeże »iskry ducha«, ujrzy »szlachty starą śmiałość« i »niewoli wzgardę« — że wreszcie orzecze: »Łaska Boża nas weгнаła w te bezdroża«. — Jak tam odnajdziemy dużo wpływów nowej filozofii, której wtedy hołdował, nowych prądów, które kazały mu wierzyć w *przedświt* nowych czasów, kiedy to »wzrosną życia kształty *trzecie*« — tak teraz w r. 1836 filozofia »przeklętych Niemców, panteistów« rzuciła niepokój w duszę poety i kazała mu w przeszłości naszej widzieć same ujemne strony, słyszeć w niej tylko śmiech rubaszny »gardłem całem«:

z Florencyi, 26 stycznia 1836 r.

»Wszystko, co było nami, rozprzega się i wraca do nicości. Zginie, jak żydy zginęli, ale nie utrzymamy się, jak oni. Choć [winni]śmy sobie sami. *Byliśmy najniepewniejszym, najbłędniejszym, najbledszym, że tak powiem, narodem w historii ludzkości. Nic nigdy organicznego, zupełnego, całego

* Ustępy między gwiazdkami ogłosił już Szujski.

u nas nie było: ni arystokracji, ni mieszczaństwa, ni ludu*. — Byliśmy politycznemi Infusoriami, ale nie indywiduami. Dlatego tak łatwo koniec przyszedł na nas. *Żeby nasza Arystokracja miała być z kim walczyć, jak francuska, jak angielska, byłaby była dzielną i żywotną. Życie jest to tarcie się, jest to podwójność, nie zaś jedność spokojna. A szlachta polska była jednością — sobiepańską, niedbałą o nic, bo nic się jej nie sprzeciwiało, nie nauczyła się życia, w letargu leżała; obudzenie jej było śmiercią*. Szlamazarny był los nasz. *Zabierało się na coś w początkach. Zdawało się, że my Słowiańszczyznę spoim i urządzim. Garnęły się do nas narody i korony, ale z niczego korzystać nie umieliśmy, nic w czas zrobić. Gdzie kiedy jaki Polak był genialnym politykiem? Gdzie kiedy Polska wpływ na Europę, reakcją choćby, wywarła? Dobrze gadać obcym o Turkach, — ale w rzeczy samej wojny tureckie nie były u nas owocem rozmysłu i przewidywania, tylko dziełem chwilowym nieodbitej konieczności*. —

Wielki rozum! wielka zasługa, że kiedy przyszli Tatarzy lub Turcy, to my się bronili wtedy. Ale *czyśmy przejrzeni, jakoby obalić potęgę Turecką?* ale czyśmy założyli sobie ją obalić, lub przynajmniej określić? Ale *czyż wyprawa pod Wiedeń nie była jeszcze prostym przypadkiem — szczęśliwym!

A w naukach, w kunsztach, w sztukach cóżemy stworzyli? Jest-że poezya, architektura, lub malarstwo, lub muzyka polska? Czyśmy mieli kiedy co polskiego na świecie, prócz Rubaszności? — Ubiór od zachodniej Europy, potem od Wschodu pożyczony.

Język narodowy porzucony dla umarłego, łacińskiego, potem porzucony dla żyjącego, francuskiego. Literatura nasza z conceptów włoskich, z maxym Cyce-rona, z wierszyków francuskich, z ballad niemieckich wyarlekiniona.

W niczem geniuszu, ni zewnątrz, ni wewnątrz; w niczem życia, ni w polityce, ni w duchu krajowym. Po śmierci dopiero żyć się nam zachciało: kiedy niema, dawaj! Upiory z nas nie ludzie. Wszystko po niewczasie. Upiory męczą się srodze: to sekret mąk naszych. Ale to przodkom naszym winniśmy —

Że wojen u nas religijnych nie było, to tylko dowód, że nikt w nic nie wierzył mocno. O to, w co ludzie wierzą, biją się. Wojna jest znakiem życia. Naród polski bywał zawsze leniwy do wojny, do pospolitego ruszenia, lubił wygodki. Ale za to fanfaron wielki; bo ten tylko się chełpi, który czuje niedostatek rzeczy, z której chełpi się* — ale za to małpa, bo ten tylko naśladuje, co niema nic własnego —

*Te dwie przywary, razem połączone, tworzą affektacją, brak naturalności. Dlatego też my najmniej naturalni z ludzi †.

Dlategośmy często wystawni dla widzów, skąpi w domu. Dlategośmy często namiętni dla widzów, zimni w sercu. Dlatego krzeczym, nie myślemy, dowodzimy bez przekonania. Jedyną tradycją stanu u nas była: swawola*. Jedynym celem powszechnym towarzystwa: używanie. Jedynem pojęciem wolności: Lenistwo.

† Tu widoczna przerwa w pisaniu. Odtąd pismo drobniejsze.

Lekkomyślność nasza pochodziła zawsze z braku głębi w czuciu, z braku prawdziwych celów, słowem z braku wiar jakichkolwiek. Trza było okropnie słabych i szlamazarnych ludzi, by po odcytaniu się starożytnych, po obznajomieniu się z całą cywilizacją europejską, dać się opanować przez Jezuitów; by dać sobie wydrzeć z rąk wszystko przez ludzi, którym nie wierzyli, bo któż z panów polskich wierzył katolicyzmowi? Cała Polska, to raz protestancką, to znów socyniańską, to znów Rzymską apostolską bywała.

Nigdy w Polsce ni silnego despotyzmu, ni silnej opozycji nie było. Król żaden nie był wielkim. Stefan Batory zapisał (!) sprawę swoją wielką. Ileż to prac podejmować trza było, by tym ludziom wytłumaczyć coś korzystnego dla nich, a Rząd, który zawsze wnosił i tłumaczył, sam nie umiał dobrze tłumaczyć. I tak: Unia z Litwą z jakimiż trudnościami się spotkała? a Unia z Rusią, z kozactwem nigdy do skutku przyjść nie mogła.

Często się przydarza, że bezinteresowność raczej jest lenistwem, tak samo, jak że pozory szlachetności pochodzą z głupstwa, t. j., że są pewne bezinteresowności, że są pewne fakta, wynikające z głupstwa, którym ludzie podchlebiają, przezywając je szlachetnemi. U nas takich bardzo wielka siła. Z lenistwa naszego, z chęci używania a nie działania, srodze potępiające nas wyniknęły skutki: na drodze realnej, że nie mamy bytu — na drodze idealnej, że nie mamy wspomnień naszego bytu, życia naszego życia, t. j. Historii polskiej. W tym względzie żaden naród

niżej od nas nie stoi. Tak tu się stało, jak we wszystkim: mamy ułamki kościotrupowe Historyi, t. j., Chroniki, z których najlepsza Chronika Naruszewicza, tyle razy obdarzona tytułem Historyi; ale nie mamy organicznych dziejów polskich, nie mamy całości. Ztąd wynika, że niema Polaka, któryby głębiej nie znał szkockich dziejów od swoich własnych. Przyznaję zresztą, że gdyby przyszło prawdziwie i filozoficznie komu pisać polską Historyę, to chyba trza by mu było być cudzoziemcem, żeby się odważyć do takiego dzieła. Serce Polaka nie zdołałoby przenieść na siebie, by odsunąć zasłonę, leżącą nad takim ogromem niedorzeczności, błędów raczej słabości, niż namiętności, głupstwa raczej, niż zbrodni, dzieciństwa raczej, niż ludzkich czynów. —

Nie zdołałaby ręka polska opisywać, jako nam opatrzność wydzieliła ogrom darów swoich, jako nas postawiła na pysznej drodze, na samym środku Sławian, jako napisała w przeznaczeniach naszych, że my powinni ich skupić i uorganizować, jako nam dała potęgę, wtedy, kiedy sąsiedzi byli słabi i dzicy, jako nas połączyła, nas jednych z sławiańskiego szczepu z żyjącą i oświeconą Europą i jako my wszystko zmarnowali nie przez hojność, nie przez popęd, nie przez rozpasane namiętności, ale tylko przez nieporządek, przez opieszałość, przez brak rozumu, a nieraz i serca. Podobni w tem do tego, który nikomu szklanki wody nie dał, a stracił majątek.

Słyszałem nieraz naszych sawantów, dziwiących się, że niema epopei polskiej. Rzecz jasna: gdzie

niema Historyi, tam Epopei być nie może. Epopee nie przez poetów, ale przez narody się robią. — Grecya u stóp murów Trojańskich zrobiła Iliadę, Germanie w walkach Attyli Nibelungów. Trza czynu, któryby lud cały poruszył aż do wnętrzości jego — a u nas nigdy nie takiego nie było. Żadne *factum* w Polsce nie wdarło się głęboko ani w uczucie, ani w pamięć narodu. A, mój Boże, mój Boże, my nie dzieci, my nie młodziki, my od tysiąca lat przeszło żyjemy. Jedyna nasza Epopea to Myszeida Krasickiego. Jedyna liryczna poezya, to fraszki Kochanowskiego. Jedyna tragedia to Barbara Felińskiego. I w rzeczy samej tragicznego przedmiotu w Historyi polskiej nikt nie wynajdzie. Tam tylko jest Tragizm, gdzie były głębokie uczucia i silne namiętności.

Tragedya jest-to to w teraźniejszości, co Epopea w przeszłości; do jednej i drugiej trza ruchu, tradycyji poważnych i wiary w coś na świecie.

Było pryncypium, zakorzenione w Polsce, które niszczyło wszelką w niej poezyą: pryncypium buffońskie, Rubaszność szlachecka, trefność dworzańska, krotofilność. — W innych narodach byli szczególni ludzie, wyznaczeni na pastwę temu pryncypium, zwali się błaznami królów (Triboulet etc etc). U nas cała szlachta ćwiczyła się w tem rzemiośle, a że wszystko przesadzamy, byliśmy nieraz fanfaronami błazeństwa (tak jak Lacenaire był fanfaron du crime). Ileż to z tego oplakanego zwrotu ducha narodowego wyniknęło podłości i uniżenia w postępowaniu! Ileż razy szlacheć, Dworzanin, tak się przyzwyczaił

wszystko w koncepta stroić, że nareszcie koncept powiedział o enocie i został łajdakiem! — Ileż-to sejmów przez koncept zerwanych. Same Liberum veto było rodzajem konceptu ale to z tych konceptów, które kończą się płaczem.

Były u nas indywidualne cnoty i bohaterstwa, ale narodowych nie było. Co u innych narodów wyszło na cnoty i zbrodnie, to u nas wychodziło na buffonady. Tam gdzie wielkie zbrodnie, muszą być i wielkie cnoty — bo pierwiastek zbrodni i cnoty jeden: moc ducha, ale tylko kierunki różne (mówię ja tu o zbrodniach politycznych, o wojnach i prześladowaniach, o spiskach, o niesprawiedliwych zaborach, o dumie i żądzy panowania)[†]. U nas było ogromne nic. —

Ni cnota, ni niegodziwość, ale *mezzo termino*: błazeństwo. Ni sroga tragedia, ni idylla niewinna, ale *mezzo termino*: farsa. I tak leżąc na kożuchu, pijąc małmazę i piwo, trefnując dziwnie krotofilnie, zeszliśmy do grobu. —

Teraz, niech mi Papa odpowie: czy takie przyczyny nie wydają gorzkich owoców? Czy potomkom takie przeszłości nie zapisują chwil smutnych? Czy taka nicość nie wydraża nicości w duszach, które się ku niej obracają? Czy można się dziwić, że plemię nasze, że pokolenie nasze pochyłoną trzyma głowę, kiedy pokolenia przeszłe wszystkie żarty zużyły, a nam tylko zostawiły niedolę?

O, ze śmiechu, który niegdyś rozlegał się po Pol-

[†] Tu widoczna przerwa w pisaniu.

szcze całej, została nam tylko zawczesna starość. Polska lat pięćset się śmiała gardłem całym i komieczną była — przez kompensacyą, my dziś płaczem i czujem nieco tragiczniej!

Pisałem ja tak długo, choć z obawą znudzenia, jak zwykle, dlatego, że serce moje usprawiedliwić chciałem z zarzutu, jakoby ono nic nie czuło, jakoby usiłowania drogiego ojca nie mogły go powołać do chwili nadziei. — Chciałem, z ogółu rzecz biorąc, oskarżyć okoliczności i przeszłość, a zdjąć z terażniejszości ciężar wyrzutów.

Ludzie są tem, czem ich przeszłość zrobiła. Zależą nie tylko od chwil, w których są, ale od wszystkich, w których nie byli. Straszniemi bywają zapisy czynione przez przodków: zdrowie, choroba materialnie — radość, smutek moralnie — i jeszcze kara, lub chwała. My w testamencie dostali tylko wypłatę długów...«

Bolesne to, ciężkie oskarżenie przeszłości, pomimo gienialnego ujęcia niektórych wad narodowych, grzeszy przecież przesadą młodzieńczą. Przyjdzie czas, w którym poeta sam sobie odpowie: »A z kąd ty się wziął? A kto wlał w ducha twego mowę polską? a kto polski obyczaj? a kto wolności żądzę? a kto siłę czynów?... Niewdzięczniku? koby głosu twego słuchał, gdyby nie Chrobrych miecz, Jadwigi niepokalaność, Zygmuntów mądra miłość, Batorych hart, Zamoyskich rzymska cnota, Żółkiewskich zgon, Czarneckiego żywot, Sobieskiego trud i europejski czyn? Nicości bez nich, czemu powstajesz ty na nich? Czemu się targasz na wiekopomne?...«

Krasiński kiedy pisał akt oskarżenia na Rzeczpospolitą był w niemałej rozterce z sobą samym. *Czuł* już beznadziejność gnębiącego mu duszę panteizmu, porywał się do walki z nim, ale rozkiełzane nerwy nie pozwalały mu jeszcze odnieść stanowczego zwycięstwa. Oto jak w tym czasie żali się przyjacielowi:

»Przekleństwo tym Niemcom, panteistom, filozofom. Oni chcą, by materya i duch jedno były: by zewnątrz świata, by za naturą nie już nie było: by organizm świata był Bogiem żyjącym na ciągłej przemianie, na ustawicznym umieraniu części swoich. Przekłęci, przekłeci — oni mnie pozbawili na czas długi uczucia piękności! A jeżeli to prawda, żeśmy błaznami dni kilku, a potem prochem, gazem, infuzoryami, idącymi się zrosnąć w jakie inne błazeństwo organiczne? a jeśli prawda, że świat tylko nieśmiertelny, a wszystka częśćka jego śmiertelna, odmienna, bez wiecznej indywidualności? jeśli Bóg to otchłań tylko przemian bez końca, to wieczność śmierci i urodzin, to łańcuch nieskończony o pryskających ogniach, to ocean, w którym każda fala wspina się, by kształt dostać i opada natychmiast bez kształtu? ah! powiedz mi, gdzie piękność, gdzie poezya? Bo poezyi niema bez nieśmiertelności duszy; bo poezya, to losy dusz naszych w przeszłości i w przyszłości, w porównaniu z naszym stanem dzisiejszym; bo poezya moja i każdego to to, że był kiedyś, gdzieś — i że będzie kiedyś, gdzieś, ale ten sam, on, on zawsze czy na ziemi, czy na jakimś komecie, czy w raju, czy w piekle, czy w czyście, czy w polach Elizejskich, czy na Walhalli, byleby to był — on!

Bez tego już mi i oczy mojej kochanki, już mi i promienie słońca nieміte. Ah! przekłete Niemcy, filozofy! — Widzisz ty z tej przemowy, że nie w rozkosznym jestem humorze. Żeby to nawet tylko filozofia Niemców, tobym jeszcze dał sobie rady; ale od kiedy tyś o mnie nie już się nie dowiedział, zaszły wypadki, które wstrzęsły mną całym od stóp do głowy i od mózgu do serca«. — (*Do Gasz.* 73, z Florencyi 9 lutego 1836).

Do smutków ogólnych przyłączały się złe wiadomości o bliskich mu osobach: więzienie Jaroszyńskiego w Sztłisselburgu, wywiezienie dzieci Ad. Sołtana do korpusu kadetów. Wszystko to padało jak węgle rozżarzone na serce poety.

Zdumiewającym jest faktem, że pomimo tak silnego przejmowania się cierpieniami osobistymi i polskimi wogóle, Krasiński nie tracił nigdy spokoju obserwatora. Ciągłe badał siebie nie tylko jak filozof, ale jak medyk; organizacją swoją fizyczną objaśniał sam sobie i nam dzisiaj właściwości swego charakteru i usposobienia. Oto świetny, niezrównany obraz duchowy, skreślony ojcu z Florencyi d. 13 lutego 1836 r.:

»Kiedy przebiegam pamięcią odmiany mojej długoletniej choroby, spostrzegam w niej przewagę nerwowej drażliwości nad wszystkie inne słabości działające. To u mnie istotnie cierpi, co najbliższem jest duchownej natury, — bo zawsze przez moralne, silne wzruszenia zapadałem, jeśli były smutnemi, — dźwigałem się, jeśli były połączonemi z nadzieją i pociechą. — W Petersburgu najgorzej cierpiełem; przy

tej, którą kochałem, najznośniej mi było. To ostatnie zjawisko łatwe do wytłómaczenia, bo wtedy czułość nerwów mózgowych odprowadzoną była do nerwów ganglionowych i kupiła się w około serca. Od dawna byłbym oślepił, gdyby moja choroba działała na materialniejsze organa, boby już w nich wyrobiła jakie przetworzenie.

Ale z drugiej strony byłaby była łatwiejszą do usunięcia, nie tak ukrytą w tajnikach najgłębszych życia organicznego. Teraz nie wiedzieć, czy więcej szkód, czy też więcej korzyści odniosłem z tej choroby. Zdaje mi się, że szkody tyczą się rozumu mojego, bo przerwana została działalność moja umysłowa, dalsze kształcenie się moralne — a korzyści padły na mój charakter; bo z moimi usposobieniami żywymi, żądającymi wiecznie, możebym przy silnem zdrowiu był się dał unieść na drogi, na których moja noga nie powstała. Zapewne lepiej byłbym poznał rzeczy nauką, ludzi doświadczeniem, ale kto wie, coby za stosunki się były ułożyły między mną a ludźmi temi, coby za wnioski wyciągnął z rzeczy. Miałem ja w sobie dane przez naturę zarody wszystkich namiętności. Zbojętniła wiele z nich choroba — nie mogłem pić, bo mi krew biła do głowy, grać w karty, bo mi krew biła do głowy, chodzić, intrygować, krzyżeć, podmawiać, bo mi krew rozrywała oczy — wydawać wieczorów, gromadzić młodych ludzi u siebie, bo mi krew zalewała głowę — słowem: cierpienie stało się pod kilkoma względami moim aniołem stróżem. I tak przebyłem pierwsze, najrozhuźdźsze (!) lata młodości mojej, jeśli nie szczęśliwie, jeśli

nie świetnie, to przynajmniej pocziwie. Zachowałem pewne wiary dobre i piękne, potracone przez drugich, którzy więcej odemnie widzieli i silniej tarli się ze światem. To sprawi, że nieraz mnie oszukają, ale zarazem to uczyni, że ja nikogo nie oszukam. — Z lat dzieciennych lekkomyślną istotą byłem. Niedoznałem wielu rozkoszy, straciłem siły niektóre moralne, raczej sam z sobą się męcząc bezpłodnie, niż walcząc ze światem; zestarzałem się niejako przez siebie, jak inni starzeją się przez drugich, ale jednak czuję, że w sercu mojem ocalały uczucia, którym trudno ocaleć w żyjącym inaczej, niż ja dotąd żyłem.

I dlatego z pewnym rodzajem rezygnacyi spoglądam na przyszłość, prosząc jednak Boga, by mnie niedługo już wyprowadził z tej próby, czy z tej szkoły, w której niczem się nie nauczył, ni dobrego, ni też złego, w której nudą długą byłem dla ojca i tych, którzy mnie kochali.

Cierpienie, ów nieodstępny »anioł stróż« nie dawało niemal wytchnąć biednemu poecie. W drugiej połowie lutego stan wzroku tak się pogorszył, że ledwie mógł pisać; pomimo to skreślił 25 lutego 1836 długi i ważny list do Reeve'a, rozwijający dokładniej niż wobec Gaszyńskiego pogląd na panteizm i na jałowość poezyi panteistycznej. Zdaniem jego jeden jest tylko przedmiot dla poezyi:

»nie Bóg i nie natura, tylko człowiek, działający w indywidualności nieśmiertelnej dla Boga lub przeciw Bogu. Poezya opiera się na przeczuciu nieśmiertelności osobistej. Całe uczucie poetyczne przepada z chwilą, gdy życie moje jest tylko rzeczywistością

na tym świecie. Panteizm jest wyższym materjalizmem. Z niego jak z materjalizmu, wynikają fatalizm i ośchłość serca. Odpycham czarę życia i śmierci, którą mi podaje *Siva*«. (II, 99). Wzgardziwszy przeto panteizmem z punktu widzenia poetycznego, jako systemem, w którym wszelka prawdziwa poezja zamrzeć musi, zamyslał równocześnie Krasiński o nowym poemacie, który podobnie jak *Irydion* miał być osnutym na tle historyczno-filozoficznym. Bohatyrzem zamierzonego utworu miał być Doktor Procida, Faust polityczny, przyjaciel Fryderyka II i Manfreda, twórca i organizator Nieszporów Sycylijskich (30 marca 1282). Mamy tu zatem znowu do czynienia z tematem walki o niepodległość narodu i zemsty nad najeźdźcą. Wielki temat dziejowy był już wprawdzie napoczęty przez utwory Delavigne'a i Nicolini'ego, ale Krasiński uważał, że obaj ci autorowie słabo tylko »zgałwanizowali« Procidę. W jego umyśle rysowały się już charakterystyczne postacie średniowieczne Fryderyka II, Konradyna, Karola d'Anjou, a zapał dla nowej idei tak był duży i szczery, że poeta wołał: »Jeśli z was wszystkich nie zrobię pieśni żałobnej i mściwej, niech lutnia moja idzie do czarta!« (25 lutego 1836 r.).

Ale twórczość poetycką podgryzał w samym korzeniu robak zwątpienia filozoficznego. Trudno na seryo myśleć o pieśni »żałobnej i mściwej«, skoro sam cel bytu wydawał się bezowocny i znikomy. Już w kilka dni po tych planach o Procidzie Krasiński narzekał w liście do Reeva, że jakiś czas odgrywał rolę Fausta, a Melistofelesami byli Oken,

Schubert, Schelling, jednym słowem »puhar wiedzy niemieckiej«, z którego pił poeta. Zagadka bytu ciągle go nęciła, napawając równocześnie goryczą i niesmakiem. »Dusza moja jest jednakowo obrzydzona ideą niebytu i brakiem indywidualności po śmierci — a z drugiej strony ideą czynności (*activité*) bez wypoczynku, ideą niekończącej się seryi światów, wiecznej metempsychozy nędzy i bólów«. Bo niema nic innego: sen albo życie; nicłość, albo alternatywa szczęścia i złego. Otóż w alternatywie tej na pewno przewagę ma zło, a gdyby nie przeważało, to i dobro i szczęście przestałyby nam być tak drogie i słodkie. Warunkiem nieodmiennym czynności jest jakiś cel. Ponieważ celem nieskończonym jest szczęście, to z dwojga jedno: albo czynność ustaje, osiągnąwszy cel swój, a wówczas nastaje nicłość — albo też czynność trwa, oddzielona od szczęścia, a wtedy jest troska i ból. Niemożę wybrnąć z tego fatalnego dylematu i kiedyś rozbiję sobie oń czaszkę. »Szczęśliwi ubodzy duchem, ich bowiem jest królestwo niebieskie«.

Dylemat jednak nie był tak »fatalny«, tylko nie dość konsekwentnie przeprowadził go poeta: nie rozumiemy bowiem, dlaczego z osiągnięciem najwyższego celu, t. j. szczęścia, ma zapanować nicłość (*le néant*); owszem, nastaje nieskończone i niekończące się szczęście...

Ale rozterka ducha nie dopuszczała nawet marzenia o szczęściu. W tymże samym liście zapytywał Krasiński Reeva, czy nie słyszał o dziele Straussa *Das Leben Jesu Christi*, które »zbija umiejętnie i historycznie Objawienie, zniszczone już moralnie

w sercach ludzkich». Widzimy, do jakiego stopnia zwątpienia religijnego dochodził wówczas autor *Irydiona*.

Tym rozstrojem moralnym i ciągłym rozdrażnieniem, wynikającym z złego stanu zdrowia da się objaśnić ponure wówczas usposobienie Krasieńskiego. Rwał się do pracy, a nie miał sił do niej: »Darmo mówić o statku duszy — ale kiedy człowiek najpiękniejsze lata życia strawił na nędznej chorobie, kiedy widzi, że wciąż ona nieprzepartą jest, kiedy ile razy miał nadzieję, że się usunęła, tyle razy pomimo wszystkie usiłowania sztuki i własne wstrzymywanie się od zbytków jakichkolwiek wpadł w nią nazad i czuje, że mu charakter, umysł, serce nawet przepesuwa, przekwasza, to wtedy trudno się wstrzymać od pewnego rodzaju oburzenia przeciwko tak silnemu fatalizmowi, od pewnego gatunku utraty wszelkiej nadziei, od pewnego gatunku odrętwienia i nieczucia już więcej ni pociechy, ni słodyczy w tak przykrym bycie. Mniejsza o cierpienie cielesne, to niczem nie jest w porównaniu z rozstrojeniem się stopniowem i pewnem choć powolnem umysłu. Kto mi wróci kiedy te lata najlepsze do pracy, najkorzystniejsze do pojmowania świata i ludzi, przeszłe na leżeniu lub jeżdżeniu po wodach? Czyż dotąd nie byłbym nagromadził w sobie wielkiego, zaomóżnego kapitału wiadomości, z którego bym już teraz procent mógł ciągnąć? Ale daremne to słowa — próżne skargi — przez tę chorobę nie będę nigdy czem być mogłem, a dalibóg mogłem być czemś wśród ludzi na świecie. Czego mi brak, oto nauki,

umiejętności, właśnie tych rzeczy, które pracą się nabywają — nie brak mi iskry, którą ożywić je można — ale na co zda się iskra, kiedy materiału niema. Na co by duch się zdał, gdyby ciała nie było? Tego ciała, ciała tego, nabyć nie mogę. — Wiecznie więc w błędnych błakam się sferach. — Co papa mojemu *chmurami* zowie, to nie chmury, to oczy moje, które mnie przegrodziły od świata, które mi świat wydarły zewnętrzny, zostawiły wewnętrzny tylko, a ten jest tylko połową życia. Jeśli więc już takie przeznaczenie moje, że nikomu nie zdam się na nic rozumem ni działalnością, chciałbym przynajmniej zdać się na coś papie sercem mojem. Chciałbym, by on wierzył, że go kocham i że jego jednego mam na świecie — że w nim jest dom mój, w nim cała rodzina moja, w nim pamiątki dzieciństwa i obowiązki przyszłości. Byłbym szczęśliwy gdzie w jakiej ustroni być razem z papą daleko od ludzi — daleko od świata tego, w którym dla mnie miejsca niema, bo go bawić nie myślę, a mu użytecznym być los mi zabronił. Niemogę wielkich rzeczy pisać do papy, bo cały niedomagam — bo w mojej duszy jest jakaś bezdenność smutku i goryczy. — To wiem tylko, że papę szczerze i całą duszą kocham». (1836, Florency 8 marca).

W dwa tygodnie potem wyjechał z Florencyi do Rzymu, który podzielał nań zrazu orzeźwiająco skutkiem dawnych wspomnień. Tak się złożyło, że mógł stanąć w dawnym swem mieszkaniu z r. 1830. W wielką sobotę, 2-go kwietnia 1836 r. donosił ojcu:

»Piszę ja ten list w tym samym domu, w tym sa-

mym pokoju i na tym samym stoliku, na którym odpisywałem Papie podczas polskiej rew[olucyi] temu lat sześć. Miałem 18 lat wtedy, dziś liczę ich 24. Ileż razy od tego czasu odmienił się widnokrąg mózgu mojego, ale ani razu serca. Szczerze wyznaję i prawdziwie, że te same uczucia, ta sama nieskończona żądza piękności i tkliwych wzruszeń dotąd jest we mnie. Com czcił wtedy, czczę i dotąd — com kochał i dotąd Kocham. Tylko już nie mam tych samych pewnością, nadziei, tej silnej wiary, że to, co żądam, stanie się, że to, co Kocham, objawi mi się na tej ziemi! Pod tym względem zestarzałem się, pod innym żadnym».

W kilka dni potem opisuje dokładniej mieszkanie swe przy kościele „*della Trinità*“, wiedząc, jak Jenerała każdy szczegół, dotyczący życia jedynaka, obchodził. Z tego opisu wyjmujemy ciekawą notatkę o podręcznej biblioteczce poety, która mu widocznie w podróżach towarzyszyła:

»Stolik okryty książkami (Górnicki, Hist. polska, Żywot Czarnieckiego, Mickiewicz, Muller, Michelet, Szekspir, Pismo Św., Bulwer, Skarga, Gołębiowski, Oken, trzy puilaresy, jeden z wszystkimi listami Papy, drugi z listami B., trzeci z mojami pamiętnikami, papiery rozmaite, kopiersztych wystawujący Napoleona na łożu śmierci, drugi darowany przez Paca obraz Małachowskiego marszałka i Tad. Czackiego, trzeci malowany przez B., Malek Adel w pustyni — potem książka czarna z srebrnym napisem *ἀντιχρῆς*, w której są różne kartki zapisane Jej ręką i różne inne moją własną«.

Z wiosną obudziła się w nim całkiem naturalnie chęć ruchu, pragnienie świeżego powietrza, ćwiczeń fizycznych aż do umęczenia ciała. Wyznawał Reewowi, że znużyło go już przekłète życie spędzane na wcielaniu idei (*»incarnateur d'idée«*). Zarzucił przeto pomysł *Procidy*. »Od dwóch lat ciągle niemal przestałem ze starożytnymi ludźmi, z ruinami. Chcę się odświeżyć trochę«... (II, 105—6). Zaczął się ćwiczyć codziennie w szermierce na szable i szpady, a czynił to z takim zapałem, że już się nikt z nim bić nie chciał. Znużenie fizyczne nie dawało jednak ukojenia. Noce miewał bezsenne, z wizjami ognistemi o kobietach umierających, krucyfiksach, walkach, przygodach. Szermierka dzienna nie zużywała energii rozkiełznanych nerwów, raczej ją potęgowała. W odpowiedzi na nieznany nam list Reewa, w którym tenże zarzucał mu, zdaje się, zbyt ni idealizm w życiu, zastrzegał się poeta, że w dniu czynu potrafiłby działać realnie. Ale to całe jego nieszczęście, że niema pola do działania:

»Co mnie zabija, to nie realność. Co mnie zabija to to, że mając pewne warunki męża czynu, pewne siły realne, spędzam dni moje w nicości. Jestem tylko duszą, a przecież żyję na ziemi!«... (II, 104).

I w związku z tem żalił się ojcu (z Rzymu 24 kwietnia 1836) na to, że czuje

»jakiś żal głęboki, czasem nieutulony, kiedy spojrzę na to życie moje takie nędzne i bezowocne, na to życie Papy takie markotne i dalekie, kiedy pomyślę, że niema jednej chwili, w którejbym przez Papę nie żył, jednego kawałka chleba, którego by ręką Papy

w moje usta nie kładła, a ja? cóż robię dla Papy? czyż nie same smutki mu nasyłam?...

»Dzikie nasze położenie. Nie mamy nic na świecie prócz samych siebie nawzajem, a nie jesteśmy z sobą — nie, nie nie mamy — tyłkobyśmy mogli mieć terazniejszość obcowania, widzenia się, rozmawiania — a tego nie możemy osiągnąć«...

Tragedyę życia własnego, tragedyę roku 1831-go ciągle miał żywą i przytomną, zwłaszcza w Rzymie, w tem samem mieszkaniu, w którym przed sześciu laty ugodziła weń niespodziana wieść z nad Wisły o strasznej nocy listopadowej. I teraz po latach odczuwał całe brzemie swej niedoli, całe pasmo udręczeń i niezatamowane źródło swych chorób. Jakże trafnie, z jaką dokładnością psychologa kreśli on w tych czasach ojcu stan duszy swej rozpaczliwy:

»wszystkie prawdziwe boleści moje wyszły z serca, tam mieszkają. Cała choroba, która od sześciu lat mnie trapi, jest skutkiem jednego tylko roku, przebytego wśród ciągłej gorączki i rozpacz y. Wtedy wszystko wrzało jakby na wiosnę, w ciele i w duchu moim — wtedy wszystko jakby mrozem ścięte zostało znienacka, nieprzewidzianie. I odtąd poczęły się spleeny, urodziło się to usposobienie czucia wszystkiego gorzko, widzenia każdego przedmiotu żalobnie. Nerwy rozprężone, w ruch nadprzyrodzony wprawione, już odtąd nie zdołały odzyskać równowagi swojej. — Mniej więcej zawsze w nich huczy burza, lub posępna martwość, milczenie jakieś i wstręt apatyczny się rozlega, ale nigdy niema tej zgody sił, która stanowi zdrowie

ciała i serca spokojność. — Nie na scenie otwartej, ale w ukrytej głębi, wewnątrz duszy mojej, odbyły się wszystkie dzieje moje. Co tam było walk i niezgody, co tam nieznanym od nikogo klęsk przemięło! Ależ zawsze powtarzam, że nie z głowy szedł oddźwięk ponury, ale z serca. Bo gdybym był wszystko brał na szalę rozumu, gdybym był mógł zimno rozważać, a nie czuć namiętnie, możebym był zdrow dzisiaj. Kto wie, możebym był na drodze zewnętrznej, świetnej według świata, wiodącej do potęgi. — Owszem, wszędzie serce moje przemogło miłość własną i rozum mój. Pewno, były walki między niemi — ale zwycięstwo nigdy nie wahało się długo. Jestem dzisiaj chory, smutny, nie nie znaczący na tym szerokim świecie. Pewno tego przypisywać nie należy mojemu rozumowi, ale czuciu raczej. Niech Papa wierzy, że miłość własna jest tylko iskierką we mnie, pryskającą mi często z czoła, na to zgoda, ale nie mogącą iść w porównaniu z świętszym, z lepszym, z większym ogniem, choć skrytym, serca mego. Wielu ludziom uda się lepiej odegrać rolę swoją ziemską — ale nikomu goręcej kochać tych, których kochają, święciej czcić to, co czcili od kolebki.

Teraz ile razy pomyślę o Papie, mam łzy w oczach«...

Co się działo w duszy Jenerała, gdy takie listy czytał? Czy nie wyrывał się do jedynaka? Czy nie mógł porzucić Petersburga? Co go tam zatrzymywało? Wszak nie żąda zaszczytów. Wszystkie ich szczeble przebył Wincenty Krasiński. Zapewne też po mowie październikowej 1835 r. nie łudził się co do uczuć Mikołaja I dla »narodowości« polskiej. Ale

równie dobrze wiedział, że dymisyi jego z wojska Mikołaj nie byłby przyjął, a nosząc się wówczas z planami utworzenia ordynacyi opinogórskiej, musiał służbą wojskową okupić na nią pozwolenie.

Tymczasem jednak jego ciężkie dni pędził w Rzymie:

»Z ludźmi, których widuję, nie wiele mam wspólnego... Ich żądze, ich nadzieje, ich marzenia, nie są mojemi... Tak od dnia do dnia przeczołguję się w coraz następne życie, tyle śladów zostawujące za sobą, ile ślimak. Czy to po matce odziedziczyłem? Czyż nie nie potrafi przekształcić ni mojego ciała chorego, ni duszy? Czym przeznaczony być śmiesznością dla jednych, smutkiem dla drugich, nicością dla wszystkich, męką samemu sobie? Odczytywałem pod te czasy Ewangeliją. Żadnej pociechy mi nie przyniosła, żadnej otuchy«. (Z Rzymu, 1-go maja 1836. Do Ojca).

Maj, najpiękniejszy miesiąc na Południu, przechodził mu w osłabieniu fizycznym i przygnębieniu moralnym. Dziesiątego maja narzekał na zdenerwowanie, »jakieś drgania w piersiach, myśli czarne«, a w kilka dni potem (15-go) pisze do ojca: »zgłupiałem, nicość we mnie«. Powodem tego przygnębienia były, pomijając już stan fizyczny, troski sercowe. Nie odbierając żadnych wiadomości od Pani Bobrowej, zaczął się bardzo niepokoić i tak się przed ojcem spowiadał: »Jeśli nieszczęśliwa, to mnie boli, bo nieszczęśliwa przezemnie — jeśli szczęśliwa, to mnie gorzej boli, bo szczęśliwa z drugim«.

Wobec takiego dylematu, pragnął czempredzej podążyć do wód w Kissingen, aby tam wzmocnić zdro-

wie i żyć przynajmniej wspomnieniami chwil błogich zeszłorocznych.

Niedorzeczność losu zrządziła, że dopiero pod koniec swego w Rzymie pobytu poznał Krasieński bawiącego tam od końca lutego Juliusza Słowackiego. Gdyby się byli odrazu, wcześniej poznali, byłby pobyt w Rzymie dla obu miłszy i pożyteczniejszy. Krasieński znalazłby był towarzysza, którego bujna i świetna fantazyja mogła być orzeźwiająco podzielać na znękany i przygnębiony jego umysł; Słowacki zaś byłby może wiele więcej wyniósł duchowej podniety, przestając dłużej z autorem *Nieboskiej* i *Irydioną*. Spotkanie to obu gienialnych młodzieńców mogło być inne, świetniejsze wydać owoce, niż odległe spacer, »żywe i passyonowane rozmowy«, »po szalonomu językiem imaginacyi«.

Spotykały się bowiem dwie wielkie, piękne dusze w samym rozkwicie uczuć i poezyi. Starszy wiekiem, 27 letni autor *Kordyana* i *Balladyny*, olśniewał młodszego twórcę *Nieboskiej* i *Irydioną* tęczowym blaskiem niepohamowanej wyobraźni i czarem przepyszego wiersza; latami młodszy poeta przemyslał jednak, przebolał więcej niż autor *Żmii* lub *Maryji Stuart* i starszy był doświadczeniem przeżytych smutków, całem pogłębieniem filozoficznym treści swego ducha. To też Krasieński przeniknął prędzej i lepiej Słowackiego, a to co w liście (do Gaszyńskiego), po krótkiej znajomości o nim napisał, przewyższa nieśkończenie wiadomość o Krasieńskim, daną w liście autora *Kordyana* do matki. W wilią wyjazdu swego

z Rzymu taką dawał Krasiński charakterystykę Słowackiego:

»Jest tu Juliusz Słowacki, miły człowiek, ogromem poezji obdarzony od niebios. Kiedy ta poezja w nim dojdzie harmonijnej równowagi, będzie wielkim. *Kordyan* jest poematem zapału, szaleństwa; są w nim pyszne położenia i dziwnie trafne pojęcia. *Marya Stuart* jest także znakomita. Mickiewicz nawet sam nie miał tak różnobarwnej i giętkiej wyobraźni. Jednak trzeba, by te żywioły doszły w Słowackim do harmonii muzycznej... Brak mu czasem powagi, bez której poezja może być miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie częścią świata. Tej on nabędzie, bo zdolności tak silne nie ustają, nie słabną, aż odbędą drogę sobie przeznaczoną i wydadzą wszystkie owoce w nich nasiennie zawarte. Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza« (I, 80. 22 maja 1836).

Ale tak oceniając »ogrom poezji« w Słowackim, Krasiński spotkał się z protestem Gaszyńskiego. Był on (w nieznanym nam liście) zapewne echem kół emigracyjnych, w których autor *Kordyana* nie był lubiany. Zartował sobie z Słowackiego Witwicki, ostro mu przyganiał Bohdan Zaleski, gotował się nań potem z pociskami ironicznymi Ropelewski. Krasiński zawczasu i proroczo twierdził: »Mów co chcesz, Juliusz Słowacki jest poetą i kiedyś imię jego świetnem będzie«. — Jak przenikliwie sądził go autor *Nieboskiej* na podstawie krótkiej tylko zażyłości w Rzymie widać to z dalszych uwag, kreślonych w pół roku po-

tem, jako wynik nie dorywczego, pierwszego wrażenia, ale spokojnej skupionej, rozważi:

»Dziwny to kontrast w tym człowieku: a wanturniczy wyobraźnią, tchórz zaś nerwami i całym ciałem. Jest on z tych poetów, którzy nigdy w danej chwili poezji w działaniu mieć nie będą«... Zaliczał Słowackiego do tej kategorii poetów, jak Byron, Goethe, Szekspir, którzy »mniej są ludźmi, bardziej są światem. Jest w nich jakiś panteistyczny kunszt... Są to siły ogromne duchowe, ale nie ludzkie. Tę uwagę jednakowoż o Julku schowaj dla siebie. Ogađywałbym go nie chciał, tak jakbym w żadnym przypadku także liczyć na niego nie chciał. Z temi istotami obchodzić się trzeba jak z morzem, jak z elektrycznością: zważać ich objawienia i dziwić się im, jeśli silne. żadnej zaś nadziei ni rachuby na nich nie pokładać; w tem ich podobieństwo do kobiet i do sił ślepych natury« (I. 92).

Jakie w Rzymie okoliczności dały Krasińskiemu podstawę do powyższej, ostrożnej charakterystyki Słowackiego, trudno dziś wiedzieć. Być może, że autor »przemowy« do tomu III-go poezyj »wygadał się« z niejedną niechęcią swą do »Wieczerzy Pańskiej poetów« naszych w Paryżu, ani przeczuwając, jak bystrego i poważnego nad wiek ma słuchacza w 24-letnim Krasińskim; wzmianka o pochwałach Mickiewicza dla Garczyńskiego zdawałaby się tego dowodzić. Bądź co bądź, stosunki ich po pierwszym poznaniu się w Rzymie były z pewnością bardzo miłe i doprowadziły do wielkiego zbliżenia, skoro Krasiński, zkądinąd nieskory do poufałości, nazywa Słowa-

ckiego (w liście do Gaszyńskiego) poprostu »Julkiem«. Czy jednak wpływ Krasińskiego na »Julka« mógł być wogóle trwałym i jakim był wtedy, trudno wiedzieć. Tyle zdaje się być pewnem, że Krasiński nie mógł podnosić myśli Słowackiego ku niebu, on, co sam się żalił wówczas że mu Ewangelia »żadnej pociechy nie przyniosła, żadnej otuchy«. Natomiast mógłby był Krasiński znakomitym być ciceronem Słowackiego wśród ruin Rzymu, gdyby autor *Balladyny* miał być jakikolwiek nerw uczucia dla tych wszystkich pamiątek, którymi się zachwycił autor *Irydiona*. Ale tak nie było. Kto chce mieć dobre wyobrażenie, o tem, jak odmiennie przemawiał świat starożytny do naszych dwu poetów, niech odczyta znane już nam wrażenia Krasińskiego z Pompei (I, 67—69) a potem list Słowackiego do matki (Méyet. II, 10); tam porównanie architektury greckiej z gotyką, »ciała« pogańskiego z duchem nowszych czasów, — tu spacer »z cygarem w zębach jak po spalonej wiosce«, z tem filisterskiem zapewnieniem, że »Herkulanum i Pompeja nie zrobiły na nim żadnego wrażenia(!)«. Szeroki, jak stulecia, pogląd Krasińskiego o całe niebo wzbija się ponad dziwnie pospolite zapatrywanie Juliusza na wielką historyczną ruinę.

Tu młodszy z nich stanowczo jest starszym i wiedzą i powagą myśli —

23-go maja wyjechał Krasiński z Rzymu na kurację do Kissingen, gdzie miały go otoczyć smętnym rojem wspomnienia zeszłorocznego »raju«. Kochał i tęsknił do nieobecnej, niewidzianej od półroka przeszło. Gaszyńskiego zapewniał, że »są miłości, które

duszą się pod ciężarem czasu i przestrzeni; są inne, które sił nabierają tem samem, że ciągle pracują wyobraźnią, w niedostatku upragnionej rzeczywistości. Ja się w tym drugim przypadku znajduję«.

Ta ciągła praca wyobraźni wydała też swe owoce. W tym samym liście (z d. 12 czerwca 1836 r.) posyłał poeta przyjacielowi kilka wierszy, które »w tych czasach« napisał. Odnosiły się one do Pani Joanny. Poeta posyłał je »pod sąd« przyjaciela i uważał je za pierwsze(!) w życiu swoim. („O, biedna! czegoż ja mam życzyć tobie“...; „Jeśli mi kiedy przewodniczyć miały...“).

Gaszyński wcale nie po »przyjacielsku« obszedł się z tymi wierszami; przymówił im, że »ustać nie mogą«. Krasiński uznał to za »istną prawdę« — ale niezrażony posłał znowu (7 lipca 1836) nowy wiersz jakby w odpowiedzi na sąd niekorzystny przyjaciela: „*Bóg mi odmówił tej anielskiej miary*“...

Tęsknota do nieobecnej ukochanej szukała wyrazu poetycznego — ale »niebiańskie dźwięki« serca łamały się na dwoje, ust nie doszedłszy. Duch był rączy, ciało zawsze mdłe, a wtedy pomimo kuracyi lub może właśnie przez nią coraz to słabsze. Ojca uwiadamiał z Kissingen (28 czerwca), że jest »śmiertelnie smutny i bardzo osłabły na zdrowiu«. Nie leżał wprawdzie w łóżku, owszem chodził dużo, ale ani jeść ani spać nie mógł, a »kości mu wyzierały z ciała«. Pomimo to czuł »w głębiach życia swego siłę, ale gorączkową... Wody w Kissingen nie mu nie pomagały i czuł się w stanie »opłakanym«. Do bezsilności fizycznej dołączało się gorzkie uczucie bezsilności twórczej:

»Dawniej pisać, jeśli nie umiał, tom przynajmniej namiętnie lubił. Teraz pióra podnieść nie mogę, takie ciężkie jak ołów, a puste, zda się, jak puch. Dawniej piękna okolica obudzała we mnie lepsze, pogodniejsze otuchy, czucie jakiejś piękności. Dziś wyjdę na wzgórze, pojrzę na tę zieloność, na to niebo śliczne — i nic nie czuję, choć rozumiem, że to musi być piękne. Dawniej poszedłem do kościoła; w modlitwie do Boga był spokój chwil kilku dla mnie. Teraz ani zajrzę, a gdybym modlić się chciał, tobym tylko marne słowa plótł...

Zabijać czasu nie potrafię wistem i wąłsaniem się: umiem tylko pisanie, a pisać już nie mogę, a czytać nie mogę. Nie powiem, żebym się nudził, ale cierpię wciąż. Cokolwiek czytam, nie przypada mi do smaku. Wezmę książkę historyczną, np. pana Capefigue *Histoire du Gouvernement de Juillet* — coś nieznośnego mi się robi. Wezmę romans, nie w nim świeżego już dla mnie niema, ni silnego, książkę naukową, matematyczną, zda mi się, że czytam wyrok fatalności, ścigającej mnie zewsząd, nie cofnięty wyrok, — filozofię ironia mnie porywa, i smutny podziw, że ludzie tak wszystko dowodzić i zbić tem samem rozumowaniem potrafią. Jak Chrystus mówił, potęga jakaś wyszła ze mnie (*une vertu est sortie de moi*). A tą potęgą była wiara. Dwa rodzaje jej. Jedna Boska w sercu bardzo młodem i ta jedynie jest silną. Druga rozsądkowa w sercu dojrzałem, kiedy człowiek się przekona, że trzeba mieć wiarę i każe ją sobie mieć jakby przystojność jaką, jakby maskę jaką przed sobą samym, aż wreszcie maska z twarzą w jedno się

zejdzie i dlatego ludzie znów mocno wierzą, lecz tylko w jedną rzecz, w Boga lub materią, a młodzi we wszystko razem: w Boga, w materią, w siebie! oh! zgłupiałem zupełnie«. (Z Kissingen, 8-go lipca 1836 r.).

Równocześnie zaś Danielewicz objaśniał sercowe sprawy. Zapewne generał zapytywał, czy miłość dla pani Joanny nie ustała już, czy nie nastąpiło zerwanie. Danielewicz uwiadamił, że nie, i tłumaczył, dlaczego nie mogło jeszcze być mowy o zerwaniu. Treściwa to, jak zwykle u Danielewicza, a bardzo ważna informacja (z Kissingen, d. 8 lipca 1836 r.): »Pani B. nie jest bynajmniej zapomniana... W tych czasach rozpoczęła się niefortunna korespondencya, zawsze kłótliva i wzajemnymi wyrzutami przepelniona, nie mniej jednak te nieszczęsne stosunki przedłużająca. Czasami Z. w chwilach *lucides* czuje, że mu to drogę do wielu rzeczy zagraadza; ale rzeczywiście, gdyby nawet nie tak bardzo się kochał, musiałby mieć dla pani B. *de certains ménagements*, znając charakter jej drażliwy, stan umysłu niebezpieczny, wiedząc, że się do tego trochę przyczynił i pamiętając, ile go to kosztowało pracy, żeby tak harmonijne dzieło wystawić.

Listy Pani Joanny smuciły i drażniły poetę, a równocześnie złe z kraju wiadomości przejmowały go bolem i wstydem:

»Dziś domem nam cudze ziemie, własna stała się gorszą, niż obca, niż daleka — bo więzieniem. W tej naszej ziemi, prócz ojca, żadnego przyjaciela, prawie żadnego znajomego nie liczę. Codzień dochodzą mnie

wieści o stanie społeczeństwa warszawskiego, które mnie przenikają grozą: podłość doszła do nieprzebranej miary; niema prawie człowieka, któryby umiał nawet powierzchowną godność zachować; dobry byt pieniężny i gospodarski ukołysał serca zranione. Burakami i pszenicą grób Polski zasypali, na wyścigi się uniżają i liżą. Mojem zdaniem, roztropnością się zowie z motyką na słońce się nie porywać, ale z drugiej strony podły ten, kto plwa na motykę za to, że słońca z niebios strącić nie potrafi. Jednem słowem, na śmierć smutny jestem i nigdzie żadnej nie upatruję nadziei...» (*Do Sottana*, 27. — Z Kissingen 10 lipca 1836 r.).

Wśród tych smutków osobistych i zbiorowych starał się poeta zagłuszyć się pracą umysłową. Może pod wpływem odczytanej mu niedawno w Rzymie *Balladyny* zaczął Krasiński roić o jakimś poemacie z zamierzchłej lechickiej epoki; zapewne był to pierwszy pomysł zaczątej potem *Wandy*, jakieś rojenia o pogańskich czasach »Lechii«. Były one dość silne, skoro poeta prosił ojca (w liście z Kissingen d. 13 lipca 1836 r.) o dostarczenie mu materiału mitologicznego: »Niech Papa będzie łaskaw, odpisując mi na ten list, załączyć kawałeczek papieru z wypisem imion Bogów Sławiańskich i rozmaitych ich atrybutów, o ile nam wiadomo jest. Np. jak się zwał Bóg wojny, czy była jaka Bogini czystości, podobna do Vesty etc etc. Co to też było *Lelum polelum*? Bardzo mi to potrzebne, a nigdzie nie mogę najmniejszej o tem powziąć wiadomości«.

W tymże samym liście znajdujemy ciekawe uwagi

o głośnej autorce francuskiej, pani George Sand: »W tych czasach czytałem kilka dzieł pani du Devant (George Sand). To jest gienialna kobieta, bez serca — niezawodnie najrozumniejsza z całej literatury dzisiejszej francuskiej. Ona jedna ma swój ideał ustalony: chce wyzwolenia kobiet, poniżenia mężczyzn, odmiany we wszystkim. Wszystkim mężczyznom daje miejsce kobiet. Kobiety wynosi na miejsce mężczyzn. Chce koniecznie wykazać, że i kobieta może być potęgą intelektualną i świecką, chociażby nie była ni kochanką, ni żoną, ni matką — powtóre, że kobieta tak jest wzniosła, że jej miłość dostateczna na uszlachetnienie choćby najpodlejszych namiętności i błędów w mężczyznach. Większa część czytelników nie pojmuje jej ogólnych myśli, tylko szczegóły widzi i z tych szczegółów szkaradne skutki wyniknąć mogą dla głów młodych i miękkich jak воск, które ją czytać będą«.

Kuracya w Kissingen najfatalniej zaczęła oddziaływać na cały organizm poety. Hypochondrya wzrastała do tego stopnia, że poeta lękał się o swe zmysły; dołączały się bole zębów, ciągłe drżenia w piersiach i zawroty głowy. Pojmujemy w tych warunkach chorobliwie przesadne obawy Krasińskiego, aby nie wydało się w Rosyi autorstwo *Irydiona*. Widocznie go z Petersburga ojciec ostrzegał, skoro w liście z d. 21 lipca 1836 r. bardzo sprytnie wydrwiwszy zrazu lichą powieść Henryka Krasińskiego *La bataille de Kirchholm*, tak dalej udaje:

»Ale w coraz większe zadziwienie wpadam, a to z powodu *Irydiona*. Skądże ja mam być autorem

czy *Kirchholma*, czy *Irydiona*? Nie rozumiem, skąd ten honor na mnie spada? Wyszło w rzeczy samej w Paryżu dzieło pod tym tytułem bezimiennie. Lecz ani wiem nic o nim, kto go napisał, ani się domyślam. Skądże książę Giedroń to wyciągnął? Jeśli z palca sam nie wyssał, to zapewne korespondent jego. A to wcale nie pasuje* do mojej głowy! Skąd tak mi sławę ludzie robią? Bóg-by dał, żebym był zdolny co napisać!»

W kilka dni po tym ostrożnym liście, po sześciotygodniowej męczącej i osłabiającej kuracyi w Kissingen, wyjeżdżał poeta na nową, dosyć niebezpieczną kurację, która miała być rozstrzygającą: »załęży na mocnych potach i na włożeniu w lodowatą wodę, wśród tych potów«. Był to system hydroterapii, wprowadzanej wówczas przez głośnego Priessnitza, tak po dziś dzień wstawionego w »prysznicach«. Wyruszył tedy Krasiński po zdrowie do Graeffenbergu, nawiedzanego wtedy tak tłumnie, jak do niedawna Wörishofen. Przez Karlsbad, gdzie się natrzył różnych nieciekawych typów polskich kuracyuszów, podążył do Pragi. Stał tam w ostatnich dniach lipca, znużony i znudzony.

Spotkani w Karlsbadzie rodacy opowiadaniem swemi o stanie wewnętrznym Polski zmartwili go nie mało. Dowiedział się, że »wali się z pieca na łeb ostatek godności narodowej«, że żydzi wdzierają się na wszystkie stanowiska i wypaczają narodowy charakter. Ponieważ mieszczaństwo uważał Krasiński

* Pierwotnie było: »pachnie czem dobrem!«

za warstwę napływową w Polsce, niezdolną do przechowania narodowego ducha, pozostawiała zatem szlachta i lud, jako ostoja polskości. To też Krasiński rozumowo dowodził potrzeby, nie tylko u nas, ale wogóle w ludzkim społeczeństwie, tych dwóch zasadniczych składników: ludu i arystokracji: »jakkolwiek szlachta wszędzie nadużywała nagromadzonych w ręce swoje potęg, to pewnem pozostanie, aż do sądu ostatniego, że są dwa tylko pierwiastki bohatyrskie na ziemi, zdolne ogromnych, olbrzymich cnót i zbrodni, umiejące działać w dziejach ludzi, jak w przestrzeniach natury działają morza i wulkany, t. j. Lud i Arystokracja.

Lud przez dni kilka, bo na dłużej rozumu, raczej instynktu mu nie staje, arystokracja przez wieki, bo ona zawiera w sobie wszystkie instynkta i nass i cały rozum indywidualnych ludzi. Wszędzie też, gdzie arystokracja podupadła, największa podłość ją zastąpiła; gdzie nie było jej nigdy, tam zawsze podłość żyła. Monarchie spodlić usiłowały arystokracje, a jak tylko osłabiły je, same runęły... —

Europie nie pomoże, aż nową, silną arystokrację wydobędzie z toni okoliczności i czasów; nie będzie to nigdy ta sama, która była... Rodziny arystokratyczne wymrą, lub wyginą, pierwiastek arystokratyczny jest wiecznym«. (Z Pragi, 30 lipca 1836 r. Do Ojca).

Ale ta teoria, której hołdował Krasiński, napawała go smutkiem i goryczą, ilekroć pomyślał, jak rolę swą pojmuje arystokracja w Polsce. Właśnie dlatego, że arystokracji przodujące w społeczeństwie wyzna-

czał stanowisko, chciał ją widzieć godną i świadomą tej doniosłej roli. A tymczasem, cóż to się u nas działo? »Nie uwierzysz, jak się cała szlachta wyepisierowała, jak pieniądze zbiera i twierdzi, że nie nad pieniądze, jak nawet utrzymuje, że dosyć dobrze...; o Polsce nikt już nie wspomina... Serce się kraje na taki widok, bo demoralizacja narodowa coraz szybszym krokiem postępuje, coraz do żydów podobniejszymi się stajem...

Wszędzie parcie okropne przeznaczenia, brak powietrza, czarno, duszno, jakoby dzień ostatni sądu się zbliżał, a na nim naród polski miał być potępionym. Źle mi nad miarę, szukam jakiegokolwiek ulgi, powierzając Ci te myśli moje«. (Do Sott. 35—36. — Praga, 5 sierpnia 1836).

W towarzystwie D-ra Sauvana ruszył d. 6 sierpnia z Pragi do Graeffenbergu na Śląsku austriackim, poruszony do głębi gnębiącymi nowymi ukazami. Nie będziemy tu opisywać szczegółów długiej, bo kilkumiesięcznej kuracji wodnej w Graeffenbergu, która zupełnie z nóg go zwała i tem przykrzejszą się stawała, że »podczas niej człowiek zupełnie tracił władzę umysłową« (Do Sott. 41). Przed ojcem się żalił 22 sierpnia: »Stan zdrowia mego zawsze jednaki — podwojone cierpienia, zwiększony smutek i wstręt do wszystkiego, spazmy w piersiach, w oczach obłądne widzenia, w nerkach bóle hemoroidalne, w nogach artrytyczne, osłabienie ciągłe i ospałość. Walczę z tem wszystkim, jak mogę...«

Jenerał zaniepokojony temi wiadomościami skorystawszy z względnej bliskości pobytu syna, odwiedził

go 1-go października i zabawił dwa tygodnie w Graeffenbergu. Ku wielkiej radości Zygmunta, jenerał nie nalegał na powrót jego do Polski, ale pozwolił mu udać się na zimę do Wiednia, celem dalszego prowadzenia wodnej kuracji.

Z samych nudów wziął się poeta pod koniec pobytu swego w wiosce śląskiej do literatury niemieckiej, a rozczytawszy się, zasmakował w niej. Reeva zapewniał, że to powietrze tamtejsze natchnęło go mową niemiecką: »bo nic nie umiając, zacząłem czytać *Jean Paula*, *Okena*, *Hartmanna* i *Nibelungi* i *Sage Frithjofa* i *Novalisa* i *Goethego*; i nie wiem, jak przyszło do tego, że ich zrozumiałem. A wtedy jakby świat nowy otworzył się dla mnie...« Następnie prawdziwy potok zachwyty nad literaturą niemiecką, zakończony pięknym wierszem Novalisa. (II, 110—111). Do Gaszyńskiego zaś pisał wtedy, że literatura niemiecka »jest to pierwsza w Europie«.

Szczególnie Jean Paul podzielał silnie na jego wyobraźnię, a wpływ tego pisarza zaznaczy się niebawem bardzo wyraźnie w stylu i obrazach fantastycznych Krasińskiego.

Dziwne są drogi wpływów literackich. Gdyby nie pobyt w Graeffenbergu, wielkie nudy w nędznej wiosce, rozmowy z dobrodusznymi Niemkami (hrabiankami Reichenbach), kto wie, czy wzięłby Krasiński kiedykolwiek do ręki romanse Jean Paula, o których wiedział z pewnością już dawniej, choćby z *motta*, przed IV-tą częścią *Dziadów* położonego. Francuzi zaczęli wychwalać tego pisarza po r. 1831, kiedy w Niemczech samych już on się stawał ledwie

że nie zapomnianym. Ale dla Krasińskiego były utwory Jean Paula zupełną nowością. Dłuższe, przymusowe z powodu zdrowia wstrzymywanie się od książek, wznieciło w nim prawdziwy głód czytania. Traf zrządził, że włanie Jean Paul'a utwory dostały mu się do rąk; zaczął je przeto gorączkowo pochłaniać. To też zachwyty i uniesienia nie miały niemal granic. Kto wie, czy w całej literaturze niemieckiej znalazłyby się podobnie entuzjastyczne pochwały Jana Pawła Richtera: »Jest to pisarz, o którego rodzaju ni Anglikom, ni Włochom, ni Francuzom się nie śniło. Jest w nim coś tak nadzwyczajnego, coś tak nadludzkiego, iż zdaje się czasem, że to był duch wtajemniczony we wszystkie niewidzialne dla nas szlaki państwa duchów. Jego fantazya umie tworzyć, jakby była Bogiem. Musisz się upić, musisz się zataczać z zawrotem w głowie, rad nie rad musisz się lękać lub zachwycać, kiedy Cię on porwie za sobą i nieskończoność, *universum*, wskazując, raz cię stawia w godzinie sądu ostatniego, znów wiedzie po ruinach wszystkich światów; to naprzemian rzeźwi cię nadzieją i przenosi cię na szczęśliwe wyspy, wśród okręgów światła, wśród tysiąca słońc i księżyców, tysiąca zórz północnych, wśród obłoków woni, wśród harmonii gwiazd, akkordów bijących zewsząd; — i tam, zgromadziwszy wszystkie dusze ludzkie, otoczywszy je aniołami, zbawia je miłością jednych dla drugich, łączy razem kochanych z kochanymi, ten milion serc i postaci rzuca w objęcia anioła śmierci, który je przyciska do łona i z tych milionów jedna tylko łza rozrze-

wnienia się tworzy, i ta łza coraz przeźroczyściej płynie w nieskończoność wieczności! Ale darmobym ci go opisywał, trzeba samemu czytać. Dostań jego *Titan*... to jest arcydzieło. (Do Gasz. 89. — 20 paźdź. 1836 r.).

Zupełnie tak samo zachwycał się Jean Paulem w liście do Reeva: »Jean Paul wydał mi się Bogiem nieznanym, który stworzył nowe krainy. Jest to dusza najświeższa, jaką znam, najbardziej dziewicza« (II, 110).

Nie możemy już tutaj rozwodzić się nad wpływem, jaki wywarł Jean Paul na niedalekie utwory Krasińskiego. Na razie niech wystarczy przynajmniej jeden drobny fakt. Do jakiego stopnia przejął się wtedy »arcydziełem« Jean Paula Krasiński, widać chociażby tylko z jednego szczegółu: druga »myśl« Ligenzy, *Sen Cezary* ma nazwisko bohatera romansu: *Titan*.

Pomimo śniegów i przenikliwych chłódów wytrwał Krasiński w Graeffenbergu do pierwszych dni listopada. Po łatwiejszym i zajmującym Jean Paulu wziął się do poważniejszych i trudniejszych *Nibelungów*. Widocznie nie zapominał o pomyśle utworu na tle lechickich stosunków i starał się o wniknięcie w germańskiego ducha. Że myślał o Wandzie, widać to z uwagi o kobietach w *Nibelungach*: »*Nibelungów* czytałem w tych dniach — może się równać z *Iliadą*, a postać kobiety lepiej niż w *Iliadzie* odbita na tle czarnem tych wszystkich rycerzy i dzikich bohaterów. Potem jest prostota, która za serce chwyta, boska prostota. Żeby autor jakikolwiek dzisiejszy francuski w czworo się skręcił, to nie podobnie uderzającego

nie napisze. Niech się wstydzą z swoją sztuką cywilizowaną przed tą dziecinną prawie chroniką barbarzyńców«. (Z Graeffenbergu do ojca d. 4 listopada 1836 r.).

W kilka dni potem opuszczał Graeffenberg, narzekając na »szelmowską kurację«, która go »osłabiła i ogłupiała«. W towarzystwie Danielewicza i D-ra Sauvana wyjechał na całą zimę do Wiednia. Stał tam 10-go listopada 1836 r.

II.

W Wiedniu zimą 1836/7 r.

Po kilkumiesięcznych nudach śląskich wydać się musiał Krasińskiemu Wiedeń rajem. Przedewszystkiem dorwał się poeta książek nowych i ludzi. Zachwycał się świeżo w Poznaniu wydanymi *Pamiętnikami Paska* i szukał w nich zapewne rozrywki dla umysłu, znękanego bardzo złem z Wołynia nowinami o Pani Joannie. Ojca swego uwiadamiał d. 26 listopada:

»Pani B. coraz niebezpieczniej chora, w Krzemieńcu. Zdaje się, iż pomieszania zmysłów dostała. Na wiosnę ma jechać do wód. Musi być źle z nią, kiedy pan feodalny na to przystaje«.

Przed ojcem udawał obojętnego. Ale co się w sercu jego działo, możemy się domyślać. Cichy ból, rezygnacya, głęboki smutek mieszczą się w kilku wierszach wtedy napisanych, które przesłał w liście do Gaszyńskiego (I, 92—94: *Mogłem być z tobą na ziemi szczęśliwy. — Chciałbym Anioła widzieć na tym grobie. — Przed nocą wieczną niech głos twój usłyszę*).

Nowości księgarskie nie zawsze sprawiały mu takie

zadowolenie, jak *Pamiętniki Paska*. Dostał w Wiedniu do rąk *Historję rewolucyi polskiej* przez Ludwika Mierosławskiego i czytając tę rzecz »w stylu rzeźnika«, trząsł się z oburzenia. Rzadko dotychczas można było spotkać w listach poety taki wybuch gniewu. Pisząc do ojca (30 listopada 1836 r.) uważał książkę tę za »świństwo, szum i głupstwo nieporównane«. Podawszy kilka wyjątków, tak dalej pisze o Mierosławskim: »Drugi Piekarski, któremu, żebym mógł, tobym kazał dwieście różeg dać, ośle uszy przypiąć, sztylet z czekolady w gębę — i puścić na świat«. Gaszyńskiego zaś zapewniał: »Jeżeli kiedy spotkam tego człowieka, to ja, albo on, chwilę gorzką mieć będzie. Mój Boże! przekleństwo Twoje na nas wszystkich spoczywa; zatrute głębie serc naszych... Z własnych braci katów nam dałeś i gotujesz na później (!)«. (1 grudnia 1836).

Być może, że niedawne z ojcem rozmowy o prześladowaniach i srogim ucisku w kraju zwiększyły jeszcze obawę Krasińskiego, by nie wykryto prawdziwego autora *Irydiona*. Tak objaśniałbym zagadkowy ustęp listu do Sołtana (z d. 5 grudnia 1836 r.), gdzie prosi go o zniszczenie jakiegoś rękopisu; u Aleksandra Torlonii w Rzymie przechowywał Krasiński kilka prac swoich. »Między temi jest podobno, z innymi papiery razem, książka rękopismowa o rozmaitych starożytnościach, którą czytał we Florencyi, tylko się nie pomył. Ową książkę, proszę cię, weź do siebie, a gdybyś wyjeżdżał z Rzymu, rzucić w kołmin lub też i zaraz to uczyni; inne papiery zostaw u Alessandra«.

Ponieważ wspólny we Florencyi z Sołtanem pobyt przypada właśnie na czas drukowania w Paryżu *Irydiona*, jest więc bardzo zbliżonem do prawdy przypuszczenie, że Krasińskiemu zależało na zniszczeniu *autografu*, którego też istotnie dziś niema; dochowała się tylko bardzo staranna, niewiadomo czyja kopia, dokonana z autografu. Przytoczony powyżej ustęp dowodzi zarazem, że były złożone w Rzymie jakieś inne jeszcze *papiery*, czyli utwory, dawniej skreślone.

Ponieważ w Wiedniu prowadzić miał Krasiński dalej kurację wodną, zależało mu bardzo na wyszukianiu dobrego mieszkania, a nie było o nie łatwo. Nie każdy właściciel domu godził się na warunki niezbędne dla lokatora: osobny pokój z przyrządami do oblewania się wodą, konewkami, balią — ani wodociągów, ani urządzeń hydroterapicznych w mieszkaniach wówczas nie znano. Znalazł poeta wreszcie odpowiednie mieszkanie na *Stubenthor Basteien* Nr. 1186. Miał tam pokój do pracy w kształcie elipsy, »ale bardzo foremny«, w niem biuro, na którem znowu rozłożył wędrowną swą, tak dla nas ciekawą biblioteczkę. Wylicza ją ojcu w liście z d. 18 grudnia 1836 r.: »*Biblia* po polsku i po angielsku, *Rituałe Romanum* w Antwerpii 1621 r. — Lwów — Kraków — *przysłowia polskie* — *Pasek* — *Szekspir* — *Muller Hist. szwajcarska*, najpiękniejsze może dzieło historyczne nowożytnych czasów; *Novalis* — *Jean Paul* — *Nibelungsnoth und Klage* — *Życie Stefana Czarnieckiego* — *Gołębiowski*, *Sismondi*, *Répub. italiennes etc etc etc Skarga*, *Virey Philosophie de l'hi-*

stoire naturelle i *Oken*«. — Jakże urozmaicony i bogaty świat ducha! począwszy od Biblii i Nibelungów, Skargi i Szekspira, a skończywszy na Novalisie i Virey'u! Zwraca uwagę naszą zupełny brak francuskiej literatury i — Byrona! Z byronizmem rozstał się poeta dawno, od r. 1832-go, a w tymże czasie mniej więcej zaczął lekceważyć Francuzów, nawet takich, jak Chateaubriand, Victor Hugo i Balzac. Zwrot ku filozofii przyrody był tylko naturalną potrzebą umysłu, zajętego zagadkami wszechbytu.

W zimie tegoż roku, korzystając z pobytu w uniwersyteckiem, dużem mieście, oddał się Krasiński studjom przyrodniczym i słuchał osobnego kursu fizyki, chemii, tudzież najnowszych na tem polu odkryć.

Rok 1837 rozpoczynał się pod złą wróżbą. Nieodstępny druh, Danielewicz, musiał nagle wyjechać z Wiednia i pospieszać do łóża konającego ojca swego. Rozstanie przyjaciół było tem boleśnieszce, że wobec nadzwyczajnych wówczas trudności paszportowych, nikt nie mógł wiedzieć, czy i kiedy się znowu będą mogli zjechać.

Zostawiał Danielewicz Krasińskiego w złym stanie zdrowia Kuracya Priessnitza żadnej nie przyniosła ulgi. Jedyłą pociechą dla samotnego poety był *Burg-Theater*, gdzie mógł zachwycać się wyborną grą aktorów. Dokładniej poznał teraz ze sceny dramaty Schillera i dawał świetną ich charakterystykę w liściach do Sołtana (str. 70: *Jungfrau v. Orléans*) i do Gaszyńskiego (108—110: porównanie Szekspira z Schilerem).

Złe wiadomości o zdrowiu jenerała, który przechodził gorączkę żółciową, nabawiły trwogi kochającego syna. Pragnął on zawsze trwałego połączenia i stałego z ojcem swym przebywania i uważał, że »takie życie w oddali i rozdzieleniu piekłem jest« (*Do Sołt.* 76). Wymownie i gorąco prosił ojca, aby z nim razem zamieszkał:

»Lepiejby nam było być razem gdzie w chacie, lub gruzach zamku na dalekich brzegach, niż żyć ciągle w bojaźni i nieustannej trosce, tęsknocie, niepokojności. Biegną dni po dniach — cóż się w losie nas obu odmiienia? Co zima, rozdzielają się nasze drogi. Jeden ciągnie na południe, drugi na północ — ni jednemu, ni drugiemu spokojnej jednej nocy niema.

Niech papa się złączy ze mną, z jedyną istotą pozostałą mu na ziemi i odpocznie gdzie pod lepszym, zdrowszym niebem. Inaczej mnie i Papie pożegnać się z życiem, t. j. z tem, co godne nazwiska życia, z uczuciem spokoju i nietrwogi. Z przepełnionego serca mówię, wiem, że słowa nie są czynem, że fala opoki nie rozbija — ale mówić muszę, ale mówię, bo czuję, bo żądam, bo pragnę — i to jedyne moje pragnienie na tym świecie, który mi przynieść nie zdoła nic inszego, ani dobrego, ani miłego, bo ni w nim, ni z nim żyć nie dozwoliły mi losy«. (Z Wiednia, 4-go lutego 1837 do jenerała).

Kiedy tak syn zapraszał ojca pod »lepsze, zdrowsze niebo«, jenerał tymczasem trzeźwo i praktycznie myślał o przyszłości rodu swego i czynił już starania o utworzenie dla tego rodu podwaliny trwałej, myślał

o ordynacyi. Dedalus chciał Ikara na ziemi utwierdzić rodzinnej i zapytywał go o zdanie w sprawie ordynacyi. Poeta oczywiście niechętny był takiemu projektowi. Nie tłumaczył się z powodów niechęci: »Tyle rzeczy o tem mam powiedzieć, że papier za krótki, a pióro za wątłe«. Chciał »ustnie« na zapytanie odpowiedzieć i odkładał rzecz całą do widzenia się latem w Kissingen. »Nie lekkie są moje przyczyny, owszem ważne, jak ołów i żelazo...« (8 marca 1837 r.).

O ile stan wzroku mu na to pozwalał, bywał Kasiński w Wiedniu w domach polskich, gdzie wszyscy go najgościnniej przyjmowali, zwłaszcza tam, gdzie były panny na wydaniu. Ale poeta doskonale zdawał sobie z tego sprawę i tak się zwierzał Sołtanowi:

»...Grzeczni wszyscy niezmiernie, ale nie dla Zygmunta, nie, broń Boże! tylko dla tej figury, co posiada coś i co doszła lat, sposobnych do zawierania intercyzy. To mnie okropnie poniża; nieraz myślę: gdybym był chudym pacholkiem, kazaliby mnie wyrzucić przez okno. Lepiej mi było z tobą palić cygaro, niż tu słuchać pochwały mojego dowcipu; lepiej raz ścisnąć twoją dłoń szlachetną, szczerą, niż tych wszystkich pięknych panien i wystrojonych matek widzieć na się zwrócone spojrzenia. Ale obserwuję świat! Uczę się w szkole podłości i próżności nie być nigdy podłym, a próżnym jak można najrzadziej! Cudze śmieszności, choć nigdy z własnych nie wyleczą, są jednak silnem lekarstwem.« (23 lutego 1837).

Bywanie w salonach polskich niebawem ustało.

Odnowiło się w marcu cierpienie oczu, a z niem nadeszły smutne dni, urozmaicone kuracją wstrętną, a najwidoczniej mylną:

»Z bolem oczów sprzężona melancholia wróciła. Czytać niesposób. Wieczorem lampy jak żelaza rozpalone mi stają w oczach, nigdzie więc i bywać nie sposób. Sam siedzę z Sauvanem lub gram najfałszywiej w świecie na harmonice. Danielewicz jak nie ma, tak nie ma. Potniję codziennie od 5-ej do 10-ej z rana, potem się wodą oblewam. Zażywam do tego proszki, które mi ściągają hemoroidy i assafetydę na nerwy. Robię, co mogę, by wyzdrowieć. Kładę się wcześniej spać — chodzę dużo, nie nie piszę — ale nie sprzyjają mi losy. Siódmy to już raz tak zapadam. A kiedy pierwszy raz zapadł, miałem lat 18ście. Wszystkie dzieje życia mego mieszczą się w tych kilku wyrazach«. (Do ojca, 27 marca 1837). — A w kilka dni potem pisał te jeszcze skargi: »na tej nędzy oczowej strawiłem najpiękniejsze lata moje i najdzielniejsze władze rozumu straciłem. Nieraz czuję, że byłbym czemsiś dzielnym, gdyby nie ta choroba — a wtedy żal nieskończony łączy mi do ocz prowadzi i płaczę sam na sam z sobą, jak dziecko. Gdy przyjdą znajomi, staram się śmiać, a oni wychodząc mówią: jaki wesoły chłopiec«.

Ojcu mogło się z daleka wydawać, że syn jego sam sobie poniekąd winien, bo zdrowia nie szanuje, a wytrwałem leczeniem odzyskać sił nie umie. Poeta czuł doskonale, jaki zawód sprawiał ojcu, którego ambicya rodowa wysokie i świetne roziła dla jedy-

naka plany; to też ze smutkiem się uniewinniał: »Czuję aż nadto, ile mój stan jest nieszczęśliwy, gdy ciągle przymusza mnie żądać od Papy ofiar, a nie dozwala mi Papie służyć, pomagać, być podporą! Jednak niech Papa wierzy, że nie nie opuszczam, by dojść do tego celu i że cały wątek życia mego obrócony na twarde i przykre leczenie się, nie na żadne zabawy lub rozkosze. Zarzuca mi Papa palenie, późne wieczory, pisanie etc etc, a te zarzuty jednak muszę odeprzeć, bo nie poczuwam się do nich. Nie nie piszę, mało bardzo palę, jeśli kiedy poszedł późno spać tej zimy, to żem musiał pójść w towarzystwie, czego sam papa nieustannie żądał odemnie. Mam ja szczególną stronę, a tą jest, że mi wszyscy, nawet ojciec, przypisują rzeczy, o których nie wiem. Jedni autorstwo, drudzy śluby kościelne, inni St. Symonistostwo... — — —

Ja 25 maja stąd wyjadę — 6-go czerwca będę w Kissingen. Niech Papa będzie łaskaw przywieść mi Narbuta świeżo w Wilnie wyszłe dzieło o Mitologii Litewskiej i Maciejowskiego o Prawodawstwie narodów słowiańskich, a jeśli co świeżego i dobrego po polsku jest oprócz tych dwóch dzieł, to o nie upraszam także«. (19 kwietnia 1837).

Gromadzi zatem coraz skrzętniej materyały do *Wandy*, którą może w Wiedniu zaczął pisać.

W tym czasie Reeve doniósł mu jakieś nieznanne nam szczegóły o Henryce Burdett, niegdyś pannie Willan, i wywołał niemi piękny list z d. 30 kwietnia 1831 r., pełen wspomnień o błogich czasach genewskiej, niewinnej miłości. *Quantum mutatus ab illo!*

Dziś całe jezioro genewskie wydawało mu się olbrzymim głazem grobowym z *lapis lazuli*, przygniatającym nieziszczone rojenia młodości... Niebawem wyruszył na spotkanie z ojcem, aby tam w Kissingen, o innej, nieszczęśliwszej rozmówić się miłości, a czuł, że »spojrzenie jedno ojca zabije w nim słowa wszystkie«. — 1-go czerwca opuścił Wiedeń w towarzystwie Danielewicza.

III.

PRZESILENIE.

Przyjeżdżał Jenerał Krasiński do Kissingen dla wzdzenia się z synem, a także dla poratowania własnego, bardzo nadwątłego zdrowia. Spotkanie było rzewne i smutne. Widywali się rzadko, a mało pociechy spotkania te dorywcze, mało ulgi przynosiły. Ojciec nalegał na powrót syna do kraju, pragnął, by raz rozejrzał się gruntownie w licznych interesach majątkowych, w do-
brach tak od siebie dalekich jak Kleszczewko pod Gdańskiem i Dunajowce pod Kamieńcem Podolskim. Syn nie mógł nie przyznać słuszności rozumowaniom ojca i rad nie rad widział konieczność wstąpienia na drogi »praktyczne«, na te drogi »sadzone wierzbami i zasypane prochem i urozmaicone to grudą, to błotem«... Poeta miał męczące jakieś (mylne) przewidywania bliskiej śmierci Jenerała, serce mu się krajało, gdy myślał o warunkach, w jakich ojciec jego życie pędzić musiał. A na domiar biedy on sam, jedy-
nak, nie mógł i nie chciał spełnić gorącego życzenia ojcowskiego. Jenerał, tworząc ordynacyą, chciał ją mieć żywą i szczęśliwą, chciał widzieć wnuków,

a niepewny zdrowia swego, naglił syna do ożenienia; już dla niego uroczą pannę w myśli obierał, już o domowym ognisku dla schorzałego tułacza myślał. Ale rojenia ojcowskie rozpraszał głuchy upór Zygmunta Krasińskiego. On czuł się związanym wobec Pani Joanny, a choć miłość pierwsza, gorąca, dawno już uleciała, zostawało ogromne, braterskie współczucie dla chorej, znękaney, a kochającej go zawsze kobiety. Postanawiał sobie być zawsze jej przyjacielem, opiekunem, w razie potrzeby obrońcą jej czci. Drżał na myśl samą o ciosie, jaki zada jej wiadomość o woli ojcowskiej, o możliwym ożenku. Stan uczuć własnych określił dobrze w tych wyrazach, przeznaczonych dla Gaszyńskiego, ale określających osobiste jego doświadczenie:

»Wiem, iż trudno kochać, kiedy miłość znikła z duszy; ale jeśli ta, którą kochałeś, ma prawo do twej wdzięczności, winienesz z nią postępować tak, jak gdybyś ją kochał. To różni ludzi od zwierząt, że mogą uczucie, popęd, namiętność zgasić, w duszy przeciągnąć w zewnętrznych czynach i idee o bo-
wiązku, czyli raczej głębię serca zastąpić serca powierzchwnią. Na powierzchni szumi egoizm jak piana, w głębi żyje szlachetność i poświęcenie, jak perły i koralowe skały na dnie morskiem. Ile razy uczujesz, że fale zewnętrzne uciły, zstąp głębiej, zanurz się w wnętrzu swoim i przysłuchaj się głosom, co tam wołają — są to anielskie! One cię zawsze na dobrą drogę zaprowadzą«... (I, 99—100).

Ale to, co on dobrą drogą nazywał, uważał ojciec za manowce. Rozmowy i namowy ojca i Danielewi-

cza nie trafiły do jego przekonania. W liście do Sołtana przyznawał, że przeznaczona mu panna »piękna jak anioł, ślicznie ułożona, wszystko w niej zapowiada dobrą żonę i tok umysłu i przyroda i wychowanie... Mówiąc po ludzku, ogromne głupstwo robić«... Jednak nie chciał się żenić i tak to przyjacielowi tłumaczył: »bądź moim sędzią; wiesz, ile kochałem tamtą i wszystkie koleje z nią przebyte. Ona całą moją przeszłość zagarnęła, ale w niej niema dla mnie żadnej przyszłości. To wiedziałem zawsze, ona to czuła, równie jak ja. Ale dla niej ja jestem wszystkim,... bom ją przed ludźmi i przed własnem jej sumieniem pozbawił pokoju, bom wygnał ją moralnie z progów domowych, bo mi ona wszystko poświęciła i dziś jest nieszczęśliwą... Teraz jedyną jej ulgą, pociechą jest myśl, że ja jej nie uwiodłem, ale że ją kochałem, myśl, że poświęciła się dla kogoś, któremu warto było tę ofiarę uczynić. Gdybym z drugą się ożenił, pchnąłbym ją w serce na wieki. Nie pojęłaby nigdy, że można pojąć inną kobietę, a zostać jej przyjacielem, bratem i kochać ją sercem, wdzięcznością«... (*Do Sołt.* — 6. V. 1837. — *Przegl. Pol.* 1877, I, 95)

Takie argumenty nie mogły przekonać i uspokoić ojca; a tak po miesięcznym wspólnym pobycie w Kissingen rozjeżdżali się w gorszych niż przy powitaniu warunkach: ojciec zagniewany, zmartwiony, że nawet łzy jego nie mogły uporu syna zmiękczyć; syn zacięty w postanowieniu wytrwania przy »ukochanej, biednej kobiecie, »czystszej przez swe cierpienia, niż inne w dziewictwie« (*do Reeva*, II, 123).

Po wyjeździe ojca, którego 8-go lipca do Erfurtu

odprowadził, wrócił Krasiński do Kissingen dla dalszej kuracyi, w ciągłym oczekiwaniu przybycia tam pani Bobrowej. Po rozprawach z ojcem czuł się bardzo wyczerpanym; zdrowie tak się pogorszyło, że ledwie mógł pisać. »Nerwy w wysokim stopniu rozdrażnienia, ręce drżą, jak u Papy. — Chodzić nie mogę, bo mi zaraz tysiąc much czarnych igra przed oczyma«. 10-go lipca pisał z Kissingen:

»Wzruszenia moralne, których doznałem, połączone ze skutkiem wód do szczętu moje nerwy rozdrażniły i codzień gorzej się mam.

Boku ból przed ośmiu laty zatracony wrócił, a dlatego żadnej ulgi oczom dotąd niema. Womity wróciły. Drzę cały jak liść. Ni sypiać, ni wyleżeć, ni chodzić długo niemogę. — — — Moralnie i fizycznie utrapiony jestem i głęboko. Lękam się myśli Papy o mnie, ale słowami ich zbijać niemogę, kiedyś zbiję je czynem. Jestem w kryzys życia mojego pod wielu względami. Nieraz będę miał w tych czasach serce rozdarte. Przygotowałem się na to i przyjąłem to, bom na to zasłużył — a potem mniej-sza o moje serce, byleby Papy serce odetchnęło, byleby Papa był jeszcze szczęśliwy. Dłużej nie mogę pisać, bo płaczę i trzęsę się — proszę o błogosławieństwo Papy«.

Nie mogąc już dać sobie rady w Kissingen, wyjechał z Danielewiczem do Frankfurtu. Pożegnał się z Doktorem Sauvanem, któremu termin trzyletniej nad nim opieki lekarskiej się kończył, a we Frankfurcie pragnął doczekać się przyjazdu z Drezna Pani Bobrowej. Danielewicz, który był między ojcem a synem

istotnie jak między młotem a kowadłem, tak opisywał Jenerałowi pobyt w Frankfurcie w liście z d. 24 lipca 1834. Znać tu wyraźnie serdeczną troskę przyjaciela o rozwiązanie pomyślnie smutnych komplikacji. Wspomniawszy o przykrych wrażeniach, które Jenerał wywieść musiał z Kissyngi, pisze dalej druh Zygmunta:

»Wyjechaliśmy z Kissyngi, żeby ustąpić miejsca Pani B., która tam ma przyjechać... Nie bardzo się spieszymy do niej. Bardzo się o przyszłość boję. Już cały arsenał argumentów wytoczyłem, jakie mi tylko i przyjaźń i zresztą słuszną indignacya przeciw temu wszystkiemu podyktowała. Ale jest zacięty w swoim uporze, — słucha, przyznaje, potem sofizmem się wykręci i swoje dalej ciągnie. Zresztą nie trzeba zbytniego wysilenia, żeby przekonać, iż takie igranie ze wszystkim, co jest świętem u ludzi, bo z jednej strony z miłością, której tutaj jest tylko *fac-simile*, z drugiej z tysiącem ważnych obowiązków — nie jest ani pięknym, ani zacnym, ani szlachetnym. Takiego zarzutu bardzo się boi, a przecież nie widzi, że mu tutaj go uczynić można.

Pani B. z drugiej strony pisze raz listy rozpaczne *avec passion, abandon et oubli de toute sorte d'égards*, drugi raz krótkie z pryncypiami, wyrzutami i odpychaniem od siebie. — Toż to jest nieszczęście, że nasze Polki nie mają wyobrażenia, co to są pryncypia i albo ich wcale nie mają, albo tylko w czasie ataków nerwowych(!). Słusznie też w Europie używają porządnej reputacyi, szczególnie wojażerki. — Że to jest dobra i słodka kobieta, to nie

sekret. Ja mam dla niej wiele politowania, gdyż będąc prawie ciągłym świadkiem tej historyi, wiem, że wcale się do niej nie przyłożyła, aż po długich oporach — ale zbyt wielkiego szacunku dla niej niemam, za to, że chociaż tak silnym atakom moralności jak mało Polek podlega, dała się ująć jednakże w tak niezgrabne i niemoralne sidła, jak są te, które Z. zwykle zastawia kobietom». —

Zanim nadjechała do Kissingen Pani Joanna, Krasiński miał chwilę błogą wytechnienia w Frankfurcie przy boku Reeva, którego od lat pięciu nie widział. Ale Reeve podobnie jak Danielewicz, nie mógł pochwalić miłości przyjaciela. Anglik widział przede wszystkim to tylko, co było *shocking* w uczuciach Krasińskiego dla kobiety zamężnej i matki. Na niedolę serca patrzył Reeve krytycznym okiem »prawodawcy, moralisty lub filozofa« (II, 125). — Po krótkim a serdecznym spotkaniu się z przyjacielem lat genewskich, miał wreszcie ujrzeć w jakimś czasie potem tak tęsknie oczekiwaną Panią Joannę, która z dziećmi i jakąś starszą towarzyszką przybywała do Kissingen na kuracyą. Należało zachować wszystkie ostrożności i względy światowe. Krasiński pozostał w Frankfurcie; zrzadka dojeżdżał do Kissingen. Chwile tam spędzone opisał poeta w listach do Sołtana i do Reeva. Prof. Tarnowski, który czytał wszystkie jego listy do Sołtana, nam dziś niedostępne i nieznane, tak streszcza ważne ówczesne wyznania Krasińskiego:

»...Na myśl o tem spotkaniu przejmuję go jakiś strach: ona w tak dziwnym stanie, ona go męczy

ciągłymi przeskokami od namiętnych wybuchów do mroźnej obojętności. Miłość nie nie warta, przyjaźń jedna nie podlega zmianom; ta kobieta jest niższą od jego wyobrażenia o niej, niższą nawet od niego samego;... czytając takie słowa, zdaje się, że miłość skończona. Ale ona przyjechała i dawne uczucia obudziły się, zajaśniały, wybuchły może z dogasającą już, ale z wielką siłą:

»Widziałem ją przez trzy dni — (list LXI bez daty); — co się z tego widzenia w sercu mojem zostało, reszty mego życia będzie towarzyszem: zgryzota, smutek, przywiązanie. Powiem ci, żebyś jej nie poznał; smutek i choroba tak ją przetworzyły. Tem droższa dla mnie. Oczy jej z błękitnych w ciemne, przygasłe się zmieniły; piękność lica pozostała, ale martwa, osłupiała, a w duszy nie prócz bólu ciągłego, mąk ciągłych i miłości dla mnie«... (*Przeł. Polski*, t. I. c. 96—97).

Dokładniej przedstawił krótkie chwile ówczesne w liście do Reeva:

»Było kilka smutnych spotkań; zgadnij gdzie? na cmentarzu, bo wszędzie indziej bywały tłumy gości kąpielowych. — Tam wśród grobów niemieckich, pokrytych kwiatami, spędziłem z nią dziesięć do piętnastu wieczorów letnich; jeśli nas burza zaskoczyła, mokła do suchej nitki. Nie bladła podczas grzmotów jak dawniej. Stała tak na mokrych trawnikach w sukni jedwabnej z paryskim kapeluszem na głowie, z dłońmi swemi w mych dłoniach. Słowem, była to kobieta, która doszła do ostatniego stopnia egzaltacji,

bez względów na konwenanse światowe; spokojnie patrząca na to, że towarzystwo niebawem ją odrzuci; w świecie tym zapatrzona tylko na tego, który nie powinien był nigdy doprowadzić jej do tak ponurej ostateczności.

»A więc przyszła mu do głowy myśl rozpaczliwa i miłosna. Chciał się dla niej poświęcić. Napisał do ojca swego, że chce ją nakłonić do rozwodu i ożenić się z nią. Tu rozpoczyna się okrutna tragedia. Ojciec nie odpowiedział nic; odpisywał tylko przyjacielowi (Danielewiczowi). Zagroził synowi przekleństwem; zarzucił mu, że go do grobu wpędza; oświadczył, że nigdy takie małżeństwo nie dojdzie do skutku, chyba po procesie z ojcem i po rozstaniu się z nim raz na zawsze, na życie całe. Co mógł zrobić syn wobec tak strasznych pogroźek? Czy miał prawo wyzywać przekleństwo ojca? czy miałby do tego serce!« (II, 128—129). — Tak tedy miał Krasiński do wyboru: albo zerwać z Ojcem, którego kochał, albo z Panią Bo brową, dla której czuł już nie miłość kochanka, ale wielkie współczucie i wdzięczność za wszystko, co z jego winy wycierpiała. Był jak w matni, z której napróżno szukał wyjścia. Po rozstaniu z Panią Joanną pospieszył w końcu sierpnia do Wiednia, gdzie znowu jesień i zimę miał spędzić.

A tak lato, które mogło mu być ulgę jakąś i polepszenie zdrowia przynieść, zeszło znowu na udęczenia fizycznych i gorszych jeszcze — moralnych. Otwarcie ojcu się przyznawał: »jej nie mogłem przestać kochać. Dzisiaj sercem ją kocham, — nie miłością własną«. (9 września 1837 z Wiednia). W końcu

września wyrwał się bodaj na dwa tygodnie do Drezna, by tam znów ujrzeć Panią Joannę (*do Reeva*, II, 126); już powóz stał przed domem, już miał ruszyć w drogę pomimo zaklinań i perswazyj Danielewicza i Sołtana, kiedy wtem »widmo« ojca go powstrzymało... Na samą myśl, czem się ta podróż może stać dla ojca, rozplakał się i — został w Wiedniu.

Nie trzeba sądzić, że tylko nieszczęśliwa miłość była źródłem rozpaczliwych szamotań się poety. Ciągła myśl o Jenerale, o tem, gdzie przebywa i dlaczego tam przebywa, także go rozdrażniała i tkwiła w nim jak cień dotkliwy:

»A zatem Papa wraca do Petersburga. Trzeba przyznać, że gdziekolwiek spojrzeć, to wszędzie zdaje się nas ścigać jakaś fatalność nieskończenie smutna. Ona to moją młodość zniszczyła, jak się Papa wyraża, w samym jej zarodzie i daleko dawniej od nastania przyczyn, którym brak świeżości we mnie Papa przypisuje. Jedno poszło z drugiego. Przed czasem starym i smutnym zostałem. —

Gdybym nie miał w sobie takich zarodków smutku, niesmaku i wstrętu od świata, pochodzących z wyższej siły t. j. z natury rzeczy i okoliczności, nie byłbym chorował, gdybym nie był chorował, byłbym żył w świecie i nauczył się potrzebnej czasem umiejętności zacierania wrażeń wczorajszych dzisiejszymi, dzisiejszych jutrzejszymi i t. d.

— — Jestem w położeniu moralnem tak trudnem do wytrzymania, że niemam chwili pokoju ni we dnie ni w nocy. Włosy mi precz siwieją od

okropnych bólów nerwowych w głowie. Nieznośnie mi — nudno — boleśnie, pełno wyrzutów i przeczuć czarnych. A świeżości duszy nie a nie. To Papa odgadł — to jest moją chorobą nadewszystko. W duszy, jak ciele, silne muszkuły i kości — ale nerwy zepsute. Czasem się zamknę i po całych godzinach płaczę. Ni z Sołtanem, ni z Danielewiczem już nawet rozmawiać długo nie mogę». (28 września 1837).

Te bóle nerwowe w głowie tak się powtarzały, że z początkiem października lękał się o swe zmysły. Zdawało mu się czasami, że »mózg mu puchnie w nieskończoność«. Czuł wstręt nieprzewyciężony do całego swego otoczenia, »do światła, do krzeseł, do ludzi«. Wyobrażał sobie wtedy, że »sama essencja życia jest dotknięta«. I z rozpaczą wołał: »z tego wyrwać się trzeba, koniecznie trzeba!«

Godził się z przekonaniem ojca, że to kara za zło wyrządzone, zapewniał go, że »godzina rozkoszy minęła dla mnie, a wybiła kary« i że w końcu ojciec może na to liczyć, iż syn jego będzie wobec niego zupełnie bierną istotą«. (12 października 1837).

Dochodził poeta do ostatecznych granic nerwowego rozstroju, skąd krok już tylko do naruszenia całości zmysłów. Na domiar złego Danielewicz sam tracił już cierpliwość i mimowoli mógł zbyt ostrem słówkiem do reszty rozjątrzyć otwartą ranę serdeczną. Mamy tu wrażenie, że Krasiński potrzebował wówczas raczej niewieściej, macierzyńskiej lub siostrzanej dłoni dla ochłody rozpalonego czoła — a nie filozoficznych argumentów. Danielewicz był już sam cią-

głem z nim obcowaniem zbyt podrażniony, by mógł mu ulgę jakąkolwiek i pociechę przynieść. Widzimy to dziś jasno z następującego listu Danielewicza do Jenerała. Jest tam bardzo dużo słuszności — ale nie-słychanie mało współczucia. Przypomina się nam rozmowa księdza z Gustawem w czwartej części Dziadów: »Znasz ty Ewangelią? — »A znasz ty nie-szczęście?«

Oto ważny i dobrze obu przyjaciół charakteryzujący list z Wiednia, z d. 15 października 1837:

»Im bardziej zastanawiam się nad tak długoletnimi związkami młodego człowieka z podstarzałą kobietą, obłożoną dziećmi, bonami, schorzałą i kwaśną, nie mogę przypuścić, żeby były naturalnymi i chyba przez jakieś pomieszanie zmysłów, albo przynajmniej monomanię wytłumaczyć je sobie mogę. Nieraz mnie ta myśl seryo zastrasza, bo kiedy za nadto mi udam przeciwko tym związkom, albo gdy mi się uda ich śmieszność naocznie wykazać, napadają go jakieś *szczególne akcesa*: chodzi po pokoju i jedne słowa sto razy powtarza, że aż mi dreszcz po nerwach przebiega. Niech mi JWPan wierzy, że każda minuta, w której się spotykam z tym wszystkim, jest mi zatrutą tym lub owym sposobem — i że gdyby miało takie życie dłużej potrwać, to chybabym wolał sam placu ustąpić, niż to dłużej cierpieć.

Czyż to nie jest najsmutniejsza rzecz pomyśleć, że te pięć lat, w których Opatrzność nam pozwoliła ode-technąć w świecie obcym i nowym, przeszły prawie całkiem w nudach, kwasach i kontemplacji starej baby, po którą nie potrzeba było tak daleko jeździć.

Gdyby to jeszcze było na wsi, tobym się nie dziwił, ale żeby w całej Europie młody człowiek nie znalazł interesu innego, nad ten jeden, tak oryginalny do tego, to mi się w głowie pomieścić nie może.

— — Znając Panią B., nie mogę jej wszakże nie oddać w niektórych rzeczach sprawiedliwości, między innymi, że nie ona temu wszystkiemu winna, ale choćby była aniołem, to zawsze będę nienawidził tych stosunków, bo rzeczy przyszły do tego, że nam chodzi o życie lub śmierć. Z Zygmuntem już wyczerpałem wszystko, co można było, już nie nowego mu powiedzieć nie mogę...

Albo zmora ustąpi, albo ja zupełnie ustąpię.

I »zmora« nie ustąpiła i Danielewicz wytrwał. Z całego opisu powyższego widać wyraźnie, że Krasziński skutkiem wadliwego i forsownego leczenia zimnemi kąpielami, a potem wodami w Kissingen pogorszył tylko cierpienia swe nerwowe, które my dziś zbiorowem obejmujemy mianem: neurastenii. Danielewicz, jako bystry i spokojny obserwator, świetnie scharakteryzował tę chorobę, nie domyślając się nawet wówczas jej dzisiejszej nazwy:

»Stan jego moralny jest prawdziwie zastraszający. Jest to kompletna bezwładność, nuda wieczna i jakieś uparte zajęcie się jedyną kobietą i zgola niczem więcej. Jest w stanie przyjść nietylko do mnie, ale do mniej poufałych osób i tam pięć godzin na jednym miejscu przesiedzieć lub przeleżeć bez powiedzenia słowa jednego, bez dania znaku życia. Niech JWPan nie myśli, żeby tu jedno słowo było przesadzone. Jest to po prostu dusza, która

od dnia do dnia wolę traci i dochodzi do kompletnej bezwładności».

Listy ówczesne generała przyczyniały się także do pogorszenia takiego stanu. Zawierały zapewne ciągle wyrzuty, wypominania z powodu skrytości charakteru syna itp. Zygmunt Krasiński bronił się, jak mógł: zaznaczał, że od dzieciństwa przyzwyczajony był wszystko ojcu mówić i że dusza jego zawsze przed ojcem »odkryta i naga stała«. Generał, z odległości, nie zdawał sobie sprawy, ile ostre jego słowa sprawiają bólu znękanemu synowi, chociaż ten wprost mu pisał: »Każde słowo każdego listu Papy jest nożem mi w serce«. (18 paźdz. 1837).

Generał na seryo zaniepokojony był zamiarem syna, który w Kissingen jeszcze marzył o związku legalnym z panią Bobrową po wyrobieniu jej rozwodu. Nie dowierzał wszelkim zapewnieniom poety; żądał od niego koniecznie przysięgi na duszę nieboszczki matki, że się z panią Joanną nie ożeni. Złożył taką przysięgę Zygmunt Krasiński w liście z d. 28 grudnia 1837 r.

Donosząc o tem Reevowi wyznawał, że jest nieszczęśliwy, bo przewiduje teraz smutny koniec kobiety, czuje cały ogrom swej odpowiedzialności i wie, że kiedyś na sądzie ostatecznym opowiedzą mu raz jeszcze całą historję jego miłości. Zapóźno stawiał sobie zapytania: »Dlaczego nie przewidziałem niczego w pierwszym dniu naszego spotkania? dlaczego wówczas byłem ślepym, a teraz tak jasnowidzącym? Bo szczęście zakrywa nam obraz nędz ludzkich, nieszczęście odłania je wszystkie naraz«. (II, 130). Mógł

po prostu powiedzieć, ale nie śmiał: »bo wtenczas ją kochałem i pragnąłem jej miłości, a dziś mam dla niej uczucia brata dla nieszczęśliwej siostry«.

W takich to ciężkich smutkach, strapieniach i cierpieniach wszelkiego rodzaju kończył rok 1837. Zdawaćby się mogło, że nie było w nim czasu i miejsca na jakąkolwiek pracę poważniejszą, na jakiś pomysł literacki lub utwór poetyczny. Duch słabszy, dusza zwykła, byłaby się ugięła i spłaszczyła pod brzemieniem tylu trosk serca i bólów ciała. Ale Krasiński marzył i tworzył nawet w cierpieniu, albo raczej pomimo cierpienia. W listach do przyjaciół mamy liczne wzmianki i dowody żywej czynności umysłowej. Choroby, pozbawiające go sił fizycznych, nie pozwalały oczywiście na wykonanie planów twórczych; nie mniej ciekawe są i ważne dla historii jego ducha wszelkie wzmianki o zamierzonych utworach.

W tym samym, długim liście do Gaszyńskiego, zawierającym znane nam prostowanie i odparcie zarzutów Ulrycha co do *Irydiona*, znajdujemy także plan nowego, widocznie zamierzonego, może już rozpoczętego utworu. Gaszyński zachęcał Krasińskiego, aby podjął tak wdzięczny i tak patriotyczny temat Konfederacji Barskiej. Krasiński twierdził wprawdzie, że to »przedziwny temat«, ale wyznawał, że nie czuje sił do niego. Dodajmy zresztą, że prawnuk marszałka Konfederacji Barskiej nie byłby nawet mógł z wszelką swobodą wystawiać owe czasy bez obudzenia podejrzeń i zarzutów, że szło mu o sławę swego rodu. — Natomiast inne snuł

wtedy pomysł: »*Kilka rzeczy on zaczął*, ale dalej ich ciągnąć nie umie, nie chce mu się. Wandy myt jest precudownym dla poety, który pod jego postacią pojmie wieczne losy Polski, zagarnianej ciągle cudzoziemczyzną, a wolącej zawsze w przepaść skoczyć, niż się jej poddać. Różne także komiczne, humorystyczne wiły się zamiary w jego głowie; ale to wszystko oporem stąpa i najczęściej leży odłogiem. On jest w tej porze życia, w której wszystko pod wątpieniem schnie i męczy się. Niech mu Bóg dozwoli z tej toni z nową i męską wynieść wiarą« (I, 116).

Że o »Wandę« w dawniejszych już przygotowywanych studyach chodziło, widzimy to teraz wyraźnie. Autograf świadczy, że początek jej datuje się z r. 1837. Widocznie brak sił, brak natchnienia przerwał i ten utwór i innych »kilka rzeczy«, o których tu mowa. Wprawdzie Gaszyński chciał dodać Krasińskiemu otuchy, twierdząc, że do pisania nie potrzeba »podżegacza żadnego materyalnego«, ale Krasiński innego był zdania: »Praca rąk i nóg — odpowiadał przyjacielowi — na codzień przeznaczona człowiekowi, tę odbyć może bez rozdrażnienia nerwów; ale natchnieniem się nie napoi, jeśli wprzód mózgu nie nastroi na nutę natchnienia«. Otóż o nastrój taki było mu bardzo wtedy trudno: »Świeżości za grosz niema w wyobraźni mojej. Wszystko wewnętrzne moje zdaje się jednego losu doznawać z tem, co zewnątrz mnie jest. Gnije wszystko pod ręką konieczności«. Nie mniej przeto zdawał sobie poeta dokładnie sprawę z tragiczności epoki, w której

mu żyć przyszło. Przepowiadał w wspaniałych i łzami przepojonych słowach przyjście po wielu latach poety jego własnych czasów: »Przyjdzie dusza na świat, która w dzisiejszem położeniu rzeczy się rozpatrzywszy, przejmie się chwil naszych goryczą i tragiczność ogromną z niej wydobędzie. Słuchając jej słów, zapłaczą potomki, dowiedzą się, jak marnie życie nam upłynęło, jak gorąco wzywaliśmy czegoś, co by pociechę nam w sercu orzeźwiło; jak stateczną myślą w głębi ducha przeczyliśmy widomej potędze i zdarzeniom otaczającym, jak pozbawieni nadziei mieliśmy do walczenia przeciw pokusom wielu i radom własnego rozsądku i burzom własnej rozpacz i słabościom znużenia; jak w każdym dniu ciśniej nam było, każdej nocy niecznośniej i samotniej; jak wreszcie zapadliśmy w wstręt i świat zmierzili, czekając, jak zbawienia, śmierci podłej na łożu, lub niepamiętanej wśród nieznanych i obcych.

Taka tragiczność będzie sto razy straszniejszą i pełniejszą bólów, niż dzisiejsze dramata, przeznaczone oczom cheiwym dekoracyj, ubiorów, morderstw i wszeteczności. W niej męka ducha wystąpi, jak otchłań głęboka, a na ustach będą malować się znikome ciężkiego udawania uśmiechy. Powiadam ci, płakać będą nad nami! To jedyna nieśmiertelność nasza« (Do Sołt. 99—100).

Ilećroć w miejscach kąpielowych zagranicznych spotkał Krasiński rodaków, zawsze dawało mu to powód do narzekania na rozpanoszenie się obcego żywiołu w Polsce. Tak, jak poprzedzającego roku na

żydów, tak teraz narzekał na przechrztów, »najbezcenniejszy ród, który krajem wreszcie owaładnie, jak *tiers-état* owaładnęło Francją«. Traf zrządził, że przez Kissingen przejeżdżał »cny i godny wyobraziciel plemienia swojego, ex-sekretarz dyktatora«. Podrażniony widokiem spanoszonego przechrzty, który wyglądał na »księcia jakiego z Moskwy lub Trebizundu«, poeta zbyt pochopnie uogólnił sprawę i z jednodostki wnioskował o całej klasie społecznej: »Ta dziwna mieszanina złota zewnątrz, a błota wewnątrz dziś panuje w Warszawie«. Bał się tego panowania Krasiński ze względu na przyszłość Polski. Jej pomysłość upatrywał on w »ocaleniu szlachty, w pogodzeniu się jej i w pojednaniu z ludem wiejskim. W tem widział jedyny zaród siły; a po latach wyrazi to w słynnym wierszu: »Jeden tylko, jeden cud...« Nie innemu stanowi, nie obcemu w Polsce »nienarodowemu« *tiers-état* powierzał on moralne przewodnictwo nad »tłumami«, tylko szlachcie — a na lat dziewięć przed galicyjską rzezią ostrzegał: »Kto zamierza szlachtę wyrznać, ten nędznie jest głupim, ten niewiniątkiem większym, niż dziecko u piersi, ten niema wyobrażenia o rzeczach, ten gada próżne słowa... Wzrosliśmy szlachtą i upadliśmy szlachtą; przez nią się podźwigniem, przez to, co jest nami samymi«. (I, 121).

Niebawem spotkanie z Reevem, rozmowy z nim o kwestyach społecznych na zachodzie, zwróciły znowu myśli autora *Nieboskiej* ku zagadnieniom ogólnodziejowym. Reeve od dwóch lat zaprzyjaźniony był ze znakomitym autorem dzieła o *Demo-*

kracyi w Ameryce, Alexym de Tocqueville. Zaciekawiony opowiadaniem przyjaciela swego o tym niepospolitym »adwokacie«, rozpoczął Krasiński w Wiedniu studyowanie nieznanego dotychczas autora, a niebawem »pochłonał go« z zapalem i odtąd miał dla niego »głęboki szacunek« (II, 126). Zachwycał się jego stylem, ideami, duchem dzieła o zapachu enoty starożytnej i uważał je za »metafizykę narodów«.

W tych słowach odnajdujemy autora *Nieboskiej*. Ale czytanie Tocqueville'a było tylko krótkim wytchnieniem między jednym a drugim cierpieniem. Zbliżył się okres najgorszego rozstroju nerwów, który wydawał się samemu Krasińskiemu zapowiedzią »niezawodnej zguby«, bliskiej śmierci; wtedy posyłał Gaszyńskiemu na pamiątkę »po człowieku, po przyjacielu, nie po sztukmistrzu« smutne wiersze: »Serce mi pęka, światło się umyka z przed oczu moich«. (9 listopada 1837).

Wymówki Danielewicza o straconych latach młodości odniosły w końcu ten skutek, że poeta zaczął żałować sił zmarnowanych. Ambicya autorska stanęła do walki z porywami szlachetnego serca i z ust poety wymknęły się skargi, o których lepiej, że Pani Joanna nie wiedziała:

»Gdybym nie kochał śmiertelnej piękności
I ust nie złożył na widomym czole,
Byłbym tą iskrą spadłą mi z wieczności
Pożar rozniecił na ziemskim padole
I duszę moją pozaludniał tłumem
Żyjących myśli...
Byłbym się wyniosł nad głowy współbraci!
Dziś już zapóźno!...

Czuł, że miłość w nim obumierała, powtarzał prześliczne wiersze:

Des Lebens Mai blüht einmal und nicht wieder —
Mir hat er abgeblüht —

zazdrościł Gaszyńskiemu »serca prawego, tkliwego, niezatrutego samolubstwem, ni próżnością, nie goniącego za blichtrami i fałszem« i odślaniał przed nim tajniki swej duszy: »Ty nie będziesz nigdy czuł rozdzierających męczarni dumy, która celu nie dopięła«...

Tak schodziła mu zima w Wiedniu z r. 1837/8. *Burg-Theater* skracał mu wieczory długie, ale dni, tygodnie, miesiące wlokły się leniwo wśród gorzkich rozmyślań. Danielewicz nie tracił wprawdzie nadziei, że druh jego wyjdzie zwycięsko z przesilenia, ale samo to przesilenie określał jako bardzo poważne:

»...to co on teraz już wycierpiał i cierpieć musi może jest silniejszą karą, niż było przewinienie. Jest to z rodzaju tych cierpkich doświadczeń, które mogą zupełnie uformować mocny charakter, albo do reszty zniszczyć słaby. Daj Boże, żeby mu to na dobre wyszło. Każdy list, który odbiera czy z Petersburga, czy z Drezna jest dla niego ciosem śmiertelnym i stawia go w trudnym położeniu między dwoma stronami. —

— — Przykro mi jest widzieć Z. igraszką szaleństwa babiego, ale że to szaleństwo sam wywołał, wymęczył, wyprosił, dzieł jego stąd cierpienia i trwogę, aby się katastrofą nie skończyło, bo choćby waryacya np. pani B. była skutkiem skłonności i choroby, niktby mu nie wyperswadował, że on nie był do

niej powodem i dlatego Boga proszę, żeby nas od tego uchował«... (Z Wiednia do generała, 9 lutego 1838 r.).

Im smutniejszą była terazniejszość, tem idealniejszą, świętszą, lepszą wydawała się przeszłość, kraj łal dziecinnych, niezaburzony błędów przypomnieniem, nie podkopany nadziei złudzeniem.

Był zwłaszcza jeden dzień w roku, poświęcony takim wspomnieniom; to rocznica urodzin, dzień 19-ty lutego. Poeta robił w nim jakby obrachunek i przegląd wspomnień; zestawiał je z obecną chwilą i zawsze wołał przeszłość. Tak było i w r. 1838; dnia 19-go lutego pisał do ojca:

»...dziwnie się przed myślą moją wiły wspomnienia dzieciństwa: te wszystkie rocznice moich urodzin w Warszawie, te zamki z kartonu w ogrodzie naszym i zbroje i szyszaki i kolacye i ci sprowadzani przez Osińskiego lub Rybczyńskiego kuglarze... Jakże świat się mój wewnętrzny i zewnętrzny odmienił — nie może już wspólnego niemam z istotą, która wtedy igrała w płaszczu templaryusza po trawnikach ogrodu — nie — prócz jednego uczucia: miłości do ojca!«

Generał nie rozrzewniał się jednak temi wspomnieniami, bo zależało mu przedewszystkiem na tem, aby syn zerwał stanowczo i raz na zawsze z panią Bobrową. Wojskowy »klasyk« zarzucał swemu »romantykowi« pewne pieszczenie się sobą i swą sytuacją. Nazywał to »melodramatyzacją«. Jedynak w zasadzie doszedł pod wpływem gróźb i próśb ojcowskich i przyjacielskich — bo ani Reeve ani Danielewicz nie szczędzili swych rad i napominań — do przekonania, że

rozstanie się z panią Joanną było nieuniknione. Różnił się tylko z ojcem swym co do sposobu postępowania. Jenerał chciał poprostu jak szablą przeciąć węzeł; syn, czujący całą swą wobec pani Bobrowej winę, pragnął łagodną, przyjacielską ręką węzeł rozplątać i zwolna nici wiążące ich rozsunąć i rozłączyć. Zaklinał ojca, aby pozwolił mu działać i zaręczał, że dopnie celu. Spowiadał mu się z zamiarów swych w pięknym liście (d. 15 marca 1838 r.), w którym szlachetność jego postępowania tak silnie przemawia, że gniew ojca powinien był chyba czuć się rozbrojonym:

»...Zarzuca mi Papa zawsze melodramatyzacyą. I to jest prawdą, ale prawdą przeszłości, nie istniejącą już dzisiaj. Kiedy pierwszy raz, złożony chorobą i pochodzącym z niej smutkiem, ujrzałem tę kobietę w Rzymie, kiedy z nią bywałem w Florencyi i Wenecyi, przyznaję, że moje młodociane uniesienie samo z siebie przybierało dramatyczne barwy, lubiło sobie układać sny szczęścia, obrazy romantyczne w okęgach jej się tyczących. Lecz teraz zanadto wypił goryczy, sączonej kropla po kropli w różnolitych kubkach, by jeszcze jaki kwiat tego rodzaju mógł rósć w wyobraźni mojej.

Dziś rzeczywistość naga stoi przedemną. Boleść wygnała złudzenie. Jednej tylko pragnę rzeczy, by ukoili się jej serce; a jej serce ja zraniłem, ja obróciłem na wspak kierunek, w którym bić zawsze powinno było! Teraz Papa zapewne pomyśli, że jeśli melodramat ustał, to miłość własna dotąd panuje. I to jest prawdą, ale prawdą przeszłości. Przyznaję,

że dawniej uważałem za dosyć chlubne, osiąść kobietę, której wdzięki sławiono, której dobrą sławę ogłaszano. Lecz teraz oczy moje dowiodły mi, że przestała być piękną, Danielewicz przekonał mnie, że stara, zgadzam się z Panią Załuską, że nie jest rozumna, jakież więc pokarm znaleźć w niej jeszcze zdoła moja próżność? — — Cóż więc dotąd jeszcze stanowi spójnię, trwającą między nami? Szczerze Papie powiem: rzecz wyższa od melodramatów i próżności i namiętności wszystkich, przekonanie obowiązku, przekonanie, że wdzięczność jej winien, jasne pojęcie postępowania mojego z nią, które ją przywiodło do smutnych rezultatów, wzdraganie się serdeczne przed myślą, że mógłbym gwałtownem zerwaniem przyprowadzić ją o rozpacz, wreszcie to, co się zowie delikatnością, dobrem sercem, przyjaźnią, to co przykazuje mi być raczej ofiarą niż katem!... — Ale niech Papa nie myśli, że przez to ja zapowiadam przeciągnięcie długie jeszcze tych nieznośnych stosunków. Gdybym poszedł za jego radami, skończyłbym je tragicznie — ale ja chcę skończyć prozaicznie, naturalnie, spokojnie, chcę by rzecz sama przez się się skończyła. To wziąłem na siebie, tego dokonam, lecz na to potrzeba mi wolności.

— — I to, czego Papa żąda się stanie, a z drugiej strony nie potrzeba będzie ofiary. Tę kobietę kochałem, ta kobieta dobra była dla mnie. Zachowam względem niej wszystkie kształty przyjaźni, wszystkie ostrożności czułości, ani jej dumy, ani jej serca nie zranię; wsparta na mojej ręce dojdzie do punktu

pożegnania, sama mnie pożegna, ja jej nie odepchnę. Zdaje mi się, że gdyby kto inny, nieznajomy, obojętny, tak myślał i czynił, papa by uznał, że dobrze myśli i czyni. —

Dziś, dziś powtarzam, że już tylko jestem jej przyjacielem i jako przyjaciel z nią postępuję i postąpię.

Taki sobie założywszy plan postępowania spokojnie już wyczekiwał Zygmunt Krasiński wiosny i lata. Wiedział, że miesiące jego pobytu za granicą już są policzone, że paszport jego pięcioletni się kończył, i że w pierwszych dniach Czerwca musi stanąć w Opinogórze.

Ze spokojem względny wróciła ochota do pracy; — widocznie rozmyślał dalej nad „*Wandą*“ i gromadził do niej materiały, o czym uwiadamił ojca d. 11 kwietnia:

»Ważne mam wypisy z mitologii słowiańskiej i czasów przedchrześcijańskich, które chciałbym Papie pokazać. Czy przywieść je?«

O powrocie do Polski myślał ze smutkiem głębokim.

»Mój powrót blizki rzucił mi na duszę zasłonę z krepy czarnej«. (*Do Gasz.* 131). Nie wiedział, na jak długo wraca, a przyszłość przedstawiała mu się w barwach szarych, bardzo prozaicznych; »w postaci wołów, pługów, kapusty, zboża, kartofli i alembików gorzelnianych«... (*Do Reeva* II, 131). Czuł on, że kończy się epoka młodości jego i wzywał przyjaciela z genewskich czasów, aby różami alpejskimi grób młodości tej obsypał, a wodą Lemanu go pokropił.

Lękał się, że zrobią z niego tęgiego hreczkosieja, a *perfect country gentleman*, i temi ponuremi obawami zamykał ostatni swój list do Reeva, z d. 12 kwietnia 1838 r. Żegnał się także bardzo czule z Gasińskim, bo z Polski do emigranta pisać nie śmiał: »teraz będziemy odmurowani jeden od drugiego«. Na pożegnanie dawał mu rady znamienne i charakterystyczne. Znać w nich, że z przesilenia już wychodził zwycięsko, że odnalazł źródła otuchy i pocieszenia:

»Szukaj pociechy w świecie ducha, bo w innym prawdziwej nie znajdziesz... Strzeż się miłostek, a jeśli kiedy z miłością się spotkasz, a okoliczności sprzyjać będą, kochaj i ożeń się... Co do prac umysłowych, zapoznaj się z niemiecką literaturą i filozofią. Czytaj jeśli będziesz mógł dostać Novalisa i Estetykę Hegla... *Religijne uczucia pielęgnuj* i karm w sobie. Jest to klejnot, bez którego perły poezyi nie umieją stać rzędem, padają jedno po drugim i pękają na ziemi... Nie zazdrość mi, że wlokąc swój pogrzeb dalej, wracam na bratnie cmentarze. Wierz mi, tobie na duchu lepiej będzie, niż mnie. Zresztą każdy z nas, odbywamy inaczej próbę narzuconą przez losy na plemię nasze. O ile wytrzymamy ją, o tyle będziemy enotliwi i piękni; a kiedy miną te pozorne widziadła, nazwane światem i naturą, staniam się w Duchu, Duchem wolnym i nieskończonym«...

Z temi wzniosłemi hasłami opuszczał Wiedeń dnia 14 maja 1838 r. — Wyjeżdżał stamtąd, przebywszy już ciężkie wewnętrzne przesilenie, jako duchowy

rekonwalescent. Dążył na ostatnie spotkanie z tą, którą kochał lat kilka szaleńcem młodzieńczym, a dla której miał już teraz uczucia wznioślejsze, przyjaciela i brata. Chciał powitać raz jeszcze, a zarazem pożegnać na zawsze tę, której nigdy żoną nie nazwał,

A która była mu więcej niż żona,
Siostra, kochanka, niż wszystkie imiona,
Którymi ludzie kochanie przewali

IV.

Ostatnie spotkanie.

Na Ołomuniec i Hof podążał Krasiński z Danielewiczem do Salzbrunn na Śląsku (niedaleko Wrocławia), dokąd przybył d. 19 maja 1838 r. Widocznie zdrowszy, opisywał zaraz Sołtanowi obszernie przygody swe w okolicy Lubnika. Zachwycił się pięknem położeniem zamku Fürstenstein i samym tym zamkiem starożytnym, który obudził w nim dziwne tęsknoty za upłynionymi wiekami i ludźmi okutymi w żelazne zbroje. Zazdrościł tym panom feudalnym, on, autor *Nieboskiej*. Pomimo zupełnie szczerego i głębokiego przekonania, że »świat, że ludzkość musiała się wydobyć z pod tych mostów zwodzonych, musiała się rozsypać i ziemię pokrajać na małe zagony, by kiedyś każdy był wolny i pełen godności«, on roił jeszcze, jak hr. Henryk, śnił na przekór rzeczywistości, jak prawdziwy romantyk, wielbiciel niegdyś bohaterów Walter-Scotta, o tych wiekach, »kiedy cała godność tysięcy skupiała się w jednego wodza. Jakżeż ten wódz mógł być wielkim i dumnym!« I marzył dalej o kochance, w takim

ustroniu, w takim zamku. »Niech choć noc jedną z nią przebędę w tych komnatach gotyckich, niech od wieczora do ranku marzę, iż jestem »częścią przeszłości, a nie teraźniejszej doli poddanym...« — Ze szczytów zamku tego patrzył na piękną okolicę i na drogę daleką, »kiedy jechać ma ona« i zapraszał ją w te mury...

Nadjechała wreszcie. Przybyła, spojrzała i — zwyciężyła raz jeszcze! Wielkie postanowienia rozstania się na zawsze zmały, stopniały na widok znękanej, kochającej kobiety. »Nie kochać jej nie jest w mojej mocy. Im słabsza, im smutniejsza, im coraz bardziej tracąca piękność dawną, tem mocniej lgnie moje serce do niej... Dzień cały minął mi z nią jak sen pełen tęsknoty... Czasem, kiedy się zamyśli i spojrzy Bóg wie gdzie i marzy Bóg wie co, rzekłbyś, że letarg *ciemnego obłąkania* się zaczyna. Wtedy serce mi się kraje, wtedy całuję jej ręce, prosząc, by przemówiła, a lzy czuję w duszy, choć ich nie mam w oku. A za dwa dni muszę ją zostawić samą na świecie...« (*Do Sołtana, Przegl. Polski*, styczeń 1877, str. 97). Zgryzoty sumienia opanowały go teraz na widok jej cierpień niezasłużonych, na myśl, że za dni kilka »wszystko już będzie przeszłością, wszystko schroni się do głębi serca i tam żyć będzie rozdierającymi podrzutami. O, Adamie! Nieszczęsny ten, kto z naiwnością dziecka, z marzeniem o szlachetności (!) targnął się na cudze prawa, żonę od męża oderwał, matkę od dzieci... Ja to czyniłem myśląc szalony, że na tej drodze poezya i wiosna; teraz, te-

raz głębokom poniżony sam przed sobą, a ona przed światem...« (*tamże*).

Smutne było powitanie, smutne zapewne rozstanie po krótkim wspólnym w Salzbrunn pobycie. Prócz listu do Sołtana nie mamy innych wspomnień tego spotkania. Czas nagiął; paszport kończył się w pierwszych dniach czerwca, to też Krasiński, zabawiwszy zapewne do końca maja w Salzbrunn, pospieszał, jak mógł, do Opinogóry. 4-go czerwca był w Toruniu, skąd rzucił słów kilka do Sołtana, a 6-go padł ojcu do nog w Opinogórze.

Odetchnął rodzinnem powietrzem. Na chwilę może znalazł ukojenie i z ciekawością rozglądał się po zmianach, jakie przyniosły z sobą lata: »Drzewa podrosły, budynków wiele nowych stanęło, nie do poznania okolica« (*Do Gasz.* 135). — Ale już po pierwszych rozmowach z ojcem rozumiał, że dłużej przewlekać stosunku z panią Bobrową nie potrafi. Listami z Wiednia można było do czasu uspokajać generała. Ale teraz, po świeżem widzeniu się syna z Panią Joanną, ojciec dowiedział się, że przyobiecane rozplątanie łagodnego węzła nie nastąpiło, że przecięcie go stawało się wprost koniecznością i to nie cierpiącą zwłoki, jeżeli Zygmunt Krasiński miał wogóle rozpocząć życie normalne. Chwile te bolesnego starcia ojca z synem w Opinogórze są nam znane tylko z jednego źródła: z listu poety do Sołtana. Prof. Tarnowski, na podstawie korespondencji z Sołtanem, znanej dziś tylko w wyjątkach, tak opisuje tę ważną, przełomową chwilę: »Zygmunt Krasiński w Opinogórze spotkać się miał z prośbą i groźbą ojca, z pła-

czem i z rozkazem, żeby zerwał (z panią Bobrową): odmawiał statecznie. Pobyt ten razem był dla obu męczarnią«. Do Sołtana tak wówczas pisał: »Po trzech tygodniach, nie na mnie wymódz nie mogąc, udał się (jenerał) do niej i prosił ją o to samo. Pojmiesz znowu, że tak jak ja nie mogłem przystać, tak ona nie mogła nie przystać. Wrócił mój ojciec, przywołując mi kilka słów od niej, drżącą ręką pisanych, w których mówi, że musiała się zgodzić na to, by ostatni raz te kilka słów napisać do mnie,«.

(List bez daty).

Całe lato było ze względu na to przymusowe zerwanie i na cały stosunek naprężony do ojca, bardzo przykre. Z Gdańska, dokąd poeta wyjechał na krótko w interesach majątkowych, żalił się d. 12 sierpnia 1838 r. Sołtanowi: »Nie możesz sobie wyobrazić, do jakiego stopnia rozdrażnienia doszedłem pod tym względem (swatów). jakie życie moje codzienne w domu, jak czuję, że zabijam mojego ojca i jak nawzajem sam zabijany jestem. Stałem się uosobioną troską i tęsknotą«. Z całego tego listu widać, że głównym powodem nieporozumienia między ojcem a synem były wznowione plany ożenienia Zygmunta, marzone przez jenerała już od roku. Planom tym sprzeciwiał się zasadniczo poeta, nawet bez względu na panią Bobrową. Jenerał, zmusiwszy do zerwania z nią, mniemał, że usunął tem samem główną przeszkodę swych matrymonialnych projektów. Ale tak się nie stało. Wstręt bowiem do małżeństwa był głęboko zakorzenionym w autorze *Nieboskiej*. Ani myślał, ani chciał »zstępować do ziemskich ślubów«.

Jenerała zaś najgorętszem pragnieniem było ożenie syna i doczekać się wnuków.

Ciężka, duszna zapanowała w Opinogórze atmosfera w sierpniu 1838 r. Ojciec zaciął się i postanowił nie rozłączać się z synem, póki się nie przekona, że rozerwany przezeń węzeł nie nawiąże się na nowo. Czuł to jenerał, że podróżą swą na Wołyn odciął wprawdzie pani Bobrowej drogę do korespondencji, ale jeszcze tem samem nie wykorzenił w obu sercach miłości.

Syn, przerażony gwałtownym krokiem ojca, starał się owszem ubocznymi drogami złagodzić ten czyn szorstki i przekonać panią Joannę, że od niedawnego spotkania w Salzbrennu w niczem swych uczuć dla niej nie zmienił. Nie miał lepszego, pewniejszego powiernika i pośrednika od Edwarda Jaroszyńskiego, tego samego, który go przed czterema laty w Rzymie pani Joannie przedstawił... Do niego więc pisał po trzykroć od przybycia do Opinogóry, a nie odbierając odpowiedzi, czwarty list wyprawił 27 sierpnia, pełen niepokoju, bo listy poprzednie zawierały »dużo rzeczy«. Wielki niepokój o panią Joannę przebiega z tych słów gorączkowych:

»Była tam i ciągnęła prośba moja do ciebie, którą cię zaklinałem, byś czuwał nad nią, i jeśli jej położenie kiedykolwiek wymagać będzie, nadbiegł jej na pomoc, a mnie zaraz o tem uwiadomił.

Donieś mi też, co się z nią dzieje, co mąż robi, w jakim ona stanie umysłu, bo zupełnie przerwane są między nami komunikacje; a codziennie czuję jakby przekleństwo wiszące mi nad

głową, za to, żem dowiódł ją do nieszczęścia. Ona i ja będziem tego znamię całe życie nosili. Raz jeszcze polecam ci ją — powierzam ci ją: ty się nie domyślisz może nigdy, ile goryczy jest dla mnie w tych słowach, jednak tak szczerych, tak pełnych wiary w ciebie, które tu piszę.

Na miłość Boga mi odpowiedz; na miłość Boga cię proszę, a pisz do Warszawy.

Jenerał Krasiński postanowił wyjechać z synem na południe; był bowiem znacznie osłabionym i podupadłym na zdrowiu skutkiem ostatnich zmartwień. I dla syna konieczny był wyjazd. Pomimo najpiękniejszej w kraju pory roku czuł się niedobrze; oczy go tak znowu bolały, że ani sam pisać, ani cudzych listów czytać nie mógł. Zdawało mu się chwilami, że jakaś nieskończona ciemność zaczynała się rozlać koło niego, »że tysiąc tysięcy pajaków wiją nieci cieniutkie, a jednak widnokrąg od nich ciemnieje«; czasem znowu duże plamy czarne, czerwone, żółte, jak chimury płynęły koło jego skroni. (Do *Sołt.* 119).

Spędziwszy jesień w Polsce, ruszyli obaj 1-go listopada do Włoch, kierując się na Pragę i Linz zrazu do Wenecyi. Danielewicz im nie towarzyszył; zakochał się w jakiejś pannie, zamyślał o ożenieniu i gospodarowaniu na własnym kawałku ziemi. Nie łatwo byłoby mu zresztą nagiąć się do wymagań i przywyknień jenerała, który lubiał wstawać o 4ej zrana, kłaść się o ósmej w wieczór. jeść o 12ej obiad itd. (Do *Sołt.* 119).

Z Wenecyi odezwał się poeta do przyjaciół, narakając na »samotność wewnętrzną, w której serce

kona powoli«. Wspomnienia błogich niegdyś chwil weneckich, owej wiosny miłości jego, goryczą go teraz napoiły: »te niegdyś dla mnie tak szczęśliwe wody, te pałace, te gondole, wszystko to teraz jak grób stoi przedemną«. (Do *Gasz.* 137).

Już go po drodze doszedł był nowy poemat Słowackiego: *Anhelli*. Zachwalał go Gaszyńskiemu i jako »styl przejrzysty, spokojny, kryształowy« i jako myśl prawdziwą. W *Anhellim* widział Krasiński »doskonały symbol poetyczny naszego przeznaczenia«. Podawszy z mistrzowską zwięzłością treść tego »pięknego dzieła« i zachęciwszy przyjaciela, aby je odczytał, wyznawał w końcu, że po przeczytaniu tego utworu »zapadł jakby w sen magnetyczny i wyśniły mu się wszystkie gwiazdy, wszystkie tęczę, o których tam mowa...« (Do *Gasz.* z Wenecyi 18 listopada 1838 r.).

W przejeździe przez Florencję uściskał autora *Anhellego* po dwuletniem niewidzeniu, przywiozł mu smutne nowiny o zestaniu wuja jego T. Januszewskiego do Permy i trzymaniu matki jego przez pięć miesięcy w Kijowie pod śledztwem. Wiadomość ta wstrząsające wywarła wrażenie na autorze *Anhellego*. Dzięki Zygmuntowi Krasińskiemu przebył Słowacki szczęśliwie ciężkie dla siebie chwile; podniesiony przezeń na duchu i pokrzepiony, dziękował mu w ślicznym wierszu, datowanym z Florencyi d. 4-go grudnia 1838. Nazywał tam autora *Irydioną* archaniołem wiary, który znękanę serce jego wziął we własne łono, ogrzał i oświecił.

W kilka dni potem stanął Zygmunt Krasiński

w Rzymie na krótko, gdyż ojcu jego spieszno było do cieplejszego słońca Neapolu. Jak w Wenecyi, tak teraz w Rzymie wspomnienia dawnych, lepszych chwil smutkiem go napoiły:

»Byłem i na Forum. Nie uwierzysz, jak mi się serce ścisnęło; zdało mi się, że widzę całą młodość moją, wracającą na te miejsca jak duch Irydiona po latach wielu. Wszystko, co tam marzył i kochał, wszystko, co mną było, oddzielone odemnie, jak dusza od ciała — rozdział dalszy coraz i coraz posępniejszy!

I przeszedłem ową przestrzeń ruin, własność moją, tak ogromnie smutny, taką nocą obleczon, że byłem sam jako głaz zdalny do leżenia między głazami; jednak czułem, że to wszystko moje, że niegdyś tę całą ziemię między Kapitołem i Koliseum przyswoił sobie, wziął w ducha w mego, w piersi moje, tylko że już dawno temu, bardzo dawno — i od tego czasu zdaje się umarłem«. (*Do Sott.* 10-go grudnia 1838 r.). W tymże liście posyłał wiersze w Rzymie napisane, w których i wrażenie kampanii i wspomnienia pani Joanny spletały się razem (*»Jak anioł spadł... Italia drzemie«* — *»Dla ciebie wszystko straciła na ziemi...«*).

Z tą nieodstępującą go myślą o ukochanej, której śmierć przewidywał bliską (*»Już palec Boga na tem czole leży«*), dla której już grobowiec upatrywał przy Rzymu ruinach, »zakryty zewsząd bluszczem i głogami«, — wyjechał z ojcem w połowie grudnia do Neapolu. Tu doczekał się gorąco upragnionego listu E. Jaroszyńskiego z wiadomościami pani Bobrowej.

Przyjaciół starał się zapewne uniewinnić go, zmniejszyć odpowiedzialność wobec Boga i ludzi, wytłómaczyć go okolicznościami; ale Zygmunt Krasiński nieubłagany był dla samego siebie sędzią.

W długim liście z d. 29 grudnia 1838 r. odbywał jakby generalną spowiedź swych win wobec pani Bobrowej, składał sam własny akt oskarżenia, nie dopuszczający jakichkolwiek okoliczności łagodzących:

»Wszystko, co mówisz, Edwardzie, może być prawdą *objective*, ale nie jest dla mnie *subiective*. Trybunał mojego rozumu nie może się zebrać i wyroki głosić za mną tam, gdzie sam przewiniłem: on tylko umie mnie potępić i przebłagałych domagać się ofiar. Ty nie wiesz, co to pamięć kochanej połączona z wyrzutami, co to jej głos cichy, we wnętrzu duszy szepejący; jak tylko ludzie zasną dokoła, a ty nie możesz zasnąć, bo i kochasz i lękasz się tego głosu zarazem i radbyś go zatrzymać, by przez wieki mówił do ciebie, i chciałbyś go odegnąć, by pokoju ducha dostąpić... a potem, gdybym choć marzyć mógł, choć oszukać siebie, choć przypuszczać, że się coś dobrego i świętego ze mną w niej zostało; — że ona uwierzyła światom ducha, które jej objawić pragnąłem: — ale nie — ja myślę i to mnie nęka, że ona w nadziejach zawiedziona, na szczęściu otruta — teraz przeklina mnie i złorzeczy wszystkiemu, czem ją natchnąć chciałem, czem przez czas jakiś natchniętą była: — i dlatego, że to natchnienie widomego kształtu nie przybrało, ona o jego idei samej źle trzyma; ona w goryczy serca zaprzecza moim myślom dlatego, że moje czyny im dorównać

nie mogły: — że moje indywiduum oddzielone od niej...

Mojej winy nikt względem niej ocenić nie zdoła, oprócz mnie samego: przez niesłychane walki dowiodłem ją wreszcie do nieszczęścia. — Ona przewidywała wszystko, co się stało, ona nigdy nie zapomniała o przyszłości, nigdy pokoju szczęścia nie widziałem w niej, nigdy nie wyglądała na *równą mi*, ale zawsze na moją ofiarę, poświęcającą się, ale z głęboką wiedzą, że się poświęca. Czyż nie było okrucieństwem walczyć z takim wyrazem jej twarzy, z takim przekonaniem jej rozsądku, a nie zważać nań, czyż nie było najogromniejszym samolubstwem? Wiem i to, że namiętność ma swój świat własny, na który teraz zapatruję się z sfery mojego rozumu; a zatem wierzę wiarą nie swoją: to coś, które wtedy wrzało we mnie. Wiem i wiele innych rzeczy jeszcze, ale cóż mi to pomoże? Ją kochałem, a teraz ona smutna i cierpiąca; ona bez nadziei jakiegokolwiek przyszłości, będzie jej przekleństwem niezadługo, żyjącą każdego jej dnia torturą; to widmo, które mnie ściga. — Daj Boże, by się moje przeczucia o niej nie spełniły.

Niema tragedij okropniejszych nad te, co się odbywają koło ognisk domowych: niby cicho, niby dobrze, zajrzysz do salonu, zgromadzona rodzina cała, na ich twarzach nie poznasz nic, wyjdiesz z dobrą myślą, westchniesz tęskniąc za podobnym spokojem i życiem; a ledwoś próg przestąpił, już oni z krzesel się zerwali, z ich lica zeszła wszelka powszedniość i cisza; najdziksze, najbardziej jadowite kwasy pry-

skają im z oczów; rozzdzierają się słowami gorzej, niż żelazem; jedni przeklinają drugich! Ale z takich obrazów ten najstraszniejszy, w którym córka przeciwko matce powstaje: *apage, apage Satanas!*

Otóż kiedy podobne larwy mnie otoczą, i ścisną i dławią; kiedy widzę jej twarz bladą i coraz bledszą, i coraz oczy jej bardziej gasnące, i w oddali samotne łoża choroby, samotną śmierć i wyrzucającą matce dzieje przeszłości; miasto uderzyć ją nożem, — wymawiającą moje imię: a to imię odbija się tak żałośnie, tak kamiennie w sercu nieszczęśliwej, i ona sama może doda do niego przekleństwo, lub krzyknie: „o! Boże! czemuś nasłał na mnie tego człowieka!“ Oh! wtedy, wtedy, wierz mi, piekło staje mi się zrozumiałem, jasnem, widomem, dotykalnem. Napróżno bym z niem się pasował. Ono nie zewnątrz, nie głęboko podemną, ale głęboko we mnie!“ —

Zwolna zasuwawała się w przeszłość niepowrotną ta nieszczęśliwa miłość, której błogie uniesień chwile okupili oboje ciężkimi, długimi cierpieniami. Zygmunt Krasiński, nawet z daleka, nawet wtedy, gdy na popiołach tej miłości zakwitło w sercu jego nowe uczucie, możniejsze, potężniejsze, zagłuszające blaskami swemi i wonią czarowną, smutne, zwiłkane lat młodszych szwały — nie przestał myśleć, pamiętać, czuwać nad biedną panią Joanną. Prosił przyjaciela, by mu o niej pisał, usprawiedliwiał jej kroki, dawał rady, jak z nią postępować, jak myśli jej odrywać od małości kobiecych, a ku dzieciom kierować i ku ostatecznemu celowi — ku Bogu! Rozstawał się z nią

w słowach prześlicznych, drżących od wzruszenia i pełnych nadziejskiego zaiste uczucia:

»Niech pamięta, że jeśli moje czyny były gwałtowne, popędliwe, to mój duch jednak zawsze pragnął objąć ją czystymi skrzydłami i unieść do nieba! Jak człowiek się w niej kochałem, ale zarazem kochałem ją jak dusza, i nie mogę wspomnieć o niej, żeby ży mi ócz nie émiły — żeby serce mi nie zaczęło się lękać o nią! Niema we mnie żadnej zazdrości, ale dbam o jej godność więcej, niż o jej życie, dlatego właśnie, żem sam pierwszy tę jej godność nadwyrężył. Ja dla jej godności dzisiaj możebym własną poświęcił, kiedy za jej życie dałbym tylko moje życie! Edwardzie, to wszystko jej powiedz, a jak?... to twojemu sercu poruczam«.

V.

Twórczość.

Kto śledził bacznie koleje życia Zygmunta Krasińskiego od chwili wydania *Brydiona*, ten mógł z niepokojem pytać: czy człowiek tak schorowany, tak znękany nieszczęśliwą miłością, okropnem położeniem kraju, stosunkiem do ojca itd. mógł wogóle tworzyć; a jeśli tworzył, to czy płody takiego natchnienia w takich okolicznościach mogły być dorodne i okazałe? Dotychczas nie znano dokładnie tych okoliczności, widziano tylko skutki i dziwiono się im bardzo słusznie. Prof. Tarnowski, kiedy z kolei chronologicznej przychodzi do oceny utworów z tych lat, stwierdza z ubolewaniem pewne obniżenie się lotu poetyckiego:

»Logiczna jasność Krasińskiego — mówi — i pewność jego przekonań jest jakby przyémiona i zachwiana, a sama zdolność artystyczna, sama twórczość poety, jak żeby osłabła«. Dziś, wobec tylu skarg i narzekań poety, rozumiemy doskonale, że inaczej być nie mogło.

»On jest w tej porze życia, w której wszystko pod zwątpieniem schnie i męczy się«. (*Do Gasz.* 116).

Przechodził lata ciężkiego przesilenia: religijnego, filozoficznego i estetycznego, a to na tle nieustających cierpień fizycznych. Taki okres był najniekorzystniejszy dla fantazyi twórczej. Rzec można, że najzdrowsze nawet ziarno pomysłu poetycznego nie mogło rozwinąć się w prostą i kształtną roślinę: albo usychała łodyga i w chorobliwej atmosferze opadały listki niedokończonych fragmentów, albo, gdy okoliczności zdawały się pomyślniejsze, zawiązywał się pączek, ale bez soków żywiących czerniał i nie zakwitał; albo wreszcie kwiat sam bywał nikły i bez woni.

Trzeba to wszystko mieć na uwadze, kiedy się czyta i ocenia *Wandę*, *Modlitevník*, *Noc letnią*, *Pokusę*, a wreszcie *wiersze drobne* z tego okresu. Trzeba, na chwilę bodaj, zapomnieć, że już było po *Nieboskiej* i po *Irydionie* i do tych mniejszych utworów nie przykładąć wielkiej miary tamtych arcydzieł. A wtedy na tle smutnych lat jego ówczesnego życia wydadzą się płody natchnienia w stosownej i naturalnej perspektywie. Twórczość jego szła linią falistą ku szczytom: po wzdętej fali natchnień *Nieboskiej* i *Irydiona* następowało zniżenie *Pokusy* i *Nocy Letniej*, wyższe przecież od poziomu *Agaj-Hana*! Pielgrzym, by dojść do upragnionego wierzchołka, musi przebyć nie jeden szczyt i znowu zstąpić w dolinę, dzielącą go od następnego szczytu. Ale dolina, którą teraz przebywa, już jest znacznie wyższą od poprzedzającej.

Wspólną cechą rozbieranych tu utworów jest brak dokładnej daty ich powstania; nie mówimy oczywi-

ście o drobnych wierszach, które przysyłał poeta, zapewne w dni kilka po ich napisaniu, w listach do Gaszyńskiego i Sołtana. *Wanda* i *Modlitevník* nie były ogłoszone za życia poety, *Noc Letnia* i *Pokusa* dopiero w lat kilka po ich napisaniu. Jeśli je tu razem oceniamy jako równocześnie powstałe utwory, to czynimy to na podstawie wewnętrznej krytyki tekstu w związku z dowodami ubocznymi, zaczerpniętymi z autografów; żadne bowiem nie dochowały się w korespondencji poety bezpośrednie dowody co do czasu pisania tych poematów prozą. O *Nocy Letniej*, *Pokusie* i *Modlitevníku* głucho tam panuje milczenie; o *Wandzie* zaś lekko tylko napomyka poeta w liście do Gaszyńskiego, jako o bardzo wdzięcznym temacie.

Nie możemy wprowadzić wskazać dziś dni ani miesięcy, kiedy powstawały te utwory; ale rok da się z wszelką stanowczością oznaczyć: jest to rok 1837, wspólny wszystkim tym utworom. Autografy dostarczają pod tym względem niezawodnej wskazówki. Nie wyklucza to przypuszczenia, że pomysł tego lub owego utworu mógł się zrodzić w głowie poety wcześniej. *Irydion* pod tym względem uczy nas ostrożności, skoro poczyną się w r. 1832, a wychodzi na świat w r. 1836. Ale pisanie, lub może częściowe przerabianie z dawniejszego, nie dochowanego brulionu, dokonywało się w ciągu r. 1837.

Kiedy poeta na początku czerwca 1837 r. zachwala *Wandy* myt, jako »przecudowny dla poety«, to ma już z pewnością jakąś część utworu napisaną (»Kilka

rzeczy on zaczął»); dowiadujemy się bowiem, że samo podanie historyczne miało mu tylko posłużyć za tło do przeprowadzenia głębszej historyzoficznej myśli: pod postacią mitu, którym poeta krępować nie chciał swej fantazyi, przedstawić zamierzał »wieczne losy Polski, zagarnianej ciągle cudzoziemczyzną, a wolącej zawsze w przepaść skoczyć, niż jej się poddać«.

Ale podobnie, jak w *Irydionie*, dla myśli przewodniej, końcowej, nie poświęcił autor samej »powieści« i uposażył ją bogatą tkaniną dziejowych i archeologicznych szczegółów — tak teraz, przystępując do *Wandy*, chciał dać jej tło lechickie, zgodne z badaniami ówczesnej nauki i zadał sobie trud niemały zebrania rozproszonych wiadomości o mitologii słowiańskiej, obyczajach Niemców i Lechów, »nieochrzczonych Polan«. — Rozczytanie się w *Nibelungach* pozwalało na odtworzenie orszaku Rytygiera, Długosz i Naruszewicz mieli dopomóc fantazyi, zaludniającą starą »Lechią«.

Utwór, jak z treści wnosić wolno, składać się miał co najnniej z czterech części. Tylko pierwszą mamy w całości; z drugiej tylko pierwszą scenę i plan następnych; z trzeciej tylko plan. Ale całości domyslać się możemy z dochowanych fragmentów.

Ziemowit, starszy syn Krakusa, przeklęty przez ojca za to, że w gniewie zabił młodszego brata Leszka, ucieka z »Lechii«, tuła się po świecie lata całe; tymczasem Krakus umiera, a Wanda, córka jego, panuje »Polanom«. Chciwy władzy Ziemowit (w przebraniu zwie się *Hamder*) wkrada się w łaski księcia nie-

mieckiego Rytygiera i naprowadza go na kraj własny, na »ziemię obiecaną, rumianą jagodę, by (Niemcy) ją gnielli żelaznemi stopy« — W drugiej scenie pierwszej części spotykają się Niemcy z ludem lechickim przy granicznym kopcu. Biskup nawrócić pragnie ten lud pogański i zwraca się do wojewodów, głosząc im »dobrą nowinę«. Rozmowa jego z Żeliszawem, najstarszym z wojewodów nie doprowadza do porozumienia. Biskup odwołuje się do ludu. Nadjeżdża Wanda i zapytuje synów Słowian, czy chcą być chrześcijanami. Lud odpowiada, że nie. Rytygier grozi zemstą, ale na widok piękności Wandy słabnie. Ziemowit przemawia do siostry, otrzymując w odpowiedzi wypowiedzenie wojny Niemcom i przekleństwo ludu całego. Ziemowit przeciąga na swą stronę wojewodę Brzetysława nadzieją zwrócenia się kiedyś przeciw Niemcom i obietnicą wywyższenia go do godności jedyne go wojewody. — W części drugiej (według planu, naszkicowanego tylko, nie rozwiniętego w sceny) Rytygier w przebraniu przybywa do jaskini smoka, gdzie Wanda obraduje z wojewodami, a odrzuciwszy rękę Hardymira, pragnącego się z nią ożenić, poświęca się na dziewicę bogini Wisły. (Poeta pozwala się domyslać, że piękny Rytygier zdobył serce Wandy, która z obawy przed samą sobą poświęca się na dziewicę-kapłankę, byle nie ulec miłości dla Niemca).

W części trzeciej miała być rozstrzygająca bitwa, zakończona pogromem Polan. Niemcy i Ziemowit zwyciężają. Rytygier i Ziemowit wydają wyrok śmierci na starca Żeliszawa.

W części czwartej, domysłnej tylko, miały być zapewne starania Rytygiera o rękę Wandy, jej odmowa, w następstwie samobójstwo Rytygiera, popełnione w szaleństwie i śmierć Ziemowita »zawczesna«: oba zgony, przepowiedziane w części pierwszej przez Ludgarda. — Samobójstwo Wandy.

Już zewnętrzny podział na »części«, nie na akty, dowodzi, że poeta nie zamierzał pisać właściwie dramatu, ale chciał dać, podobnie jak w *Irydionie*, udratyzowaną powieść. Występują w niej, także jak w *Irydionie*, chóry, wygłaszające nieraz zaledwie jedno zdanie. Mamy w *Wandzie* bardzo wyraźny zamiar przeciwstawienia pogańskich Lechitów chrześcijańskim Niemcom, przyczem Polanie scharakteryzowani są jako silny, dobroduszny naród, któremu własna kultura i własne bóstwa w zupełności do szczęścia wystarczają. Wątek historyczny przejęty jest z Naruszewicza, a uzupełniony rozczytywaniem się w Kadłubku i Długoszu. Pierwsza pobudka do napisania utworu mogła wyjść z »Historyi« Naruszewicza. Nowe jej wydanie (Bobrowicza) wyszło właśnie w Lipsku w r. 1836. Czytamy tam (w t. III, str. 97 i n.): »Historya o tej królowej byłaby piękną nader do bajecznego jakiego romansu, albo do tragedyi materyą, gdyby od kogo innego, nie od Kadłubka, była utworzoną...« Ten kronikarz jednak pod niejednym względem więcej powiedział Krasieńskiemu, niż blade wywody Naruszewicza, który np. krótko tylko w historyi swej zaznaczył: »Kadłubek wspomina o piękności tej damy«. Z tekstu Kadłubka patrzymy, co zrobił poeta; wyczytał tam tylko,

że Wanda była *elegantis formae* i że *hostium atrocissimi ad eius mansuescebant aspectum*. — A w *Wandzie*: gdy odrzuciła zasłonę i Rytygier spojrział na nią, z zachwytu tchu mu brakło pod szyszakiem, »poległ od jednego jej spojrzenia«, on, co »dotąd na żadną nie spojrział niewiaścę«. W przemowach Wandy znać nadto charakterystykę Długosza, który mówi o niej, że »zdumiewała radą i obrotnością«. »Lud zwie ją »Krasopani nasza«, a więc za bóstwo niemal ją uważa«. (Naruszewicz, *Krasopani*: »sławna ta bogini Morawców«). W każdym zwrocie mowy i przenośni znać wielką staranność poety, aby archaizować. Mamu tu zatem Marzannę, Ładę, Flinsa, Lela, Potrympa, Okkopirna, Jessena itd. (Ob. objaśnienia T. Piniego, t. I, str. 379—383).

Niewiadomo, jakby był poeta całość wygładził i zharmonizował. Dochowany fragment uważać należy za rzut pierwszy myśli niewykończony. Wiemy już z listów jego do ojca, że ciągle zagłębiał się w epokę mglistą pierwszych dziejów Polski, że czynił w Wiedniu jakieś wypisy, prosił ojca o Maciejowskiego i Narbuta. Dalsze koleje życia jego sprawiły, że *Wandy* nie ukończył; być także może, iż przekonał się o sprzeczności i nielogiczności różnych podań i wierzeń pseudomitycznych. W końcu i samo pojęcie doniosłości wprowadzenia chrześcijaństwa do Polski nie mogło go potem zadowolić, a do przerabiania podstaw nie miał już ochoty. Uspokojenie sceptyczne, któremu w latach 1835—1837 hołdował, odbiło się niekorzystnie na samem pojęciu doniosłości chrześcijaństwa. Biskupa spór ze starym Żeliszławem jest

pod tym względem bardzo znamienity. Hamder (Ziemowit), którego postać najwidoczniej obmyślił poeta bardzo starannie i szczegółowo ją scharakteryzował, jest, jak na syna Kraka, zanadto sceptyczny i pod tym względem syn pogańskiej Lechii nie ustępuje rówieśnikom Byrona i Musseta: »Przez co mam przysiądz? — pyta Brzetysław — zbiegłem ziemię od zachodu na wschód, a żadnych imion świętych ni kochanych niema dla mnie na niej« Za nie sobie ma bożka »starego Okkopirna«, a gdy poganin Brzetysław lęka się wziąć krzyż do ręki, drwi z niego Hamder: »to *drewno* i toczne kamienie — *nic więcej!*« — Postać ta przeczy całej »historycznej« prawdzie danej epoki. Brat Wandy, jakiegokolwiek było jego miano, jeśli wogóle miał być utrzymany w »tonie« epoki, jeśli mu wogóle zależało na tronie i władzy, nie mógł być tak strawiony zupełnem zwątpieniem; bo wówczas mógł śmiało mówić: »wszystko mi niczem«, skoro rzuciwszy krzyż razem z pierścieniem Peruna, drwił na głos: »Teraz leżcie pospołu! — Cha, cha, cha! Oni leżą obok siebie w zgodzie i milczeniu, a za trzy dni o nich bić się będziemy. Jest to zbyt silny dyssonans na owe wieki, w których pięści stanowczo silniejsze były od głów i od treści mózgów.

Poeta, który równocześnie kreślił pod wpływem *Nibelungów* wstrętne obyczaje dzikich Germanów [»u stóp Hakona kałuża krwi była i kosy rozplecione pływały w niej czarne...« Rytygier pije zdrowie Biskupa (!) z *czaszki* Hakona] — a wśród łagodnych Lechitów kazał powstawać byronicznemu Zie-

mowitowi, co przebiegł świat cały z północy aż tam, kędy żyją ludzie, »jak noc czarna« — poeta ulegał zachciankom gorączkowej fantazyi i tworzył, jak mu przypływ lub odpływ sił fizycznych tworzyć pozwalał; ale o *Wandzie* właśnie można powiedzieć z poetą samym: »to wszystko o porę stąpa i najczęściej leży odłogiem«. Zanosilo się na rzecz piękną i wielką, obmyślaną nawet w takich szczegółach, jak wyrazy gwary góralskiej; ale natchnienie zawiodło, albo raczej, mówiąc słowami poety, »schło pod zwątpieniem«.

Ślady tego zwątpienia i przygnębienia znać nawet tam, gdzieby ich z natury rzeczy samej nie należało oczekiwać: w *Modlitewniku* pani Bobrowej; wydał go prof. T. Korzon p. t. »Myśli Pobożne Z. Krasin-skiego«. (Wyd. Biblioteki Ordyn. Zamoyskiej, z podobiznami okładki i kartki rękopisu. Warszawa 1899). Jest to zbiór modlitw przygodnych (»za umarłych«, »do N-tzey Panny«, »za dzieci«, »za siebie«, »podczas mszy« itd.), napisanych przez poetę różnymi czasami, w pięknie oprawionej książeczce, której połowa ma czyste kartki. Według wszelkiego prawdopodobieństwa modlitwy te wpisywane były w czasie smutnego spotykania się w Kissingen (sierpień 1837), kiedy-to Pani Bobrowa najwięcej potrzebowała religijnej pociechy i moralnej otuchy. Poeta poczuwał się do obowiązku zostawienia takiej właśnie pamiątki po sobie, któraby znękaney i samotnej kobiecie przypominała znikomość spraw i stosunków doczesnych, a myśli jej kierowała ku wieczności. Przytem ciągle jeszcze oddawał się on złudzeniu, że *Trenla Tre*

przepowiedziały prawdę i że pani Joanna niebawem świat ten pożegna. Dlatego jako przygotowanie do tego przedwczesnego zgonu mamy w *Modlitewniku* osobną i osobliwą dla kobiety modlitwę, »żeby umrzeć młodą«.

Gdyby Krasiński pisał był modlitwy te dla samego siebie, w czasach gorącej wiary, pod wpływem istotnej potrzeby serca, mielibyśmy rzecz wzniosłą i wspańiałą, może hymny uniesienia ku Bogu. Tworząc je dla kochanej a cierpiącej osoby, której serce zranił, zmuszony był stosować się przedewszystkiem do jej potrzeb duchowych, jej nawyknień (»przebudziwszy się w nocy«), jej obaw i wątpliwości. Za czem poszło, że nie mamy tu wylewu szczerego i naturalnego duszy rozkochanej w Bogu, ale raczej wyrozumowane uczucie. Jest tu sporo argumentów *ad feminam* i to zastosowanych wprost do położenia wyjątkowego pani Bobrowej (*Litania*). Jest tam niemało słów, obrażających uczucie pokory chrześcijańskiej. W modlitwie do Najśw. Panny czytamy zdania, trącające bluźnierstwem (Każda z niewiast kocha, *jako ty kochałaś* i miłość swoją przebitą, umierającą widzi...) albo wątplieniem (»Głos nasz szczytów nie dochodzi krzyża«). »Modlitwa w chwili wątplenia« ma bardzo dużo, za dużo, rysów psychologicznych z żywego wzoru branych, a przeto zbyt osobistych i dziś nas rażących:

»Tulę się w zwoje płaszcza mego i nie mogę zasnąć. Czoło wciskam w wezgłowie, by nie nie widzieć, nie nie słyszeć: a nie mogę zapomnieć. Kroki ludzi dolegają mi...

O Panie, Panie, kiedy szaleństwo rozum mój rozdziera, ja bluźnię Tobie. — Kiedy wśród nocy drzę wszystkimi członkami przed wrogiem Twoim, ja bluźnię Tobie...

To oczywiście nie są »myśli pobożne«, ale zwieźnienia duszy dręczonej, spowiedź bolesna i przejmująca.

Modlitewnik ma wielkie zalety stylu obrazowego i wytwornego, ale na ogół biorąc, jest raczej zbiorem rozmyślań bardzo osobistych. Godzien jest jednak uwagi ze względu na poczynający się tu nowy nastrój filozoficzny, który kiedyś wyda z chaosu marzeń religijnych kryształki zasad i przekonań poety. W historii rozwoju filozoficznych idei Z. Krasińskiego jest *Modlitewnik* ważnem ogniwem, zapowiadającym już *Myśli Ligenzy*. Oto np. ważniejsze i godne spamiętania myśli *Modlitewnika*:

»Wszak ja myślą Twoją serdeczną, którą ukochał przed laty... Gwiazdy i ślepe skały i martwe siły natury poczęły się w rozumie Twoim, w konieczności mądrości Twojej — ale ja poczęłam się w sercu Twoim, na chwilę znikomą oderwałam się od niego... Mnie dałeś *być przez siebie samą*... poczuwam się, że jestem częścią Twoją i sobą zarazem... — Umrzeć nie mogę — przemienię się, przeobrażę się. I gdzież nadal będzie życie moje? — Światło Twoje jest we mnie. Urodziłam się u Ciebie. Tyś czuł mnie w Sobie, nim sama zaczęłam czuć siebie i wierzyć Tobie.

Kto między nami nicość wydrąży? Kto uczyni, bym już nie była myślą Twoją, bym nie wróciła do Ciebie?

Od chwili, w której wyszłam z Ciebie, nieśmiertelna jestem. — Niosę Duch Twój w sercu mojem, *jak Marya nosiła Jezusa (!)*

Duch Twój w sercu mojem wytrzymuje mękę, obraz męki Jezusa.

...objawiłeś się mężom, obiecałeś im pocieszenia, Ducha świętości... I ten Duch święty w nas jest, o Panie!

Bo my ni ciałem, ni Duchem czystym: my zgoda ciała i Ducha — my żyjącą miłością tych dwóch połów stworzenia, tych dwóch części wiekuistej myśli Twojej!... Z głębin nieskończoności wyszedłeś, opisałeś się w kształt, bo żal Ci było tej nieszczęśliwej, tej cierpiącej materii — przybrałeś ją, Panie, za córę swoją i ona nieśmiertelną się stała w obliczu Ojca Twojego...«

Te myśli filozoficzne należy oceniać w związku z późniejszymi ideami o ewolucji przyrody ku Bogu. Na tem miejscu zaznaczamy tylko, że już one nurtują w jego duszy, że już pracują w nim i dążą do przyobleczenia się w stosowną formę. I dlatego *Modlitewnik* ma swoje, skromne wprawdzie, ale trwałe znaczenie w rozwoju myśli filozoficznej poety.

Dziwna zagadkowość, umyślne zaciemnienie treści cechuje dwa niewielkie utwory Krasińskiego: *Noc Letnią* i *Pokusę*. Poeta jest wtedy nie tylko na przełęcz swych filozoficznych idei; także styl przeobraża się zwolna w tych właśnie latach.

Wanda ma jeszcze w dyalogach sporo sposobów argumentowania i zbijania zarzutów, przypominających nam *Irydionę*; znajdziemy także w *Modlitewniku*

niejeden zwrot żywcem z *Irydiony* przeniesiony (»miłość swoją przebiłą, umierającą widzi«; — »aleś potępionych nie pomyślał nigdy«; — »myśli serdeczna... wysłuchaj mnie« itp.). Ale od pierwszych okresów *Nocy Letniej* czujemy wyraźnie, że metal słowa dźwięczy jakoś inaczej, jakby przytłumiony, a równocześnie jednostajnie ponury, jakiś zgnębiony i nas gnębiący. Styl tu się widocznie nastraja do żałobnej treści; treść zaś sama spowija się w obsłony tajemniczości zagadkowe.

Prof. Tarnowski objaśnia styl ten i zamiłowanie w niejasnej treści wpływem szkodliwym z jednej strony manieri Jean Paula, z drugiej zaś lichego, trzeciorzędnego romantyzmu, który znakomicie w dziele swem scharakteryzował: »Przerzuca się kartki, przebywa się z pospiechem nagromadzone masy przyborów i dekoracyj, katedr, krużganków, galeryj, schodów, sal, stawów, iluminacyj, chce się pod tem wszystkim domacać myśli autora i jego zamiaru i w końcu z niesmakiem i zniechęceniem odkłada się na bok książkę, przeładowaną ozdobami i efektami stylu, szumną i pompatyczną w tonie, umyślnie zaciemnioną w treści, a niezrozumiałą w znaczeniu. Trzeba komentarza, trzeba odsyłać; trzeba jakiejś nici Aryadny, któraby pomogła znaleźć drogę przez ten labirynt dekoracji«. — Zupełnie uznajemy słuszność powyższych estetycznych zarzutów. Poetę usprawiedliwia jednak tak w *Nocy Letniej* jak w *Pokusie* jeden bardzo ważny wzgląd, dziś zapomniany, a dla niego stanowczo rozstrzygający: obawa przed wysłaniem autora i wielką w takim razie odpowiedzial-

nością Jenerała. Jeśli przypomniny sobie, jak uroczyscie i stanowczo wypiera się Krasiński umyślnie w listach do ojca autorstwa *Irydiona*, jak jest niezadowolony z Reeva, że się z nazwiskiem autora wygadał, jak po latach zastaniać się będzie Gaszyńskim i Koźmianem na tytułach swych poematów: — jeśli zważymy, że i *Noc Letnia* i *Pokusa* zawierały (jak niebawem zobaczymy) sporo treści, mogącej obarczyć syna Jenerała Krasińskiego złą notą policyi rossyjskiej — to zrozumiemy, dlaczego tak skrzętnie zagrzebywał on w »labiryncie dekoracyi« myśl głębszą swych obu utworów.

Przedewszystkiem zaznaczmy, że ani wyjątek naczelnny z »Antygony«, ani Przedmowa wierszem (datowana z Varenny) nie należały do pierwotnego autografu z r. 1837 i że są tam później doszyte.

Treść *Nocy Letniej*, po usunięciu wszelkich ozdób i dekoracyj, przedstawia się dość ubogo. Jedyńą córkę možny jakiś magnat wydaje za księcia z obcego rodu, poświęcając dziecko swe »marze wielkości i panowania«. Ona, czyni z siebie ofiarę, by ojcu nie skracać życia, ale oddaje tylko swą rękę niecierpianemu księciu; serce należy oddawna do bliskiego krewnego, stryjecznego brata, do »buntownika«, wygnańca, który nie chciał upokorzyć się przed królem *południowym*, co kraj jego najechał. W chwili ślubu wygnaniec jest w kościele, w ukryciu. W noc tę ślubną, *noc letnią*, zakrada się »buntownik« do zamku ukochanej, pragnie ją uprowadzić w góry do wiernych mu rodaków. W stanowczej chwili »pan młody« wpada do komnaty, ale »brat« zabija »siostrę« i siebie. Ojciec

panny młodej w przystępie nagłego obłąkania z rozpaczy topi się w jeziorze a »obce księżę zagrabił zamek starożytny enego imienia«. —

Od bliskich poecie osób dowiedział się Prof. Tarnowski, że w tej powieści niema alegoryi, ale jest myśl patryotyczna: »Powieść tę natchnął poecie widok młodych Polek, wychodzących za mąż za Rosyan, mniej lub więcej z rozkazu rodziców; pomiędzy rokiem 1830 a 1840 zaszło podobno takich wypadków kilka. Krasiński uczuł żywo w swoim sercu szlachetnem, ile cierpieć musiała taka młoda dziewczyna, skazana na zmianę ojczyzny i t. d.« (l. c. 324). Wykazawszy dalej, że w tak objaśnionej *Nocy Letniej* »jest przystosowanie, jest moralna nauka« dla Polaków, którzy dzieci swoje do związków takich składali, albo zmuszali — czuje Prof. Tarnowski, że zagadka jest tylko na pół rozwiązana i że pozostaje zawsze jeszcze pewna tajemniczość. »Czy *Noc Letnia* — mówi dalej — wypłynęła tylko z takiego ściśle obiektywnego współczucia dla młodych Polek poświęconych Rosyanom i obiektywnego oburzenia na rodziców, którzy je poświęcali — czy jakiś przypadek tego rodzaju nie obchodził bliżej poety samego?« — List Słowackiego, który zaraz potem przytacza Prof. Tarnowski, zbił krytyka z dobrego tropu; odnosi się on najwyraźniej nie do *Nocy Letniej*, ale do stosunku poety z Panią Bobrową. Lecz zapytanie samo było bardzo słusznie postawione. Postaramy się teraz na nie odpowiedzieć.

Nim to uczynimy, wydzielmy przedewszystkiem z *Nocy Letniej* to wszystko, co jest w niej osobiste

Jak w hr. Henryku i Irydyonie odszukać łatwo rysy indywidualne samego poety, zmienione przezeń i zastosowane do celów i potrzeb *Nieboskiej* i *Irydyona*, tak i w *Nocy Letniej* kochanek biednej ofiary ambicji rodowej, ów »buntownik«, walczący z »królem południowym«, ma niejedyn rys duchowego podobieństwa z poetą, a stosunek kochanka do panny młodej przypomina miejscami zbyt żywo miłość niefortunną dla Pani Joanny. Już to samo byłoby poważną wskazówką dla chronologicznego oznaczenia „*Nocy Letniej*“. Pisał ją poeta pod świeżem wrażeniem bolesnych przeżyć własnych, gniewu ojca, niemożliwości ożenienia się z Panią Bobrową. Kto wie, czy ustępy, które zaraz przytoczymy, nie miały właśnie przynieść poetycznej osłody dla nieszczęśliwej Pani Joanny. Prawda kryła się tu pod zmyśleniem, niedostępna dla ogółu; ale czuła słuchaczka miała w duszy swej dośpiewać treść pełną...

Przymusowa bezczynność Z. Kasińskiego w wojnie r. 1831-go była przez długie lata zmorą ciężącą mu na piersiach. Tego jednego może zazdrościł — on, co zawiści żadnej nie znał — przyjaciółom swoim: Stanisławowi Kasińskiemu, Konstantemu Gaszyńskiemu, Danielewiczowi, — że się bili w r. 1831! Wiemy jaką rozpacz z tego powodu przepełnia listy do ojca i do Reeva; w późniejszych latach, jak widzieliśmy, nieraz ponowna fala tej tęsknoty do niepowrotnych pól Grochowa i Wawru rozsadzała mu piersi i łzę mroczyła oczy. Gdy rzeczywistość go zawiodła, pociechy szukał w rojeniach poetycznych, wyobrażał sobie, jakim mógł być być, co mógłby był zdziałać. Jednem z takich

rojeń jest »brat« oblubienicy z *Nocy Letniej*, ów buntownik w niezgodzie z »królem południowym«. Nie dziwny się, że ma on zbyt romantyczne pozy w kościele podczas ślubu państwa młodych, że potem wyciąga sztylet z pod płaszcza i ostrzy go »na zgrzytającym kamieniu« kościelnym — to koloryt modny wówczas, to mimowolne echo podobnej sceny w *Wacławie* Garczyńskiego. Ale z chwilą, gdy człowiek ten działać poczyną na ojców swych ziemi, poeta ożywia go własnymi wspomnieniami, stawia go »wśród trzech wzgórzów łagodnej pochyłości« i ztamtąd przemawia za niego i za siebie do powstańców, jako niedoszły wódz, przekazujący »ostatnie swe słowa«, »prawdę starą«. Nie żądamy od słów tych zupełnej jasności, poeta lęka się autorstwa, by nie stało się jawnem. Ale rozumiemy przecież dobrze kogo ma na myśli, gdy mówi o ojcach zasiedziałyach od lat tysiąca na swej ziemi, jak »pod cień ich szabel postronne garnęły się ludy«, a »Wolność była ich udziałem«. Rozumiemy, co to za »król południowy z służalców tłumami«, różny wiarą i mową, który »nituje nas z sobą ogniem i żelazem!« Pojmujemy wreszcie i tę odezwę do emigracyi naszej: »Teraz właśnie, gdyście z tułaczy na groźne męży wyrosli, ludzić was zaczął królewscy różnemi ponęty — strzeżcie się kusicieli — obietnice ich — złote góry. Ich dary: marne garści błota«. Młodzieniec — wódz zginąć postanowił wraz z ukochaną, a gdy oddany mu i wierny hufiec powstańczy chce go powstrzymać od rozpaczliwego kroku i obiecuje mu zdobyć zamek i porwać oblubienicę, wódz zatrzymuje ich stanowczemi słowy,

które znowu dźwięczą dla nas osobistym, synowskim bolem poety: »starca śpiącego w komnatach przodków moich nie przebudzi szcęk szabel waszych. Wzrosłem pod cieniem jego ręki. *On pierwszy usta moje nauczył imienia Ojczyzny.* On pierwszy serce moje zapoznał z chucią bitew«...

Kochanek przez łąki i wzgórza i »rozłomy« dotarł do zamku »naddziadów« i przez krużganki doszedł do »baszty zachodniej«, wreszcie do komnaty, kędy oblubienica przeczuwa jego przybycie. Zachwytem obojga, ich wyrzekaniom i smutnej, bo przedzgonnej radości poeta znowu własnych użyzył ogni, własnym je tchem ożywił. »Nie tworzył prawie nic, lecz przypominał« słowa Pani Joanny i własne skargi. Tu narzekania oblubienicy i łagodne wymówki są właściwie jego usprawiedliwieniem; tu oblubienicy słowami sam poeta za siebie do Pani Joanny mówi:

»Pytasz się o przeszłość, Boże! Boże! Kiedy nam tak mało teraźniejszości zostało! Czy ty nierozumiesz mnie! czy ty wątpisz jeszcze o mnie! Ah! ojciec przyszedł i błagał! ty wiesz, jak twardym głosem rozkazywać umie — lecz na mnie on rozkazów nie wywołał z piersi sędziwej, piorun przekleństwa łzami przesłonił i wzdychał i skarżył na jedynę dziecię, że go strąca do grobu«.

To ze stosunku do ojca, a teraz z tej fatalnej sytuacji wobec kobiety zamężnej:

»To słowo *żona* spadło z jej ust jak kamień na serce wodza i przebudziło go w śnie ostatnim, marzonym na ziemi. — Choć on ją mieczem przegrodzi od pogoni ojca i męża, on jej nie zasłoni od

klątwy kościoła, bo co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże«... A teraz jej wyrzekania: »Co zamýślasz? gdzie gonisz niewierny? Albożes nie przyszedł mnie wyzwolić? jedno wykraść i zhańbić mnie chciales? O! nie zdradzaj! o, nie opuszczaj!... pchnij mnie w serce, wyrwij mnie potworowi. I w obłąkaniu wyciągnęła ręce, jakby straszne widmo odepchnąć chciała«...

A kiedy w rozpaczliwym uniesieniu samobójstwem chciał skrócić swe męczarnie, wtedy znowu ona żyć mu nakazywała: »Nie!... ty zostań, by przewodzić ludowi twojemu. Ja w czyśćcu czekać będę na ciebie cierpliwa i tęskna«. Ale poeta wymawiał się i wypraszał od życia takiego. Spełnił już swoje: »Czem mogłem, póki mogłem, służyłem ludowi mojemu«. Naród rusza się do walki. »Gdybym dniem jednym dłużej przeżył, wiesz-li, czy bym włosy białe musiał rozwiać wichrem burzy?«

Tak-to rzeczywistość smutna, zawsze w pamięci i w sercu przytomna, sączyła krople goryczy do rozeń *Nocy Letniej*. O niej pamiętać i ją wydzielić trzeba było z góry; teraz do właściwej, zagadkowej treści utworu przystąpić już można.

Wiemy, że *Noc Letnią* uważać mamy jako wyraz głębokiego współczucia dla młodych Polek, skazanych na małżeństwo z Rossyanami. »Czy jakiś przypadek tego rodzaju nie obchodził bliżej poety samego?« zapytuje Prof. Tarnowski, ale nie daje odpowiedzi. —

Otóż wśród małżeństw mieszanych w świecie arystokratycznym najgłośniejszym w owych latach było wydanie księżniczki Stefanii Radziwiłłówny za księ-

cia Ludwika Sayn-Wittgensteina. Ojciec księżniczki, Dominik Radziwiłł, wystawił własnym kosztem ósmy pułk kawalerii polskiej w 1812 roku, a w październiku t. r. mianowany był majorem w pułku szwoleżerów Gwardyi Cesarza Napoleona, na czele którego stał Jenerał Wincenty hr. Krasiński; służył tu Dominik Radziwiłł jako major i odznaczył się niezwykłą walecznością. Zmarł w Lautreck 11 listopada 1813 r. skutkiem ran odniesionych w bitwie pod Hanau. Wdowa po nim wyszła za rossyanina, hr. Czernyszewa. — Jedyłą córką Dominika Radziwiłła, księżniczką Stefanią zaopiekował się nie kto inny tylko sam Mikołaj I. Umieścił ją w Smolnym Monastyrze. Był zamiar wydania jej za syna księcia Antoniego Radziwiłła, Namiestnika W. Ks. Poznańskiego. Młody książę Ferdynand przyjechał do Petersburga, podobał się pannie, zaręczył się z nią, ale zachorował tam i umarł w r. 1827. Księżniczka opłakiwała bardzo zgon narzeczonego. — Na jednym z balów dworskich Mikołaj przedstawił księżniczce Stefani syna swego feldmarszałka, młodego i bardzo przystojnego księcia Ludwika Sayn-Wittgensteina. Przy bardzo usilnych zabiegach Cesarzowej, za zgodą opiekunów księżniczki, których Wittgenstein ujął piękną francuzczyzną i wyszukaną grzecznością, oddał »obcemu księciu« Stefania Radziwiłłówna swą rękę (d. 14 kwietnia 1828 roku), wnosząc w posagu olbrzymie dobra allodyalne Radziwiłłowskie (Śluczczyznę, Mir, Korelicze, Naliboki itd, itd.) przedstawiające przeszło milion hektarów litewskiej ziemi, która wyszła tym sposobem na zawsze z rąk polskich. Był to fakt głośny w całej Polsce.

Zygmunt Krasiński, po matce krwią z Radziwiłłami związany, musiał wiedzieć od ojca o tem nie-szczęsnem zdarzeniu. Jenerał Krasiński, który z pietyzmem pamięć księcia Dominika przechowywał, który serce jego pochować kazał w Krasnem (w r. 1816) a włosy zmarłego wraz z wojskowymi jego papierami w czci miał u siebie, nieraz zapewne opowiadał synowi o księżniczce Stefanii i smutnych jej losach.

Czy Zygmunt Krasiński znał księżniczkę, czy mógł być istotnie na jej ślubie w r. 1828 (»Widziałem ją, kiedy ją wiedli«...), nie potrafię o tem dziś nie pewnego powiedzieć. — Gdy w sierpniu 1832 r. wrócił do Polski dowiedział się o śmierci księżnej Stefanii († 26 lipca 1832). W zimie r. 1832/33 mógł przysły autor *Nocy Letniej* widzieć w Petersburgu młodego wdowca, księcia Wittgensteina, który w półtora roku potem stanął znowu na ślubnym kobiercu z księżniczką Bariatyńską. Że go poeta widział, wnosząc z bardzo żywego opisu jego postaci w *Nocy Letniej*: (»rzeźki i hoży, z drużyną pysznie ubranych, dzwoniąc o marmury posuwistymi kroki, ... potrząsając płowych pukle włosów, ... piękny krasą próżności na licach — ręką rozwiewa i głaszcze sobie włosy« itd.).

Ale pora dokładniej przypatrzeć się tekstowi i zbadać, czy istotnie przypuszczenie nasze znajduje poparcie w słowach utworu, czy nie jest mylnem? Gdzie dowód, że chodziło właśnie o *Radziwiłłównę*? Otóż mamy dowód nie jeden, ale kilka, wszystkie zaś są z sobą zgodne i wzajem się wspierające. Przede-wszystkiem zauważmy, że »starzec«, ojciec jedynaczki,

jest oczywiście zmyśleniem poetyckiem, skoro książę Dominik poległ śmiercią walecznych na lat piętnaście przed ślubem swej »jedynaczki«. Ten »starzec« jest tu raczej symboliczny, jako ogólna przestroga dla innych ojców, jest bez cech indywidualnych, a w wykonaniu trochę szablonowo-romantyczny. Ale jego wizja jest już dla nas bardzo ważna, bo daje klucz zagadki. W oburzeniu, po niewczasie, zrozumiał starzec straszną pomyłkę ambicyi rodowej, przeklina króla »południowego« i zięcia w śnie gorączkowym:

»Precz mi stąd, książę przybyłe z obcej ziemi! Przodki moje! powstańcie z grobów! otoczcie go rzędem. Czarny Hetmanie, wytrąć mu puchar z dłoni, ty Kardynale rzymski wymów nad nim klątwę rozrodu!« — W tych słowach bardzo przejrzyście kryje się aluzja do Radziwiłłów. Mikołaj IV Radziwiłł, zwany Czarnym, założyciel świetności i potęgi majątkowej rodu, nie był wprawdzie Hetmanem, tylko Kanclerzem W. Ks. Litewskiego, ale jest to łatwą do wybaczenia pomyłką poety, skoro tylu było hetmanów Radziwiłłów. Syn »Czarnego«, Jerzy, Biskup wileński, w końcu krakowski, był kardynałem i jego ma tu na myśli poeta. Od innych trzech synów Mikołaja »Czarnego« wzięły początek trzy słynne ordynacje.

Że w końcu poeta doskonale rozumiał doniosłość narodowej klęski takiego małżeństwa, które ubożyło Litwę i oddawało olbrzymie przestrzenie kraju w obce ręce, o tem świadczą kilkakrotne wzmianki *Nocy Letniej*:

»Ona, śliczniejsza od Aniołów, wniosła w dom męża ziemię obszerne posagiem... matki nie znaleźć, któraby jej niezazdrościła, młodzieńca, któryby mu nie złorzeczył«. — »Pani równej tobie, pani tylu włości i skarbów niema w całej ziemi naszej...

«Tak *oboe książę* zagrabił zamek starożytny enego imienia... A gdy zorza błysnęła, na rączych koniach udali się wszyscy na dwór króla południowego. — Król z serca rad był książęciu, że rozległe imiona zagarnęło ślepym losu trafem«.

Wszystko, co tylko mógł, wypowiedział ostrożny autor w tych słowach bardzo mglistych, dając przecież cierpliwemu i uważnemu czytelnikowi możność wnikięcia w myśl główną.

Jeśli zastanowimy się jeszcze nad stylem *Nocy Letniej*, to wypadnie nam stwierdzić dziwną jego niejednolitość. Obok wyraźnego wpływu stylu biblijnego (nadużywanie łącznika *i*: »I w jej kibici coś znękanego... I w jej żrenicach... I z jej ust... t. II, str. 5. — »I do owego człowieka zbliżył się mnich... II, 8) mamy także echa warszawskiej jego manieri (»pióra jego czapki wiatr niósł na z ad, pukle ciemnych włosów i zwoje płaszcza na z ad, ale on siedł naprzód i gdzie skinął dłonią, tam stawało się pusto(!) str. 18. — »Śmiecie się małowne chmury wyobraźni« 23 itp.), a w końcu zaczynający się, bardzo znamienne i charakterystyczne wpływy obrazów i porównań Jean-Paula. (»A kiedy stawał na progu, ogromna, rumiana twarz słońca wlepiła mu się w oczy.

Zdało mu się, że widzi krwawe serce Boga w przestrzeniach« itd. str. 35).

Styl jest tu wiernem odbiciem duszy poety, ulegającej w owym czasie zmiennym, gorączkowym nastrojom. Nie krępując się szczegółami i mając tylko to na uwadze, aby w dekoracjach i krajobrazach wątek prawdziwego małżeństwa przed ogółem czytających ukryć — a tylko świadomym dać przecie w tym labiryncie jakąś Ariadny nitkę — snuł swobodnie fantastyczne obrazy *Nocy Letniej* i wplatał dowolnie własne swe i Pani Joanny smutki do żalobnego wieńca oblubienicy książęcej.

Nastrojem i stylem wiąże się bardzo silnie z *Nocą Letnią Pokusa*. Nuta patryotyczna rozbrzmiewa tu silniej i wyraźniej, a jednak tak zgrabnie jest przeprowadzona, że nawet w owe czasy do kraju przedostać się potrafiła (Wilno, 1850). *Noc Letnia* zwracała się z przestrogą ku Polkom, by nie wychodziły za ludzi obcej wiary i mowy. *Pokusa* zaś ostrzegała młodych Polaków przed ponętami króla »południowego«, przed ułudą jego potęgi i przepychu. Utwór ten napisany w Wiedniu, prawdopodobnie w zimie 1837/8, miał na celu wzgląd ważny: przestrogę dla bardzo młodego wówczas Adama Potockiego, który w interesach majątkowych wybierał się po raz pierwszy do Petersburga. — (Małachowski, krótki rys... str. 6. *Tarnowski* l. c. 335, nota). — Zygmunt Krasiński otaczał go wielką przyjaźnią i serdeczną życzliwością; bardzo dbał o to, aby młodzieńki jego przyjaciel nie dał się obalamucić pokusom stolicy północnej. Pamiętał przez jakie sam w r. 1833 przechodził tam

udręczenia, jak wabne zastawiano nań sieci — i doświadczenia własne ujął w krótką i fantastyczną *Pokusę*, gdzie znowu jak w *Nocy Letniej* zmyślenia więcej niż prawdy, ale prawda, bądź co bądź, moralna wogóle i polska w szczególności, jest tam dobitnie i stanowczo zaznaczona.

Najciekawsze dla nas są oczywiście wspomnienia osobiste ówczesnego Petersburga: »Miasto ogromne, dziwne, jednostajne i wybielone; naród dziwnie silny, jednostajny, w czarnej odzieży«. Opis sfer urzędowych i wojskowych niema tu oczywiście siły i plastyki *ustępu* trzeciej części *Dziadów*, ale to, co wyszło ze wspomnień osobistych, z samotnych rozmyślań w długie, mroczne nocy zimowe petersburskie, to zachowało siłę prawdy: »Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia — niema komu się zwierzyć, dzieciom i niewiastom nawet kłamać musi; uczy się kłamstwa, jak arcydzieła sztuki i posiadał je — i stał się panem spojrzeń, sztuki i łez i ruchów swoich«...

Wielkie przyjęcie na dworze cesarskim, oszałamiające wschodnim przepychem strojów, muzyką, tańcami, »wonią kadzideł«, jaskrawem oświetleniem, odmalował w barwach żywych. Spotkanie z »Jedynowładczą« jest bardzo charakterystyczne. Mikołaj I jest tu sportretowany duchowo i fizycznie, a wrażenie jakie sprawił wówczas na biednym, schorowanym Zygmuncie Krasińskim oddane jest znakomicie. W tym opisie mamy też jedyne echo rozmów Mikołaja z synem Jenerała: »prosto szedł ku siedzeniu młodzieńca, zbliżał się coraz bardziej, cudo wnie piękny

i silny!... złożył pocałunek na jego czole i pociągnął za sobą... Wspominał o przeszłości, wymówił nawet imię matki zabitej bez wzdrygnięcia, jakby jej śmierć nie ciążyła na jego sumieniu; nie zdał się na chwilę powątpiewać, że znikła już z ziemi na zawsze i wskazał młodzieńcowi inną przyszłość ogromną, wyrytą w księgach przeznaczenia — nęcił ku niej młode jego żądze, nie szczędził obietnic, a czasami udawał natchnienie, gdyby Prorok Boga. Od twarzy jego urodziwej, jak twarz Antychrysta, ku ziemi wzrok odwrócił niešťczęśny młodzian. Każde słowo kusiciela kroplą jadu padało mu na serce«...

To wzięte z życia, z rzeczywistości. Inne szczegóły biesiady, wizje bogactw carskich i »posłanników królów wschodu i zachodu« z urnami szczerozłotami, pełnemi popiołów »tych, którzy walcząc w świętej sprawie po różnych stronach świata polegli«, ucieczka z zamku cesarskiego, jakieś zmagania się z wrogami (»I bił się i tarzał i biegał i padał aż do pierwszych świtu brzasków«...) to już są *aegri somnia*, łudzące naśladownictwo wizyj Jean Paul'owych. Wyraźne tu osłabienie fantazyi i energii moralnej świadczy o tem, że *Pokusa* powstała w miesiącach najgorszej depresyi nerwowej, o której poprzednio mówiliśmy.

Tak objaśniamy i ową śmierć młodzieńca z ręki przyjaciela i ową niesmaczną tyradę zabójcy, który morduje przyjaciela, bo go »najmocniej kochał«, a duszę jego »w pierwszej chwili upadku (za to, że przysiągł służbę jedynowładzcy) wydarł wrogom« i posłał do Boga: »Ojcie niebieski, zbaw ją w wieczności,

a niech ta krew przezemnie wylana, połączy się z morzem krwi niewinnej, co jęczy u stóp tronu Twego — i wraz z nią spadnie na głowy kusiciela«. Słusznie mówi Prof. Tarnowski: »To posyłanie cudzej duszy do Boga..., ta egzekucya spełniona przez człowieka, który spełnia morderstwo jak coś najlepszego, z modlitwą na ustach... to niemoralność tak głęboka, że pojąć nie można jak Krasiński mógł coś takiego wymyśleć? (str. 338).

Uważając *Pokusę* jakby odwrotną stroną tejże myśli patryotycznej, która i *Nocy Letniej* przyświeca, chciał widocznie poeta i tu i tam wskazać śmierć, jako jedyne wyjście ze strasznych, niedających się pogodzić z narodową godnością sytuacji. Tylko że w *Nocy Letniej* zabija kochankę wygnaniec w przystępie *rozpaczy*, która i jego życiu kres kładzie; w *Pokusie* czyni to przyjaciel wprawdzie z jękiem, ale trochę na chłodno, skoro ma ochotę do wypisywania teatralnego napisu krwią własną »na kamieniu ponad głową umarłego czerwonym ostrzem: »Z ręki przyjaciela«. Tenże przyjaciel ma jeszcze dość czasu, by po tem zabójstwie »porwać się« i — uciec przed »wałącą zgrają«. Gdyby zamiast rozprawiać z przyjacielem, zabijać go i ryc napisy grobowe, »wędrowiec« odrazu uszedł był z nim przed ścigającymi wrogami, byłby nie popełnił zabójstwa i zachował dla ojczyzny oszołomionego chwilowo na balu przyjaciela. Ale nie widzimy potrzeby rozwodzić się z zarzutami wobec drobnej fantazyi, rzuconej w gorączce nerwów jako »dzień jeden widzenia«.

Pokusa jest znowu próbą uspokojenia własnych zgryzot patryotycznych. Poeta chciał wobec »Matki po sześć kroć zabitej« prosić o litość dla tych, »których rozum blichtrami fałszu złudził« wróg narodu. »Oni więcej wycierpieli, niż reszta synów twoich. Omylone nadzieje jak noże przeszyły im piersi; w okręgu ich ducha odbyło się tysiąc walk nieznanych i krwawszych od bitew, co grzmią chręstem*stali i łoskotem dział«... Całe zakończenie *Pokusy* stosował w duszy swej poeta najwyraźniej do własnego ojca...

I jeszcze z jednego względu *Pokusa* ma pewne znaczenie w dziejach twórczości Krasińskiego. Oto załamują się w niej promienie utworów innych, bądź poprzedzających ją, bądź współczesnych, co do których niemały skądinąd pewnej wskazówki chronologicznej. Z jednej strony padają tu z *Irydiona* pewne promyki (»Długo jeszcze dni milczących poświęceń trwać muszą«...) z drugiej przebłykują światła innych myśli, które odnajdziemy z czasem w utworze, wydany p. t. *Niedokończony Poemat* (Część Pierwsza *Nieboskiej*). Cały wstęp do *Pokusy* ma już szeroki pogląd »Aligherowy« na pogrobową dolę Polski i wiernych jej synów, wygnańców. »Zanimi grób od morza do morza... a idących przeklinają mocarze i kupcy! Wzrosłych na łonie śmierci niezrozumieją żyjący... Świat was nie pozna, bo wy z trumien rodem — i *zmarłychwstając*, po drodze rzucacie szmaty całunów«...

Na takich ustępach znać już połyski innych pism poety, kryjących się w owych »papierach«, przecho-

wanych u Aleksandra Torlonii w Rzymie. Nie doszły nas one, przejęte z czasem i wcielone w inne większe, później opracowane całości, ale światłem swem już dodały blasku pomniejszym utworom i świadczą nam dzisiaj o sobie.

Zgadza się to także ze zdaniem dobrego świadka, Stanisława Małachowskiego, doskonale wtajemniczonego w dzieje twórczości poety. Mówi on w swym »Krótkim rysie«: »Po napisaniu i wykończeniu *Nieboskiej Komedyi* i *Irydiona* powziął myśl powiększenia i skompletowania nowemi oddziałami *Nieboskiej Komedyi* — ale niestety, ze szkodą wielką dla całego dzieła i literatury, zamierzonego przedsięwzięcia tylko w części i ułamku dokonał i to nie odrazu, tylko w rozmaitych chwilach«... (str. 27).

Nie jest to przypadkowem, że w kilka tygodni po zawarciu w Rzymie bliższej z Juliuszem Słowackim znajomości, Krasiński próbuje sił swych w rymach i posyła w liście do Gaszyńskiego *wiersze*, które nazywa *pierwszymi* w życiu swoim. Wiemy doskonale, że pierwszymi nie były. Ale jeśli je za takie sam poeta uważa, to znak, że te dopiero uznaje za godne takiej nazwy. Jakoż istotnie poprzednio pisał dla Pani Bobrowej chyba bardzo nieudolne, sądząc z czterech strofek z dnia 3-go września 1835 r., ogłoszonych przez pana L. Méyeta. (»Czy pomnisz jeszcze na dożów kanale — Gondolę moją w weneckiej żałobie«). Te są dziwnie słabe, nie znoszące żadnego porównania np. z wierszykami w *Nieboskiej*. Wytlómaczyć je można tylko stanem wielkiego wów-

czas rozdrażnienia. Ale późniejsze są już lepsze i lepiej uczucia jego dla Pani Bobrowej wyrażają.

Należy je tu dokładniej rozpatrzyć i scharakteryzować.

Zwiera się z nimi poeta czasem przed ukochaną, częściej przed przyjaciółmi w listach.

Natchnienie jest zrazu nieśmiałe, niedowierzające sobie. Rymy płyną zwolna i skąpo. Na rok cały 1836 przypada zaledwie 90 wierszy. Zaraz w pierwszych strofkach przyznaje się poeta do bezsilności: »Bóg mi odmówił tej anielskiej miary, bez której ludziom nie zda się poeta«. Zwłaszcza wobec prześlicznie brzmiących wierszy Słowackiego, wobec takiej np. *Dumy o W. Rzewuskim*, mogły mu się wydawać własne rymy bardzo biednymi. Istotnie, myślom autora *Nieboskiej* lub *Irydiona* za ciasno było, za kuso w prostych rymach gramatycznych (dwoje — moje; fałach — salach; zawrzały — przeiskrzały itd. itd.). Zbyt czułe miał sam ucho, by nie gardzić taką tużinkową miarą; pragnął »anielskiej«:

Gdybym ją posiadał, świat ubrałbym w czary,
A że jej niema, jestem wierszokleta.

Ten rozdźwięk własnej duszy, słyszającej w sobie »niebieskie dźwięki«, a wydającej tylko złamane i twarde słowa, bo »nim ust dojdą, łamają się na dwoje« — znał także arcy mistrz pieśni naszej, kiedy w improwizacji wielkiej stwierdzał, że »myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie. A tak jak twórca *Dziadów* oceniał dobrze wieczne niepo-

rozumienie poety z społeczeństwem i wieczną nie-domyślność rzeszy wspólnej:

Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach —
tak Krasiński żalił się, że »ludzie usłyszą tylko twarde szczęki« słów jego, gdy on dniem i nocą słyszy serce swoje:

Ono tak bije na krwi mojej falach,
Jak gwiazda brzmiąca na wirach błękitu,
Ludzie nie słyszą jej...

Miłość smutna i bez przyszłości szuka wyrazu w tej skromnej, świadomej swych braków poezji. Pierwsze wybuchy namiętności i szczęścia z r. 1834—5 nie uwieczniły się w wierszach. Tylko rozpamiętywania i żale zakwitły poezją. — Nie widział ukochanej przez cały rok 1836 i przez połowę 1837-go. Tęskni i cierpi. Czuje, że szczęście minęło niepowrotnie, a jest to charakterystyczne, że drży przede wszystkim o *piękność* ukochanej, że się lęka,

By świeżość wiosny w posępnej żalobie
Nie marła jeszcze na twym drogiem czole.

Ale darmo! »Czasu niewstrzymane fale«, a każda chwila wspomnień błogich ciąży mu na sercu przecuciem goryczy: wie, że już podobnie szczęśnych nie zazna nigdy.

Znamienną cechą tej poezji miłosnej 24-letniego kochanka jest trwożliwy niepokój o wdzięki ukochanej. Nie słyszymy nie o zaletach jej duszy; natomiast tęskni poeta do oczu zmiennych, prześlicznych, które z błękitnych zmieniały się w upojeniu

miłosnem na czarne, wspomina jej wspaniałe istotnie czoło, wrażliwe na każdą myśli zmianę, drży o jej cielesną piękność, chce za trwałość tej piękności płacić dniami własnego życia, własnem szczęściem, nawet chwałą, byleby tylko przedłużyć jej młodość,

Byś tylko dłużej piękną mi została.

On drży na samą myśl, że *ona* może zbrzydnąć; wiemy już, że życzy jej tego, by umarła młodą, bo zdaje mu się, że nie przeżyłby jej piękności, bo »gdy ty *zwiądniesz*, ja zgasnę na wieki«. Ale w miarę, jak przedłuża się rozłąka z ukochaną, jak cierpienia fizyczne odhartowują mu duszę, on czuje coraz dotkliwiej brak jej »cichych rąk«, ciężar swej samotności i wybucha żalem:

Mogłem być z tobą na ziemi szczęśliwym, . .
Lecz teraz konam w próżniach ducha mego.

Już w tym wierszu znać więcej zajęcia się sobą, niż tą oddaloną, nieszczęśliwą. Już on biada nad niemocą ducha, która go ogarnia, i' zazdrości owym lepszym dniom przeszłości, kiedy-to »świat duchów zdawał się otworem stać duszy« jego, kiedy »z braćmi na chmurach witał się dumnie«, a rozkochany w tchnieniach ich miłości, wyrывał się ku błękitom wiecznego spokoju, »z sercem szczęśliwym, bo skonać bliskiem«. Miłość jego ma tu już jakieś pogrzebowe tony i cmentarny nastrój!

Chciałbym Anioła widzieć na tym grobie,
Kędy sny nasze leżą pogrzebane.

W chorobliwym lęku przed utratą wzroku radby przynajmniej głos jej usłyszeć, »jak pieśń nadziei w godzinie skonać«.

Jednak miłość dla niej wydaje mu się jeszcze dość silną, skoro i po śmierci nie straci ona swej nad nim władzy:

A jeśli płacząc, na zgasłych źrenicach
Złożysz jak kwiaty twoje ciche ręce,
Grób spłonie ogniem i w stu błyskawicach
Słońc nieśmiertelnych obleją mnie wieńce!

Tu już wyobraźnia rozigrana sięga wyżej, kusi się o obrazy niezwykle i nowe. — Potem rok zupełnej ciszy. Smutne spotkanie w r. 1837, które było jakby pogrzebem zmarłej już w sercu jego miłości, odebrało mu wszelką do poezji odwagę. Z całego r. 1837 jeden tylko wiersz się dochował, raczej pamiątnik wierszem, pisany w chwili zupełnego upadku ducha, największego przygnębienia, jakiego od r. 1831 doznał. Poeta przechodził wtedy ciężkie przesilenie neurasteniczne, które w właściwym miejscu opisaliśmy. Zdawało mu się, że jest bliski śmierci lub szaleństwa, a w tym samym liście, w którym posłał Gasińskiego te wiersze, określał także doskonale znane neurastenikom »przecucia niezawodnej zguby«: »Nie minie dni wiele, a mnie *coś się stanie*; przejrzeć jasno co, nie mogę, ale *coś takiego*, nad czem ty zapłaczesz tam«... Posyłał zatem wiersze, które »same wydostały się z jego głowy« na pamiątkę po człowieku, po przyjacielu, choć uważał je za »kiepskie«.

Są przecież najsilniejsze treścią, jakie dotychczas napisał, choć formą nie wznoszą się nad poprzednie. Jest w nich wprawdzie chorobliwość nerwowa, naturalny skutek stanu, w jakim się wówczas znajdował — ale jest też dużo samowiedzy poetyckiej, jest już ten filozoficzny nastrój, który odtąd będzie stałą przyprawą jego poezyj. Już tu miłosnych westchnień napróżno szukać; życia nerw zagrożony:

Serce mi pęka, światło się umyka
Z przed oczu moich. Wszystko, co kochałem,
Jak Bóg dalekie, lub jak chmura znika...

Już nie o miłości mowa, ale o »*ułudach* młodości«, już cierpki żal do samego siebie, że kochał i siły ducha w miłości tej zmarnował:

Gdybym nie kochał śmiertelnej piękności
I ust nie złożył na widomem czole,
Byłbym tą iskrą, spadłą mi z wieczności,
Pożar rozniecił na ziemskim padole.
..... boskich skrzydeł szumem
Byłbym się wyniósł nad głowy współbraci!
Dziś już zapóźno!

Jakaż namiętna i ambitna skarga! Jakie poczucie siły, zrozumiałe w autorze *Nieboskiej*, że mógł był pożar rozniecić na ziemskim padole. A równocześnie, jak tu przebija żal hr. Henryka i pragnienie, aby się wynieść nad głowy współbraci. Jedyne to wiersz, w którym poeta zastanawia się nad siłami swego

ducha i w rozpaczy, że lata młode w cierpieniach mu zeszyły, woła:

Iskra geniuszu na cóż mi się zdała?
Tliła się tylko w głębiach mojej duszy. —

Nieubłagany własnych czynów sędzia, on wie, że z rozstroju duszy swej niełatwo się wyleczy, bo

Dusza jest jak ciało:
Gdy się raz psuje, a nadpsutej części
Od zdrowych sił nie oderwiesz całą
Złe się rozbiegnie i wszędzie zagaści. —

On tę moralną zarazę zna, on ją odczuwa każdym nerwem zbolalej duszy, a

Ból co w nim rośnie, rósć musi jak życie...
I jak krew żyły, tak myśli obiegać. —

Rozłam własnego ducha na »dwie tonie« skreślił z psychologiczną wiernością. Ona to sprawiła, że porwani silną i obrazową myślą, zapominamy niemal o rymie i rytmie. Filozofia przemaga tu nad poezją, a tragizm męki duchowej nie dba o piękno wysłowienia; prawda jest tu pięknem. Wiecznie ludzki rozbrat rozumu z sercem wyraża się w słowach prostych, głęboko odczutyh i z samego wnętrza zbolalej duszy dobytých:

Duch na dwie tonie ciągle się rozkłada:
Z szczytów otchłani sam woła na siebie
I sam jej z głębi smutno odpowiada.
Rozdarty wiecznie, myślą siedzi w niebie,
A sercem w piekło coraz niżej spada...
Bo złać się w jedno i zgodzić nie zdoła,

Ani też całkiem rozpaść się na dwoje.
 Do wskazanego raz wepchnięty koła,
 Sam z sobą toczy nieśmiertelne boje,
 Niemogąc skonać, a co chwila kona
 Pod wójnym bólem. Jedna jego strona
 Niszczy się jadem śmiertelnych miłości,
 A druga żalem niebieskiej litości!
 Rozum, co w górze, choć sądząc, przeklina,
 Równie samotny jak przekłete serce:
 Wszędzie niecznośnie, bo wyrok i wina
 W każdej się życia zmieszają iskierce!

Dziś, gdy znamy całe smutne dzieje tego kochania, gdy wiemy, jak bezlitośnie umiał »sam siebie rozdzierać«, możemy domysleć się, jakie piekielne przechodził męki za krótkie chwile »śmiertelnej miłości«; a gdy zważymy, że równocześnie zapadł w bezdeń zwątpienia religijnego i »konał w próżniach swego ducha« — to wtedy odczuujemy chyba całą zgrozę tego stanu, gdzie »wszędzie niecznośnie«, gdzie i rozum samotny i serce przez rozum własny przekłete, a niema chwili jednej zapomnienia o winie i o wyroku.

Więc nie dziw, że poeta, zagnany chłostą sumienia aż na sam brzeg przepastnej rozpacz, zwątpił o wszystkim: o możliwości zagrobowej ciszy i wypoczynku dla ducha, o śnie nieprzespanym i pokoju cmentarzy; świat cały nazwał »przegranej polem« i trudem bez końca, bolem wiekuistym.

I znowu rok mija... Po przesileniu ciężkiem, nastąpiło spotkanie w Salzbrunn, o którym nie wiedzieli oboje, że będzie z woli ojca ostatnie. Pożegnawszy się z Panią Bobrową w ostatnich dniach maja 1838 roku,

z drogi zapewne, może z Wrocławia, posyłał jej poeta w darze siateczkę czarną na pieniądze dawane ubogim; dołączał przytem list następujący (bez daty i miejsca): »Ile razy sięgniesz do tej czarnej siateczki, by dać grosz biednemu, wspomnij na mnie, bo ja także biedny, ja także żebrał i tyś mi niegdys jałmużnę serca rzuciła!

»W tej chwili mrok już pada, ledwo mogę dostrzedz liter, które piszę, a patrzę w stronę Twoją, w niebo za górami: gwiazdka tam wschodzi i kocham ją, bo niby przyszła od ciebie.

Leniwo, mulem mętne ciekłą życia fale
 I na nurtach potoku wszędzie słychać żale.
 Z tyłu spią bladym zmierzchem przypruszone tonie,
 Z przodu niebo w oddali krwawą łoną płonie,
 A z stron obu pływaczy tak zimno i ciemno,
 Że każdy płynąc woła: »przekleństwo nademną«

»Wśród takiego życia bądź mi ty błogosławiona, boś jedynym ty mi była aniołem. O, wspomnij o mnie, ile razy dasz grosz ubogiemu«.

Wierszyk ten, który z małemi, ale charakterystycznymi zmianami umieścił potem poeta na czele *Pokusy*, maluje dobrze smutek i zwątpienie jej i jego: »obu pływaczy«. Po tem smętnem pożegnaniu, po zerwaniu, dokonaniem przez ojca, mógłby był poeta odpocząć na klasycznej, umiłowanej przezeń ziemi włoskiej, w tej Kampanii, gdzie »taki spokój wielki«, — gdyby mógł i śmiać zapomnieć. Chwilowy, »niezwykły« spokój ducha pozwolił mu skreślić wiersz pod wrażeniem Kampanii rzymskiej (»Jak anioł spadły, leżący w piękności« z dnia 9 grudnia 1838 roku),

jakby na okładce *Irydiona* skreślony. Ale wędrówka po *Forum* i *Colosseum* zniszczyła ten chwilowy spokój. Przypomniła się »cała młodość«, wszystko, co tam marzył i kochał — wróciła pamięć miłości tam poczętej i jej wszystkich późniejszych zgryzot. Już nie sam był w Rzymie i w Kampanii. Głos znany, smutny i rzewny szeptał mu teraz wśród przestrzeni ruin:

Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi,
Dla ciebiem drobne porzuciła dzieci...

Zdawało mu się, że to już zmarłej głos prosi o pamięć wierną, o grób przy Rzymu ruinach, »zakryty zewsząd bluszczem i głógami«. A tak, czy kiedyś w Wiedniu, czy teraz w Rzymie, czy potem w Neapolu: spokoju nie zaznał.

W wierszu tym, jakby w urnie grobowej chciał złożyć ból ukochanej i własną zgryzotę, wystygłe żarów namiętnych popioły... Zbyt dobrze znał sam siebie, by nie przeczuwać, że przyjdzie niebawem czas, »uczuć morderca«,

Co wszystko zjedna, pogodzi, zabije;
Na starych gruzach z róż świeżych uwije
Nową koronę, lub nauczy szydzić
Z ulud młodości i młodość pochowa...

OBJAŚNIENIA I UZUPEŁNIENIA.



6590

(str. 30). List *) Z. Krasińskiego do Jenerała Franciszka Morawskiego:

»Po tysiąc razy dziękuję Panu Jenerałowi za Jego łaskawą pamięć o mnie. Nie mogąc sam pisać z przyczyny bólu oczów, muszę cudzego pióra używać, by Mu oświadczyć wdzięczność moją i chwilk kilka, jeśli pozwoli, z Nim pomówić. Myślę, że może będzie przyjemnie Panu Jenerałowi w dalekich stronach usłyszeć rozmaite wieści literackie, chociaż literatura terażniejsza mało ma w sobie powagi i wielkości; przypatrzyłem się jej z bliska, siedząc przez dwa lata w Genewie, która jest stekiem wszystkich wiadomości naukowych Europy. Widziałem tam kilku znakomych ludzi, przejeżdżających różnemi czasami, naprzód Chateaubrianda, który przypiąwszy różę białą do czarnego fraka i w oną różę wlepiając oczy, przechadzał się dosyć smutny; pono wspominał sobie męczenników swoich. Czasem mówił starodawne komplementa kobietom i potrzasał głową, bo nie miał pieniędzy. Ktoby dobrze zważał, poznałby w jego żywych oczach próżność bez miary. Na jego czole nie mogłem wyczytać nic chrześcijańskiego. Potem poznałem się z Wiktorem Hugo; natura wydoskonaliła w nim wszystkie zmysły tak, że wzrokiem sięga ogromnych odległości, słuchem wyrównywa dzikim Ameryki, a Marcinkowskiego (Jaxę) przechodzi o wiele w żarłocztwie, w dumie zaś szatana. Powtarza zawsze »po Karolu W. Szekspir — po Napoleonie sja«, twierdzi, że doskonale pojął swój cel od dziesięciu lat przeszło, i że ku niemu dąży matematycznie: gwiazdą wschodzącą jego nieśmiertelności ma być Epopea Napoleońska, nad którą pracuje. O ile sądzić mogę, zda mi się, że chęć zysku jest najdzielniejszą jego pobudką, poezya ta cała jest poezją bankierów, pozbawiona czucia i harmonii, ni jedna jak u starożytnych, ni rozmaita w swojej prawdzie jak u Szekspira, ale potworna.

*) Po raz pierwszy wydrukowany w *Kuryerze Poznańskim* (Nr. 3 z r. 1901).

osypana marzeniami gdyby pieprzem, utwór dnia jednego handlowego, cień nędzny i znikomy w dziejach sztuki, żadnej prawdy nie mający za podporę, jedno tę, że przynosi pieniądze. Nie mówię ja tu o samej fantastyczności, której barwa cechuje wszystkie te płody, bo zda mi się, że fantastyczność jest prawdą jak n. p. u Hoffmanna, i w rzeczy samej są fantastyczne zdarzenia w życiu, kształty w naturze, uczucia w duszy, tony w muzyce. Wydać je doskonale, przeniknąć się całą ich prawdą, jest tak trudnem w poezyi, jak w fizyce spostrzeżenia nad magnetyzmem i elektrycznością, ale zda mi się niezmiernie łatwą rzeczą napisać jakiegokolwiek bałamuctwo, ułożyć niejaka, że tak powiem, arytmetyczną kombinacyą z kilku zbrodni i przezwąć cudzolożstwo, morderstwa, oszukaństwa, pijaństwa, karty etc. etc. imieniem «fantastique», bo któż prosić sprzeczać się z nim będzie, że to tak nie jest, kiedy fenomena fantastyczne niezmiernie są ulotne i niepojęte dla wielu. Tam gdzie Byron ostrzeżony szeptami geniuszu, swojego jedynego anioła stróża, stanął, zatrzymał się i już nie szedł dalej, tam właśnie początek ich drogi, a droga ta wiedzie w przepaść nie ich samych, bo oni wiedzą, że kłamią, że nie mają żadnego natchnienia, ale tych, którzy ich czytają i wierzą im — servile imitatorum pecus. — Pierwsze miejsce piastuje między nimi Balzac, niby to filozof, niby poeta. U niego prawie wszystkim jest mechanizm stylu, zależący na obwijaniu jednej myśli tysiącem wyrazów, na przeciąganiu scen, na sztucznem odwlekaniu, na wmawianiu w czytelnika, że coś niezmiernie ciekawego się zbliża. W tem zachodzi wielkie podobieństwo między nim a każdym grzechem, który ludzi, ciągnie do siebie obietnicami, a nigdy ich nie dotrzyma. Zresztą dążeniem Balzaca jest materyalizm i tak np. w jednej z ostatnich powieści swoich pod tytułem *Louis Lambert* opisuje człowieka o młdym ciecie, o cudnym licu, o potężnej duszy rozwijającej się wewnątrz siebie bez żadnego zewnętrznego wpływu, kształcącej coraz bardziej wszystkie swoje władze, spostrzegającej najdrobniejsze szczegóły analityczne, a zarazem umiejacej się podnieść do najwyższej syntezy, przenikającej tajemnice, dochodzącej do samych niebios. Przez cały czas sam autor się roz-

plywa nad tem cudem stworzenia, z czułością, z zachwyceniem, ściga za postępani tego umysłu i najpiękniejszymi, najczystszymi przymiotnikami go otacza (*cette brillante intelligence, exquisite, céleste, délicieuse*) a kiedy omamił czytelnika, zda się oderwał go od ziemi, przeniósł go do kraju ducha, jednym wyrazem obala tę całą budowę duchowną wykrywając, że wszystkie objawienia tej duszy, głębokie jej myśli i przeczucia, są jedynie skutkiem szkaradnego nalogu, cała zaś powieść poświęcona kochance. Jest w tem coś ohydneho, nie myślę zaś, by było coś fantastycznego. Pan Jules Janin na pierwsze wejście ma więcej ognia i popędu, jego *Barnave* jest niepospolitą dziełem. Jako się Byron przejął charakterem szatana i postawił go na nogi, tak Janin przejął się Hrabią Mirabeau i utworzył z niego kolosalną postać, w około której jednak dużo jest grochu z kapustą. Styl jego z początku czaruje, zda się tęczyć polysków, ale to trwa krótko, gdyż ten sam zupełnie układ wyrazów wraca wciąż, gdyby zwrotka w baladzie. Wyłazłszy jeszcze mniej jak u Balzaca, ale za to karty pełne, tomów zawždy cztery, zapłata u księgarzy a do tych dochodów dodać trzeba jeszcze jeden: Panna Mars, owa sławna aktorka, go utrzymuje. — Eugène Sue pisze powieści morskie, ma on niekiedy błyskawice poezyi, ale cóż z tego, kiedy każda piękna postać którą opisze, z początku święta, pełna szczerości i powabów, musi koniecznie stracić cześć w końcu i przemienić się na obrzydłą; znać że się w jego mózgu powikłał korsarz Coopera z korsarzem Byrona, a z owej mieszaniny powstały dziwne bałamuctwa, zemsty najszkaradniejsze, nienawiści bez przykładu etc. etc. — Charles Nodier czasem jeszcze głos swój podnosi, ale krótko przemawia i przepowiada koniec rodu ludzkiego, on jeden wierzy w to co mówi, insi żadnej wiary nie mają, żadnej myśli wspólnej, wielkiej, miasto jedności mają monotonią, słowem, cała terażniejsza literatura jest śmieszną w swoich okropnościach; styl składa się z kilku pewnych wyrazów: *révélation, fatal, virtuellement, pantelant, mission* i t. p... Rzecz zaś snuje się ogniwem z trumien, z sztyletów, z domów gry i rozpusty, z namiętności po-fałszowanych, z uczuć wykutych, jako się kują złe wiersze za

pomocą truflów i wina. Otóż to się łatwo daje zrozumieć, że po dobrym obiedzie, który jest niezmiernie antynaturalną rzeczą, nerwy żołądka wprawione w ruch chorowity, przesyłają część swej gorączki nerwom mózgu, a zjadł owe wszystkie marzenia, sprośności, które są tem samem co wątroby gęsie, z których złożone pasztety strasburskie, chorobą sztucznie sprawioną gwoli większej rozkoszy żarłoków. I tak pan Soulié świeżo wydał *Les deux cadavres*; treść tej powieści oparta na trupie Kromvela i na trupie Karola 1-go. Rozmaite losy tych dwóch ciał opowiada autor. Ze wszystkich scen jedną tylko Panu Jenerałowi opowiedzieć chcę: Barksteat pragnie zemsty nad Karolem II-gim który kazał stracić jego ojca za to, że podpisał wyrok śmierci Karola 1-go. Długo więc nad nią rozmyśla, a nareszcie wynalazłszy, pośród nocy ciemnej bierze się do jej wykonania. Idzie po trumnę w której leży ciało i głowa odcięta Karola 1-go, ową trumnę kładzie na barki i niesie do rowu przed domem kochanki, która jest córką nieprawą Karola 1-go, dziwnym trafunkiem wychowaną w domu Barksteta, towarzyszką jego lat dziecińczych, siostrą dawniej, a teraz lubą, jedyną pociechą, ukochaną nadewszystko. Wola na nią, by wyszła z domu. Szesnastoletnia dziewczyna ładna, niewinna, rozmiłowana spieszy na głos kochanka; wtedy walka następuje w duszy Barksteta, chęć zemsty przeważa, wymaga więc od niej, by mu się oddała zupełnie, ona nieboga złoży pocałunek na jego ustach i rzecze: otóż dostałeś mnie, ale on tłumaczy jej, że to jeszcze nie wszystko i ciągnie nieszczęśliwą do trumny ojca; owa truma staje się łożem jego rozkoszy. Gdzież tu poezya? gdzie harmonia? same fałszywe tony. Są w muzyce niektóre fałszywe akorda, które powiązane z następstwami zgodnemi, w ogóle swoim tworzą najświetniejszą harmonią; dobór takich fałszywych i melodyjnych w poezyi tworzy jak mi się zdaje *fantastyczność*. Ale oni bez żadnej sztuki bez żadnej uwagi, samemi jedynie fałszywemi grają a każą słuchać i mówią: »Patrzcie, jaka doskonała muzyka! my pierwsi ją wyjawili światu«.

Od kiedy średni stan wziął przewagę i nazwał się ósmnastym wiekiem, można było przewidywać, że literatura stanie

się spekulacją, że tomy na funty sprzedawać się będą. Trzeba pocie, by wierzył w siebie i w poezję jako cel, nie jako w środek, inaczej stanie się bankierem i kupcem, kupcowi zaś wszystko jedno, czy bohaterą posłać na skałę, by tam umarł wśród mąk, czy napisać i rozsiewać najfałszywsze zasady. Upatruję wielkie podobieństwo między polityką angielską a dzisiejszą literaturą francuską. Do tego jeszcze dodać można różne insze wpływy. Publiczność łaknie takowych obrazów, bo jej ojcowie i ona sama już objadła się i opila wszystkimi trunkami, mianowicie krwią. Takowi ludzie nie mogą czytać Idyll Gessnera, nerwy ich rozdrażnione do najwyższego stopnia, trza wraz nowszych poruszeń. Rzymianom pod koniec cywilizacyi starożytnej trzeba było igrzysk i biesiad, to był ich szal zmysłowy, ostatnia konwulsja zmysłowego świata. Teraz to jest nasz szal moralny, może ostatnia konwulsja naszego świata. Byron także się do tego przyłożył, on pierwszy porwał razem tysiąc obrazów i rzucił razem, ale któż mu wyrówna? kto go naśladuje, przepaść musi, on jest sobą samym, początkiem żadnej szkoły być nie może, a kto wie, czy nie jest końcem romantycznej, ostatniem echem średnich wieków, bo choć powątpiewa jak Spinoza, sztydzi jak Wolter, nieraz w nim coś rycerskiego się obudza, powstaje nagle Baron angielski w szyszaku i zbroi, pan nad mnogimi wasalami, a choć nie wierzy ukrzyżowanemu Bogu, jakże doskonale pojmuje i Danta i Tassa i gdyby oni sami, ich głosem przemawia. Jednak Don Juan ogromny wpływ wywarł na teraźniejszą literaturę francuską. Stało się jako się dzieje zwyczajnie z naśladowcami, chcąc utworzyć coś podobnego przesadzają, a nierozumiejąc geniuszu, któremu hołdują, wszystkie jego piękności i prawdy zamieniają na fałsze. Pamiętam wiersz Pana Jenerała:

»Jam się wieszczem mych czasów a nie małpą zrodził.« Ja bym się teraz do nich podobnie odezwał i jeszcze nieco inaczej: Jam się wieszczem mych czasów, a nie świnią zrodził. — Tym czasem Lamartine z żoną angielską wsiadł na okręt i popłynął do Palestyny, rzucając brzegi ojczyznie z ściśniętym sercem poety, którego nie rozumieją. On miał wiarę, a choć nie uni-

knął monotonii, kto go czytać będzie uwierzy w niego. Ja nieraz płacę za średnimi wiekami, za ową począ, która utworzyła Danta i dźwignęła katedry gotyckie. Jako błyskawicy służą za tło czarne chmury, tak jej tłem były podania północy, skandynawskie Sagi — a jako Eschylos przypomniął sobie świat zniszczony Tytanów i natchnął się nim i wskrzesił go na chwilę, tak Szekspir, Chrześcianin, przypomniął sobie mity zatraczone północy i wyrósł na olbrzyma. Gdzie owa począ dzisiaj? Staliśmy się drobnymi, a mamy się za poważnych i groźnych, okropności nasze w śmieszność przechodzą, a co w teraźniejszej literaturze jest najzgubniejszym, najbardziej przeciwnem porządkowi wszech rzeczy, przeznaczeniom duszy ludzkiej i celom ludzkości całej, to, że każda walka moralna kończy się na zwycięztwie złego, a kiedy szatan przeżyje, kiedy gach osiedzi w domu i mąż mu zawierzy, kiedy filozof rozumując dojdzie do najfałszywszego wniosku, szaleńiec dostąpi celu swych namiętności, wtedy zapada kurtyna. »Skończyło się, widzowie, wracajcie do domu«. Począ to na wspak natury, bo przeznaczeniem duszy jest cierpieć, zmagać się, ale wreszcie ujrzeć Boga; szatan śnać rozgościł się na tej ziemi, wiele serc natchnął i serdecznie się raduje. Chciałbym tych wszystkich panów, którzy sobie tak łatwo marzą o trumnach, trupach, zabójstwach, nienawiści i zemście widzieć za bramami Paryża w jakim niebezpieczeństwie, pana Sue w burzy na morzu, pana Janina wśród konwencji narodowej, a Balzaca obok jakiego rycerza z czasów Ligi, któryby mu groził sztyletem. Ponoby uciekł jako niegdyś Jaksza przed korpusem officerów w Lublinie.

Poznałem także za granicą Mickiewicza. W nim jest prawdziwa począ, bo szuka prawdy i jedynie prawdy, umrze z głodu, a nie będzie zmyślał fałszywych uczuć; od nieba dostało mu się natchnienie jakie znamionuje wieszcz, połączone z wielką potęgą myślenia i rozumowania. Do tego jest wielka harmonia między jego wyobraźnią a jego sercem, tanci wszyscy francuscy mają wyobraźnię, ale serca nie mają, wyobraźnia zaś bez serca prowadzi nieraz kobiety do zbrodni, a mężczyzn zawsze do głupstwa. Byłem z Mickiewiczem w Rzymie,

tam trza żyć w przeszłości, i owoż żyliśmy w niej. Nie przeto jednak rozumiem, iżby Mickiewicz nie znał swojego wieku i nie pojmował go. Ostatnich jego poematów jeszcze tu nie ma, jeśli nadejdą przed moim odjazdem, niezawodnie je przeszlę Panu Jenerałowi. A teraz, kiedy się obrócę ku literaturze polskiej, głuche mileczenie. Mnie się zdaje, że trza wrócić do starych pisarzy, z tamtąd czerpać, i z tych pysznych, porzucanych kawałków marmuru wybudować świątynie.

W Anglii zjawił się młody poeta Tennyson, same dotąd ułamki wydawał, ma w sobie wielką prostotę i razem bogatą wyobraźnię, jedną strofę z niego pamiętam:

The poet in a golden time was born,

With golden stars above,

Dowered with the hate of hate, the scorn of scorn,

And the love of love.

Moore jeszcze czasem zaśpiewa piosnkę; romanse wychodzą podług formy Waltera scota nieboszczyka, fantastyczność francuska nie ma w nich miejsca.

Znudziwszy Pana Jenerała tą długą gadaniną upraszam Jego, żeby raczył na mój zamiar uważać, a nie na wykonanie jego. Przyłączam serdeczne ukłony moje dla Jenerała Milberga, przyjmijcie Oba wszystkie moje życzenia, wszystkie chęci życziwe, które składam życziwem sercem, a których nigdy czuć nie przestanę. Zapewne kiedy ten list dojdzie Pana Jenerała, już mnie wtedy tu nie będzie, a zatem nie mogę spodziewać się odpisu, tylko tę mam nadzieję, że kiedyś miasto słów pisanych będą słowa prawdziwe i uściśnienia. Polecam się łaskawej pamięci Pana Jenerała i powolne mu służby moje zalecam.

St. Petersburg, 30 stycznia 1843 r. *Zygmunt Krasiński.*

(str. 38). »Reeve przewinił...« — Trochę światła na tę sprawę rzuca list Krasińskiego z Rzymu, d. 12 listopada 1833 r., pisany do wspólnego ich przyjaciela genewskiego, Alexandra Lombarda; oto ustęp odpowiedni:

«Je vous dirais une chose Alexandre: Reeve, quand il pensa qu'il sied à sa dignité de rompre avec moi, finit sa correspondance, en m'annonçant le mariage de H. W.; à présent,

qu'il veut revenir à moi, il contredit la nouvelle et annonce qu'elle prend toujours de l'intérêt à moi. — Ne trouvez-vous pas, mon cher Alexandre qu'il y a ici une finesse peu généreuse, cruelle dans le premier cas, cousue de fils blancs dans le second».

Podobnież w liście do A. Lombarda z Wiednia z d. 18 sierpnia 1833 wypomina Reeewowi »sa fierté malentendue«.

(str. 86). ..»system Saint-Symonistyczny«. — Ob. treściwy zarys w książce Weill'a: L'école Saint-Simonienne. Paris, 1896. str. 29—31.

(str. 88). Wyjątek z mowy Barraulta podaje Weill l. c. str. 49.

(str. 90). Stosunek Sainte-Beuve'a do St.-Symonizmu objaśnił szczegółowo Gustaw Michaut: Sainte-Beuve avant les »Lundis«. Fribourg—Paris. 1903, str. 237 i nn.

(str. 97 *Polepszenie... proletaryatu*). Z tego punktu życzliwie ocenia St.-Symonizm znany pisarz obozu katolickiego G. Goya u. Oto kilka wyjątków z jego książki p. t.: »Autour du catholicisme social« (Paris, 1897, str. 193—4):

Le but constant de l'École se peut définir ainsi:

L'amélioration morale et physique, l'acheminement au bien-être de la classe la plus nombreuse et la plus pauvre... dans ce socialisme archaïque, timide encore, qu'ébauchait l'école Saint-simonienne, on ne perçoit nul appel aux basses passions de la foule, nulle condescendance à ses appétits, nulle aspiration haineuse vers un universel nivellement, il tend moins à la jouissance qu' à l'amour, il ne résulte point d'une efflorescence de l'envie, mais du sentiment profond d'une fonction sociale imposée à tous. —

Enfantin aux prêtres:

„Le monde nouveau sort des entrailles du Christ; ce n'est plus le monde des nations, des races, des castes, de la naissance, de la guerre, de la servitude; non! c'est le monde de l'humanité, de la fraternité, de la paix, de la liberté, de la récompense selon les oeuvres! Vous qui l'avez enfanté, vous méconnaissiez donc Votre enfant!“

Plein d'admiration pour le catholicisme du moyen âge, »qui avait fait des cathédrales, institué les pompes du culte et

fondé l'industrie... Enfantin lui demandait de sortir de son isolement et de savoir comprendre le monde nouveau«. —

Dla osób, interesujących się znaczeniem St.-Symonizmu w rozwoju pojęć społecznych, podaję tu wykaz ważniejszych dzieł, omawiających rozkwit i upadek tej sekty:

Bibliografia: Louis Reybaud: Socialistes modernes. I. Les Saint-Simoniens -- Revue des deux mondes, 1836. — Sainte-Beuve: Premiers Lundis, T. II. Doctrine Saint-Simonienne. — Lorenz v. Stein: Geschichte der sozialen Bewegung in Frankreich. Leipzig, 1850, 3 Bde, 8°. — Booth: Saint-Simon and Saint-Simonism. London, 1871, 8°. — P. Janet: St.-Simon et l'école St.-Simonienne. Revue des deux mondes, 15 avril et 1 octobre 1876. — Scherer: Mélanges d'histoire religieuse (C. Lévy: Le Saint-Simonisme et la Société. — Warschauer: Saint-Simon u. die Saint-Simonisten. Lpz. 1892. — Ch. Adam: La Philosophie en France, première moitié du XIX siècle. Paris, 1893. — Charléty: Essai sur l'histoire des idées St-Simoniennes (thèse). — G. Weill: Un précurseur du socialisme Saint-Simon et son oeuvre. Paris. (Perrin et Cie) 1894. — E. Faguet: Politiques et moralistes du dix-neuvième siècle, Deuxième série. Paris, Société Française d'imprim. 1898. (Saint-Simon, Fourier... Ballanche...)

(str. 113 *międzynarodówka zupełna*). Nie dostrzegł tego Mickiewicz w wykładach o *Nieboskiej* i zarzucił Krasieńskiemu, że skrzywdził »charakter włóscian, charakter ludu słowiańskiego w ogólności, dając mu za głos swoje chóry lokai i rzeźników«. — Chóry te nie mają nic w sobie wyłącznie słowiańskiego, a lokaje i rzeźnicy są wszędzie, od Gibraltaru do Petersburga i są właśnie typowymi przedstawicielami międzynarodowych, fachowych, nie narodowych rekryminacji. Zarzuty Mickiewicza, dotyczące »cudzoziemczyzny« Henryka, wychodzą tylko na pochwałę Krasieńskiego. Ob. St. Tarnowskiego: »Z. K.« 1892, str. 134—5. — Że wreszcie Mickiewicz nie zgadza się z Krasieńskim w pojmovaniu roli Żydów (»Przechrzt«), jest to zupełnie naturalne w r. 1843, w ustach wyznawcy Towiańskiego.

Wiadomo z wykładów w Collège de France, że Mickiewicz

uważał imię Pankracego za symboliczne i etymologicznie dobrane obmyślane. Krasiński żartował sobie potem z tego przypuszczenia: »Bóg świadkiem — mówił do Gaszyńskiego — że podobny symbol ani mi przeszedł wówczas przez głowę. Szukałem jakiegoś *brzydkiego* imienia i nazwałem przywódcę demagogów Pankracym«. (*Wspomnienia Gaszyńskiego*, autograf, str. 102).

(Do str. 114). Cytata z Fagueta: *Questions Politiques*. Paris, A. Colin, 1899, p. 168. — Do czego doprowadzić musi socjalizm, wykazuje to świetnie tenże autor w najnowszym dziele: »*Le Libéralisme*« (Paris, 1903, Société Fr. d'imprim.). — Oto kilka tez, dokładnie tam uzasadnionych: »Le socialisme, c'est une bureaucratie universelle«. — »C'est le césarisme«. — »...il est le despotisme en soi«. Ob. str. 220—224.

(str. 116 *apatyi społecznej*). »Le Socialisme, même tempéré, même fort inégalitaire et quelque peu capitaliste aurait pour résultat, presque autant que le communisme strict, une immense langueur sociale. Il aurait pour conséquence aussi l'arrêt du progrès, personne n'ayant le moindre intérêt à inventer quoi que ce fût, etc. etc.« E. Faguet, l. c. p. 161 i nn.

(str. 122 *Ostatnie słowa jego...*). Okrzyk: Jezus Marya nie jest »tradycyjnym gruntem religijnego uczucia« — jest to tylko okrzyk bojowy, hasło dawniej stale przez Henryka używane, a machinalnie powtórzone na widok wrogów, którzy go spsstrzegli: »Biegną, zobaczyli mnie...«

(str. 130 ...*myśli przez to nie przybyło*). Zmienione zakończenie mamy w trzecim wydaniu (Paryż, 1858 r.). Opuuszczono tam *molta*, poprzedzające każdą z części *Nieboskiej*. Oba teksty zakończenia, pierwotny i późniejszy, zestawil w przedruku H. Biegeleisen w Bibl. Warsz. 1894 r. III, 512—514.

(str. 131). Tekst francuski Klaczki: *Le Poète anonyme de la Pologne*, Revue d. d. m. t. XXXVII (1er janvier 1862) str. 25.

(str. 136 *Sądy najwcześniejsze o Nieboskiej Komedyi*). Zebrał je i chronologicznie zestawil L. M. Dziama: »Sądy współczesne o *Nieboskiej Komedyi* i *Irydionie* w źródłach (?) polskich (1835—1859). Poznań (Kurier Pozn.) 1893 (stron 25). — Dokładniej przedrukował wskazany przez Dziamę materyał H. Bie-

geleisen, dodając wiele uzupełnień: »*Komedyja Nieboska* w świetle społecznej krytyki« — Biblioteka Warszawska, rok 1896, Tom I, od str. 114 do 150.

Jednym z najpoważniejszych ówczesnych sądów był sąd Stanisława Ropelewskiego, który w swem »Wspomnieniu o piśmiennictwie polskiem na emigracyi« [Kalendarz pielgrz. polskiego na r. 1840. Paryż, str. 57—61] złożył hołd poecie za to, że »pierwszy rozszerzył poezyjny widnokrąg polski«. — »Witamy go, jako człowieka dalszego spojrzenia i silniejszej twórczości, niż był ktokolwiek po dziś dzień w piśmiennictwie polskiem«.

(str. 159 *Joanna z Morzkowskich...*) Jedynem na dziś źródłem wiadomości co do czasów panińskich i zamążpójścia pani Bobrowej jest niewielka i pod względem dat niepewna broszurka Dra Antoniego J. (Rollego) p. t. »Z życia Z. Krasińskiego. Pierwsza miłość i jeden z pierwszych przyjaciół«. Kraków. Nakładem redakcyi »Świata« 1890. (Stron 48). — Dokładniej starał się wniknąć w dzieje tego stosunku F. Hösick w książce p. t. »Miłość w życiu Z. K.«. Warszawa 1899. (Bibl. Dz. Wyb.).

(str. 217 *apoteozą zemsty*). P. Tadeusz Pini przypuszczał, że pierwszy plan *Irydiona* był »wallenrodyczny«, że nie było tam jeszcze »osądzienia zemsty ze stanowiska chrystyanizmu; zemsta na wrogu ojczyzny była tam jakby *apoteozowaną* — i to było zapewne powodem, że Krasiński utworu tak pojętego nie wykończył«. (Stydium nad genezą *Irydiona*... Lwów, 1899, str. 12—13).

Do argumentów, podanych przez nas w tekście książki, dodajmy jeszcze i to, że wszelka »apoteoza« zemsty narodowej byłaby wówczas, w półtora roku po wojnie polsko-rosyjskiej, uchodziła w oczach jenerała za apoteozę nocy listopadowej, za potępienie własnej jego bezczynności. Przeciwnie, upadek Irydiona i »próba powtórna« na ziemi »mogił i krzyżów«, wytrwanie pomimo »dumy i ucisku i natrząsania się niesprawiedliwych« — taką i tylko taką myśl mógł Wincenty Krasiński nazwać »piękną«.

»Czy mógłby (Zygmunt Krasiński) to pisać bez fałszu i obłudy

wtedy, kiedy nienawiść w nim samym wrzała tak, że obawiał się jej wybuchu, który go mógł na Sybir zaprowadzić? I jaki byłby cel takiej cbludy? Czyż ona mogłaby podnieść upadłego ducha ziomków? Nie, w roku 1832 nie mógł Krasiński tak myśleć i tak pisać. Tak sądzi p. Pini i dlatego twierdzi, że »w pierwszynie pomyśle *Irydiona* nie było jeszcze idei przebaczenia i miłości chrześcijańskiej«.

Nie będę tu powtarzał znanych już nam ustępów z listów do Reeva w r. 1831, zwłaszcza polemiki Polaka z Anglikiem w sprawie nienawiści narodowej, polemiki, ukończonej wówczas poddaniem się Krasińskiego i uznaniem, że nienawiść z chrześcijańskim przekonaniem i uczuciem pogodzić się nie da. Wykazujemy zresztą, że w ciągu tworzenia poeta staczał pod tym względem sam ze sobą walkę i w miarę, jak religijność w sercu jego słabła, dawał przystęp ideom mściwym. Ale »Synteza« świadczy, że w *pierwotnym* planie *Irydiona* nie mogło być mowy o apoteozowaniu zemsty.

(str. 236 *dwóch źródeł poetyckich*). O stosunku *Irydiona* do drugiej części *Fausta* i do *Dziadów* III części mówię tu na podstawie wykładów moich fryburskich z r. 1891.

(str. 281 *staje się nużącym*). Przed niebezpieczeństwem stylu Irydionowego ostrzegał poetę już Ropelewski w r. 1839 we wspomnianej ocenie: »Jeśli zaś każdemu sztukmistrzowi dobrze jest wiedzieć, co o nim gwarzą pomiędzy gminem, i mierzyć przez to wrażenie, jakie sprawił, badać, którą z sił swoich najgłębiej dusze swych czytelników wstrząsnął, donosimy autorowi *Irydiona*, że jego styl brylantowy, pełen efektów, nie trafiał właśnie do publiczności. Lękano się, aby ten obyczaj wyrażania się zawsze w sposób nowy, uderzający, *nie przeszedł w manierę*. Dziwny zarzut! był przecie powszechny. Żądano *naturalniejszego dyalogu*, tym bardziej, że poeta przemawiając osobiście w ciągu dramatu, ma gdzie użyć tego nadmiaru farb, co mu pędził przeciżą. Niech sam poeta śpiewa, tylko niech ludzie odeń stwarzani rozmawiają w sposób więcej zbliżony do zwykłych śmiertelnych mowy«.

(str. 386 *nie należały do pierwotnego autografu*). Autograf

Nocy Letniej składa się z 37 kart formatu 19·18×14·5 cm. Okładki pierwotnej niema. Dochowały się okładki papierowe wewnętrzne, koloru piaskowego, spłowiałego, ze znakiem wodnym J. GREEN. Na nich ręką Delfiny Potockiej (k. 1): *Zygmunta ręką pisana Noc Letnia* — i (k. 37^b): *Zygmuntowi Krasińskiemu oddać gdy mnie nie będzie*. — Karty 2—3 (wszyste potem), papieru kiedyś z odcieniem *lila*, cienkiego, trochę szorstkiego w dotknięciu, mają znak wodny J. WHATMANN TURKEY MILL 1836. — Na nich ręką poety (k. 2^a):

Noc Letnia.

Bo na tym świecie...

(itd. aż do »Sofokles. Antyгона« jak w druku)

str. 2^b — 3^a niezapisane.

(na 3^b) »*Jeżeli dotąd jedno dumne jeszcze*« aż do: »*Varenna* — 1840 r. 15 września«.

Pierwotny koniec wiersza brzmiał:

Gdziekolwiek iesteś, znane czy nieznane

O serce dumne, o serce stroskane,

Serce niewieście i przesładowane —

Gdziekolwiek iesteś, zbliska czy zdaleka —

Ty przyim co przyiąć możesz od człowieka!

Tę pieśń mey duszy ja poświęcam Tobie!

Po silnem przekreślanii i poprawianiu tych wierszy, poeta dopisał na prawym marginesie i na górze odwrotnie dziewięć ostatnich wierszy, tak jak są dzisiaj drukowane. — Data jest bez poprawek: *wrzesnia* (w druku: sierpnia); z pierwotnego 12 zrobił potem 15.

Tekst cały *Nocy Letniej* pisany jest na papierze gładkim, trochę żółtawym, ze znakami wodnymi: J. WHATMANN TURKEY MILL 1837. — Pismo spokojne, równe, bardzo wyraźne; poprawek stosunkowo bardzo mało. Najwięcej mają ich kartki 15^b, 20^b, 23^b, 27^b, 31. Najczęściej po przekreślonych ustępach podawał zaraz poeta tę samą treść w poprawniejszej formie na czysto. Stąd wniosek, że mamy tu brulion utworu, a nie przepisany tekst.

Uzupełnienie tomu pierwszego.

Już po wydrukowaniu pierwszego tomu odszukał Dr Józef Bieliński ciekawy dokument z lat szkolnych poety: świadectwo dojrzałości Zygmunta Krasińskiego z pieczęciami urzędowymi i podpisanymi własnoręcznymi egzaminatorów. Podając dokładny tekst tego świadectwa, składam serdeczne podziękowanie Dro. Bielińskiemu za wzbogacenie materiału mej książki. — Rozmiary oryginału: 47,5×39,5. Papier czerpany, prążkowany, znak wodny GRAF i znak fabryczny. Pieczęcie: 1) Sigillum Lycei Varsaviensis. 2) K(omis)yi R(ządo)wey Wyz. i Oświe. Publ. — Towarzystwo do Książ Elementarnych. Wyrazy podane tu kursywą są *wpisane* do schematu drukowanego.

RECTOR ET PROFESSORES

LYCEI VARSAVIENSIS

L. S.

Juvenis *Sigismundus Krasiński* pietate in Deum et moribus *egregie commendatus* annum agens 16 studiorum cursu in schola nostra peracto, an studiis academicis operam utilem dare posset explorandum nobis se dedit. Ac primum quidem themata a nobis proposita lingua Polonica, Latina, Gallica atque Germanica, sub oculis nostris, a nemine adjutus, elaboravit, eaque nobis recognoscenda tradidit. Deinde omnibus, quorum intererat, audientibus, coram examinatus est. Unde patuit eum fecisse progressus:

In doctrina religionis et morum <i>egregios</i> .	
in lingua Polonica <i>sufficientes</i>	in Mathematicis <i>mediocres</i>
— Latina <i>egregios</i>	— Physica et Chemia <i>sufficientes</i>
— Graeca <i>sufficientes</i>	[<i>tes</i>]
— Gallica <i>egregios</i>	— Historia naturali <i>sufficientes</i>
— Germanica <i>sufficientes</i>	— — univers. et patriae <i>egregios</i>

Quapropter hunc juvenem

Studiis academicis operam utilem dare posse declaramus, idque fide nostra interposita testamur, D. O. M. precantes, ut ejus studia porro secundet.

Datum *Varsaviae* die 20 Mensis *Julii* Anno 1827.

Recognitum a societate cui librorum edendorum cura tradita est.

Jacobus Sroczyński curator.

I. C. Krzyżanowski

O. Leacocki

L. S.

Luc. Golebiewski

Joannes Deckert in Inst. Paed.

[*Doc. Chr. Pr.*

Podawski

Samuel Theoph. de Liv. de Supr. Mag

Inst. P. à Consiliis, Rector Lyc.

Josephus Dobrowolski Cucus Metropol.

Varsov. Professor Religionis Prae-

fectus Lycei.

Thomas Dziśkowski Prof. Lit. Pol.

Wenceslaus Alexander Maciejowski

Prof. lit. Graec. et Lat.

Joannes Siebert Prof. lit. Germ.

Ludovicus Konciewicz Prof. Hist. Univ.

et Patriae.

Vladislaus Jasiński Prof. Math.

Antonius Stan. Flor. Waga hist. Na-

tur. Profess.

Alexander Chłobowski ex. Ph. et Chem.

Nicolaus Chopin Prof. Litt. Gall.

We wrześniu t. r. poddał się Z. Krasiński w *Towarzystwie elementarnem* sprawdzającemu egzaminowi z tychże przedmiotów, przyczem otrzymał te same stopnie, z wyjątkiem matematyki. W patencie dano mu z niej stopień *mierny*, przed Towarzystwem elementarnem »udowodnił« stopień *dobry*. —

W rubryce »na jaki wydział chce się zapisać«, zanotowano: *Administracja*. W »Konkluzji« zapisano: zatwierdzony. (Według kopii Dra Bielińskiego).

Z czasów uniwersyteckich Poety dochował się w papierach rodzinnych następujący akt urzędowy:

Nr. 134
2616

Nr.—D. 126.

SUMMIS AUSPICIIS

Augustissimi Potentissimi Imperatoris totius Rossiae
Regis Poloniae
etc etc etc

NICOLAI Imi

SIGISMUNDUS KRASIŃSKI

Oeconomiae Politicae studiosus

exhibito testimonio Maturitatis numero civium Universitatis
Liter. Regiae Varsaviensis, qui annum secundum studiorum
in Ordine Jureconsulto inchoaturi sunt, adscriptus est...

Varsaviae d. 20 mensis septembris anno millesimo octingen-
tesimo vigesimo octavo.

Adalbertus Ansel. Szweykowski

L. S.

Rector

Recognitum a rectore magnifico

† 29 Mroczinski

Na luźnym arkuszu wydano następujące świadectwo:

P. Zygmunt Krasiński na examinie rocznym z Fizyki okazał
postęp dostateczny. Skrodzki.

(Według urzędowego programu: »Nauki obowiązkowe dla
uczęszczających na prawo i administracyą« obejmowały w ro-
ku pierwszym: 1. Religiją. 2. Historiją powszechną. 3. Sta-
rożytności Rzymskie. 4. Fizykę. 5. Chemiją stosowaną. 6. Le-
śnictwo).

NIEZNANE FRAGMENTY I LISTY
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

I.

Fragment, który tu ogłaszamy, nie da się bliżej co do czasu określić. Format papieru 20.3×13.2 cm.; znak wodny: HO-NIG. Papier szorstkawy, zmięty, składany w czworo. Pismo najwięcej zbliżone do listu Z. Krasińskiego, pisanego z Warszawy do X. Chiariniego, na krótko przed wyjazdem do Szwajcaryi, a więc we wrześniu lub październiku 1829 r. — I treść Fragmentu najwięcej przemawia za rokiem 1829. — Wprawdzie jedno zdanie z rozdziałku 14-go („Ostatni raz się wzbiłeś niedawno itd.“) zdaje się przemawiać za datą r. 1831-go; ale cały nastrój i styl odnieść można tylko do czasu przedrewolucyjnego. Bardzo ciekawą ze względu na wczesną datę jest odezwa do Matki Boskiej, zapowiedź daleka późniejszej wspaniałej apostrofy z Psalmu Dobrej Woli.

Fragment z r. 1829.

[a]

11.

Gdzieżescie o znaki zwyciężkie, sztandary gromem zwycię-
stwa rażące. Wasz blask odbił się o słońce chwały i zwy-
cięstw, wasza jasność zlewała się w ognistych falach na zie-
mię Polską, w żarzących się sławą strumieniach. Zniknęły
wasze promienie, nie oświecają one więcęcy serc biących dla
oyczyzny.

Piersi u nas z miedzi, a serce z lodu.

* Niewola zmroziła nam duszę, zdrętwiał nasz umysł więzami. Poniżenie udziałem naszym. Śmierć szczęściem, życie męczarnią — kaydany nas krępują i nadzieia miła iak róża skropiona iutrzenki leżką nie zawita do naszego serca.

12

* Miecz ordzawiał. Zbroja nietknięta gnusniecie. Chorągwie w kurzawie leżą. Trąba wojny nie zagrzmie, słyhać tylko chrzęst kaydan które nas krępują. Jęki i płacze rozległy się po naszej ziemi. Łzę gorzką ią skrapiamy. Nie kwitną już na niey laury. Róża wędniecie, a łono dziewicy, na którym leżeć miała nie biie już dla kochanka. Nieszczęście wrzuciło nas w przepaść niedoli — nie wolno płakać głośno, łzę naszą pokrywać musimy, słowa głęboko w piersiach zawierać. Ale Iza /b/ toczy się w naszym oku, słowa wybuchaiają z piersi — ogień zemsty wre w naszym sercu, gniew rumieni nam lica, rozpacz włada umysłem — Lód pęka przed promieniami słońca. Pryskaiają więzy przed ogniem wolności —

13

Do broni, do broni — za miecze, za dzidy. Na koń bracia, na koń — śmierć, rzeź, spustoszenie — zagłada wrogów — Długą była niewola — Sen był długi, ale Lew się obudził, otworzył oczy, wstrząsł grzywą, ogień bucha w jego oczach, ryczy, drżą nieprzyjaciele — otwiera paszczę — już po nich, tratuje po ich ciałach. Polsko, Polsko, powstań, złam iarzmo. Niech pękną okowy. Długo ięczyłaś (!) — ale nadszedł czas, nadeszła chwila.

Pierzchną syny lodu — pierzchną —

14

Czemu miły snie, miło (!) maro kołysasz mój umysł tak mile — To wszystko marzenia — wznoszę się do nieba, unoszę się nad ziemią, chce stargać pęta, ale zawsze spadam na

* Zmiana atramentu i pióra.

ziemię, i zawsze w okowach. Skrzydła jeszcze mi nie przyrosły do boków, jeszcze piórka mnie nie unoszą. — Mylisz się nieszczęśliwy, złamane, skruszone twe skrzydła, nigdy nie odrosną. Ostatni raz się wzbiłeś niedawno, ale było to ostatnie wysilenie. Utraciłeś wszystko, nawet nadzieję. — O Boże jeżeli już straciliśmy nadzieję, jeżeli już na nas nie chcesz swego zwracać oka, iesli już twa /e/ ręka wszechmocna piorunami wrogów nie zdruzgoce i wiecznie mamy płakać w okowach, zeszlży lepiej śmierć i zagładę na nasze głowy. Zetrzyj (!) z ziemi imię Polskie. Śladu niechay nie zostanie iego spodlenia i iego niewoli. Zgińmy, bo życie nasze gorsze od śmierci. Znosim urazy i krzywdy, upadamy pod ciężarem obelg, gniew twój ogarnął nas, rozciągnąłś nad nami mściwą rękę — Ale o ty Królowo niebios i Polski, ty która panujesz naszym sercom, ubłagay Pana piorunu. Winnismy nasze zwycięstwa tobie. Dawniej sprzyiałaś Lechitom. Czčili cię, iak matkę, kochałaś ich iak synów, ale czas twej miłości znikł, opuściłaś i wydałaś nas wrogom. O wróć nam twe serce. Imię twe wielkie. Wieniec z gwiazd nieśmiertelnych wieńczy twe skronie. Wiosna usmiecha się na twych licach. Pod nogami twemi rozlewaiają się strumienie iasności i światła. Ogień słońce tysięcznych toczy się u twej stopy. Panujesz całemu światu, czyż iedną tylko odrzuciłaś Polskę? —

15

Nadzieia iest najmilszą. Wzrok iey spokojny, łegodne wyczerzenie, lica iasnieią boską światłością, na skroniach wieniec z tęczy uwity, szata iey kwiatem /d/ spleciona. Skrzydła utrzymuią ią na powietrzu, bo nigdy się ziemi nie dotknie, ziemi Polskiej.

16

* Miłaią i dnie i lata. Lód kuie pęta wodom. Słońce wraca ie wolności, ale nasza niewola ciągle w cieniu, żadnem nieoświecona słońcem — Nieszczęście napelnia życie nasze. Radości nie znamy*. Zdaie się człowiek na to rodzić, by wy-

* Zdania między gwiazdkami pisane były ołówkiem, dziś bardzo starte i ledwie czytelne.

chylał aż do ostatniej puhar nieszczęścia kropli. Przy samem wschodzie życia płacz zalega twarz jego. Izy nieprzestannie snują się po powiekach — Ale już wzrasta. Siła młodości następuje po słabości — Ray mu się здаie stać otworem. Szczęście здаie się ulatywać około niego — Miłość iest darem nieba, nadużyta (!) piekła — Piekła co niszczy uciechy, wysusza swym ogniem Izy radości — Całe nasze życie piekłem — Fale ognia unoszą nas — ogień nas pożera i trawi — Wieniec na naszych wiedznie skroniach. Młodość — życie ulatuje, a iесли chwila uciechy, chwila roskoszy ie nam uprzyjemniła, za to tysiąc chwil wtrącaią nas w otchłań nieszczęścia —

Wszystko się łączy przeciwko nas — Czas bystro płynie — Unosi z sobą siły, młodość, gasniemy — śmierć nas porywa — gdzie? w te gwiazdy złote, w te ogniste słońca! Nie! Gdzie? w te chmury białawe? nie! Gdzie? Do Boga, do wolności. Pryska świat i kaydany.

II.

Synteza.

Utwór pod powyższym tytułem dochował się nie w oryginalnym, tylko w kopii, dokonanej nieznanem nam pismem, a poświadczonej kilku wyrazami własnoręcznego pisma Poety. „Synteza“ skopiowana jest na dwóch dużego formatu arkuszach papieru grubego, gładkiego, białego, bez jakiegokolwiek znaku wodnego lub fabrycznego. Format 31×19.8 cm. — Kopia zrobiona „pagina fracta“. Na początku u samej góry pierwszej strony napisane ręką Zyg. Krasińskiego: Synteza — Na marginesie z lewej strony także ręką poety: na pamiątkę Z. K. Ponad tem u samej góry napisała nieznaną mi ręka: „Zygmunta Krasińskiego“. W drugiej linii: „1832. 25 lutego“. — W trzeciej: „w Petersburgu“. Te dwa wyrazy obwiedzione linijką.

Tekst „Syntezy“ kopiowany był nie zawsze dokładnie; kilka wyrazów poprawił potem sam Krasiński. I tak: kopista odczytał źle z autografu „pragnie“. Poeta poprawił na „poymie“; kopisty „cierpieć“ poeta poprawił na „cierpieć“, „kiedy“

na „kiedy“, „Pocieszajcie“ na „Puszczajcie“. Po wyrazach: „kiedyś zniknie“ wpisał poeta opuszczone przez kopistę: „jako wy znikniecie“. — Mylnie zanotował tu ktoś rok 1832; powinno być 1833. Być może, że pomyłka powstała z niezrozumienia słów poety; natomiast data „25 Lutego“ dokładnie stosuje się do pobytu petersburskiego poety w r. 1833. — Pismo Z. Krasińskiego w wyrazach „Synteza“ i „na pamiątkę“ jest zmienione chorobą, trochę drżące; odniósłbym je do lat ostatnich jego życia.

Synteza —

[a] Ostatni raz się zwarli — a komu pobłogosławiło szczęście, ten legł przeszyty kulą, zrzucony pod końskie kopyta.

»Dla tych, którzy się zostali — zaczęło się długie męczeństwo; krwawa praca bez sławy, cierpienie bez nadziei — jedni po drugich stąpią do grobu, a po sobie zostawią milczenie. Za te ich boleści, za tę niepamięć o nich, ich potomki będą sławni i szczęśliwi.

»W tej ciężkiej pokucie za winy Ojców, czyż wielu dotrzyma na drodze pokuty? — niejedno serce rozniemoże się w ciężkim żalu i zapragnie wesela. — A więc popłół z czoła otrząsną i na piersiach rozedrą włosiennicę i miasto jej ubiorą się w drogie szaty i klękną przed obliczem ziemskiej piękności lub ziemskiej potęgi — a taki bałwochwalca niech przeklętym będzie!« —

[b] »A ten, który dotrwa, nie usłyszysz nigdy odgłosu trąb i wrzawy bratniego zapalu — ani pieśni lubej i tkliwej — ani słowa dobrego i zwiędnie przed czasem — Droga jego wytknięta na ziemi mogił i krzyżów — wszystko, co dla innych jest roskoszą i świętością, świętokradztwem dla niego — ani poymie niewiasty i wprowadzi w dom ojca, ani się dziatkami otoczy przy domowym ognisku. Lecz raz porzuciwszy strzechę musi dalej stąpać w udręczeniu i nędzy, bez przyjaciela, bez odpoczynku. Chyba że w ostatnich chwilach gdzie na błoniu jałowem znajdzie kamień, na którym głowę złożyć i skonać. Takim jak on, nawet marzyć nie wolno: ho od dnia.

w którym się poświęcili, weszli do państwa Ducha; ich ciała są tylko marnem złudzeniem».

/e/ »Idźcie więc cierpieć jak olbrzymy, a jako dzieci przetrzucać w dłoniach ziarnka piasku przez całe życie — z tych może kiedyś zrosną się bryły, a jeszcze później opoka się wzniesie. Ale ci którzy zasiądą na niej i stamtąd będą rozkazywać światu, waszych imion nie będą umieli wymówić — ciemność jest matką waszą i będzie grobem waszym».

»A zatem słońce zostawcie za sobą — im mniej jego promieni, tem pewniejszy znak, że tu wasza droga. — Gmin, bohaterzy, którzy iaśnieją i są nieśmiertelni na ziemi — wybrani świata, którzy jaśnieją i są szczęśliwi na ziemi biegają zwykle, kędy woła ich światło i ludzłą błękit — zawady idą w proch przed nimi — a kiedy spojrzą w górę, mówią: patrzcie, tam jest gwiazda nasza! Puszczajcie ich mimo siebie i nie patrzcie na ich /d/ chwałę, bo ona kiedyś zniknie, jako wy znikniecie, jedno, że trochę dłużej, gdyby pył wielkiego wiatru latać będzie przed oczyma ludzi; ale idźcie w przeciwną stronę i nie odwracajcie głowy».

»Nim zaczniesz się pielgrzymka, nim się usta zawrą, nim pełni sił i drżący namiętnością umrzemy dla świata, raz jeszcze wzniesmy pieśń pożegnania ku tym, którzy żyją i których znaliśmy kiedyś: —

»Róże moje, dzieci Edenu, zostawiam was opiece Aniołów — niegdyś po tych ścieżkach przechadzałem się, a wyście były szczęściem mojem. Teraz wąż przyczołgał się do mnie, spiął się aż do piersi i w samym sercu zaszczerpił jad poświęcenia. Wam nie umniejszy się połysków i rosy dlatego, że od was odchodzę na wieki — bądźcie mi pięknie i świeże, wieczną oddychajcie /e/ wiosną. Ja o was zapomnieć muszę i odtąd karmić się jadem, jakem dawniej się karmił waszeimi woniami».

Wszyscy, którzy tam stali, słuchali brata i słowa jego powtarzali chórem. Teraz pielgrzymi rozejść się mają, każdy w osobną stronę, by się już nie spotkać więcej. Lecz jeden

z nich czy mniej cierpliwy, czy bardziej udręczony, bolem dał znak, że mówić chce i zatrzymał ich. —

»I ja nim zginę dla świata, nim powiem duszy mojej: mileż nieboga na zawsze, — ostatnią wolę moją wyrzec, ostatnie słowo moje wam opowiedzieć chcę — posłuchajcie brata, który jako wy umiera i pieśń jego powtarzajcie za nim!« —

»Biada tym, którzy panują! biada Olbrzymom złości i sztyderstwa — podstawa ich błoto — gnach /// ich kurzawa — biada im, że mnie odepchnęli od bitej drogi, którą stąpa ród człowieczy i przymusili iść po ścieżkach, kędym obtoczony jest ciemnością! To, co innym narodom życie dawa, niechaj im przyniesie zagubę. Cień, który pada z drzewa wiadomości, owionie ich szaleństwem. Wolność stanie pomiędzy nami jako widmo krwią zbroczone i przechadzać się będzie wśród łuny pożarów, a po jej przejściu ród ich niech przepada; język niech zatracon będzie. Ale niech sława o nich żyje w późne wieki, — niech powieść o zbrodniach, podłości i ucisku będzie nagrobkiem tego plemienia; iżby go ludzie potomni czytając, przeklinali po wszystkie dnie swoje aż do końca świata!« —

Wszyscy, którzy tam byli, słuchali brata i pieśń jego powtarzali — a potem jest ich rozejście i każdy udał się w stronę powołania swego. —

III.

List do Stanisława Krasieńskiego.

Piękny ten list, pisany w pamiętnym roku 1831, przechował się w posiadaniu córki Stanisława hr. Krasieńskiego, księżnej Maciejowej Radziwiłłowej. List przesłany był drogą prywatną, złożony w mały format z adresem: „W ręce Stanisława Krasieńskiego“. Papier listu żółtawy, chropowaty, cienki, bez znaków wodnych; format 12.5 × 10.5 cm. Składam tu serdeczne podziękowanie księżni Maciejowej Radziwiłłowej za pozwolenie wydrukowania tego listu; otrzymałem go już po wydrukowaniu pierwszego tomu.

[a] Drogi Stasiu!

Ten list zastanie cię na łożu gdzie cierpisz za Polskę — Z dumą, że ci krewnym, czytałem w gazetach, żeś wpadając na kara-batalion moskali dostał ranę ciężką — Jeśli mój głos jeszcze waży coś dla ciebie, jeśli nie zapomniał jeszcze o tym, który obiecał cię kochać i nosić zawsze twój pierścień, przyjm moje życzenia i bądź pewny, że ile razy wymawiam twe imię, głośniejsze ono brzmi w moich ustach nad inne — Ty ieden teraz jesteś Krasińskim — Gdzież reszta świetności naszej się podziela — ale niech nasze imię [b] przypadnie, byleby Polska była — Choć może są mocne pozory na mnie, choć teraz gniew daleko od Polski, choć niezadługo może hańba nadciągnie i zawisnie nad moją głową, wierzaj, iż serce Zygmunta jest polskiem i takim być nie przestanie aż do ostatniej chwili — Proszę Boga codziennie, byś wyzdrowiał — kochaj mnie jeśli jeszcze tego kochać możesz, który siedzi w Genewie, kiedy jego bracia konać — Wierzaj, jeśli jeszcze zechcesz mi wierzyć, że potężna musi być zawada na mojej drodze, kiedy dotąd ani iey odsunąć ani przeskoczyć nie zdołałem — Bądź mi zdrowym Stasiu — Bądź mi zdrowym — może Bóg mnie pobłogosławi tyle, że niedługo przy twoim hoku zawołam [c] »Hura i śmierć Moskalom«. Żegnam Cię — kocham cię i wielbię twe męstwo.

Genewa

1831

13. czerwca

Zyg. Krasinski.

[d]

W ręce

Stanisława Krasińskiego

IV.

Z listów do Pani Bobrowej.

Treść listów francuskich do pani Bobrowej podałem w teście w stosownych miejscach. Tutaj umieszczam tylko kilka wyjątków dłuższych, aby dać wyobrażenie o stylu i nastroju tej korespondencji. Pisownia oryginału zachowana.

1.

(Z listu z d. 9. XII. 1834, z Rzymu).

»Rome osa tout demander au ciel — l'empire des corps et l'empire des âmes — puis vint un jour où elle se trouva gisante entre des ronces et des serpens, foulée par l'étranger, par le soldat, par le voyageur, accablée par ses propres souvenirs et rendue de fatigue — aujourd'hui elle se meurt aux beaux rayons du soleil — elle se meurt enveloppée du bleu de son ciel — sur chacune de ses pierres est écrit: »sans espérance«. —

..vous rappelez-vous de cette petite table, de ce Shakespire noir et vieux, de ce magnifique monologue d'Hamlet que je Vous traduais et dont vous aviez réussi à prononcer si correctement les premières lignes —

To be or not to be that is the question!

J'ai lu bien de différentes choses, mais jamais je n'ai rien trouvé dans ce monde qui égale pour moi la force irresistible, la puissance magique de ce vers — aussi vous savez combien je l'aime et comme je le repète souvent — dix fois par jour il est sur mes lèvres ou dans ma pensée — c'est comme un anneau magique qui se serait entortillé autour de mon coeur, c'est comme un ami que je retrouverai à certains momens, c'est comme un souvenir quelquefois, puis de nouveau c'est comme une espérance — Il m'arrive de le prononcer en rêvant — de vouloir dire quelque chose, quand je suis éveillé et au lieu d'elle de commencer: To be or not etc. C'est bizarre que ces quelques mots aient tellement lié mon âme. —

2.

15 Mai 1835 — Florence

Il y a bien longtemps que je n'ai été assez heureux pour recevoir de vos nouvelles. Je suis à Florence. L'état de mes yeux m'a forcé de quitter Naples. Je suis là où j'étais il y a un an à pareille époque. Tout est vert et tout fleurit — la nuit les mouches brillent et il me semble entendre le galop de Votre cheval.

Je vais de plus en plus mal — Danielewicz me conduit par

le bras, les yeux fermés, dans les rues. Ce n'est que le soir que je peux regarder et alors je ne sais quels signes fantastiques je crois decouvrir dans les nuages; ce sont comme des morceaux de crêpe, comme de vertes immortelles qui voltigeraient autour de moi. Et ces signes, je les sens, je ne les comprends pas — [b] oh! si ce n'était que de moqueuses illusions — si le ciel se riait de ma vue affaiblie en peuplant les airs de phantômes —

Comment va votre santé? Avez-vous reçue les quelques fleurs que je me suis permis de vous envoyer pour le 7 de mai? Théodore est-il arrivé? Je voudrai qu'il me donne des nouvelles du pays — il a dû faire froid pendant l'hiver! Alexandre Pot. est ici — Je suis arrivé avec lui de Rome par le bateau à vapeur — il s'est pris de passion pour des bagues à talisman — c'est horrible que toutes ces bagues — nous sommes très bien ensemble — Je désirerais savoir si la Nieboska vous est parvenue — moi je l'ai reçue — Je voudrai savoir cet enfant qui vous a plu un jour (je crois que c'était à Wisbaden) [c] reposant sur Votre table — J'ai reçue une lettre de Paris où on me dit que personne ne connaît le nom de l'auteur i że z największym entuzjazmem od Mickiewicza, Goreckiego i w ogólności od wszystkich była przyjęta — Ce qu'il y a de parfait c'est que mon correspondant ne sait pas plus qu'un autre qui l'a écrit et il me prit de l'apprendre si je le peux. Je vous prie ne le dites à personne. Eh! que me font toutes ces jouissances d'amour propre — J'ai désiré la gloire — mais la gloire et rien d'autre, qu'est-ce sur cette terre? Un pain sec, mouillé de sueur —

Je passe de longues journées à penser et mes pensées sont comme un voile de crêpe. Il y a ici des cypres dont la vue me font (!) de bien; quel sera mon avenir je ne peux le dire — Je sais que plusieurs fois dans ma vie j'ai eu l'âme brisée; adieu, madame — Si j'avais auprès de moi un enfant comme Mimi, je crois que je pourrai me faire enfant pour lui, tant j'ai besoin d'aimer quelque chose dans ce monde froid, indifférent et étroit. — Dites-moi quelques mots sur Votre santé — Sig. Krasiński.

[Wzduż stronicy c]: mon adresse à Florence est l'enci banq.

[d] A Madame Madame de Bobr par Munich à Dresde confié aux soins de Mr Bassanges, banq.

Wizerunki Pani Bobrowej podałem według miniatur, wykonanych w Dreźnie przez miniaturzystkę Emilię de Loqueyssię (ur. w Dreźnie 1787 r.). Portret duży, będący własnością hrabianki Nat. Potockiej, jest niewiadomego pędzla.

(str. 401 „Czy pomnisz jeszcze na dożów kanale“). P. L. Méyet w artykule *Do Niej* (Bibl. Warsz. 1896, III, 492) mylnie podaje datę tego wiersza na 30 września; w autografie zapewne jest: »3^o«, co odczytano jako »30«. Tylko data 3^o września 1835 r. zgadza się z ówczesnymi kolejami życia poety.



6590



1845

WYKAZ NAZWISK.

- Adam Ch. II: 421.
 Aleksander I: 5, 6, 10, 11, 12,
 22, 23, 39, 65—68.
 Alfieri 112.
 Ampère J. J. II: 265.
 Ankiewiczówna Ewa H. 183, 185,
 195, 207, 211, 229, 271. II:
 168, 184.
 Antoniewicz Jan B. 91, 93, 106,
 109, 352.
 Askenazy 333.
 Athenaeus II: 273.

 Ballanche I: 318, 322. II: 26,
 28, 53, 257, 421.
 Balzac 254, 286, 314. II: 30,
 414, 418.
 Bandke prof. prawa polsk. 61,
 77, 336, 341, 342.
 Barraut E. II: 88.
 Barzykowski 221.
 Batory, król Stefan II: 293, 297.
 Bazard I: 253, 254, 321. II:
 83—88, 92, 93.
 Beaufort d'Hautpoul 338.
 Bentkowski prof. 61, 349.
 Bernadotte, książę Pontecorvo
 39.
 Bernatowicz 147, 353.
 Berry, książę 66.
 Bestużew 68.
 Biegeleisen H. II: 422, 423.

 Bieliński Piotr, prezes sądu
 sejm. 68, 69, 76, 77,
 Bieliński Józef Dr. XIV, 341,
 II: 426, 427.
 Bielski Marcin 34.
 Binet 253.
 Biron, ks. 138.
 Blanchard P. 336.
 Bobrowa Joanna z Morzkow-
 skich II: 159—163, 174, 175,
 178, 188, 199—203, 208, 239,
 240, 306, 310, 315, 317, 327,
 337, 338, 340—344, 347, 354,
 356—358, 360, 362, 363, 368,
 371, 381, 388, 390, 391,
 401, 409, 423.
 Bóbr Teodor II: 159, 160, 170.
 Boissier 176, 188.
 Bonstetten 122, 127, 158, 167,
 195, 201.
 Booth II: 421.
 Bourienne 148.
 Brodziński K. 55, 61, 79, 80,
 146, 178, 343, 344, 348.
 Bronikowski 147, 223.
 Budziszewski 264.
 Bulwer II: 306.
 Burdett, ob. Willan.
 Byron 109, 112, 113, 121, 143,
 147, 157, 254, 380, 417. II:
 9, 12, 15, 22, 36, 152, 153,
 218, 269, 270, 275, 313.

Campbell 147.
Candolle A. P. de; 122, 132, 142.
Capefigue II: 316.
Carignan, księżniczka Marya II: 3.
Carignan Karol, książę II: 3.
Carnot H. II: 93, 108.
Carré Honor. 79, 80, 318.
Charlét II: 421.
Chateaubriand 242. II: 30, 272—276, 413.
Chaussarde II: 269.
Chiarini L., książdz 49, 52, 141, 339, 340, 357. 358. II: 429.
Chlebowski Alex. II: 427.
Chlebowski Bron. II: 234.
Chlebowski Piotr 33—35, 37, 39, 40, 43, 45, 48.
Chlustine Anastazy 143, 195, 240, 242, 353.
Chłopiński 221, 224.
Chmielowski P. 355.
Chodźko L. 173, 175, 339, 354.
Chopin Mik. II: 427.
Cieszkowski August XII: 54, 193, 340.
Comte Aug. II: 81.
Constant Benjamin 65.
Cousin Victor I: 322. II: 20, 26.
Crévier II: 269.
Crue de; 352.
Czacki Aleksander 45.
Czacki Tadeusz 14, 17. II: 306.
Czartoryski, książę Adam 6, 9, 10, 11, 12, 19, 23, 66, 223, 224, 334.
Czech Józef 336.
Czernyszew 357.
Czyżewski biskup 336.

Damiron II: 28.
Danielewicz Konstanty IX: 63, 75, 77, 78. II: 38—40, 56, 57, 64, 154, 156, 165, 168, 184, 206—208, 317, 326, 330, 335, 337, 339, 340, 345—347, 353—355, 357, 366.

Dante 255, 286. II: 418.
Danton 286. 313.
Dąbowski Jul. 63.
Decker J. II: 427.
Delahaye, bona Zygmunta 30, 37, 38, 54.
Delavigne II: 302.
Diderot II: 36.
Dio Cassius II: 266, 273.
Długosz II: 376, 379.
Dimochowski Fr. S. 55, 61, 93, 145, 146. II: 177.
Dobrowolski J. II: 427.
Drogosław II: 269, 270.
Duchesne 253.
Dupan Ferdynand 138.
Dziama L. M. II: 422.
Dziekoński II: 427.
Dzwonkowski 67.

Eichtal G. d' II: 84, 108.
Enfantin I: 253, 321. II: 82—84, 90, 92, 93, 94, 95, 96, 98, 112, 420.
Engelke prof. 61.
Eschylos II: 418.

Faguet E. II: 114, 421, 422.
Falkowski 334, 336.
Faure 156.
Feliński 112, 146. II: 295.
Ferrière de II: 268, 274.
Fourier II: 92, 421.
Foy, generał 65.
Franciszek I, cesarz 361.
Frayssinous 61, 341.
Fredro Aleksander 61, 62, 146.
Frithjof II: 323.

Gagarin 247.
Garczyński Stefan II: 312, 313, 389.
Gaszyński Konst. 55, 57, 58, 74, 77, 94, 95, 146, 147, 150, 155, 162, 171, 178, 181, 197, 298, 325, 328, 350, 351, 358, 359. II: 171, 312, 315, 350, 422.

Genlis 338.
Gessner II: 31, 417.
Gibbon II: 271.
Giedroń, książę II: 320.
Girardot 340, 363.
Goethe II: 25, 36, 218, 225, 235, 236, 270, 313, 323.
Görres II: 152, 209.
Gołębiowski II: 306, 329.
Gorecki Antoni II: 190. 438.
Górnicki 318, 319. II: 306.
Gottschied 337.
Goyau G. II: 420.
Grabowski 357.
Grzymała Fr. 224.
Guerrolt 337.

Hahn W. II: 268, 272, 274, 276.
Handley Hill. E. II: 5, 25.
Hartmann II: 323.
Hauke, generał, minister 67.
Hegel II: 94, 209, 359.
Heine II: 87.
Herder II: 87, 188, 220.
Herodianus II: 273.
Hohenlohe książę 138.
Hołowczyc, arcybiskup 336.
Homer 39, 45, 112. II: 295, 325.
Hösick F. 338. II: 423.
Hubert L. 352.
Hugo Wiktor 254, 322. II: 30, 54, 413.

Irving Washington 147, 150.

Jaeger, Dr. II: 5.
Jakubowski 122, 127, 180, 199, 237, 240—241, 255, 319, 329.
Janet P. II: 421.
Janin J. II: 415, 418.
Januszewski T. II: 367.
Jaroszyński Edward II: 159, 299, 365, 368.
Jasiński Wład. II: 427.
Jaźwiński 255.

Jean-Paul II: 323—325, 329, 395, 398.
Jeziński 279, 280, 308.
Johannot J. 360.
Junker 337.

Kadłubek II: 378.
Kalderon 286.
Kalinka, książdz 73, 341.
Karpiński 145.
Karski, szpieg 67.
Keppler II: 33.
Klaczko II: 131, 132, 137—139, 231, 422.
Kniażewicz 254.
Kniaźnin 145.
Kochanowski Jan 145. II: 280, 295.

Kochanowski Piotr 318, 319.
Koncewicz L. II: 427.
Konstanty, W. książę, brat Aleksandra I. 11, 23, 65, 68, 69, 220, 221, 357.
Kopczyński 336.
Korotyński Wł. 340.
Korzeniowski Józef 30—33.
Korzeniowski Józef Dr. XIV.
Korzon Tad. II: 381.
Kościuszko 19.
Kosicki M. W. 341.
Kotzebue, agent rosyjsk 166, 341.
Kowalski 146.
Kozmian Ant. Edw. 36, 41, 56, 60, 76, 81, 335, 339—341.
Kozmian Kajetan 25, 50, 55, 70—72, 81, 146, 335, 341.
Krasicki Ignacy 145. II: 153, 173, 295.
Kraśńska Antonina z Czackich, babka Zygmunta 8, 14, 17—20, 61, 362, 363.
Kraśńska Franciszka II: 3.
Kraśńska Marya, matka Zygmunta 3, 20, 21, 26—28, 35, 336. II: 180, 191, 348.
Kraśński, biskup Adam, 14, 233.

Krasiński Adam, wnuk Zygmunta IX, X, XIV; II: 141—144.

Krasiński Henryk II: 319.

Krasiński Jan, starosta opońgórski 14, 15—17, 23—27, 334.

Krasiński Józef 130, 179, 334, 352.

Krasiński Ludwik, kasztelan ciechanowski 14.

Krasiński Michał 14.

Krasiński Stanisław 14, 125.

Krasiński Waleryan 59, 351.

Krasiński Wincenty, generał, XV, 3, 8, 9, 10, 13, 14, 15—26, 31—33, 35, 36, 37, 39—43, 55, 56, 69—77, 122, 206, 207, 217, 221—224, 226, 227, 231, 233, 238, 242, 248, 326, 334, 339, 342, 354, 361, 363. II: 50, 153, 162, 193, 211, 216, 287, 309, 319, 322, 323, 331, 336, 343, 344, 355, 363—366, 386, 393, 400, 423.

Kraushar Alex. 335

Krzyżanowski J. C. II: 427.

Krzyżanowski, podpułkownik 67—69, 71, 72.

Kunat, prof. 61.

Kurnatowski 221, 222, 225.

Kurpiński 336.

Kuszel 269.

La Bruyère 112.

Lacretelle II: 92.

Lafontaine 337.

Lamarque 313, 314.

Lamartine 92, 93. II: 55, 417.

Lamennais F. de: 211, 212, 271, 322. II: 55, 150, 167.

Lampridius II: 273.

Leach 150.

Leduchowski Jan 264.

Lelewel, 119, 146.

Lenartowicz T. II: 282.

Lerminier 322.

Leroux P. II: 90, 93.

Lewocki O. II: 427.

Linde S. B. 48, 339; II: 427.

Liszt II: 87.

Lombard A. 127.

Loqueyssie II: 439.

Lubecki, książę, minister 66, 68, 70, 357.

Lubomirska z Krasińskich 14.

Lubomirska, księżna, ciotka Zyg. Kr. II: 157.

Lubomirska z Potockich M. XV.

Lubowidzki 357.

Lucian 39.

Lubieński Leon 63, 77, 79, 80, 111, 167, 227, 254, 286, 287—289, 308, 344, 346, 347, 349.

Lukasiński 67, 68.

Machnicki 123.

Maciejowski W. A. II: 334, 379, 427.

Magnuszewski D. 63.

Małachowski Stan., marszałek sejmu czteroletniego 18, 28. II: 306, 401.

Małachowski Stanisław II: 17, 35, 396.

Małecki Antoni II: 229—231, 252, 253, 278.

Manugiewicz, biskup 336.

Marcinkowski (Jaxa) II: 418.

Marx K. II: 97.

Melmoth-Mathurin II: 41.

Méyet L. II: 401, 439.

Miączyński Aleksander 63.

Michaut G. II: 420.

Michelet I: 318. II: 54, 55, 210, 306.

Mickiewicz Adam 54, 59, 84, 92, 93, 112, 146, 184, 175, 181—190, 192, 195—198, 201, 207, 210—212, 217, 220, 228, 229, 237, 240, 241, 245, 261, 270, 271, 274, 275, 322, 351. II: 22, 31, 32, 54, 90, 119—122, 126, 134, 137, 163, 172—

173, 190, 237, 264, 268, 273, 306, 312, 313, 323, 402, 418, 421.

Mierosławski L. II: 328.

Mikolaj I. 63, 68—70, 279, 356—357, 361. II: 35, 288, 289, 309, 397.

Milberg, generał 363, II: 419.

Mill Stuart J. II: 90.

Miodoński A., II: 269.

Mirabeau 286.

Mirecki 175.

Mochnicki M, 223. II: 177.

Montalembert Ch. de II: 150.

Moore 143, 147, 162. II: 419.

Morawski Fr., generał 55, 119, 146. II: 30, 413.

Mroczyński II: 428.

Müller, hist. szwajc. II: 306, 329.

Murawiew, dekabr. 68.

Musset II: 380.

Napoleon 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 19, 20, 22, 23, 61, 67, 178, 237, 326, 333, 341, 361. II: 306.

Narbut II: 334, 379.

Naruszewicz 105, 145. II: 294, 376, 378, 379.

Nehring W. II: 266.

Nesselrode hr. 356, 357.

Newton II: 33.

Nibelung II: 323, 325, 329, 376, 380.

Nicolini II: 302.

Niemcewicz J. U. 4, 6, 7, 55, 59, 71, 86, 106, 112, 145, 333, 336. II: 42.

Niemojewscy, bracia 65.

Nodier Ch. II: 64, 415.

Novalis II: 323, 329, 359.

Nowosilcow 66, 68.

Odyniec A. B. 55, 56, 112, 119, 120, 146, 181—189, 191, 192, 195, 197, 199, 200, 354. II: 206.

Oken II: 303, 306, 323, 330.

Orpizewski L. 341.

Osiński L. 55, 77, 119, 146, 348, 349. II: 177, 355.

Ostrowski, biskup 336.

Paclawski II: 427.

Pasek J. Chr. II: 327, 329.

Paskiewicz Eryw. 357.

Pestel 68.

Pictet-Galiffe 133.

Pini Tadeusz IX; II: 270, 271, 272, 276, 379, 423, 424.

Platon II: 20.

Poniatowski, książę Józef 5, 2.

Potocka z Komarów Dellina XII; 47. II: 425.

Potocka Natalia hr. XV.

Potocki Adam hr. II: 36, 396.

Potocki Mieczysław 63.

Prądyński, pułkownik 67.

Priessnitz II: 320, 330.

Procida II: 302, 306.

Przygodzki Jan 339.

Quinet Edg. II: 28, 55, 268.

Radziwiłł Dominik II: 392—4.

Radziwiłłówna Stefania II: 391, 393.

Rautenstrach 357.

Reeve Henryk IX, XII: 128, 150, 154, 155, 166, 175—178, 180, 181, 195, 200, 206, 211, 215, 219, 220, 227—229, 237, 239, 240, 243, 244—248, 251—254, 256—258, 270, 280, 283—289, 292, 299—302, 304, 314, 320—327, 329, 352, 354, 358, II: 4, 9, 28, 51, 56, 88, 94, 212, 215, 334, 341, 352, 355, 419, 420.

Reichenbach, hr. II: 323.

Reiter M. 94, 99, 351, 352, 353.

Renard G. II: 116.

Reutnowicz Fr. Dr. 334.

Revilliod L. 127, 135.

Reybaud II: 421.

Richter ob. Jean-Paul.
 Rigaud-Saladin 152.
 Rodriguez II: 84, 94.
 Roget Fr. 140, 158, 173, 176,
 177, 184, 200, 334.
 Rolle (Dr. Antoni J.) 334. II:
 423.
 Ropelewski St. II: 312, 423, 424.
 Rossi 122, 138, 139, 141, 181.
 II: 234.
 Rousseau J. I. 177.
 Rybceżyński II: 355.
 Rzewuska Kaliksta II: 157.
 Saint-Simon II: 81, 334, 421.
 Sainte-Beuve II: 90, 420, 421.
 Sand Georges-II: 319.
 Sapieżanka, księżniczka Anna
 29, 30.
 Sarbiewski 145.
 Sautter Konst. 175, 292, 321, 324.
 Sauvan Dr. II: 157, 322, 326,
 333, 339.
 Say J. - B. II: 81.
 Schelling II: 26, 55, 152, 303.
 Scherer II: 421.
 Schiller 93. II: 330.
 Schlegel 157, 256.
 Schmitt Henr. 334, 341.
 Schubert II: 303.
 Scott (Walter) 59, 60, 83, 101,
 103, 112, 113, 121, 148, 163,
 362. II: 360, 419.
 Ségur hr. 61.
 Shelley 188, 191.
 Siebert II: 427.
 Siemieński L. I: 340, 351. II: 268.
 Sismondi de Simonde I. K. L.
 122, 353. II: 329.
 Skarga P. 145, 318, 319. II: 306,
 329.
 Skrodzki II: 428.
 Skrzynecki 256.
 Słowacki Juliusz II: 261, 271.
 II: 160, 311-314, 318, 367, 401.
 Smith Adam II: 81.
 Sobański Artur 320.

Sobieski, król Jan, II: 297.
 Sofokles II: 386, 425.
 Sołtan Adam XI, II: 299.
 Sniadecki Jan 146.
 Soulié II: 416.
 Southey 147.
 Spinoza II: 417.
 Sroczyński Jak. II: 427.
 Stanisław August, król 16, 17.
 Stein L. v. II: 421.
 Strauss D. II: 303.
 Strogonow 357.
 Strzelecki 210.
 Sue E. II: 415, 418.
 Suworow 356.
 Swierczewski 352.
 Szaniawski, ks. prof. 61.
 Szekspir 92, 93, 112, 150, 254,
 286. II: 189, 227, 277, 306,
 313, 329, 418.
 Szembek 221, 222.
 Szujski J. II: 290.
 Szweykowski, książdz 345, 348,
 350. II: 428.
 Szymanowski 145.
 Szyrna 221.
 Szyszko, ks. dziekan 38.

Tarnowski Stanisław I, IX, XI,
 334, 336, 340. II: 17, 139-
 141, 203, 205, 232, 240-242,
 250, 251, 264, 279-281, 341,
 363, 373, 385, 387, 396, 399,
 421.
 Tasso II: 417.
 Tennyson II: 419.
 Thierry Aug. II: 81.
 Tocqueville Aleksy II: 353.
 Tomaszewski D. B. 112.
 Torlonia A. II: 328.
 Towiański A. II: 421.
 Trembecki 92, 145.
 Tretiak J. 59, 341.

Ulrych L. II: 136, 229.
 Umiński, generał 67.

Vico II: 87.
 Virey II: 329.
 Vogüé M. de 97.
 Voltaire 30, 286. II: 417.
 Waga Ant. II: 427.
 Waille 336.
 Warschauer II: 421.
 Way 166.
 Weber (kompozytor) 50.
 Weill E. II: 420, 421.
 Werner Z. II: 274.
 Węgierski, ks. 336.
 Wężyk 146.
 Wilczek, adj. jen. Krasińskiego
 12, 13, 23.
 Willan Henryka 131, 149, 155,
 156, 159, 160, 166, 168, 170,
 172, 177, 181, 185, 190, 196,
 206, 207, 212, 242, 251, 282,
 283, 292, 300, 301, 304, 306,
 322. II: 8, 20, 29, 38, 155, 344,
 419.

Witte 357.
 Wittgenstein Ludw. ks. II:
 392, 393.
 Witwicki Stefan 55. II: 312.
 Wołski Zygmunt 338.
 Wołowski Ludwik 62, 63.
 Woroniec. arcyb. 72, 146.
 Wyleżyński, kap. 363.
 Zajaczek, generał 4, 5, 22.
 Zaleski B. 146. II: 274, 312.
 Załuska Amelia XV, 53, 54,
 56, 57, 113, 141, 159, 361,
 363 II: 8, 10, 17, 18, 20, 357.
 Załuski Roman 68, 69, 319,
 329. II: 212.
 Zamoyski August 138, 140,
 200, 219, 220, 228, 252. II: 6.
 Zamoyski Stanisław, prezes
 Senatu 23.
 Zamoyski Wład. 221, 356, 357.
 Zyc 67.
 Zychliński 334, 339.
 Zyrosław 356.







Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 43487



BGZs 43487